

*Edith Layton*

*Uśmiech fosu*

*Barbarze Metzger, doskonałej pisarce,  
przenikliwej czytelniczce i przyjaciółce z podziękowaniem*

# 1

Kiedy odzyskał przytomność, przekonał się, że leży na ziemi. Kręciło mu się w głowie. Próbował usiąść, ale przeszyła go fala Bólu tak silna, że zebrało mu się na wymioty. I tak zresztą nie mógłby się poruszyć: coś bardzo ciężkiego przygwałdziło go do ziemi. Nie do wiary.

Huczało mu w głowie, ale spróbował się skupić, zapomnieć o bólu i wrócić do świadomości. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było to, że jechał konno, rozmyślając nad słowami swojego ojca, A miał nad czym się zastanawiać. Tym razem wielokrotnie słyszana litania skarg i żądań nabrała sensu. Nie zwracał większej uwagi na trasę, ale też nie spodziewał się, że spadnie z konia. Był doskonałym jeźdźcem, a pogoda dopisywała. Prawdę mówiąc, właśnie po to zjechał z głównej drogi, żeby cieszyć się dniem i odpocząć, gdyż cały ranek spędził w siodle.

Znalazł idealne miejsce, cichą, polną dróżkę pośród kwitnących na żółto pól rzepaku. Szkarłatne główki maków wyłaniały się spośród trawy na łąkach, a jego wierzchowiec spokojnie posuwał się naprzód. Dookoła śpiewały ptaki, a słońce grało mile.

Pamiętał, że koń potknął się, zaskakując go tym całkowicie. Ściągnął z całej siły wodze, jakby chciał w ten sposób podtrzymać zwierzę. Usłyszał też huk wystrzału.

Wystrzału? Zamrugał powiekami i poczuł, że kręci mu się w głowie. Wojna się już skończyła, znajdował się w bezpiecznej Anglii, w swojej ojczyźnie. A jednak usłyszał wystrzał... w chwilę potem, kiedy już czuł, że pada na ziemię.

Wokół zrobiło się jakoś ciemno: zaczął tracić zdolność widzenia, a także jasność myśli. Przetarł oczy i drgnął. Na ręku miał krew. Rozmazał ją sobie po całej twarzy. Ostatnim

przebłyskiem świadomości stwierdził, że powinien chyba wstać i pomóc swemu wierzchowcowi. Tyle tylko że koń leżał na nim, utrudniając mu owo zadanie. Absurd tego faktu rozbawił go na chwilę, a potem nastały ciemności.

Aleksandria zmywała naczynia po lunchu, kiedy usłyszała dobiegające od drzwi frontowych podekscytowane głosy. Wprawdzie nie udało jej się odróżnić poszczególnych słów, ale zamieszanie było tak wielkie, że nie mogła go zignorować. Zbyt dobrze znała swych braci. Szybko odłożyła myty właśnie talerz i pobiegła do przedsionka. Zdumiona ujrzała, iż chłopcy zdejmują z zawiasów drzwi.

- Zwariowaliście? - spytała.

Rob odgarnął sobie z czoła kosmyk włosów i wtedy zauważyła, że oczy błyszczą mu gorączkowo. Niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Nie, Alły, ale musimy go na czymś przynieść, prawda? Nie możemy go ciągnąć po ziemi. I skąd mielibyśmy wziąć sanie? Najszybciej będzie na drzwiach! To niesłychane! - powiedział, przyglądając się z fascynacją, jak Vincent i Kit próbują odśrubować zawiasy. - Myśleliśmy, że już nie oddycha. Ja byłem tego pewien. Ale Vin przyłożył mu dłoń do szyi i okazało się, że żyje! Nasz dom jest najbliżej, więc przetransportujemy go tutaj.

- My? - mruknął Vin, walcząc z zawiasem. - Prosiłem tego łotrzyka, żeby został z nim i odganiał od niego mrówki i dzikie zwierzęta, a on uparł się, że będzie nam pomagał. Co prawda nie dziwię się, że nie chciał tam zostać. Widok nie jest przyjemny,

Aleksandria westchnęła. Następna zraniona istota, która trafi pod jej opiekę, kiedy chłopcy się znużą.

- Zostawcie te drzwi - poleciła. - Wracajcie tam i spróbujcie się zająć tym zwierzęciem na miejscu. Jeśli jest duże, to i tak nie pozwolę wam go zatrzymać.

Wszyscy trzej chłopcy popatrzyli na nią z otwartymi ustami.

- Gdzie je chcecie trzymać? - zapytała niecierpliwie. - W szopie? Przecież tam ledwo starczy miejsca dla nieszczęsnego Pioruna. I skąd wiecie, że to coś nie ma jakiejś zakaz-

nej choroby? Nie chcę, żeby Piorun się zaraził. Zróbcie, co się da, a resztę pozostawcie matce naturze.

- To człowiek - powiedział Rob. - Ledwie żywy.

- Jest też i koń - dodał Vin, wracając do swego zajęcia. - Ale moim zdaniem jemu nic się nie stało. Spłoszył się i krwawi, ale to tylko draśnięcie. No i chyba nadwyreżył sobie ścięgno w nodze. Ale ten człowiek długo już nie wytrzyma. Wygląda na to, że mocno uderzył się w głowę, albo co. Nie wiadomo, ile stracił krwi on, a ile jego koń.

- O Boże! - Aleksandria wydała lekki okrzyk i zaczęła zdejmować fartuch. - Dlaczego tak od razu nie mówiliście? Zajmijcie się drzwiami. Ja przyniosę ręczniki, wodę, sole trzeźwiące... Czy któryś z was wpadł na to, żeby wezwać lekarza? - Przyjrzała się im uważniej. - Tak myślałam. Rob, przestań się gapić. Postaraj się być użyteczny. Osiodłaj Pioruna i pędź po doktora. - Krytycznie przyjrzała się drzwiom. - Przydałoby się trochę smalcu. Będziecie wałczyć z tymi starymi zawiasami jeszcze przez rok, jeśli się ich nie nasmaruje. I gdzie jest ten człowiek?

Znajdował się zaledwie o pół mili od nich i Aleksandria przebyła tę odległość biegiem, ale kiedy znalazła się na miejscu, pomyślała, że chyba i tak się spóźniła. Mężczyzna leżał na skraju drogi, z nogami pod żywopłotem. Zatrzymała się jak wryta, ciężko dysząc i przyciskając dłoń do serca. Człowiek ten był wysoki, dobrze ubrany, ale teraz przypominał szmacianą lalkę niedbale rzuconą ręką dziecka. Głowę miał odchyloną do tyłu i poszarzałą twarz. Jedna z nóg spoczywała pod jakimś nieprawdopodobnym kątem, a szyja wyglądała nie lepiej. Aleksandria wstrzymała oddech i dopiero gdy przyjrzała się dokładniej, mogła stwierdzić, że to tylko splamiona krwią chustka przekrzywiła się na szyi.

Vincent zauważył, co przykuło jej przerażony wzrok.

- Musiałem rozwiązać mu krawat, żeby sprawdzić, czy nie ma tam rany - wyjaśnił. - Wszystko w porządku. Tyle mogłem od razu ustalić. Tylko krew, sama widzisz. Może jego

konia - dodał, wskazując na stojącego obok ze spuszczoną głową drżącego wierzchowca. Zwierzę miało ociekające krwią skaleczenie na jednym z boków. Vin przykląkł obok mężczyzny i spojrzał z niepokojem na Aleksandrię.

- Dotknąłem jego szyi, żeby sprawdzić, czy daje oznaki życia - rzekł. - Wyczułem puls... wtedy.

Aleksandria pochyliła się i przyłożyła trzęsącą się dłoń do szyi mężczyzny. Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła słabe, ale równomierne uderzenia pod zimną, lepką skórą. Wyprostowała się, przełknęła z wysiłkiem ślinę i kiwnęła głową.

- A więc - rzekła, starając się nie tracić resztek odwagi - lepiej przełóżmy go na te drzwi. Nie szarpcie nim - dodała, chociaż nie miała pojęcia, jak mogliby tego uniknąć.

Vincent miał lat szesnaście. Kit piętnaście. Choć osiągnęli wzrost typowy dla swego wieku, żaden nie miał jeszcze tyle siły, by dźwignąć ciężar dorosłego mężczyzny... ten zaś acz szczupły, był jednak bardzo wysoki i całkowicie bezwładny, jak miała się wkrótce przekonać Aleksandria. Przyklęła u jego głowy i podłożyła mu dłonie pod ramiona, żeby choć trochę ochronić jego szyję. Chłopcy stanęli przy jego bokach. Czekali na jej znak. Kiwnęła głową. Spróbowali go dźwignąć.

Nie poruszyło się nic prócz ich własnych mięśni.

- Puście go - powiedziała Aleksandria, chociaż mężczyzna nie drgnął nawet o cal. - Połóżcie drzwi obok niego. Jeśli uniesiemy go lekko i będziemy przesuwac cal po calu, w końcu nam się uda.

Spróbowali ponownie, a desperacja dodała im sił. Walcząc z ciężarem, Aleksandria przyjrzała się badawczo, czy poruszenie nie otworzy jakiejś niewidocznej rany, która zacznie krwawić na nowo. Ale nic nie dostrzegła.

Wspólnymi siłami, wstrzymując oddech, by przypadkiem nie upuścić mężczyzny, zdołali unieść go nieco i nasunąć na drzwi. Aleksandria drżała z wysiłku i niepokojem, kiedy wreszcie skończyli.

- Świetnie - stwierdziła dzielnie. - A teraz musimy podnieść te drzwi i przetransportować je do domu.

- Nigdy nam się to nie uda - pokręcił głową Vin. - Powinniśmy tu mieć Pioruna i jakieś liny i on pociągnąłby te drzwi jak sanie. W żaden sposób nie zdołamy go przenieść.

- A ty kazałaś Robowi, żeby zabrał konia - powiedział żałośnie Kit.

Aleksandria rozejrzała się.

- Użyjemy jego wierzchowca - zdecydowała.

- Ależ on jest ranny! - zaprotestował Vin.

- Jest żywy - odparła. - I chyba może chodzić, co? - spytała gniewnie. Była zła zarówno na sytuację, jak na samą siebie. Kochała zwierzęta nie mniej niż chłopcy. Ale jak zawsze rozsądek przeważył nad słabością. - Musimy przetransportować tego człowieka do domu - ciągnęła. - Jego konia też trzeba zabrać. Jeżeli może chodzić, to da radę także pociągnąć. Z pewnością ma więcej siły niż my.

Popatrzyli na piękne zwierzę. Krew, która zaczynała już krzepnąć na lśniącem boku, robiła okropne wrażenie.

- Moglibyśmy pójść po pomoc do miasteczka - zaczął Vin.

- I zostawić tutaj tego człowieka, żeby się wykrwawił na śmierć? - spytała drżącym głosem. - Kto wie, gdzie jest doktor i co robi. A może nie będzie mógł tu przyjechać natychmiast?

Kit pobiegł po linę. Potem obwiązali nią drzwi i zrobili koniowi prowizoryczną uprząż. Przy pomocy licznych obietnic, a także gróźb, poklepując i cmokając, skłonili zwierzę, by ruszyło w stronę ich domku. Kiedy wreszcie znaleźli się na podwórzu, wszyscy byli jednakowo spoceni. Rana 'na boku wierzchowca otworzyła się znowu. Męczyzna jeszcze bardziej poszarzał na twarzy.

Vin zaprowadził konia do szopy. Aleksandria przykucnęła przy rannym. Obmyła mu twarz i odgarnęła z czoła ciemne, zmatowiałe włosy. Kit przyniósł koc. Jak dotąd dziewczyna nie zauważyła żadnej rany i dlatego postanowiła, że należałoby rozebrać nieznanego tu, na podwórzu, by się co do tego ostatecznie upewnić. W żaden sposób nie potrafili wnieść go do domu. Kit z trudem powstrzymywał łzy gniewu na myśl o tym, że człowiek ten umrze na ich podwórku jak bezdom-

ny pies, chociaż w pobliżu czeka na niego łożko. Aleksandria przyłożyła rannemu rękę do serca, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, a potem zaczęła rozpinąć mu surdut.

Chłopcy pomogli jej zdjąć dopasowany strój nieznanego. Za każdym razem, kiedy musieli poruszyć nieszczęśnika, wydawali okrzyki, jakby to ich bolało. Ale mężczyzna nawet nie drgnął. Po odsłonięciu koszuli okazało się, iż pod nią nie ma żadnej rany. Jednak kiedy wreszcie pojawił się doktor, Aleksandria zaczęła przypuszczać, że jego pośpiech okaże się najzupełniej daremny.

Czekała z niepokojem, aż lekarz zakończy badanie. Ranny leżał już teraz na łożku, gdzie został z trudem przetransportowany.

- Cóż, jedyne, co wiem na pewno, to to, że mamy do czynienia z dżentelmenem - oznajmił doktor Pace. - To jasne. A przynajmniej z bogatym człowiekiem, wychowanym jak dżentelmen, gdyż jest czysty, ogolony i ma zadbane zęby i paznokcie. Jego koń, ubranie, a nawet bielizna należą do najlepszych. Powinniśmy zajrzeć do torby, którą znaleźliście przy siodle, i przejrzeć jej zawartość. Może wtedy dowiemy się, jak się nazywa i skąd pochodzi. Na wypadek, gdyby nie odzyskał przytomności - dodał.

Aleksandria spojrzała na niego ostro. Doktor odwrócił oczy i zamknął swą torbę medyczną.

- Istnieje taka możliwość - stwierdził z wyrzutem.

Rob, Vin i Kit utrzymywali, iż oskarżycielskie spojrzenie ich siostry mogłoby świętego zamienić w trzęsącą się galaretę.

- Zająłem się tym, co widać - ciągnął doktor. - Noga jest złamana. W dwóch miejscach. Nastawiłem ją. Na szczęście był nieprzytomny, bo to jest szalenie bolesne. Ma kilka skaleczeń i siniaków. Opatrzyłem je. Moim zdaniem większość krwi pochodzi od konia. Chłopcy powiedzieli mi, że zwierzę miało draśnięty bok. Takie płytkie rany krwawią jak diabli. Jak twierdzi Vin, teraz krwotok już ustał. Przyjrzę się temu przed odjazdem. Ale ten nieszczęśnik? Nie widzę, by



miał jakieś dodatkowe obrażenia, a mimo to nie chce się wybudzić.

Zauważył przerażenie Aleksandrii i odpowiedział na jej milczące pytanie.

- Dlaczego? - Westchnął. - Może to potrwa krótko. Kto wie, co sobie uszkodził w głowie? Nie widzę przez kości i nie potrafię ocenić rozmiaru obrażeń. No i może przygniół go koń. A wtedy mogłoby się okazać, że ma jakiś wewnętrzny krwotok. Nie wiem. Kiedy... jeżeli... się zbudzi, powie mi, gdzie go boli.

- A jeśli nie odzyska przytomności? - spytała surowo.

Wzruszył ramionami.

- Musimy znaleźć jego krewnych, żeby go mogli zobaczyć.

- Wolałabym nie grzebać w jego rzeczach - stwierdziła niepewnie dziewczyna. - To jakby wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- Nie możemy go tak zostawić - odparł szorstko lekarz. - Jeżeli nie odzyska przytomności, umrze. - Zmarszczył brwi, widząc wyraz jej twarzy. - Nieprzytomny człowiek nie może pić ani jeść, prawda? - zapytał. - Szkoda byłoby, gdyby musiał umrzeć wśród obcych.

Popatrzyli oboje na nieznanego, spoczywającego w łóżku Aleksandrii. Błady jak ściana, cichy, leżał na plecach, a jego długi nos celował prosto w sufit. Na pierwszy rzut oka ranny sprawiał wrażenie nieboszczyka, a dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się widać było, że pierś wciąż mu się unosi i opada.

Aleksandria kiwnęła głową i z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- To proszę mi pomóc przeszukać jego rzeczy.

Chłopcy już jakiś czas temu przynieśli skórzaną sakwę, którą znaleźli przymocowaną rzemieniami do siodła nieznanego. Aleksandria sięgnęła po nią drżącymi rękoma, położyła na stole przy oknie i cofnęła się, patrząc, jak doktor ją otwiera. Zagwizdał ze zdumieniem, gdy zajrzał do środka.

- Jak już mówiłem, to bez wątpienia zamożny dżentelmen. - Doktor wyjął bieliznę, chusteczki do nosa, dwie ele-

ganckie, białe chustki na szyję oraz dwie starannie złożone, czyste koszule najlepszej jakości i odłożył je na bok. Potem wydobył wypchaną, skórzaną sakiewkę, rozsypał rzemyki i spojrzął ze zdumieniem.

- Tylko głupiec wozi ze sobą tyle pieniędzy - stwierdził, marszcząc brwi. - Głupiec albo znakomity strzelec - dodał, ostrożnie wysuwając długi pistolet spod pary pończoch.

- Albo zbrodniarz - rzuciła Aleksandria, kręcąc głową. - Miał też nóż pod surdudem.

- I ten mały pistolet w bucie, który musiałem rozciąć - rzekł w zadumie doktor. - I nigdzie nazwiska - powiedział, wytrząsając ostatnie przedmioty z torby: parę srebrnych brzytw, niewielką buteleczkę z wonnościami, szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów oraz składany, metalowy kubek. Była także emaliowana tabakiera, zawierająca jakiś biały proszek. Doktor wziął jego szczyptę i powąchał. - To na ból głowy, nic więcej.

Zaczął chować przedmioty z powrotem do torby.

- I tylko jeden inicjał: D. Taki sam, jak na tym pięknym pierścieniu - odezwał się lekarz, rzucając okiem na stolik przy łóżku i leżący na nim pierścień, który ściągnęli nieznajomemu z palca. - To szafir, o ile się nie mylę, osadzony w onyksie. Musiał sporo kosztować. Bardzo ciekawy wzór. Mógłby nam coś wyjaśnić, chyba że został skradziony. A i nawet wtedy też by nam to i owo powiedział. Wezmę go i poproszę pastora, żeby mu się przyjrzał. Ten człowiek wie wszystko o klasach wyższych - stwierdził z roztargnieniem, zamykając swą torbę lekarską. - Zawsze namawia wiernych do porzucania światowych celów i dóbr, ale ma całą bibliotekę na temat arystokratycznych domów i tym podobne.

Schował ciężki pierścień do kieszeni.

- W torbie przy siodle miał teleskop, mapę i jeszcze jeden pistolet - stwierdził w zadumie. - Po co mu taka artyleria na wiejską przejażdżkę? I co w ogóle tu robił? Czy to złodziej? Szpieg? A może miał jakieś zbrodnicze zamiary? Nie jestem pewien, czy powinnaś go tutaj zatrzymać.

Kiedy doktor schował wszystko do torby nieznajomego,

Aleksandria rzuciła okiem na właściciela tych rzeczy. Teraz, kiedy przejrzeni jego ziemski dobytek, sprawiał na niej wrażenie tym bardziej bezradnego.

- Kimkolwiek jest, w tym stanie nic złego nam nie zrobi - stwierdziła. - Poza tym wszelkie przenosiny mogłyby go zabić albo poważnie pogorszyć jego stan.

- A i owszem, ale ja wcale nie o nim myślałam. - Lekarz zmarszczył brwi i wbił wzrok w Aleksandrię. - Słuchaj, moje dziecko, zdarzyło się tu coś niedobrego. Wątpię, żeby ten człowiek postrzelił sam swego konia. Ktokolwiek doprowadził do tej sytuacji, może zechcieć upewnić się, czy osiągnął zamierzony cel. Może jednak powinienem zabrać go do miasta bez względu na ryzyko. Przetrzywanie go tutaj może okazać się dla was niebezpieczne.

Aleksandria poderwała głowę.

- A kto miałby wiedzieć, że ofiara przeżyła zamach? Nikt, chyba że powie mu któreś z nas, a ja z pewnością tego nie zrobię. Co więcej, jeżeli pojawi się tu ktoś obcy, natychmiast dam panu znać. Moim zdaniem ten człowiek powinien zostać u nas. Nie chcę mieć jego śmierci na sumieniu.

- Jednak może się ona i tak pojawić - stwierdził ciężko doktor. - Każda kolejna godzina, kiedy jest nieprzytomny, zmniejsza jego szanse. Jeżeli się nie zbudzi do rana, wątpię, czy nastąpi to kiedykolwiek.

- Co powinienam uczynić? - spytała.

- Masz dosyć silnej woli, żeby utrzymać przy życiu cały batalion, moje dziecko. Ale teraz sprawy znalazły się w innych rękach. Możesz się modlić.

- A co poza tym?

- Kładź mu zimne kompresy na czoło. Może dostać gorączki... jeżeli tego doczeka. Gorączka zwalczy infekcję, ale niesie ze sobą niebezpieczeństwa. I dla niego, i dla ciebie. - Nie drgnęła. Lekarz westchnął, podniósł torbę i ruszył do drzwi. Odwrócił się do dziewczyny.

- Pilnuj go jak jastrząb. Niech jeden z chłopców z tobą przy nim siedzi. Nie dopuść, żeby się rzucał. Ale też nie by-

łoby dobrze, gdyby oprzytomniał w gorączce i uznał cię za wroga. Trzymaj go w cieple i nie pozwól mu się ruszać. Jeżeli się obudzi, zmusz go, żeby się czegoś napił. Poślij po mnie, jeżeli nastąpi jakakolwiek zmiana.

Nic się nie działo przez długie godziny, kiedy Aleksandria siedziała u boku nieznajomego. Przez cały dzień chłopcy wpadali co chwila do pokoju, żeby z lękiem popatrzeć na ich niespodziewanego gościa. Nastrój zaczął pogarszać się coraz bardziej, gdy piękne popołudnie zmieniło się w mglisty wieczór i do pokoju wkradły się nocne cienie. Aleksandria poleciła Winowi, by ją zastąpił, i dopilnowała, żeby chłopcy zjedli kolację. Pośpiesznie spożyty posiłek bardziej przypominał lunch podczas pieszej wycieczki i składał się z chleba i sera, zimnego pasztetu, jabłek i orzechów. Świadomi, że piętro wyżej trwa milcząca walka, zjadali to wszystko ze ściśniętymi gardłami, w niezwykłym jak na nich milczeniu.

Aleksandria pobiegła na górę i posłała Vina na kolację. Jeszcze nie zapadły kompletne ciemności, ale zapaliła lampę, żeby lepiej widzieć swego pacjenta, i przysunęła krzesło bliżej do jego posłania. Baczenie wypatrywała oznak jakiegokolwiek zmiany.

Jednak nic nie spostrzegła. W łóżku leżał kamienny posąg. Zadrzała. A jeśli umrze? I czy ona kiedykolwiek będzie mogła spokojnie położyć się w tym łóżku, wiedząc, że jest to miejsce, w którym czyjaś dusza opuściła ziemski padół? Zganiła się w duchu za takie egoistyczne myśli. Ten biedak zasługiwał na coś lepszego.

Ale co może dla niego uczynić? Nic. Co poczną, jeżeli nigdy nie wróci do przytomności? Biedny człowiek. Umierać samotnie, pośród obcych, którzy nie będą go opłakiwać, a tylko pamiętać, że przyniósł śmierć do ich domu. Co za okropny spadek. Z pewnością zasługiwał na coś lepszego. Ale czy na pewno?

Ciekawe, czy komuś go będzie brakować. Przyjrzała się dłużej, kościstej, poszarzałej twarzy, próbując odgadnąć tajemnice, których nie ujawniły należące do rannego przedmioty. Nie był jeszcze taki stary. Mógł sobie liczyć niewiele ponad trzydziestkę. W tym wieku ma się żonę i dzieci. Ale

może on nie posiada rodziny. W końcu przecież podróżował samotnie. I nie ma obrączki. Nie jest też szczególnie przystojny. Biedaczek, pomyślała, patrząc na niego z żalem. Jest po prostu brzydki z tym swoim długim nosem, pociągłą twarzą i wychudłymi policzkami.

Odwróciła się, czując taką samą bezradność jak wtedy, gdy chłopcy przynosili jej jakieś zwierzątko, którego, jak wiedziała, nie da się uratować... małego ptaszka albo królika, bezbronne stworzonko wyrwane zbyt wcześnie z gniazda. W takich wypadkach, chcąc uspokoić chłopców, chociaż wiedziała, iż jest to daremne, wkładała biedną istotkę do wyłożonego watą pudełka, stawiała wodę i zostawiała w spokoju, by rano przekonać się, jaki spotkał ją los. Bolało ją i gniewało, że podobnie nie może uczynić nic więcej dla tego człowieka. Zanurzyła gałganek w misce z wodą i wykręciła ją. Proste, ciemne włosy znowu opadły na wysokie czoło. Łagodnie je odsunęła i sięgnęła po szmatkę... po czym spostrzegła, że ranny otworzył oczy.

Z zaskoczenia zaparło jej dech. Te oczy były piękne, czyste i miały intensywnie niebieską, opalizującą jak skrzydło sroki barwę. Zawierały też inteligencję, dowcip i życzliwość. Dodały człowieczeństwa, ożywienia i osobowości tej długiej, szczupłej twarzy. Jak mogłam pomyśleć, że nie jest przystojny? zdziwiła się, wpatrując się jak zaczarowana w lazurową głębię oczu rannego. Ten człowiek jest szalenie atrakcyjny, on...

Żyje.

- Wielki Boże - wyszeptał trochę niewyraźnie. - Anioł... Ale skoro trafiłem do nieba, więc chyba żyję... Witaj, aniele... Czy zdążyłem na czas, by poprosić cię do następnego tańca?

Najwyraźniej w świecie stracił rozum.

## 2

Nieproszony gość wkrótce całkiem oprzytomniał, ale wtedy Aleksandria zaczęła żałować, że tak się stało. Widać było wyraźnie, że cierpi okropnie, a mimo to, odezawszy się po raz pierwszy, dzielnie próbował podjąć lekką konwersację. Wciąż był popielatoszary na twarzy, a dookoła ust miał cienką białą linię.

- Nazywam się Drum - powiedział z wysiłkiem. - A pani jak się nazywa?

- Aleksandria Gascoyne - odparła szybko. - Co pana boli?

- Wszystko - stwierdził. Zmarszczył brwi. - Gascoyne? Czy my się znamy?

- Nie sądzę - odparła. - Znaleźliśmy pana przy drodze i zabraliśmy tutaj.

- Mimo to mam wrażenie, że już kiedyś spotkaliśmy się - rzekł i skrzywił się z bólu. - Trudno mi zebrać myśli. Ach, tak. Pani Gascoyne. Ale ja żyję i jestem w...

- Moim łóżku - odpowiedziała i ze zdziwieniem przekonała się, iż ranny uśmiecha się blado. - Trzeba się było panem zająć natychmiast, a nasz dom znajduje się najbliższej miejsca wypadku. Nie odważyliśmy się dalej pana transportować. Prawdę mówiąc, doktor obawiał się, że może pan w ogóle nie odzyskać przytomności. Jestem pewna, że wolałby pan, by to nie nastąpiło - dodała ze współczuciem. - Zostawił mi proszki łagodzące ból. Zaraz przyniosę szklankę z wodą. Pan je zażyje i przekonamy się, czy poskutkują. Poza tym wyślę po doktora jednego z chłopców. Powiedział, że powinien z panem porozmawiać, żeby zorientować się lepiej co do zakresu pańskich obrażeń. Jak

na razie odkrył tylko skaleczenia i siniaki, no i oczywiście kontuzję nogi.

- Oczywiście? - powtórzył ze zdziwieniem. Zmarszczył brwi, a potem stłumił jęk, gdy spróbował się ruszyć. - Nie słucha mnie. Jest złamana?

- W dwóch miejscach. Doktor założył łupki - wyjaśniła, widząc, że mężczyzna nie bardzo potrafi zrozumieć, co mu się stało. Zawahała się. - Może pan poruszyć drugą?

Szeroko otworzył oczy. Spróbował usiąść. Szybko położyła mu dłoń na ramiona, ale nie musiała z nim walczyć. Nie miotał się w gorączce.

- Mogę - powiedział, opadając na poduszki. - Wszystko inne wydaje się także działać... chociaż wcale nie jest to takie przyjemne. Najbardziej boli mnie głowa. Mam wrażenie, jakby ktoś chciał ją rozłupać na drobne kawałki. - Dostrzegł przerażenie Aleksandrii i podniósł dłoń do policzka. - Ale tak się chyba nie stało. To znaczy... czy moja twarz jest zniekształcona?

- Ależ skąd, oczywiście, że nie - rzekła szybko, zdejmując mu dłoń z ramion. - Martwię się tylko pańskim stanem ogólnym. Gdzie pana boli?

Uśmiechnął się i odchylił głowę do tyłu. Chyba chciał znowu powiedzieć, że wszędzie. Ale zemdłał.

Aleksandria wydała lekki okrzyk i chwyciła go za przegub, by sprawdzić puls. Upewniwszy się, że ranny żyje nadal, zawołała Vincenta. Domek był na tyle mały, że chłopiec znalazł się u jej boku po kilku chwilach. W rękę trzymał niedojedzoną kromkę chleba, a za jego plecami pojawili się obaj pozostali bracia.

- Obudził się! - powiedziała Aleksandria z przejęciem. - Osiedłajcie Pioruna i pędźcie duchem po doktora.

- Wygląda, jakby nie żył - stwierdził Rob, przyglądając się ich gościowi.

- Zemdłał - przyznała. - Ale przedtem odzyskał przytomność! I powiedział, że nazywa się Drum.

- A co to ma być za nazwisko? - zapytał Rob.

- Może wcale nie o to mu szło - włączył się Kit. - Pewnie

chodziło mu o to, że huczy mu w głowie\*. Bredzi w gorączce, tak jak przewidywał pan doktor.

- Ma gorączkę? Mam go przytrzymać? - dopytywał się skwapliwie Rob.

- Nie - odparła Aleksandria. - Chyba widzisz, że wcale się nie porusza. Strasznie go wszystko boli i w każdej chwili może się znowu obudzić. Więc lepiej się pośpiesz. - Z tym ostatnim zwróciła się do Vincenta.

- Nie - zaprotestował. - Ja zostanę tutaj. Tak będzie najlepiej. Jestem najwyższy, więc najprędzej z nim sobie poradzę, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Kit też powinien zostać. Rob jest najlżejszy i Piorunowi z nim będzie najłatwiej. Popędzą jak na skrzydłach. Jeszcze nie jest zbyt ciemno. Rob, goń jak wiatr, nie zwlekaj. No już.

Rob kiwnął głową i wybiegł z pokoju.

Ich gość, „Drum”, wciąż leżał bez zmysłów, kiedy Rob wrócił sam, sprawiając przy tym wrażenie poważnie zaniepokojonego. Wpatrywał się w spoczywającego na łóżku mężczyznę przez cały czas, kiedy składał swój raport. Aleksandria siedziała obok, Kit krążył po pokoju, a Vin stanął przy oknie.

- Doktor powiada, że nic nie może zrobić, dopóki on nie odzyska przytomności - mówił Rob. - Twierdzi, że to dobry znak, iż człowiek ten obudził się i próbował podać nam swoje imię. Ale skoro znowu zapadł w sen, może to potrwać do rana, albo przytomność będzie mu wracała tylko na krótkie chwile. Tak czy owak, doktor mówi, że w takiej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać, a on wolałby przyjechać rano, kiedy sam będzie mniej zaspany. Powiedział, że ma za sobą ciężki dzień. Jeżeli zaś pacjent obudzi się, należy dać mu proszek od bólu głowy i patrzeć, czy nie ma gorączki. Powiedział, że powinienem czuwać przy nim razem z tobą. Twierdzi, że będziesz potrzebowała nas wszystkich, bo szaleńcy miewają siły dziesięciu ludzi.

\* Drum (ang.) - bęben (przyp. tłum.).



- Ależ on nie jest wariatem - odparła. Aleksandria, próbując pohamować lęk, ale też i podniecenie, jakie odmalowały się w oczach braci. - To tylko cierpiący człowiek. Tak. Musimy czekać. - Usiadła wygodniej. - Przynieście mi robótkę. Będziecie musieli zmyć naczynia, oporządzić Pioruna i konia naszego gościa, a także odrobić lekcje. Bez wykrętów, proszę. No już, sio! I przyjdźcie powiedzieć mi „dobranoc”.

Uniosła groźnie palec, zanim zdążyli zaprotestować.

- Jeżeli choćby drgnie, zawołam was. Ale są rzeczy, które trzeba zrobić, a poza tym powinniście się wyspać. Nie ma powodu, żebyśmy wszyscy czuwali przez całą noc.

- Prześpię się chwilkę i przyjdę o północy - stwierdził stanowczo Vin. - W ten sposób i ty sobie trochę odpoczniesz. Zostanę przy nim do czwartej, a potem zastąpi mnie Kit. On i tak wstaje mniej więcej o tej porze. To całkiem bez sensu, żebyś ty wcale nie spała. Już nie jesteśmy dziećmi, Ally - dodał łagodniej. -Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, obudzimy cię, możesz być tego pewna.

- A ja? - zapytał gniewnie Rob, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Ty, łobuziaku, będziesz posłańcem - odparł Vin, uśmiechając się. - Możesz wstać o wschodzie słońca i czekać na progu domu doktora, żeby na pewno pojawił się u nas jak najwcześniej.

- Kapitalnie! - rozpromienił się Rob.

Aleksandria poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Co ci jest, Ally? - zapytał Rob.

- Moi chłopcy zachowują się jak mężczyźni - odparła po prostu.

- No, już nimi jesteśmy... prawie - stwierdził Kit. - I pora, żebyś to zauważyła.

- Czas, żebyśmy zaczęli ci pomagać - dodał łagodniej Vin. Otarła oczy.

- No dobrze. To bierzcie się do roboty. Ja sobie tutaj poczytam, aż pojawicie się o północy.

- Czy możemy przyjść tu, kiedy skończymy? - zapytał Rob. - Czytałaś nam „Odyseję”, pamiętasz? Więc jeśli on będzie spał, to możesz nam trochę poczytać na głos.

Czekali w napięciu na jej odpowiedź.

Aleksandria uśmiechnęła się z ulgą. Chłopcy pragnęli samodzielności, ale ona, Ally, była im nadal potrzebna.

- To dobry pomysł. Jeżeli wasze tupoty nie obudziły go do tej pory, to nic mu nie zaszkodzi. - Spojrzała z niepokojem na nieruchomą postać leżącego. - Podobno ludzie słyszą nawet przez sen. Więc może dzięki naszemu czytaniu poczuje, że jest jeszcze na tym świecie. Tak, przyjdźcie później, będziemy postępować jak zawsze, aż... - Zawahała się. - ... Aż coś się zmieni.

Mężczyzna leżał bez ruchu, a dookoła niego zmagaly się ze sobą potwory, ryczeli olbrzymi, bohaterowie walczyli ze sztormami i czarodziejkami, a syreny rzucały zaklęcia tak wonne jak zapach dymu unoszącego się pod belkowanym sufitem. Aleksandria czytała i czytała swym niskim, wibrującym głosem, a chłopcy siedzieli w milczeniu, zapatrzeni, widząc słowa, które nabierały życia w ich wyobraźni. Leżący nie ruszał się. Ale raz, kiedy płonące w kominku polano pękło z trzaskiem, brwi jego drgnęły lekko. Może dlatego, że cierpiał, ale może dlatego, że pomału wracał do przytomności, usiłując zrozumieć, co słyszy. A może po prostu dlatego, że robiło mu się coraz cieplej, gdyż temperatura w małym pokoiku podniosła się znacznie.

Nikt z obecnych w pokoju nie zauważył tego. Słuchali jak zaczarowani.

Drum usłyszał jakiś głos, który wyrwał go z niespokojnego snu. Napiął mięśnie, żeby usiąść i przekonać się, co to jest, ale przeszył go ostry ból. Zrezygnował więc i leżał bez ruchu, spociwszy się z wysiłku. *No i dobrze. Mógłby się tym narazić na niebezpieczeństwo. Kto wie, czy ktoś go nie obserwuje?* Zaraz jednak przypomniał sobie, że nic mu nie grozi. Żadnych strzałów, żadnego ryzyka. Noga boli go, bo ją sobie złamał. Jest cały poobijany, albowiem spadł z konia. Głowa mu pęka, ponieważ przy upadku uderzył się nią mocno o ziemię.

Otworzył ostrożnie oczy i zapatrzył się w skaczące po su-

ficie cienie. Przyjrzał się pociemniałym ze starości belkom i nierównemu, białemu tynkowi. To bez wątpienia dom jakiegoś farmera. Najwyraźniej w świecie jest noc, a blask płomieni w kominku i migocząca świeca stanowią jedyne oświetlenie. Czuł się przytłoczony licznymi kocami, którymi go przykryto. Z chęcią odrzuciłby je wszystkie, gdyż było mu za gorąco. Głos, który wydobył go z otchłani snu, ciągle coś mówił. Należał do kobiety, był miękki i kojący. Ale słowa pochodziły z jakiegoś obcego języka.

Zmarszczył brwi. Francja? Hiszpania? Włochy? Może. Już nie raz jeździł z niebezpiecznymi misjami do obcych krajów. Ale nie. Przecież pamięta. To było wiele lat temu. Zanim mały cesarz został posłany na Elbę... Elba? Czyżby tam właśnie się znalazł? Nie. Nie był tam od czasu, kiedy Napoleon złamał słowo i ruszył na Europę. A potem został wysłany na Świętą Helenę. Drum widział to na własne oczy i tam także pojechał. Więc wie, że teraz tam nie jest. Przypominał sobie coraz więcej.

Ten głos czyta po *grecku*? Czyżby zatem znalazł się w Grecji? Nie, to niemożliwe. Nie jeździł tam od czasu, gdy w młodym wieku zwiedzał Europę. Pamięć wracała mu i już wiedział, który teraz jest rok, pora roku, miesiąc, dzień. Tak, już minął rok od czasu, gdy był na Świętej Helenie. Z pewnością w tej chwili znajduje się w Anglii. Jechał konno i strzelano do niego. Zbierało mu się na mdłości, noga paliła go, bolało go wszystko od stóp do głów, a zwłaszcza właśnie głowa. Ból pulsował zgodnie z łagodnym rytmem czytającego głosu, który go wyrwał ze snu.

Z trudem odwrócił głowę. Oprócz niego w pokoju znajdowały się jeszcze cztery osoby. Dwaj młodzieńcy i jeden chłopic. Wszyscy mieli jasne włosy i słuchali jak zaczarowani kobiety, czytającej im coś z książki, którą opierała sobie na kolanach. Przypomniał ją sobie. Raz już z nią rozmawiał. Wydawało mu się, że pamięta, jak ona się nazywa. Ale nie potrafił przywołać jej imienia.

Czy oni czuwają przy nim jak przy umierającym? Serce zabiło mu szybciej, ale zaraz przekonał się, że nie zwracają

na niego najmniejszej uwagi. Całe ich zainteresowanie koncentrowało się na książce, którą czytała kobieta. Siedziała blisko kominka, trzymając w rękach opasły tom, i wymawiała prastare słowa, których on też uczył się w szkole. „Odyseja”. Poczuli się niezmiernie dumni z siebie, gdy sobie to przypomniał. To znaczy, że zaczyna normalnie funkcjonować. Przyglądał się kobiecie przez chwilę, starając się zebrać myśli, które zaczynały mu się rozbiegać jak spłoszone ptaki i rozpadać na pojedyncze wrażenia. Wreszcie stanowczo przywołał się do porządku.

Chłopcy byli jasnymi blondynami, a ona miała włosy kasztanowate, ale nie stanowiło to jedyne powodów, dla którego sądził, iż nie jest ich matką. Wydawała się na to zbyt młoda. Mimo to sprawiała wrażenie pozbawionej wieku. No, ale przecież nie mógł się jej dokładniej przyjrzeć, a jak wiedział, nie potrafił też jasno myśleć. Z drugiej zaś strony miał na tyle przytomności, by czuć, że jej osoba wywiera na niego jakby magiczny wpływ.

Siedziała, oblana złocistoróżową poświatą żarzących się w kominku polan. Ta dziewczyna nie była piękna. Jej twarz zawierała w sobie zbyt wiele siły i charakteru, by można ją nazwać ładną. Miała jasną cerę, wyraziste oczy pod śmiałymi brwiami, prosty nosek i regularne rysy. Idealnie wykrojone usta były pełne, miękkie... i ciepłe. Skąd on to wie?

Dostrzegł też strome piersi i mocną sylwetkę. Szyja, ramiona, a także przedramiona były doskonale ukształtowane. Gładkie, lśniące włosy uczesane były niemodnie, ale fryzura ta w dziwny sposób doskonale jej pasowała. Można by ją traktować jako odwieczny model kobiety, średniowiecznej madonny, kobiety z obrazu, który widział w Rzymie, „Lato” Boticellego, „Wenus” Tycjana. Zbyt solidnie zbudowana jak na obecną modę i nie piękna. Nie. Urocza.

Uśmiechnął się. To nie najgorsze miejsce na śmierć: łóżko uroczej kobiety. Już chyba mu się to kiedyś zdarzyło... w przenośni. Co takiego powiedział jego ojciec?

*Za wiele tych kobiet, Drum. Mogłem to zrozumieć, a na-*

*wet czułem zadowolenie, gdy byłeś młodszy. Ale zastanów się, które urodziny będziesz niedługo obchodził! Od dwóch lat nie robisz nic, tylko pojawiaasz się na ślubach swoich przyjaciół. Czy któryś z nich pozostał jeszcze w beżennym stanie?*

Drum przypomniał sobie, jak zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Jeden - stwierdził w końcu. Rzadko kłamał ojcu. Nie należał do świętych, czasami trzeba pewne rzeczy pominąć milczeniem. Ale lubił swojego rodziciela. Ba, kochał go i szanował.

- No właśnie. Sam przyznasz, Drum, że ostatnio odbyło się wiele ślubów - ciągnął ojciec. - Kiedy przewidujesz swój własny?

- Sądziłem, że zrobię to, kiedy znajdę kobietę, którą pokocham tak, jak ty mamę - odparł szczerze.

Teraz, kiedy to sobie przypominał, zrobiło mu się wstyd. Ojciec odwrócił głowę, a na jego policzkach pojawił się ciemny rumieniec. Drum poczuł się wtedy okropnie... i za każdym następnym razem, kiedy to wspominał. Nie chciał sprawić ojcu takiego bólu.

- Kochałeś mamę, a ja chciałbym, żeby i mnie trafiło się coś podobnego - powiedział, usiłując ukryć zażenowanie. Jednak był tylko człowiekiem i, aby ojciec dał już spokój wymówkom, dodał: - Ale kiedy zmarła, nie zamknąłeś się w klasztorze. Nie uskarżałeś się na brak towarzystwa. Ale, ale, jak miewa się nasza droga pani Dane?

Ojciec spuścił oczy.

- Nasze drogi rozeszły się, Drum. Żadne z nas nie uznało tego za klęskę, nawet po tylu wspólnych latach - dodał, widząc, że syn aż podskoczył ze zdumienia. - Albowiem była to, jak sam powiedziałaś, kwestia towarzystwa, nie serca. A w dodatku nie jedyna, co również jakże słusznie zauważyłaś. Jednak ty i ja nie możemy się ze sobą porównywać. Mam już lat pięćdziesiąt i pięć, drogi chłopcze. Ty jeszcze nie osiągnąłeś tego wieku. Pierwsze wzmianki o naszej rodzinie pochodzą z roku 1033. Popieraliśmy króla Kanuta Wiel-

kiego\*. Czy pozwolisz, by po tylu walkach, tylu triumfach, tylu latach... nasza linia miała się skończyć?

Drum dobrze pamiętał, że wtedy przestał się uśmiechać.

Ojciec popatrzył na niego z głębokim smutkiem. To było gorsze, niż gdyby wpadł w gniew.

- Jesteś bardzo atrakcyjną partią, Drum - stwierdził. - I niestety, pozostajesz w bezżennym stanie. Chciałbym, by się to zmieniło. Najwyższy czas!

Czas. Rzeczywiście, nadeszła już pora i nie było co dalej zaprzeczać. Nad tym właśnie dumał Drum, wracając do Londynu. To właśnie dlatego przestał dostrzegać otoczenie i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, nie zauważył niebezpieczeństwa. Ale dlaczego miałby się lękać zasadzki tutaj, w Anglii? Dlatego, że człowiek, który przez tyle lat co on pracował dla rządu, powinien się zawsze mieć na baczności.

Problem ten gnębił go stale i wtedy, i teraz też. Jęknął, gdy sobie o tym przypomniął. Jak może oświadczyć się kobiecie, jeżeli nie wzbudza ona w nim żadnych gorętszych uczuć? I dlaczego żadnej jeszcze się to nie udało?

Jego weseli kompani jeden po drugim zakochiwali się. Zazwyczaj stawało się to z nienacka, a przynajmniej tak się Drumowi zdawało. W każdym przypadku wydawało się, że żyją sobie beztrudnie, po czym nagle, jakby ziemia się pod nimi zapadła, trafiali do świata, którego jemu nie dane było poznać. Jednego dnia przyjaciel śmiał się z pierwszego lepszego dowcipu, a następnego był zmieszany, zakochany, gotów kompletnie zmienić swe życie tylko dlatego, że poznał jakąś kobietę. I rzeczywiście, w życiu każdego z nich następowały zasadnicze zmiany. Stawali się nieodłączną częścią pary. Nie jak dwa konie razem ciągnące wóz. Nie, to było coś więcej. Przypominali ramię nożyczek, jakby ich istnienie zyskiwało sobie cel tylko wtedy, gdy obok znajdowała się ich druga połowa.

\* Kanut II Wielki (ok. 995-1035), od 1014 król duński, od 1016 król anglosaski. Syn Swena I Widłobrodego i córki Mieszka I Świętosławy (przyp. tłum.).

Drum wiedział, co to samotność. Znał też uczucie niepokoju. On także pragnął mieć bliską osobę. Na czym zatem polega tajemnica? Jak to się robi? Dlaczego nie potrafi nikogo pokochać? Znał wiele kobiet, z którymi lubił rozmawiać, a także inne, z którymi chętnie flirtował. Ale żadnej z nich nie był gotów poświęcić życia, a nie wyobrażał sobie, by mógł mniej ofiarować swojej żonie.

Lubił kobiety. Mało co sprawiało mu tyle przyjemności co ich towarzystwo, ich ciała i dźwięk ich śmiechu. Cenił sobie ich pogląd na świat i podobał mu się ich cywilizujący wpływ, ale z drugiej strony uwielbiał razem z nimi łamać wszelkie konwencje. Miał przyjaciółki, jak również kochanki, ale problem polegał na tym, że obie te funkcje nigdy nie łączyły się w jednej osobie. Raz nawet oświadczył się pewnej kobiecie, ale ona nie przyjęła jego propozycji, gdyż wiedziała, że była ona produktem chwili i wynikała na poły z litości, a na poły z pożądania. Poślubiła kogoś, kto ofiarował jej swą duszę. Ja też bym to uczynił, pomyślał Drum z udręką. W jednej chwili! Gdybym tylko wiedział, jak sprawić, by kogoś pokochać!

Teraz czuł także dolegliwości fizyczne. Bolały go noga i głowa. Gorąco tylko pogarszało ten stan. Było mu duszno. Spróbował przekręcić się i odrzucić ciężkie koce, którymi go przykryto. Natężył się. Ale nic z tego nie wyszło.

- Dobrze już, dobrze - odezwał się łagodny głos. - Wszystko w porządku. Proszę leżeć spokojnie. Jest pan w dobrych rękach.

Otworzył oczy. Pochylała się nad nim ta dziewczyna. A także trzech chłopcy. Byli tak blisko i trzymali go tak mocno, że wszystko rozbolało go jeszcze bardziej. Młoda kobieta wpatrywała się w niego wnikliwie, a jej oczy odzwierciedlały cierpienie, jakiego on sam doznawał. Prześliczne, brązowe oczy. Chłopcy przyglądali mu się, a ich tęczęwki były niebieskie, zielone i czarne. Chyba mu się to śni. Opuścił powieki i zacisnął zęby.

- Nie ruszałbym się - powiedział. - Ale czuję, że się zaraz upiekę.

Wymienili przerażone spojrzenia i przytrzymali go jeszcze mocniej.

- Tu jest cho... potwornie gorąco - wydusił. - Czy zdołam was skłonić, żebyście zdjęli kilka z tych koców, zanim się do końca ugotuję?

- Och! - wykrzyknęła kobieta.

- A nie mówiłem? - stwierdził jeden z chłopców.

- Niepotrzebnie go tak okutałaś - dodał drugi. - Ile jest tych koców?

- Pięć - powiedziała, a potem dodała z odcieniem protestu: - Mieliśmy trzymać go w cieple.

Ich milczenie było wymowniejsze niż wszelkie słowa. Jednak przestali go mocno przytrzymywać. Dziewczyna zdjęła jeden koc, a potem drugi, i jeszcze jeden.

- No jak? - spytała. - Lepiej?

Skinął potakująco, ale zaraz skrzywił się, gdyż w rezultacie zakręciło mu się w głowie. Zrobiło mu się też ciemno przed oczami.

-Dziękuję - powiedział, ale w pokoju stało się jakby mroczniej.

Położyła mu dłoń na ramieniu i wtedy poczuł jej zapach. Kapryfolium, pomyślał, mocno wciągając tę woń, równocześnie pokrzepiony nią i ożywiony, gdyż przywiodła mu na myśl pełnię lata i jego słodycz.

- Proszę to wypić - rzekła łagodnie. - To złagodzi ból.

Nie uwierzył jej. Tego bólu nie da się zmniejszyć. Poczował, że młoda kobieta podtrzymuje mu głowę i przysuwa kubek do ust. Płyn miał gorzki smak, jak przystało na leczniczą miksturę, więc wypił wszystko i opadł, wyczerpany, na poduszki.

Zaczął powoli odpływać w niebyt, kiedy znowu usłyszał jej głos.

- Proszę mi powiedzieć, jak się pan nazywa.

- Drum - odparł. - Nazywam się Drum... Drum... Wielki Boże, głowa mi pęka. Jest pani pewna, że to było lekarstwo?

Zostawiła go w spokoju na minutę albo na rok: nie potrafił tego dokładnie określić. Chłopcy zaczęli jej tłumaczyć, że on słyszy dudnienie w uszach. Kiwnął głową, bo tak rzeczywiście było.



- Czy jest ktoś, po kogo powinniśmy posłać? - spytała w końcu. - Ktoś, kto czeka na pana? - dodała jakby z desperacją.

Odpowiedział jej dopiero po dłuższej chwili, gdyż nie mógł zebrać myśli. Napój, który mu podała, otępił go. Ale był zadowolony z siebie, kiedy wreszcie zdołał wymyślić odpowiedź. W pierwszej chwili, oczywiście, pomyślał o ojcu. Potem jednak uznał, że może umrzeć, zanim spełni największe pragnienie swego rodziciela. Poczuł wielki żal. Był to łagodny, łatwy smutek, a on miękko się w niego zapadał.

- Czy jest ktoś, kto będzie się niepokoił, jeżeli nie dostanie od pana wiadomości? - nalegała.

Zmarszczył brwi. Rozumiał, o co jej chodzi; nie było potrzeby zwracać się do niego jak do małego dziecka.

- Czy jest ktoś, kto spodziewa się pańskiego powrotu? - zapytała znowu.

Westchnął.

- Tak i nie. I na tym właśnie polega cały problem.

Zapadł się w mroczną otchłań i już nie usłyszał, co mu odpowiedziano.

### 3

- Nie - powiedział, przykrywając kubek dłonią. - Proszę mi już nie dawać tego lekarstwa.

Aleksandria popatrzyła na swego pacjenta ze zdziwieniem. Przemówił po dwóch dniach milczenia.

- Obudziłem się dziś bardzo wcześnie - rzekł. - Przed świątem. Kiedy pani jeszcze spała. - Uśmiechnął się ze znużeniem.

Owinęła się ciasniej szlafrokiem. Pilnowała, żeby przez cały czas ktoś przy nim był, nawet jeśli ten ktoś po prostu spał w fotelu obok, ponieważ doktor polecił, żeby rannego nigdy nie zostawiać samego. Przyszła tu prosto z łóżka, żeby zastąpić Kita, kiedy na niebie pojawiły się pierwsze oznaki świtu. Kiedy Kit wyszedł, pokręciwszy głową na znak, że chory nawet nie drgnął, usiadła w fotelu i chyba po prostu zasnęła. A teraz zbudziła się, zdziwiona, że jej się to przytrafiło, choć należało przyznać, iż niewiele miała okazji do snu od czasu pojawienia się nieznajomego. Podeszła do łóżka, by sprawdzić, czy oddycha.

Tymczasem on nie tylko oddychał, ale też i przemówił.

- Miałem dużo czasu do namysłu - ciągnął - i doszedłem do wniosku, że ilekroć otwieram usta, wlewacie mi do nich nasenny wywar. Teraz jednak wolałbym pozostać trochę na jawie.

Wciąż widać było wyraźnie, że jest blady i chory, ale nie sprawiał już wrażenia, jakby miał zaraz umrzeć. Przed wypadkiem musiał znajdować się w doskonałej kondycji fizycznej. Choć szczupły, emanował siłą. Doktor z pomocą chłopców ubrał go w jedną ze starych koszul nocnych ich ojca. Szata ta była ciasna w ramionach i miała przykrótkie rękawy. Aleksandria spłonęła rumieńcem na myśl o tym, jak bar-

dzo niewystarczająca musiała być w innych regionach dżentelmena tak wysokiego wzrostu.

Przed wypadkiem z pewnością bardzo o siebie dbał. Teraz na jego twarzy pojawił się cień zarostu. Proste, czarne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Ale w oczach, tych przejrzystych, błękitnych, zaskakująco czystych oczach, nie dało się zauważyć szaleństwa. Malowała się w nich jedntak prośba.

- Doktor powiedział... - zaczęła Aleksandria, ale ranny jej przerwał.

- Wiem - rzekł z bladym uśmiechem. - Chce, żebym budził się tylko po to, by napić się zupy i wziąć lekarstwo, a potem mam spać, żeby prędzej wracać do zdrowia. Słyszałem go - ciągnął, notując w pamięci to, że ją tym zdziwił. Uśmiechnął się z lekką goryczą. - Od czasu do czasu. Pomiędzy spożywaniem zupy a wracaniem do zdrowia. Obiecuję, że będę zachowywać się przyzwoicie, nie będę się miotać ani nie wpadnę w delirium i nie zacznę majaczyć, tak jak obawiają się chłopcy. Zechce mi pani uwierzyć na słowo? Nie trzeba wymuszać mojego posłuszeństwa, oszałamiając mnie lekami.

Uśmiechnął się blado, ale ujmująco, z takim humorem i zrozumieniem, że gotowa była mu w tej chwili pozwolić na wszystko.

On zaś natychmiast to zauważył.

- Bardzo dobrze - westchnął. - A zatem, czy mógłbym się umyć? I oczyścić zęby? A może nawet ogolić? To wszystko drobiazgi, ale kiedy jestem zaniedbany, nie czuję się sobą. Od chwili kiedy się dzisiaj obudziłem, cały czas drażni mnie zarost. - Pomacał się znowu po brodzie. - Przydałyby się chyba nożyczki - stwierdził. - To niesłychane, jak szybko urosła. A może nie? Jak długo już tutaj jestem?

- Dwa dni... nie, trzy - poprawiła się. - Oczywiście. Zaraz przyniosę wodę i mydło do golenia - powiedziała, rada, że ma wymówkę, by opuścić ten pokój, ubrać się i doprowadzić do porządku, zanim go znowu zobaczy. Czuła, że włosy rozplotły się jej, no i ciągle miała na sobie tylko koszulę nocną i szlafrok.

- W moim bagażu jest brzytwa - powiedział szybko. - Nie musi pani zawracać głowy mężowi, ojcu albo braciom.

- Nie mam ojca ani też męża, a moi bracia nie zaczęli się jeszcze golić - odparła. - Ale dziś muszą się tego nauczyć. Obawiam się, że sam nie da pan sobie rady.

Uśmiechnął się.

- Proszę się nie martwić. Robiłem to w gorszych warunkach: w ciemnościach, bez wody i mydła i na kołyszącym się na morzu statku. Najgorsze, co może się stać, to to, że odetnę sobie kawałek nosa, ale to raczej poprawiłoby mój wygląd.

Rzeczywiście, miał bardzo długi nos z lekkim garbkiem. Jednak Aleksandria uznała, że dodaje mu wyniosłości, a nie szpeci, i raczej mu pasuje.

- Wyglądałby pan dziwacznie z nosem jak guziczek - stwierdziła impulsywnie. Potem, zdawszy sobie sprawę, że to niegrzecznie wygłaszać tak osobiste uwagi, spytała szybko: - Jak się pan czuje, poza tym, że chce się pan doprowadzić do porządku? I proszę mi powiedzieć - dodała - jak się pan nazywa, sir? Pytaliśmy już wcześniej, ale mówił pan tylko, że huczy panu w głowie.

Zaśmiał się. I zaraz skrzywił z bólu.

- Au. Mam chyba pękniętą czaszkę, prawda? Gdybym powiedział, że słyszę trąby, pewnie już któreś z was jechałoby po doktora. Ale ja mówiłem prawdę. Nazywam się Drummond, ale wszyscy mówią mi Drum.

- A więc witaj wśród nas, Drumie - rzekła z ulgą. - Resztę z pewnością przypomni pan sobie później. Ale, ale, czy jest jakaś osoba, po którą chciałby pan posłać? Żona? Rodzina?

- Nie mam żony i nie chcę wywołać paniki w rodzinie. Ale jeśli przyniesie mi pani papier i pióro, napisałbym list.

- Oczywiście. Jeżeli nie zdoła pan pisać sam, to będzie mi pan dyktował - odparła. - Przykro mi, że pojawił się pan u nas w tak niemiłych okolicznościach, ale postaramy się, żeby było panu jak najwygodniej. Zaraz przyślę chłopców.

Wyszła szybko, rada, że jest niedziela i bracia nie poszli do szkoły. Była dzielna, silna i sprawna. Prowadziła dom i zajmo-

wała się trójką dzieci. Ale nigdy dotąd nie zdarzyło jej się go-  
lić mężczyzny; w ogóle nie miała tak bliskiej styczności  
z przedstawicielami płci przeciwnej. Dlatego też czynność ta  
wydawała się jej dziwnie intymna i niepokojąca. Obawiała się,  
że ręka zdrzży jej nie mniej niż choremu. Zwłaszcza jeżeli przy-  
glądałby się jej z równą rozważą i zrozumieniem jak teraz.

Zbiegła wąskimi schodami i, schylając głowę pod niskim  
nadprożem, weszła do kuchni. Jedzący właśnie śniadanie  
chłopcy rzucili jej pełne niepokoju spojrzenia.

- Obudził się i jest przy zdrowych zmysłach - powiedzia-  
ła z uśmiechem. - Ale potrzebuje pomocy. Kit i Vin, idźcie,  
proszę, na górę. Chce dostać przybory do golenia. Zanieście  
mu też miskę z ciepłą wodą i mydło i dopilnujcie, żeby nie  
poderżnął sobie gardła, starając się doprowadzić do porząd-  
ku. A ty, Rob, kiedy już zjesz, jedź do doktora. Ja się ubio-  
rę i zobaczę, co jeszcze możemy zrobić.

Kiedy Aleksandria wspinała się znowu na górę, odniosła  
wrażenie, że atmosfera w domu uległa zmianie. I to nie tyl-  
ko dlatego, że musiała wędrować aż do małego pokoiku na  
strychu, do którego przeniosła się od czasu, gdy ranny zajął  
jej łóżko. Domek był mały. Teraz wydawał się jeszcze mniej-  
szy. Kiedy ich gość wrócił do świadomości, wypełnił go swo-  
ją osobą. Nigdy dotąd nikt u nich nie bawił. Jak długo tutaj  
zostanie? Skromna suma, jaką mieli na swoje utrzymanie,  
wystarczała na ich potrzeby. Jednak obecność jeszcze jednej  
osoby może w końcu zmusić ich do pewnych wyrzeczeń.

Aleksandria usiłowała zbagatelizować te niepokoje. Drum  
odjedzie, jak tylko znajdzie się w stanie, w którym zdoła pod-  
jąć trudy podróży; dopiero co chciał przecież pisać do swych  
przyjaciół. Wygląda na dżentelmena i dlaczego miałby zechcieć  
przebywać choćby sekundę dłużej niż to konieczne w ciasnym  
domku położonym z dala od cywilizacji? Najpierw jednakże  
musi trochę wyzdrowieć. Aleksandria nie posiadała się z cieka-  
wości, kim on właściwie jest i dlaczego spotkał go ten wypa-  
dek, ale jeszcze bardziej pragnęła, by od nich wyjechał.

Ubrała się pośpiesznie, choć nie było to takie łatwe. Pokój

znajdował się w narożniku krytego strzechą dachu i stojąc, musiała się schylać. Jednak nie chciała, by bracia przenieśli się do maleńkiego pokoiku Roba. Owszem, zaproponowali jej to, ale odparła stanowczo, że starczy jej miejsca na poddaszu. I tak się stało. Mieściła się między kuframi na suknie, pudłami i łóżkiem, a i tak uważała, że ma szczęście, iż jeszcze nie nastąpiło lato. Wtedy by się tutaj po prostu upiekła.

Kiedy już się ubrała, rozczesała włosy i związała je swą najpiękniejszą, błękitną wstążką, pasującą do jej najlepszej sukienki. Powiedział, że nie czuje się dobrze, kiedy nie jest umyty i ogolony. Aleksandria żywiła przekonanie, że da sobie ze wszystkim radę, jeżeli ubierze się ładnie. Poradzi sobie z każdą trudnością, włączając w to fascynujących nieznanym.

Wybrała więc swój najpiękniejszy strój. Bądź co bądź, jest dzisiaj niedziela, powiedziała sobie w duchu, a więc nie czyni tego tylko ze względu na swego interesującego pacjenta; w tym dniu tygodnia wszyscy się ubierają staranniej. Pochyliła się, by sprawdzić wynik swych starań w małym, zmatowiałym zwierciadełku. Sukienka, którą sama sobie uszyła, skromnie przysłaniała jej dekolt i była związana paskiem poniżej talii, tak jak na wzorze w magazynie mód, z którego ją skopiowała. Nawet w słabym świetle, dobiegającym z półokrągłego okienka, jej włosy lśniły jak mahoń. Twarz miała czystą. Wyglądała schludnie. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Ranny dżentelmen prawdopodobnie przyzwyczajony jest do znacznie elegantszych dam. *No i co z tego?* pomyślała i pośpiesznie opuściła pokoi.

Schodząc na dół, usłyszała odgłosy zażartej dyskusji. Nie zdawała sobie sprawy, że bracia mówią wciąż jeszcze bardzo dziecinnie, dopóki nie usłyszała głębokiego, gładkiego i bardzo stanowczego głosu, który się z nimi spierał. Kiedy weszła do środka, chłopcy stali dookoła łoża ze spoczywającym na nim dżentelmenem, sprawiając wrażenie znękanych. Mężczyzna zaś pobladał, a usta jego zacisnęły się w stanowczą linię. Wszyscy zamarli, tworząc żywy obraz.

Drum unosił się, jakby chciał usiąść, ale Vin i Kit opiera-

li dłonie na jego ramionach, najwidoczniej usiłując go powstrzymać. Aleksandria przeniosła wzrok na drugi koniec łóżka, gdzie zdrowa noga Druma wyłaniała się spod przykrycia. Wysoko sklepiona stopa prawie dotykała podłogi. Zauważyła, że ta długa, wysmukła kończyzna pokryta jest ciemnymi włoskami. Kiedy chory dostrzegł, na co dziewczyna patrzy, szybko cofnął nogę i ukrył ją pod kocami.

- Wcale nie trzeba do tego mieszać waszej siostry - zwrócił się Drum gniewnie do chłopców.

- Nie udałoby się tego przed nią ukryć - odparł Vin. - On chce wstać! - poskarżył się Aleksandrii.

- Nie - rzekła. - Nie wolno mu. Doktor powiedział panu, że ma pan leżeć - odezwała się z wyrzutem do Druma.

- Polecił pani, żeby mnie przytrzymywać, jeśli się będę rzucił - poprawił. - A ja nic takiego nie robię. Chcę tylko wstać z łóżka.

- Ma pan złamaną nogę - zaprotestowała.

- Ale druga jest cała - odparł przez zaciśnięte zęby.

- Zamierza pan skakać?

- Mam zamiar poruszać się powoli i ostrożnie, równocześnie się na czymś wspierając - odparł.

- A więc najwyraźniej nie usłyszał pan wszystkiego - stwierdziła. Zaciśnęła dłonie. Jego wygląd i zachowanie nakazywały szacunek. Nawet w obecnym stanie wydawało się, że wszystkie jego polecenia muszą zostać bezwzględnie wypełnione. Co więcej, należał do tego rodzaju mężczyzn, których rzadko zdarzało się jej spotykać, ale których, jak ją nauczono, należało słuchać. Mimo to wiedziała, jak powinna postąpić. - Doktor powiedział także, że ma pan obrażenia głowy, a może też uszkodzony mózg, i wszelkie ruchy mogą panu tylko zaszkodzić - rzekła. - Wolę nie myśleć, jak chodzenie... a tym bardziej skakanie... mogłoby wpłynąć na pański stan. Proszę pozostać w łóżku. Pośleliśmy po doktora. Kiedy przyjedzie, może zmieni zdanie. Ale nie chcę ponosić odpowiedzialności za to, co może się panu stać w tym czasie.

- Wezmę tę sprawę na siebie - odparł Drum. - To w koń-

cu moja głowa. Uważam, że mogę chodzić, mam na to ochotę i tak właśnie zrobię.

- Ten dom i to łóżko należą do mnie - stwierdziła stanowczo, nieznoszącym sprzeciwu tonem, jakim czasami przemawiała do chłopców. - Gdy znajdzie się pan u siebie, może pan sobie nawet robić salta. Ale nie tutaj.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem opuścił głowę na poduszkę i zaśmiał się.

- O Boże - powiedział. - Zabolało mnie, ale nie żałuję. Nikt tak do mnie nie mówił od czasu, kiedy skończyłem lat dziesięć. Nie, kłamię. Wtedy już nikt by się nie odważył. No to może osiem. Nie, znowu kłamię. Mój własny ojciec tak do mnie przemawiał nie tak dawno temu - zakończył żałośnie.

- Przepraszam, jeżeli byłam nieprzyjemna - zaczęła, zdawszy sobie sprawę, że to właśnie miało miejsce. - Ale chodzi mi tylko o pańskie dobro.

- Tak, mam - szepnął pokornie.

Chłopcy rozpromienili się z wyraźną ulgą i przestali go przytrzymywać.

Aleksandria uśmiechnęła się.

- Jesteśmy pańskimi gospodarzami, a nie strażnikami. Jeśli czegoś panu potrzeba, proszę dać nam znać, a zaraz się o to postaramy.

Teraz na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nie możecie - zaczął. - Chciałem... krótko mówiąc...

- Usiłował sam iść do wygodki - doniósł Rob. - Vin obiecał, że przyniesie mu nocnik, ale wtedy on zaczął się jeszcze bardziej upierać, że wstanie.

- Rob! - krzyknęła ze zgrozaniem Aleksandria. - To nie jest temat, jaki można poruszać w przyzwoitym towarzystwie! - A jednak musieli o tym porozmawiać. - Mamy coś takiego - poinformowała Druma, starając się mówić niedbale, ale w rzeczywistości z trudem udało się jej ukryć rumieniec zażenowania. Chciała udowodnić mu, że nie są wiejskimi prostakami, a tymczasem musiała dyskutować z nim o nocniku. Zgroza!

Ale czy to ważne? Chyba pomieszało się jej w głowie. Czy



to nie wszystko jedno, co on sobie o niej pomyśli? Ona przecież odpowiada za cały ten dom i rodzinę i robi wszystko, co do niej należy. Powinna więc również i z tym sobie poradzić. Nabrała tchu. Najlepiej udawać, że nie jest nic a nic zakłopotana... jakby chodziło o doniczkę na kwiaty, a nie nocnik.

- Nie mamy nic tak wytwornego jak sedes pokojowy, ale nie ma powodu się bocyć - powiedziała, uciekając wzrokiem. - Tu jest wieś. Wygódka znajduje się daleko od domu, więc chłopcy używają nocnika, kiedy są chorzy. W każdej sypialni jest jedno takie naczynie; prawdę mówiąc, coś takiego znajduje się i tutaj, w szafce nocnej pod oknem. Chłopcy podadzą je panu. Wszyscy stąd wyjdziemy, ale, prawdę mówiąc, wołałabym, żeby Vincent został na wypadek, gdyby zakręciło się panu w głowie.

- Ja się nie *boczę* - odparł Drum z beżmierną cierpliwością. - W mieście też ich się używa. Jednak rzadko się o nich mówi - stwierdził, a za chwilę dodał prosząco: - Chodzi o to, że nie raz zdarzało mi się odnieść poważniejsze obrażenia, a teraz z minuty na minutę czuję się coraz lepiej i nie lubię się wylegiwać. Nie cierpię beczynności.

Dziewczyna milczała.

- Ale pewnie będę musiał - dokończył z pełnym rezygnacji westchnieniem. - Trudno. Dziękuję. No i oczywiście - ciągnął, posyłając jej badawcze spojrzenie. - Wolałabym, by pani wyszła... oczywiście, jeżeli...?

Zniknęła za drzwiami, zanim zdążył dokończyć.

Kiedy wreszcie Drum mógł dokładnie przyjrzeć się doktorowi, uczynił to z prawdziwym zainteresowaniem. Jego lekarz był szczupły, siwowłosy i lekko przygarbiony. Żywy błysk w oku i wibrujący głos sprawiały, że nie można było go określić jako starca Doktor wyprosił z pokoju Aleksandrię i chłopców.

- A więc, młodzieńcze - zaczął jowialnie, gdy znalazł się z pacjentem sam na sam. - Jestem doktor Pace. Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Drummond - powiedział Drum. - Derek

DeMacy, hrabia Drummond, ale przyjaciele mówią mi Drum. Jak sędzę, powinienem był poprosić tutejszych chłopców, by zwracali się do mnie per „Drummond”, ale okoliczności, w jakich się tu pojawiłem, nie sprzyjały precyzji wypowiedzi.

Brwi doktora uniosły się.

- Słyszałem o panu. Jest pan ozdobą dobrego towarzystwa. Co pana sprowadziło w te strony, milordzie?

- Udałem się z wizytą do ojca. Nasz majątek rodowy umiejscowiony jest na północy. Znajdowałem się w pół drogi do Londynu, pogoda była 'piękna, więc trochę zboczyłem ze szlaku. Prosto w zasadzkę.

- Niech i tak będzie - stwierdził doktor. - Pański umysł zaczął pracować. Teraz jednak chciałbym zbadać pańskie ciało. Zechce pan rozpiąć koszulę, jeśli łaska, milordzie.

Przyjrzawszy się sińcom Druma, odsunął koce i zajął się nogą. Macał, szturchał, zadawał pytania, a w końcu odsunął się od łóżka.

- Wszystko w porządku, poza, oczywiście nogą i głową. Mimo to proszę nie zakładać butów i nie wołać o kule. Trudno mi powiedzieć, co dzieje się w pańskiej głowie.

- Zapewniam, doktorze, że wróciłem do zdrowych zmysłów - odparł Drum. - Wątpię, żebym miał wstrząśnienie mózgu. Mam mocną czaszkę.

Medyk tylko machnął na to ręką.

- Tak, twardą jak kamień, ale kamień też można roztrzaskać. Nogę ma pan złamaną w dwóch miejscach. To istna łaska boska, że stracił pan przytomność, kiedy się pojawiłem. Gdyby nie to, nastawienie kości byłoby prawdziwą katorgą. Ja nie jestem z kamienia. A tak, skoro mogłem wszystko spokojnie zrobić, udało mi się bardzo dobrze. Sędzę, że zrośnie się prosto i potrwa to jakieś sześć tygodni. Tylko proszę nie zmieniać miejsca pobytu.

- Tego się chyba nie da tak całkiem uniknąć - odrzekł Drum. - Oczywiście, nie mogę poruszać się wierzchem, ale poślę po karetę. Muszę się stąd wynieść.

- Musi pan? - zapytał doktor. - Jest pan bardzo dzielny, milordzie, ale nawet i teraz, jak sędzę, cierpi pan ból.

- Wszystko jedno - skłamał Drum.

- W istocie. - Doktor pokiwał głową. - Może i tak. Jednak w grę wchodzi pańskie życie. Krótko mówiąc, milordzie, podróż kareta, jak pan proponuje, może zaszkodzić nie tylko pańskiej nodze. To kwestia życia i śmierci: dosłownie. A skoro, o ile dobrze zrozumiałem, znalazł się pan w połowie drogi między rodowym majątkiem a swym londyńskim domem, nie pozostaje panu nic innego jak pozostać tutaj, dopóki nie zacznie pan wracać do zdrowia.

- Tak - stwierdził kwaśno Drum. - Oczywiście. Tutaj jest mnóstwo wolnej przestrzeni, więc czemu nie? Doktorze, nie-szczęсна pani tego domu śpi na strychu, jeżeli prawdą jest to, co powiedzieli mi chłopcy. W tym miejscu i beze mnie można się z trudem obracać. W istocie, nie widziałem nic poza tym pokojem. Ale to wiejski domek, a ja dobrze wiem, jak one wyglądają. Nawet rodzinie strzyżyków byłoby tu ciasno. A ja muszę posłać po mego osobistego lokaja, żeby przestać obciążać chłopców moją osobą. I gdzie on będzie spał? W szopie? Z tego co wiem, wystarcza w niej miejsca tylko dla ich konia i mojego wierzchowca.

Doktor pokręcił głową.

- To się da jakoś załatwić. Aleksandria gotowa jest się tym zająć. Ja zaś ostrzegam, milordzie. Może się pan stąd wyprowadzić, ale na własne ryzyko. - Zmarszczył brwi. - A skoro w drodze tutaj spotkał pana wypadek, to chyba lepiej nie szukać następnego. Jak to było? Ktoś do pana strzelał? Miał jakiś powód?

Drum skoncentrował się na zapinaniu guzików.

- Z pewnością - mruknął. Doktor przyjrzał mu się badawczo. Drum wzruszył ramionami. - Przynajmniej niejeden może tak myśleć. Współpracowałem z Ministerstwem Wojny, dopóki nie nastał pokój... a nawet i trochę dłużej.

Doktor odprężył się.

- Wątpię, żeby ten ktoś pochodził z naszych okolic. Wojna skończyła się kilka lat temu, a i tak nigdy zbyt nas nie dotknęła. Little Combe to spokojna wioska, milordzie, znana raczej z piwa, jakie się tutaj warzy, a nie polityki. Naj-

pewniej to jakiś młody wieśniak próbował strzelby, którą wykradł był ojcu. Chłopcy tak właśnie sądzą. Podejrzewają kogoś z okolicy i pewnie mają rację.

- Będę musiał z nimi o tym porozmawiać - stwierdził Drum, marszcząc brwi. - Może i tak właśnie było. Ale przedwczesne wnioski mogą okazać się zgubne.

- A więc zostaje pan?

Drum westchnął ciężko.

- Jeżeli nie wolno mi odjechać natychmiast, to zostanę, dopóki nie będę mógł posłać po mego lokaja.

- Tylko lokaja? Nie przyjaciół albo kogoś z rodziny? - zapytał doktor, unosząc brwi.

Drum opadł na poduszki.

- Mam i przyjaciół, i rodzinę, ale nie chcę wzywać nikogo z nich. Och, ojciec mnie kocha. Aż za bardzo - mruknął jakby do siebie. - Ale też i tak się o mnie zamartwia. Nie mogę przecież niepokoić go dodatkowo. A jeśli chodzi o przyjaciół... - Uśmiechnął się. - Mam ich wielu. Ale jak każdy normalny człowiek tylko kilku, na których mi naprawdę zależy. Jednak jakimś dziwnym zrzędzeniem losu większość z nich właśnie założyła rodziny i ich dzieci albo właśnie przyszły na świat, albo są w drodze. Nie zamierzam ich niepokoić i zmuszać, żeby rzucali wszystko, by do mnie przyjechać. Proszę mi wierzyć, doktorze, zrobiliby to, gdyby wiedzieli, że mam jakieś kłopoty.

- W takim razie, jeżeli nikt na pana nie czeka, dlaczego nie chce pan zostać tutaj aż do wyzdrowienia?

- Poza tym, że narażam panią tego domu na niewygodę? - zapytał Drum. Skierował łagodne, acz badawcze spojrzenie na swego rozmówcę. - Jak dobrze pan ją zna?

- Aleksandrię? - Brwi medyka znowu uniosły się. - Od dziecka. To przemiła dziewczyna. I jak pan sam widzi, ładna.

- Nie - odparł w zadumie Drum. - Nie ładna. Urocza.

- Racja - zgodził się chętnie doktor. - Owszem. Zdolna, pracowita i czarująca. A także lojalna. Troszczyła się o braci jak matka, chociaż nie była wiele starsza niż oni teraz. No

i zajmuje się nimi bez niczyjej pomocy, od czasu kiedy Gascoyne zmarł trzy lata temu.

- Rozumiem - powiedział powoli Drum. - Młoda kobieta o nieposzlakowanej reputacji.

Doktor zdziwił się.

- Oczywiście. No owszem, było trochę gadania, kiedy wyjechała na parę tygodni kilka lat temu, ale gdy umarł Gascoyne, wróciła czym prędzej. Ale przecież pan wie, jakie są te wiejskie plotki.

- Tak - przyznał Drum, a uśmiech zamarł mu na twarzy. - Wiem. I pan też. - Jego głos stał się jedwabisty. - I w związku z tym chyba pomyślał pan, że może dziewczyna ta czuje się samotnie w tej małej wiosce, znanej wyłącznie ze swego piwa? Może też chciałaby kiedyś znaleźć sobie męża?

- No, chyba tak - powiedział doktor. - Ale jak dotąd poświęcała się wyłącznie braciom i nigdy nie interesowała się zalotnikami.

- Doktorze - rzekł Drum, - Dziękuję panu za troskę. Jednak nie chciałbym płacić aż tak wielkiej sumy za pańskie usługi.

- Ależ to nonsens - zaprotestował z zakłopotaniem doktor. - Nie biorę wysokich opłat.

- Wie pan, co mam na myśli - stwierdził surowo Drum. - Zapłacę złotem. Ale nie własną osobą.

Doktor zmarszczył brwi i przytknął Drumowi dłoń do czoła.

Ten zaś odsunął głowę.

- Jestem zaniepokojony, ale nie wpadłem w delirium - warknął. - Mój drogi panie, wiem, że chce pan dobrze. Jednak chociaż panna Gascoyne posiada wiele uroku, nie pragnę jej poślubić. W istocie, jeden z moich przyjaciół poznał swą żonę w podobnych okolicznościach. I wszystko skończyło się dobrze. Ale nie stanie się tak w moim przypadku. Mój ojciec jest bardzo dumny. Obiecałem mu synową, której pozycja w świecie, nazwisko i majątek podobne są do naszego. Panna Gascoyne jest śliczna. I wcale nie wątpię, że po-

siada wiele zalet. Jednak nie spełnia moich wymagań i nie nadaje się, bym ją poślubił.

Obaj usłyszeli zdławiony okrzyk, zanim ujrzeli stojącą w drzwiach Aleksandrię, na której twarzy malowało się głębokie oburzenie.

- Przyjęłam pana pod swój dach - powiedziała, kierując wzrok na Druma. Podeszła do łóżka i pogroziła mu drżącym palcem. - Prawie dostałam raptury, wlokąc pana na górę! Oddałam panu własne łóżko, siedziałam przy panu przez całą noc, żeby pan nie umarł, *martwiłam się* o pana! Tak samo jak o b-borsuka! - Zająknęła się z gniewu. - Albo o sowę, młodego lisa! Nie raz tak bywało! Nie poślubiłabym pana ani z miłości, ani dla pieniędzy, ty zarozumiały, okropny, paskudny człowieku! Chciałam panu pomóc, a nie złapać na męża!

- Doprawdy? - zapytał spokojnie Drum. - A o tym, że pod pani dachem przebywa kawaler, a pani nie ma przyzwoitki, nigdy pani nie pomyślała? Ani też, jakie mogą być tego konsekwencje? Nawet najsurowszy krytyk uznałby pierwszy dzień czy dwa za usprawiedliwione. Ale nieżonaty mężczyzna o pewnym statusie społecznym, przebywający przez dłuższy czas w jednym domu z kobietą bez przyzwoitki? Zostałaby pani skompromitowana. Ja też znalazłbym się w nieciekawej sytuacji. Nie pomyślała pani o tym? Naprawdę? - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Owszem, ten dom położony jest na uboczu. Nie ryzykowałbym jednak stwierdzenia, iż znajduje się na księżycu.

Rumieniec na twarzy Aleksandrii ustąpił bladeści. Odwróciła się do doktora, który patrzył na nią z równym zdumieniem i niesmakiem.

- Ojej - jęknęła, opadając na fotel. - Ja nigdy, przenigdy... doktorze! - zawołała, patrząc na medyka ze zgrozą. - Proszę mi pomóc jak najprędzej pozbyć się stąd tego człowieka!

## 4

Noga bolała wściekle, ale Drum odmówił przyjęcia proszków doktora, dopóki nie ustalone zostanie, jak będzie wyglądała jego najbliższa przyszłość. Czas mu się dłużył i dlatego każda rozrywka sprawiała mu zadowolenie, nawet jeśli w jej wyniku spotykały go też pewne niedogodności.

Jego sypialnia znajdowała się na piętrze domku; zdołał też ustalić, że umieszczona jest bezpośrednio nad kuchnią, a komin działał jak tuba głosowa, prowadząca z paleniska w kuchni do kominka w sypialni. Słyszał dokładnie rozmowy wszystkich zgromadzonych na dole osób. Leżał, wyczerpany bólem, poirytowany swą bezradnością i przysłuchiwał się, jak jego gospodyni spiera się z doktorem na temat jego, Druma, sytuacji. To sprawiło, że znowu się poczuł jak dziecko... ale niezbyt kochane i rozpieszczone.

- Nie mogę opuścić tego domu. Tutaj mieszkam, a sam pan wie, że chłopcy mogliby popaść w kłopoty! - zawołała dziewczyna z irytacją.

- Dopilnuję ich - powiedział któryś ze starszych braci.

-I będziesz im gotował? - zareplikowała. - Sprawdzał, czy się umyli i odrobili lekcje, i jeszcze dodatkowo odpracujesz ich obowiązki? I w dodatku będziesz się opiekował tym... tym... *niewdzięcznikiem* na górze? Nie, to ja odpowiadam za ten dom i wszystko, co się w nim znajduje, Vincent. Nie pojmuję, dlaczego nie mielibyśmy przenieść go na kawałku płotu albo znowu zdjęć te nieszczęsne drzwi z zawiasów i zawlec go do pańskiego domu, doktorze!

Drum wyobraził sobie, jak Aleksandria krąży po kuchni, wymachując rękoma. Potem najwyraźniej zatrzymała się na

chwilę, by nabrać tchu i opanować się, aż wreszcie przemówiła błagalnie:

- On *musi* się stąd wynieść! Z pewnością jest nieznośnie pysznym i zarozumiałym bufonem. Mimo to, chyba ma rację... przynajmniej w oczach świata. Więc proszę go stąd zabrać; to jest najlepsze rozwiązanie.

- Pomożemy panu - rozległ się głos jednego z chłopców.

- Może pan zostawić jego konia u nas - odezwał się drugi. - Zajmiemy się nim, tak że nie sprawi panu najmniejszego kłopotu.

Drum skrzywił się. Głupio słyszeć, że jego wierzchowiec jest tutaj milej widziany niż on sam. Mógł się domyślić, że zrobił na nich wrażenie zarozumiałego. Ale żeby aż bufona? Zdarzało się, iż nadawano mu niezbyt pochlebne określenia, ale nie coś podobnego. No ale chyba nic na to nie poradzi. Być może to, co powiedział, zabrzmiało arogancko i niegrzecznie, ale stanowiło wyłącznie prawdę. I nie przesadził ani odrobinę.

Wcale nie chodziło o jego urok osobisty. Po prostu *był* przedmiotem starań wielu istot płci żeńskiej. Smutna prawda na temat kawalerów z jego sfery polegała na tym, że kobiety zwyczajnie na nich polowały. Utytułowani, bogaci mężczyźni czuli się bez mała jak ścigana zwierzyna. Do popularnych dowcipów należało powiedzenie, że londyński sezon w istocie jest sezonem łowieckim na kawalerów. Jeżeli nie można było złapać delikwenta na lep flirtu albo dzięki targom z ojcem damy, często znęcało się go w małżeńską pułapkę innymi uczciwymi albo nieuczciwymi środkami. Nieostrożny osobnik mógł zostać schwytyany w sidła za pomocą pocałunku... jeżeli znalazł się świadek, a tych zaś zazwyczaj nigdy nie brakowało.

Stosowano najrozmaitsze wybiegi. Upić panicza, zorganizować tajemną schadzkę, skrócić kostkę, tak żeby musiał pomagać. Rzecz polegała na tym, żeby znalazł się odpowiednio blisko, a potem należało się na niego rzucić... podczas intymnego spotkania, które znienacka stawało się całkiem publiczne. Czyniono to na zimno, bezczelnie i bezwzględnie. Jednak sposób zazwyczaj skutkował. Nie można było wszak do-



puścić, by nazwisko młodego człowieka zostało splamione, a poza tym w grę wchodziła też reputacja młodej damy. Oboje mogliby zostać zrujnowani, jeżeli w odpowiednim czasie nie odbyłby się ślub.

Zazwyczaj jednak związek taki od początku naznaczony był znamieniem klęski. Intrygi zdesperowanej kobiety nie prowadziły do niczego poza wzajemną wrogością. On zaś, Drum, nie takiego małżeństwa pragnął.

To prawda, że jego dobry przyjaciel Rate został przypadkiem skompromitowany. Jednak małżeństwo, które musiał w rezultacie zawrzeć, okazało się dla niego zbawienne. Coś podobnego zdarzało się rzadko. I może stało się tak dlatego, że kobieta, którą poślubił przyjaciel Druma, była istotą niezwykłą. Lub też po prostu Rate dojrzał już do małżeństwa. Nie wiedział, co ma ze sobą począć, zrozpaczony utratą kobiety, która, jak sądził, była miłością jego życia, gotów porzucić stan kawalerski tylko dlatego, że było mu wszystko jedno.

Drum nie osiągnął jeszcze podobnego etapu. Zbyt długo pozostawał kawalerem, żeby wziąć ślub jedynie z tego powodu, że tak wypada. Jeżeli nie trafi mu się małżeństwo z miłości... a jak na razie na to właśnie wyglądało... zawrze korzystny związek, a to przynajmniej ucieszy jego ojca. Dlatego też biedna, nieznaną, pochodząca z głębokiej prowincji panna po prostu nie nadaje się na żonę dla niego, bez względu na to jak bardzo jest urocza i czarująca.

Nawet tak śliczna, jak jego niechętna gospodyni. Drum znał wiele pięknych kobiet, znacznie bogatszych od niej, a także o lepszym pochodzeniu i wychowaniu. Nie uległ żadnej z nich. Ale nawet gdyby Aleksandria Gascoyne przerasła je we wszystkim o głowę, i tak by się to nie liczyło. Niech go diabli, jeżeli da się zmusić do małżeństwa tylko dlatego, że leży tutaj, bezradny jak niemowlę i obolały.

Gotów był przyznać, że może ona wcale nie poluje na męża. Jednak nie zamierzał podejmować ryzyka. Niech go stąd wywloką na płocie. Niech go przywiążą do konia i pogonią na przełaj do jego domu. Pozwoli im przełożyć się na drzwi

i przymocować na dachu karetki pocztowej. Wszystko jedno. W zaistniałych warunkach nie zostanie tu ani chwili dłużej. Nie może. Niejeden raz musiał, ranny, uciekać przed wrogiem. Zrobi to i teraz, nawet jeśli nieprzyjaciel należy do zupełnie innego gatunku.

- Przenieść go? Świetnie. Po drodze pozbawiając, być może, życia - mówił doktor. Inne głosy ucichły. - Kto wie, czy jego czaszka nie jest tak samo uszkodzona jak jego noga? - ciągnął lekarz. - Widziałem takie przypadki. Pacjent czuje się i wygląda dobrze, wstaje z łóżka i pada trupem na miejscu. Krwawienie, opuchlizna, odłamki kości w mózgu... tyle się tam mogło zdarzyć, a najmniejsze poruszenie może zakłócić nietrwałą równowagę. Niebezpieczeństwo minie za miesiąc. A w tej chwili? Ilekroć stąd wychodzę, zastanawiam się, czy go jeszcze ujrzę żywego.

Drum szeroko otworzył oczy. Poczuł, że po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Pan doktor chyba trochę przesadza. Chce ich w ten sposób skłonić, żeby go tu zatrzymali. Ale dlaczego tak się przy tym upiera? Owszem, głowa wciąż go boli jak sto diabłów, musiał przyznać Drum. Wzrok mu też trochę szwankuje...

Wpatrzył się w sufit, usiłując opanować niepokój, odrzucić lęk. Już nie raz zdarzało mu się to osiągnąć. I tym razem też mu się uda. Jeżeli człowiek boi się śmierci, to nie jest godzien żyć. Śmierć może nadejść w dowolnym momencie i nic na to nie da się poradzić. Nie będzie więc się temu sprzeciwiać.

- Poślijmy po jego lokaja, tak jak sobie życzył - ciągnął doktor. - Może on zamieszkać tutaj albo u mnie i codziennie dojeżdżać do swego pana. A ty, Ally, zaproś do siebie na ten czas jakąś godną szacunku kobietę i niech tutaj zostanie, dopóki on nie wyjedzie.

- Jakaś godną szacunku *karlicę* - stwierdziła z goryczą pani domu.

Drum zachichotał. Sam sobie właśnie coś podobnego pomysłał.

- I gdzie się ona pomieści? - spytała gniewnie dziewczyna.

na. - Nawet w kurniku nie ma miejsca dla jeszcze jednej kury... Co ja mówię? Kury? Razem z nami, lokajem i tym nadętym fircykiem nie znajdzie się tu miejsce nawet dla talerza rosołu! I jaka to kobieta zechce mieszkać razem z tyloma najzupełniej nieznanymi jej osobami?

- Pani Tooke z okolic Appleton - powiedział szybko doktor. - Bardzo miła osoba, wdowa, najzupełniej godna szacunku. Mieszka z córką i trzema wnuczkami. Z przyjemnością się tu przeniesie, nawet jeśli miałyby spać na grzędzie w kurniku. Powie, że robi to dla dobra innych, ale biedaczce przyda się trochę odpoczynku. Oni ją tam zamęczają.

- Doktorze! - jęknęła Aleksandria. - Jeżeli postawię w tym domu jeszcze jedno łóżko, nie da się tutaj przejść!

- Z pewnością ją polubisz - stwierdził stanowczo lekarz. - A zwłaszcza jeżeli weźmiesz pod uwagę konsekwencje usunięcia stąd pana hrabiego. Na litość boską, kobieto! On może skonać tuż za progiem!

Po pierwszym wstrząsie w kuchni zapadła dłuższa chwila pełnej namysłu ciszy... a także w sypialni na górze.

- To tutaj - powiedziała Aleksandria, odsuwając się na bok i opierając plecami o futrynę, żeby jej gość mógł zajrzeć do maleńkiej sypialni na stryszku. - Tu śpi Rob i jego bracia. Ja przeniosę się do jego pokoju. Pan doktor ma prawdziwy dar przekonywania, ale zawsze może pani zmienić zdanie. W tym pokoju trudno jest nawet się obrócić.

Pani Tooke była osobą w średnim wieku, schludną i zadbaną, choć w jej postaci dało się zauważyć pewne znużenie. Jej ciemne włosy przetykane były siwizną, która rozjaśniała jej przyjemną, łagodną twarz. Zajrzała Aleksandrii przez ramię i z zadowoleniem przypatrzyła się pomieszczeniu.

- Moja droga - rzekła łagodnie. - Ten pokój będzie należał tylko i wyłącznie do mnie. - Westchnęła. - Nie mam własnego pokoju od wielu lat. Dopóki nie poznałam mojego drogiego Leona, dzieliłam sypialnię z siostrą. Potem, oczywiście, mieliśmy wspólny pokój z mężem, a teraz śpię z wnuczkami.

To dla mnie prawdziwa przygoda, znaleźć się wreszcie samej. Wiem, że twój domek wypchany jest po brzegi. Ale proszę mi wierzyć, od dawna nie zaznałam podobnej samotności. A teraz powiedz mi, w czym mogę pomóc?

- Już pani to robi. Rzecz polega na tym, iż obecność pani ma swój cel. - Aleksandria uśmiechnęła się, widząc wyraz twarzy pani Tooke. - Służy pani po prostu za ozdobę. Chodzi o to, że nasz gość uświadomił nam, iż zgodnie z konwenansem niezamężna młoda panna nie powinna przebywać pod jednym dachem z kawalerem do wzięcia, więc musimy mieć też w domu godną szacunku dojrzałą kobietę. Zapomniałam powiedzieć, że wolałabym towarzystwo węża niż tego kawalera do wzięcia. I nigdy, przenigdy nie chciałabym wyjść za niego za mąż. Ale proszę sobie wyobrazić, że obawia się on, iż chciałabym go złapać!

- A więc budzi w tobie aż taki wstręt? - spytała z niepokojem pani Tooke.

- Trudno powiedzieć, bo go właściwie nie znam. Ale zdążył wykazać się sporą arogancją. Więc chodzi tylko o to, by przebywała pani pod tym dachem. Proszę się odprężyć i zająć się tym, na co ma pani ochotę. I tak robi mi pani wielką grzeczność, ponieważ gdy pani tu z nami jest, mogę pozostać w moim własnym domu bez posądzenia o to, iż pragnę złowić kogoś w małżeńskie sidła dla majątku. - Uśmiechnęła się, starając się złagodzić rozgoryczenie, jakie zabrzmiało w jej głosie. - Dlatego też dziękuję bardzo, ale pani zadanie ogranicza się do obecności tutaj.

- Hm, lubię być przydatna. Wiem, jak się zajmować chorymi, potrafię też gotować i bardzo to lubię - rzekła pani Tooke. - Mogę karmić kury, zatroszczyć się o ogród, szyć, sprzątać i chętnie się za to wezmę. - Teraz ona uśmiechnęła się, widząc wyraz twarzy dziewczyny. - Kocham moje wnuczki, ale pojawiły się jedna zaraz po drugiej i najstarsza z nich nie osiągnęła jeszcze pięciu lat. Mając tak mało do roboty, poczuję się jak na wakacjach.

- Ależ nie musi pani tutaj pracować - zaprotestowała Aleksandria.

- Bez pracy szybko zacznę się nudzić - stwierdziła pani Tooke. Pokręciła głową. - Sama powinnaś to wiedzieć po tylu latach, moja droga. Często zastanawialiśmy się, jak sobie tutaj radzisz. Szkoda, że ten domek jest położony tak bardzo na uboczu, bo chętnie pomogliśmy. Chociaż na nasze usprawiedliwienie należy poczytać fakt, że pan Gascoyne nie należał do najmiłszych z ludzi, prawda? A z pewnością nie przepadał za nami, kobietami. Miał swoich kolegów, kawalerów i nauczycieli, takich jak on sam. I chyba też nie cenił sobie zbytnio naszych mężów. Wydawało się, że traktuje wszystkich mieszkańców wioski jako gorszych od siebie i pewnie tak było, przynajmniej jeśli chodzi o wykształcenie. I dlatego, chociaż martwiliśmy się o ciebie, kiedy umarł, sądziliśmy, że jego koledzy ci pomogą.

Sprawała wrażenie zażenowanej. Aleksandria także poczuła skrępowanie, gdyż jeden rzut oka na domek i jego otoczenie, pozwalał stwierdzić, jak mało przydatni okazali się owi przyjaciele.

- Wydawało się też nam, że sama radzisz sobie doskonale, więc nie odważyliśmy się narzucać - dodała pani Tooke. - Przykro mi z tego powodu, bo przecież byłaś wtedy jeszcze dzieckiem. Źle postąpiliśmy.

- Nic się nie stało - odparła dziewczyna. - A przecież zaproponowaliście pomoc, pamiętam. - Przypomniała sobie także inne rzeczy. Jak bardzo była wtedy wstrząśnięta i zszokowana. Jak bardzo zależało jej, żeby rodzina nie uległa rozproszeniu. Swój lęk i podejrzliwość wobec obcych. I nie bez przyczyny. W końcu przecież tak właśnie ich wychowano. - Sądzę, że byłam wtedy zbyt dumna, żeby ją przyjąć - stwierdziła dzielnie. - Tak czy siak, cieszę się, że teraz znalazła się pani z nami. Proszę się rozgościć i robić, na co ma pani ochotę. Muszę sprawdzić, czy mój oporny pacjent już się obudził. Jeżeli za jakiś czas zejdzie pani na dół, to go pani przedstawię. Chłopcy mówili, że wrócił całkiem do przytomności. Ja jednak sądzę, że wcale nie jest z tego zadowolony. Cierpi z powodu bolącej głowy i nogi, a także urażonej dumy i trud-

no powiedzieć, co jest dla niego gorsze. Prawie mi go żal... gdyby nie to, że on nie bardzo skłania do podobnych uczuć.

Zaśmiała się, a potem ruszyła na dół. Jednak zatrzymała się, żeby poprawić suknię i przygładzić włosy, zanim weszła do pokoju hrabiego. Mojego pokoju, poprawiła się w duchu. Potrzebowała dłuższego czasu, żeby zaczął rzeczywiście do niej należeć po śmierci pana Gascoyne.

Odmalowała ściany i zawiesiła na nich ładne makatki, przyniosła szmaciany dywanik. Wyrzuciła starą pościel i uszyła nową, a także uroczą narzutę w kwiaty.

Wyrzuciła ciężkie krzesło i biurko i wydała cały przypadający na nią spadek na eleganckie krzeselko o subtelnym nóżkach i wdzięczny stół. Zawiesiła koronkowe firanki i rozłożyła wonne mydełka, o aromacie kwiatu koniczyny, żeby ładniej pachniało. W końcu poczuła, że pokój należy do niej i tylko do niej.

Teraz zaś wypełniała go bez reszty osoba hrabiego. Nie do wiary, z jaką łatwością udało mu się to osiągnąć. Nie miał ze sobą zbyt wielu rzeczy, a jednak prawie natychmiast zdominował pomieszczenie.

Weszła wreszcie do środka. Po raz pierwszy od czasu, kiedy błagała doktora, żeby pozwolił jej pozbyć się stąd rannego. Leżący podniósł głowę. Nie wyglądał ładnie. Jedna strona jego kanciastej twarzy nosiła ślady zadrapań i przybrała paskudny fioletowozółty kolor. Gdyby był przystojny, zeszcpeciliby go to kompletnie i budziło współczucie. Tak zaś posiniaczona twarz wcale nie wpłynęła na jego poczucie godności. Litość nie wchodziła w grę. Spoczywał nieruchomo, królewski, daleki i emanujący siłą. Opierał się o poduszki i patrzył na nią czujnie swymi niewiarygodnie pięknymi, niepokojącymi lazurowymi oczami. Miała ochotę dygnąć, ale opanowała tę chęć.

- Dzień dobry - zaczęła sztywno. - Czy zechce pan spożyć lunch? - Starannie unikała zwracania się do niego per „milordzie”, co z wielką satysfakcją czynił doktor. W końcu ten pokój należy do niej. Walczy o swoje prawo do niego i do całego domu.

- Ależ tak, dziękuję bardzo - odparł. - Doktor powiedział, że mogę zjeść nie tylko kleik, i muszę przyznać, że uczynię to z przyjemnością. O ile oczywiście nie zechce pani dodać do tego trucizny na szczury. Panno Gascoyne, przykro mi, że to, co powiedziałem, zabrzmiało... no tak, jak zabrzmiało. Ale ja tylko mówiłem prawdę. Gdybym mógł, odjechałbym stąd natychmiast. Ale nie mogę. Proszę mi wierzyć, że jest mi nie mniej niemiło jak pani z powodu tego, że muszę tu pozostać.

- Nic nie szkodzi - skłamała. - Teraz, kiedy pani Tooke także tutaj zamieszka, możemy się oboje uspokoić. Przestawię ją panu wkrótce. - Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. - Jest ze wszech miar godna szacunku. Co więcej, pochodzi z dobrej rodziny. Być może okaże się, iż macie ze sobą wiele wspólnego. Znalazła się w tej małej wiosce tylko dlatego, że wyszła za mąż za kogoś z niższej sfery. Będziecie sobie mogli nawzajem współczuć, że musicie tolerować istoty niższe. Tak. Co powie pan na odrobinę rosołu i kurze skrzydełko?

- Trafiony - powiedział, krzywiąc się boleśnie. - Zasłużyłem sobie na to, jak sądzę. Ale chociaż nie należy mi się taki pyszny lunch, zjem wszystko, co mi pani przyniesie.

Odwróciła się.

- Zaraz wracam z tacą.

- Chwileczkę - zaprotestował. - Chciałbym coś jeszcze powiedzieć. Proszę mnie wysłuchać. Być może znowu sprawię wrażenie *bufona*, ale bądź co bądź nie wiadomo, czy zastanie mnie pani przy życiu, pojawiając się znowu na górze, prawda?

Aleksandria ostro poderwała głowę. Wbiła w niego wzrok, a na jej policzki powoli wypłynął rumieniec.

- O Boże! - zawołała. - Zapomniałam. Słyszał pan każde słowo, które wypowiedzieliśmy na dole, tak? Powinnam była o tym pomyśleć...

- Miała pani inne problemy - stwierdził z uśmiechem. - Panno Gascoyne, chciałbym, żeby wiedziała pani, że ja też wcale nie chcę być tutaj gościem. A przynajmniej nie w takim stanie. Okazała pani dobroć i szlachetność, przyjmując pod swój dach nieznanego sobie rannego człowieka, i odpłacono pani po-

dejrzliwością. To musiało być bardzo przykre. Moje podejrzenia były równie prostackie, jak nieuprzejme. Przepraszam. Chciałem też prosić, żeby przyniosła mi pani papier i pióro, bym mógł napisać kilka listów odwołujących pewne spotkania, a, co najważniejsze, powiadomić mój dom, gdzie się znajduję i czego mi potrzeba. Należy jak najprędzej wszcząć działania.

Zawahała się. Nie da się ukryć, że ładnie wyraził swą skruczę. Ona też może okazać odrobinę miłosierdzia.

- Dobrze - powiedziała. - Ale lepiej, żeby podyktował pan swoje listy. W przeciwnym wypadku musiałabym przynieść panu opierany o łóżko stół, a w stanie, w jakim znajduje się pańska noga, byłoby to raczej niepraktyczne. Z przyjemnością panu pomogę... o ile oczywiście pisma te nie będą zbyt osobiste.

- Nie. Listy miłosne napiszę, kiedy przypomnę sobie trochę poezji - stwierdził kwaśno. - Teraz do głowy przychodzi mi tylko wołanie króla Ryszarda o konia i rozmaite ody pogrzebowe.

- *Jakoż polegli mocarze twoi?\** - zacytowała półgłosem, ale on jednak ją dosłyszał i uśmiechnął się. Nagła przyjemność, że zrozumiał ją z taką łatwością, sprawiła, iż zmieniła temat. - Bardzo chętnie pomogę panu przy tych listach. Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Proszę mi tak łatwo nie wybaczać - odparł, rozpogodzony. - Zasłużyłem co najmniej na cały tydzień obojętnego chłodu i pełnych wyrzutu spojrzeń. Czy trzeba mi czegoś jeszcze? Nie mogłaby mi pani dostarczyć nowej nogi? Nie, chyba nie. Cóż, więc zadowolę się lunchem i paroma listami, a potem poproszę o trochę tego pysznego wywaru mackowego doktora. Wystarczy mi na dziś wrażeń. Resztę dnia postaram się przespać.

- Nie musi pan oszałamiać się środkiem usypiającym z mojego powodu - powiedziała szybko.

- Zapewniam panią, że czynię to tylko ze względu na siebie - odrzekł. - Ten wywar wywołuje dziwaczne sny, ale to

\* Biblia. Druga księga Samuela (przyp. tłum.).



lepsze niż świadomość stanu, w jakim się teraz znajduję. Bardzo dziwne... - Zamyślił się na chwilę. - Wie pani, że kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, iż tutaj jestem, byliście wszyscy w tym pokoju i rozmawialiście, miałem wrażenie, że znalazłem się za granicą, bo nie rozumiałem ani jednego słowa.

Zawahała się, a potem uśmiechnęła.

- Ach, to. To była rzeczywistość. Czytałam chłopcom „Odyseję”. Oni uczą się tego w szkole.

- W oryginale? - zapytał ze zdumieniem.

- Tak, ich ojciec był nauczycielem - rzekła spokojnie. - Chciał, żeby zdobyli wykształcenie. Ja jestem tylko dziewczyną, ale oni bardzo nad tym pracowali, więc musiałam uczynić jakieś postępy. A przynajmniej tak mi powiedziano, więc pozwolono mi kontynuować.

- Przepraszam - powiedział. - Znowu nadepnąłem pani na odcisk. Może to dlatego, że tak bardzo boli mnie noga. Rwie jak cho... nie wiem co. Mogę to znieść, ale doktor powiedział, że muszę leżeć bez ruchu, jeżeli ma się zrosnąć. To bardzo trudne. Dlatego będę brał to lekarstwo do czasu, kiedy wolno mi będzie wstać. Nie jestem typowym pacjentem, ale postaram się okazać posłuszeństwo. Im mniej się będę ruszał, tym prędzej wyzdrowieję. I tak się stanie, obiecuję pani. Nie mam zamiaru umierać. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - *Tylko wybrańcy bogów umierają młodo\**, prawda?

\*Menander (ok. 342 - ok. 291 p. n. e.) (przyp. tłum.).

## 5

- Myślałam, że będzie pan spał! - zawołała Aleksandria. Zakradła się na paluszkach do pokoju hrabiego i tam przekonała się, że podniósł się do pozycji siedzącej i najwyraźniej jest w jak najgorszym humorze.

- Mam tego dość. Przez jakiś czas bawiło mnie, że miewam fantastyczne sny, ale z czasem stały się nudne. A nawet gdyby zawierały w sobie prawdziwą magię, czuję się na tyle dobrze, że już mi ich nie potrzeba - rzekł, a oczy zapłonęły mu na widok przybyłej oraz tacy, którą przyniosła. - Czy to dla mnie?

- Prawdę mówiąc, nie - stwierdziła. - Miałam zamiar posiedzieć przy panu, kiedy pan śpi. Zaraz przyniosę drugą filiżankę i więcej ciastek, jeżeli jest pan w stanie je zjeść.

- Mam wrażenie, że mógłbym pochłonać konia z kopytami. A propos, co z moim wierzchowcem?

- Ma się bardzo dobrze - odparła, przypatrując mu się z ciekawością. - Rzeczywiście czuje się pan lepiej?

- Najgorsze już minęło - rzekł, nie spuszczać tacy z oczu. - Teraz jest mi niewygodnie i to mnie irytuje, ale nie ma niebezpieczeństwa. Wracam do zdrowia równie szybko, jak wpadam w kłopoty. Na pewno starczy tego dla nas obojga?

- Jestem pewna, że tak - odparła z uśmiechem, podnosząc się, by wyjść.

- Ależ proszę zostać! - powiedział szybko. - Bardzo proszę. Zjem podwieczorek później. Teraz bardziej potrzebna mi jest rozmowa. Nie nawykłem, by leżeć w ciągu dnia. A dzisiaj jest tak pięknie, prawda? - dodał ze smutkiem, wyglądając na dwór. - Czy mogłaby pani otworzyć okno? Chciałbym poczuć powiew wiatru i odetchnąć świeżym powietrzem.

Odłożyła tacę, odsunęła firankę i otworzyła okiennice na oścież.

Westchnął.

- Wreszcie mogę przynajmniej usłyszeć ptaki. Kiedy tak tu leżę w samotności, mam wrażenie, że jestem ostatnim człowiekiem, jaki został na ziemi. Strasznie tutaj spokojnie, prawda? A chłopcy poszli do szkoły, czyż nie? Słyszałem panią i panią Tooke na dole... Wielki Boże! Gadam jak najęty. Ale proszę zostać i porozmawiać ze mną. Mogę znieść bezruch i to, że nie wolno mi używać nogi, ale znacznie trudniej mi wytrzymać zastój umysłu. W końcu nie jestem w Londynie. - Uśmiechnął się. - No i wyspałem się za wszystkie czasy.

Nie raz już zastanawiała się nad tym, jak może czuć się ranny, nie mając nikogo, do kogo mógłby się odezwać, i nic do roboty. Dla niej też byłoby to potwornie nudne, a przecież nawykła do wiejskiej ciszy i spokoju. *On musi znieść to jeszcze gorzej*, pomyślała. Stąd ten przypływ towarzyskości. Upraszenie prostej, wiejskiej dziewczyny, żeby została i pogawędziła z nim trochę, musi go drogo kosztować, więc powinna mu chyba to odrobinę ułatwić. Stanowczo poskramiając poczucie przyjemności na myśl, że spędzi czas na rozmowie, a nie tylko pilnowaniu śpiącego, gotowa była poświęcić się temu pierwszemu.

Uniosła pokrywkę czajniczka.

- Ta filiżanka będzie dla pana. Proszę się ze mną nie spierać - dodała, zanim zdążył się odezwać. - To żadne poświęcenie z mojej strony. Nie chciałam zostawiać pana samego na całe popołudnie, więc wzięłam ze sobą robótkę i coś do jedzenia na wypadek, gdybym zgłodniała. Ale teraz na nic jeszcze nie mam ochoty.

Sięgnęła po tacę, której używał jako biurka i stołu, i położyła mu ją na kolanach.

- Mam tutaj ciasteczka, ale przyniosę też panu maślane bułeczki pani Tooke. To ta kobieta, dzięki której mógł pan tu zostać, pamięta pan? - Aleksandria z satysfakcją dostrzegła wyraz zawstydy na twarzy swego podopiecznego

i postanowiła nie drażyć więcej tej sprawy. - Jak się okazało, jej obecność tutaj przynosi dodatkowe korzyści. Przynajmniej dla mnie. Jest doskonałą kucharką, a dzisiaj zajęła się pieczeniem ciast. Mamy też śmietankę i jagody.

- Herbata i maślane bułeczki? I wybaczenie? - zapytał Drum. Uniósł filiżankę, upił łyk bursztynowego płynu i westchnął. Odchylił głowę na poduszki. - Nie zasługuję na to, a pani o tym dobrze wie - rzekł z uśmiechem zażenowania. - Mogłem mieć poważne kłopoty, a tymczasem tarzam się w luksusie.

- W ciasnym pokoiku w wiejskim domku, położonym gdzie diabeł mówi dobranoc? - Zaśmiała się i usiadła przy oknie. - Proszę mi nie pochlebiać, już przecież przyrzekłam, że dostanie pan te maślane bułeczki.

- Tu nie chodzi o wielkość pokoju ani też miejsce. Jestem wdzięczny za okazaną mi troskę i towarzystwo - powiedział, sięgając po świeżutko upieczone ciasteczko.

- Tak - odparła słodko, koncentrując wzrok na robótce. - Jestem przekonana, że choć nie można pobytu u nas przyrównać do rozrywek, jakich dostarcza opera albo teatr, to z pewnością nie mniej u nas ciekawie jak na balu u Brooksa albo Almacka, czy też jakimś snobistycznym londyńskim wieczorku. - Podniosła wzrok i przekonała się, iż chory wpatruje się w nią ze zdziwieniem. - Wiem o istnieniu tych miejsc. Prenumerujemy gazetę i magazyn - wyjaśniła. - Pan Gascoyne chętnie czytywał „Magazyn dla Panów”\*. Kiedyś nawet opublikowali list z krytyką, który do nich napisał.

Błękitne oczy chorego pociemniały na chwilę.

- Pan Gascoyne? Zawsze tak pani o nim mówi?

- Tak sobie życzył. Był staromodny i uważał, że poufałość prowadzi do lekceważenia - rzekła krótko.

- Cóż, ja tak nie sędzę - odparł Drum. - Ani mój ojciec, a mówi się, że jest to jeden z najdumniejszych ludzi w królestwie. Ale jednak pani ojciec nie mógł się mylić: wystarczy

\*„Gentleman's Magazine” - pierwszy magazyn, założony przez Edwarda Cave w 1731, istniał do 1914 (przyp. tłum.).

spojrzeć na chłopców. I na panią. Wychował was bardzo dobrze.

Urwał i patrzył na nią przez chwilę. Jej towarzystwo działało na niego nie mniej ożywczo niż herbata i ciastka, które mu przyniosła. Podobało mu się jej poczucie humoru i szanował ją za to, jak potrafiła sobie poradzić z dodatkowymi obowiązkami i odpowiedzialnością za jego kurację. Jednak życzliwość i grzeczność to jedno. W jego sytuacji ważne jest zachować równowagę w rozmowie i w myślach. W chwili obecnej dziewczyna ta jest jego opiekunką i pocieszycielką, więc nic dziwnego, że nabrał do niej sympatii. Ale przecież prawie jej nie zna. Najwyższa pora, żeby przynajmniej to naprawić.

- Zdołała pani utrzymać rodzinę razem, co nie mogło być łatwe - zaczął. - Z tego, co mówił mi doktor, wynika, że nie jest pani wiele starsza od braci i była pani bardzo młoda, gdy zmarł wasz ojciec.

- To wcale nie takie trudne - odparła, skupiając się na swojej robocie. - W końcu to jedyna rzecz, jaką potrafię.

Przyglądał się, jak szyje. Nie przypominała kobiet, do których był przyzwyczajony, ani też londyńskich dam. Obecnie zapanowała wśród nich moda na fryzury ze swobodnych loków. Jej zaś lśniące włosy, szesane do tyłu, związane były w koński ogon, taki, jak pokolenie temu nosili dżentelmeni. Jedwabiste kosmyki poruszał lekki powiew wiatru, wpadający przez otwarte okno. Jak zauważył, lśniły czystością, a nie dzięki pomadzie, i to też różniło ją od dam z wielkiego świata. Wiele z nich nie używało żadnych olejków, lecz wykorzystywało naturalne procesy, by włosy ładnie się im układały. W Londynie ceniono sobie efekt, nie zaś częste użycie mydła.

Rzecz nie ograniczała się jednak do włosów. Drum orientował się w panującej modzie, a Aleksandria Gascoyne albo nie miała na to ochoty, albo środków. Dziś ubrana była w starą różową suknię o wyblakłym kwiecistym wzorze, chociaż byłoby jej znacznie bardziej do twarzy w śmiałych kolorach, stanowiących ostatni krzyk mody. Co nie znaczy, że wyglądała w niej źle. Prawdę mówiąc, jest całkiem urocza,

pomyślał, przypatrując się dziewczynie, a ona wydawała się tego nie zauważać, a przynajmniej nie próbowała z tego skorzystać. Przypuszczał, że musi mieć co najmniej dwadzieścia lat, choć trudno to było ocenić; jej zachowanie i postawa pasowały do znacznie dojrzszej kobiety. Postępowała z prawie męską szczerością i bezpośredniością.

W Londynie mężczyźni często mówili na temat zalet mieszkańek prowincji, atrakcyjności i talentów mleczarek, o czystych oczach, gładkiej cerze i silnej konstytucji. Sądziła, iż są nieuczonne i niezręczne, ale swobodniejsze, silniejsze i bardziej namiętne niż inne kobiety. A także zdrowsze. To zaś oznaczało zwiększone zapotrzebowanie na takie istoty w domach publicznych, i to do tego stopnia, że właścicielki tych instytucji wychodziły na przyjazd dylizansów i oferowały dopiero co przybyłym ze wsi dziewczętom zatrudnienie. Aleksandrii Gascoyne nie brakowało świeżości i uroku, ale Drum nie dał się tym zwieść. Umysłowo wyrastała wysoko ponad zwykłe prowincjuszki.

Niełatwo jednak było mu doceniać zalety jej rozumu, kiedy znajdowała się tak blisko. Miała jędrne, choć smukłe ciało, piękne, pełne piersi i prężne, zaokrąglone biodra... Odwrócił wzrok. Ta dziewczyna budziła w nim silny pociąg fizyczny. Przyjął to do wiadomości, po czym postarał się odsunąć od siebie tę świadomość. Przyjemności zmysłowe stanowią w wielkim stopniu o szczęściu mężczyzny... a przynajmniej o jego, Druma, szczęściu. Jednak istniało coś, o czym nie mógł zapomnieć: reguły przyzwoitości, a on na dodatek obciążony został darem zdrowego rozsądku. Nie czas teraz ani miejsce po temu, powiedział sobie stanowczo, a poza tym nie powinien myśleć w ten sposób na temat tej właśnie kobiety.

- Chłopcy nie są do pani podobni - powiedział, starając się zająć czymś innym. - Różnicie się kolorem włosów, oczu... w ogóle wszystkim.

Uśmiechnęła się.

- Jest pan spostrzegawczy. Nie ma powodu, żebyśmy wyglądali podobnie. Nie jestem z nimi spokrewniona, ani oni ze sobą. Zostali adoptowani.

Zdziwił się. Nie zdołał dowiedzieć się wiele o zmarłym panu Gascoyne, ale odniósł wrażenie, że był to samotnik, a nie ktoś, kto gotów byłby przygarnąć sieroty.

- Kariera pana Gascoyne kilka lat temu znalazła się w martwym punkcie - wyjaśniła Aleksandria, pilnie szyjąc. - Stracił stanowisko w Eton...

- Ach, to stąd pamiętam jego nazwisko! - zawołał Drum, nagle przypominając sobie małego człowieka skradającego się po korytarzach, osobnika o skwaszonej twarzy, pomarszczonej jak orzech włoski, sprawiającego wrażenie nie mniej nieprzystępnego, niż głosiła to fama. - Nigdy nie należałem do jego klasy, ale chyba wykładał łacinę?

Kiwnęła głową.

- A także studia starożytne. Ale stracił to stanowisko i musiał znaleźć sobie coś innego". Jest tu w pobliżu szkoła... Akademia Eatona dla Młodych Dżentelmenów. E-a-t-o-n-a, przez „a”. - Uśmiechnęła się, widząc wyraz jego twarzy. - Tak, chodziło o to, żeby nazwy były podobne. Nasza szkoła nie jest tak znakomita ani stara jak Eton, ale też nie należy do najgorszych. Przeznaczona jest dla ludzi, którzy niedawno dorobili się majątków i chcą, żeby ich synowie zdobyli wyższą pozycję w świecie. Pan Gascoyne dowiedział się, że poszukują tam nauczyciela. Ponieważ stracił swą poprzednią pracę z powodu swego braku... elastyczności, przyjaciele podpowiedzieli mu, że gdyby miał syna, to wykazałby w ten sposób, iż naprawdę lubi i rozumie chłopców.

- Posunięcie to okazało się nie tylko rozsądne, ale też zyskowe - ciągnęła żywo. - Sierociniec płaci za każde dziecko, które się od nich zabierze. Pan Gascoyne nauczał łaciny i greki, ale potrafił też liczyć i prędko doszedł do wniosku, że na troje dzieci nie trzeba wiele więcej łożyć niż na jedno. Garnek zupy wystarczy dla wszystkich, a ubrania starszego można przekazywać tym młodszym. Dlatego też brał ich kolejno, według wieku, najpierw Vina, potem Kita i Roba. I dostał tę pracę. - Odgryzła nitkę. - Chłopcy uczęszczają do Eaton, ale mieszkają tutaj. Codziennie zaprzęgają Pioruna

do wozu i dojeżdżają do szkoły. Tak jest taniej i wygodniej dla wszystkich.

- A jak radziła sobie pani matka z tymi wszystkimi chłopcami? - zapytał Drum.

- Wcale - odparła krótko. - Umarła znacznie wcześniej. To ja się nimi zajmowałam. Nie było to takie trudne, bo to dobre dzieciaki i nie musiałam wychowywać ich od niemowlęcia. Przez jakiś czas mieliśmy gospodynię, ale wkrótce przejęłam jej obowiązki. Jak już mówiłam, pan Gascoyne był człowiekiem oszczędnym.

Spochmurniała. W pokoju zrobiło się także jakby ciemniej. Drum zirytował się na samego siebie. Nie miał zwyczaju tak wypytywać ludzi.

- Wie pani o klubach i przyjęciach londyńskich, bo czyta pani stołeczne gazety. Ale czy kiedykolwiek odwiedzała pani to miasto? - zapytał, żeby skierować rozmowę na pogodniejsze tory.

- Nigdy - powiedziała dziewczyna. - Nie miałam ani czasu, ani okazji.

- Tak też sądziłem - stwierdził. - Proszę więc nie wierzyć we wszystko, co pani czyta. Zapewniam, że niekiedy wieczór w najlepszym klubie może okazać się nudny, gdy nie pojawiają się tam przyjaciele, a nawet kiedy są, mogą uwikłać się w jakiś bezsensowny spór, trwający całe godziny. Czasami ziewa się z nudów u Almacka. I nie wszystkie prywatne wieczorki są interesujące. Niekiedy tyle w nich życia, co w fajerwerkach podczas wilgotnej nocy. Odbywają się w przegrzanych pokojach, towarzystwo jest nazbyt głośne, a jedzenia nie starcza dla wszystkich albo jest stare lub też niesmaczne.

- Jestem pewna, że musi to być nie do zniesienia - rzekła z lekkim uśmiechem, wpatrzona w igłę.

- Racja. Ale jakoś sobie radzę. Tyle tylko że miasto nie zawsze jest tak pełne atrakcji, jak się wydaje, patrząc ze wsi.

- A zwłaszcza stąd - westchnęła. - Nie mamy tutaj pałaców, więc nie odbywają się żadne przyjęcia czy bale. Miejscowy dziedzic mieszka na farmie. Jest też tu kuźnia przy



ścieżce wiodącej do głównej drogi. Obsługuje trzy okoliczne wioski, bo inaczej nie utrzymałaby się. Czas stanął tutaj w chwili, gdy królowa Elżbieta zatrzymała się na godzinę przy naszej studni podczas jednej ze swych podróży po kraju. A potem ruszył dalej, ale bez nas.

- I nigdzie indziej pani nie wyjeżdżała? - zapytał z ciekawością.

- Raz - odparła szorstko. - Do Bath. Na całych siedemnaście dni. Ale wtedy dostałam wiadomość, że pan Gascoyne zachorował. Kiedy wróciłam, już nie żył. - Podniosła na niego oczy. - Proszę się nade mną nie litować. Mam więcej niż wiele innych kobiet. Chłopców, ten dom, moje własne miejsce na ziemi. To się liczy.

- A starających się? - zapytał niedbale, wkładając sobie ciasteczko do ust.

Uśmiechnęła się.

- Całe hordy - odparła. - A zatem wie już pan wszystko o mnie. Po sprawiedliwości teraz ja powinnam panu zadać kilka pytań.

Udał, że się krztusi.

- Ojej! - zawołał. - Ależ wcale o pani nic nie wiem. Jest pani równie nieuchwytna jak piskorz. A ja jestem jak otwarta księga! Zna pani moje nazwisko, mój tytuł... a to przecież całe moje życie.

Uniosła brew.

- Tak - przyznała spokojnie. - Jest pan dżentelmenem z Londynu, znanym i bogatym szlachcicem. I to wszystko? Bardzo dobrze. A ja jestem kobietą ze wsi, nie mającą większego znaczenia, ale posiadającą wystarczające środki do życia. Proszę bardzo. Czy mam teraz pójść po maślane bułeczki?

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Mam lat trzydzieści pięć - rzekł. - W duszy zamęt, bo ojciec mój chce, żebym ożenił się, a ja nie znalazłem jeszcze kobiety jego marzeń. Jak już mówiłem, uczęszczałem do Eton, a potem do Oksfordu. Służyłem ojczyźnie, pracując dla Ministerstwa Wojny, co oznacza, że spędziłem dużo cza-

su za granicą. Mam kilku dobrych przyjaciół i znacznie więcej Znajomych.

Słuchała jak urzeczona.

- Lubię śpiewać - ciągnął. - I wcale się nie martwię, że złamałem nogę, gdyż nie przepadam za tańcem. Uwielbiam wdawać się w gorące spory na temat polityki. Uprawiam szermierkę i boks, jeżdżę konno i powożę, ale nie uważam się za eleganta albo wielkiego sportowca. Czytam książki i chodzę do teatru, ale nie jestem uczony. Moja obecność ceniona jest na przyjęciach, gdyż zawsze potrafię schlebić każdemu. Umieję prowadzić rozmowy, gdyż w tym właśnie my, londyńscy utracjusze, celujemy najbardziej. Mogę mówić przez godzinę na dowolny temat i nawet czasami nie jest to pozbawione sensu.

Drum rad był, gdy znowu sprawił, że się roześmiała. Aż nazbyt rad. Ale przecież zachowuje ostrożność i wie, na co sobie może pozwolić. Odrobina flirtu nie oznacza jeszcze upadku. Oczarowanie to nie to samo, co fałszywy krok. Spędzi przyjemnie czas, zabawiając i siebie, i ją. Czemuż by nie? To przecież takie łatwe. Wyobrazi sobie, że dziewczyna ta jest zakonnica, uroczą i przemiłą, kobietą, która jest jego opiekunką i gospodynią, ale już przeznaczoną komuś innemu, o wiele potężniejszemu niż on sam. Tak właśnie toczy się ten świat.

Aleksandria Gascoyne, ładna, wdzięczna i miła, nie może stać się dla niego nikim więcej. Brak jej po temu zarówno urodzenia, jak i majątku. Posiada tylko śliczną buzię, zgrabną figurkę i ciekawą osobowość. To wystarczyłoby, żeby osiągnęła wiele w świecie, ale nie tym, do którego on, Drum, należy. Córnka nauczyciela byłaby odpowiednią żoną dla innego pracownika szkoły, urzędnika, a może nawet kogoś z drobniejszej szlachty. Ale nie dla niego, pomyślał pośpiesznie. Dzieli ich zbyt wielka przepaść społeczna, by mógł ją poślubić, zaś zbyt mała, żeby została jego kochanką. Bądź co bądź, dziewczyna ta jest przyzwoita.

A jednak, myślał dalej, można powiedzieć, że jest córką uczonego. To żaden wstyd. To coś innego, niż gdyby była pokojówką, dziewczyną posługującą w karczmie, szwaczką, nie-

uczoną dziewczyną z farmy... Wyobraził sobie reakcję swojego ojca i to przerwało tok jego myśli. Lubił Aleksandrię, pociągała go ta dziewczyna, ale w końcu nie jest chłopaczkiem, głupcem, i z pewnością nie zakochał się w niej... co mogłoby okazać się dla niego nie tylko niebezpieczne, ale też bardzo przykre.

Spróbował skierować swe myśli na inne tory.

- Z dużą ilością śmietanki, poproszę - rzucił znienacka.

Siedziała w milczeniu, rozważając jego słowa, czekając, co powie dalej. Zaskoczył ją zmianą tematu. Spojrzała na niego pytająco.

- Mówiła coś pani o bułeczkach maślanych, prawda? - zapytał. - Chyba to one tak pachną.

- Nie sądzę - rzekła powoli. - To moje nowe perfumy. Wie pan, że mówi się, iż wiejskie dziewczęta używają do tego wanilii? Ja spróbowałam masła. - Czekwała na to, że się uśmiechnie, a potem dodała: - Proszę się nie martwić, już po nie idę.

- Na złość doktorowi, spróbuję dożyć do czasu, gdy pani wróci... ale proszę nie zwlekać.

Gdy wyszła, opadł na poduszki. A więc jakoś przeżyje. Zaczął się lepiej czuć nadspodziewanie prędko. Nie raz już zdarzało mu się odnieść rany i wiedział, jak się to odbywa. Miał szczęście. Rekonwalescencja potrwa krótko i w dodatku dobrze się przy tym zabawi. Musi tylko wykryć, kto strzelał do niego, i zadbać o to, by się to więcej nie powtórzyło. Zrobi to, a potem odjedzie, jak tylko nadciągną posiłki. Przymknął z zadowoleniem oczy.

Leżał bez ruchu, gdy Aleksandria wróciła, niosąc zastawioną tacę. Głowę odchylił do tyłu, a jego arystokratyczny nos celował prosto w sufit. Nie słyszała, żeby oddychał. Przestraszyła się tak, że zaczęły drżeć jej ręce. Ostrożnie odstawiła swój ciężar, gestem przywołała panią Tooke i obie cichutko podeszły do łóżka, nie zdając sobie sprawy, że każda z nich wstrzymuje oddech. Pochyliły się i badawczo przyjrzały leżącemu. Oddychał lekko, powoli i równo, zapadłszy w głęboki sen. Aleksandria popatrzyła z ulgą na panią Tooke.

- Bogowie - wycedził, nie unosząc powiek. - Człowiek nie może zamknąć na chwilę oczu, żeby ktoś nie próbował mu położyć żałobnych lilii na klatce piersiowej. A ja liczyłem, że zamiast tego dostanę tacę z podwieczorkiem.

- Milordzie - zaczęła pani Tooke, dygając pośpiesznie. - Martwiłyśmy się tylko.

- To zupełnie tak samo jak ja - odparł z uśmiechem i otworzył oczy. - Czy te pyszne bułeczki są dla mnie?

Aleksandrię zirytowało to jego udawanie.

- Pani Tooke, to lord Drummond - rzekła oficjalnym tonem. - Milordzie, zechce pan poznać panią Tooke. To jest ta dobra sąsiadka, która zechciała zamieszkać z nami, żeby pan mógł tu pozostać, nie lękając się, iż będę musiała zadbać o pastora, nie tylko o podwieczorek, kiedy pojawię się w pańskiej... *mojej* sypialni.

- Aleksandrio! - zachnęła się pani Tooke.

Drum zaśmiał się.

- Proszę się nie przejmować, droga pani. W pełni zasłużyłem na to. Jednak chciałbym się też dowiedzieć, czy należą mi się również bułeczki? Starłem się być grzeczny. Nie ruszyłem się z miejsca, w którym mnie położono. Próbowałem, ale pani tego domu przysłała trzech osiłków, którzy mnie przytrzymali, tak bardzo chciała, bym został w jej łóżku.

Aleksandria milczała, gdy pani Tooke podawała mu serwetkę, nalewała herbaty i nakładała na talerz bułeczki i śmietanę, a potem umieściła to w zasięgu jego ręki. Drum westchnął.

- Oto kobieta, która wie, jak postępować z mężczyzną - stwierdził z zadowoleniem. - Dziękuję pani.

Pani Tooke kiwnęła głową.

- Dobre maniery - rzekła z aprobatą. - Zupełnie taki jak ojciec. Nawet jest pan do niego podobny.

Drum zamarł, trzymając bułeczkę w pół drogi do ust.

- Zna go pani?

- Kiedyś znałam - odparła. - Dawno, dawno temu, kiedy byliśmy młodzi. - Dostrzegła jego zaskoczenie i dodała: -

Dorastałam niedaleko od jego majątku. Nasi ojcowie byli przyjaciółmi. Mój nazywał się lord Osborne.

Aleksandria popatrzyła na nią z zaskoczeniem. Zapadła chwila milczenia, której nawet jej złotousty gość nie potrafił zapełnić. Dziewczyna sądziła, że pani Tooke powie, iż jest córką miejscowego szlachcica. Ale żeby była aż tak dobrze urodzona? Nawet ona, Aleksandria, słyszała o lordzie Osborne, zamiłowanym polityku i wicehrabi! Pani Tooke mieszkała w okolicy od dawna i tak jak wszyscy piękła, szyła i zajmowała się domem. Powiedziała Aleksandrii, że zajmowała się także ogrodem i hodowała kury. Miała doskonałe maniere, ale nie wywyższała się. Oczywiście, to powinno stanowić podstawową cechę prawdziwej damy. Mimo to dziewczyna czuła się prawdziwie zaskoczona.

- Ja też znałem pani ojca - rzekł gładko Drum. - I pani brata. Bardzo się troszczy o pałac.

- Doprawdy? - Na twarzy pani Tooke malowało się wyłączenie przejemne zainteresowanie. - Nie miałam pojęcia. Nigdy tam nie wróciłam. Rodzina nie była zadowolona z mojego małżeństwa, więc nie widywaliśmy się od tamtej pory. Minęło już tyle lat.

- Z pewnością nie aż tak wiele - stwierdził Drum, okazując ogromne zdumienie. - No, chyba że wzięła pani ślub w kołysce?

- Zupełnie taki sam, jak ojciec - rzekła i oboje zaśmiali się.

Aleksandria przysłuchiwała się lekkiej rozmowie swych gości, którzy wymieniali rozmaite osoby i nazwiska. Pani Tooke najwyraźniej popełniła mezalians, a rodzina okazała jej wzdargę. Hrabia Drummond, jak się wydawało, nie żywił podobnych uczuć. A nawet gdyby, nikt tego nie zdołałby po nim poznać. Co za kobieta z tej pani Tooke, pomyślała dziewczyna z rosnącym szacunkiem. I jakimż wspaniałym dżentelmenem jest hrabia. Oboje byli zabawni, weseli i serdeczni. Aleksandria była pod wrażeniem.

Cóż. Chyba nie jest aż taki zły, stwierdziła wreszcie w duchu. Trochę arogancki, gdyż należy do klas uprzywilejowanych. Pewnie nie może nic na to poradzić. Ale też wykazał

się nie tylko urokiem osobistym, lecz także troską o uczucia innych oraz poczuciem humoru. Co za radość. Potrafił docenić dowcip absurdalny. Podobało jej się też to, jak na nią patrzył. Czuła się wtedy kobietą.

Jednak ona jest nazbyt rozsądna, by przykładać do tego choćby najmniejszą wagę. Policzki pani Tooke okrył lekki rumieniec, oczy jej lśniły i widać było, że i ona też poczuła się kobietą. Aleksandria prowadziła spokojne życie, pozbawione wielu rozrywek, i nigdy dotąd nie spotkała hrabiego ani też londyńskiego dżentelmena. Ale nawet ona wiedziała, że nieczęsto zdarzają się tacy ludzie jak hrabia Drummond.

Miał osobowość, wdzięk i styl. Nie dało się go zaliczyć do pięknych, dopóki nie otworzył swych niezapominajkowych oczu i nie odezwał się, lecz wtedy urok jego stawał się nieodparty. Wytworny, dowcipny, gładki i inteligentny... i tak samo poważny jak wiosenny wietrzyk, który igrał sobie z firanką w oknie i lekko muskał włosy Aleksandrii.

Otóż to! pomyślała, obserwując, jak czaruje panią Tooke. Lekki, przyjemny i płochoy, te słowa należy sobie dobrze zapamiętać. To właśnie będzie wspominać, ilekroć przypomni sobie tego niezwykłego, rannego nieznanego, którego sprowadzili jej chłopcy. Będzie o niego dbać i cieszyć się jego towarzystwem. Hrabia posłuży też dla nich jako godzien naśladowania przykład. Sześć tygodni to bardzo długo... gdyby okazał się gburem. Ale w tej sytuacji mogła tylko cieszyć się na nadchodzące dni.

We właściwym czasie pozwoli mu odjechać z takimi samymi mieszanymi uczuciami, jakich doznawała, ilekroć wypuszczała na swobodę wyleczone zwierzątko. Dozna ulgi, zmieszanej z lekkim smutkiem.

I właśnie tak się stanie, powiedziała sobie. Jest rozsądna. Ma przyzwoite wykształcenie i nie żywi złudzeń. Nie nadaje się do małżeństwa, a przynajmniej z mężczyzną, którego uważałaby za godnego siebie. Pan Gascoyne powiedział to jej jako ostatni, a ona uciekła aż do Bath, żeby udowodnić mu, że się myli... ale tam właśnie przekonała się, iż miał ra-

cję. Tak więc wiem już to i owo, pomyślała z goryczą, i lepiej, żebym pamiętała o tym podczas kontaktów z tym czarującym dżentelmenem.

Ona i ten elegancki hrabia różnią się od siebie tak jak króliki i raszki, które zdarzało się jej kurować. Stanowią dwa różne gatunki. A jeśli nawet przez chwilę czuła z tego powodu żal, to przecież dla niej to nie jest nic nowego.

## 6

Dzień był piękny i czysty, ale teraz, pod wieczór, Aleksandria, chłopcy i pani Tooke zgromadzili się w poszukiwaniu ciepła przy palenisku kuchennym. Bądź co bądź była wciąż jeszcze wiosna, a w Anglii ta pora roku często potrafi się zapominać. W tej chwili kwiecień uznał, że jest listopadem, i zimny, wilgotny wiatr wciskał się we wszystkie szpary małego domku i siekł lodowatym deszczem o okiennice. Vin i Kit siedzieli przy samym palenisku, Rob na dywaniku przed nim. Pani Tooke zajęła fotel bujany, a Aleksandria ulokowała się przy stole i czytała na głos. Ta miła scena została jednak rychło przerwana.

Nagły dźwięk sprawił, że Aleksandria urwała w pół zdania.

- To tylko wiatr - zaprotestował Rob. - Czytaj dalej!

- Nie - stwierdziła dziewczyna, lekko przechylając głowę. - Wiatr nie woła „Halo!” ani „Hop, hop!”. Rob, skocz na górę i zobacz, czego sobie życzy jego lordowska mość. Nie sądzę, by działa mu się jakaś krzywda - zwróciła się do pani Tooke, która podnosiła się już z fotela. - Widzieliśmy go nie dalej jak parę minut temu.

- Może chce jeszcze herbaty - powiedziała pani Tooke z troską.

- Ten człowiek niedługo wypłynie z łóżka - stwierdziła Aleksandria, marszcząc brwi. - Nic z tego nie rozumiem. Kiedy cierpiał potworny ból, zachowywał się wspaniale. Dzisiaj doktor powiedział, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Pacjent zjadł obiad i wziął jeszcze dokładkę. A przez całą wieczór kaprysi jak małe dziecko.



- Mężczyźni już tacy są - rzekła pani Tooke, śmiejąc się. - Robią się nieznośni, kiedy zaczynają wracać do zdrowia.

- Ale nie my - orzekł Kit. - Ally, czytaj dalej.

- Jeśli chcesz czekać na Roba, to nigdy nie dojdziemy do końca tej książki - stwierdził Via

Rob właśnie zbiegał na dół.

- On chce z tobą rozmawiać, Ally. Idź do niego, ale wracaj prędko.

Aleksandria odłożyła książkę i ruszyła na górę. Weszła przez uchylone drzwi i rozejrzała się po sypialni. Wszystko wydawało się w porządku. Pacjent leżał oparty na poduszkach, przykryty najlepszymi, jakie mieli, kołdrami. W kominiku płonął ogień, a lampy rzucały łagodne światło. Okna osłaniały okiennice i w pokoju panowało miłe ciepło. W zasięgu ręki pacjenta stał mały stolik z karafką wody, lekarstwami przeciwbólowymi i książkami, których sobie zażyczył.

Popatrzyła na Druma, który wyglądał na lekko zażenowanego.

- Co się stało? - spytała. - Boli pana? Potrzeba panu czegoś? Myślałam, że jest już pan gotów do snu.

- Ja też - powiedział i odetchnął głęboko. - Słyszę... wasze głosy - rzekł.

- Och, najmocniej przepraszam. Przeszkadzamy panu? Chłopcy czasami zapominają się i mówią zbyt głośno. Uciszę ich, żeby mógł pan spać. - Odwróciła się do wyjścia.

- Nie! - zawołał pośpiesznie.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- W tym właśnie rzecz. Nie chcę jeszcze spać. Gdybym był w domu, wieczór by się właśnie zaczynał! Droga panno Gascoyne, zapewniła mi pani wszystko, czego chory mógłby sobie zażyczyć. Problem polega na tym, że ja nie nawykłem do takiej sytuacji. Słyszę wasze głosy i... - Uśmiechnął się olśniewająco. - Przyznam się. Chciałbym być razem z wami. Zadbała pani o wszystkie moje potrzeby. Tyle tylko że ja czuję się jak roślina... Tak. Posadzona, podlana i zostawiona samej sobie aż do lata.

Lekko przechyliła głowę.

- Czytam chłopcom „Odyseję” i od czasu do czasu ją komentujemy. Pomaga to im w nauce.

- Studiowałem grekę - powiedział szybko Drum. - Miałem znakomite stopnie z historii - dodał z nadzieją. - Zajmowaliście się tym tutaj, kiedy myśleliście, że jestem nieprzytomny. Chyba to, że wróciła mi świadomość, nie stanowi przeszkody? Pani Tooke też się tutaj pomieści, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Z pewnością.

W kilka minut później wszyscy zgromadzili się w pokoju chorego. Aleksandria sięgnęła po książkę, ale po chwili... lękając się, że jej greka może nie okazać się tak doskonała, jak należałoby... odłożyła tom. Popatrzyła na Druma.

- A może pan zechciałby poczytać? - spytała.

- Z przyjemnością - odparł, wyciągając swą szczupłą dłoń. Wziął książkę, a dziewczyna pochyliła mu się nad ramieniem, żeby pokazać, w którym miejscu skończyła.

Policzki ich prawie się ze sobą zetknęły. Poczuli jej ciepło i zapach delikatnych perfum.

Ona zaś spostrzegła, że jak na tak smukłego mężczyznę ma bardzo szerokie ramiona. Pachniał dobrym mydłem, a jego kruczoczarne włosy wydały się jej tak miękkie, że musiała opanować chęć, by wtulić w nie twarz.

Wyprostowała się i odsunęła. On zaś zmusił się, by na nią nie patrzeć. Oboje poczuli się zaskoczeni nieoczekiwaną bliskością, jaka zapanowała między nimi, choć znajdowali się przecież pośród ludzi.

Usiadła na krześle i sięgnęła po swoją robótkę.

Drum poprawił książkę i zaczął czytać.

Nie dotarł nawet do końca strony, gdy Rob mruknął:

- Morze koloru ciemnego wina? Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że znam to słowo. Ale jak to możliwe, żeby woda miała barwę wina? Powinna być przecież niebieska.

- To metafora - powiedział Vin. - Proszę, milordzie, niech pan czyta dalej.

< • - Wiem, co to jest metafora - zaprotestował gorąco Rob. - Ale ta tutaj jest chyba kiepska, bo przecież woda nie bywa ciemnoczerwona.

- Cicho, Rob - polecił Kit. - Nigdy nie widziałeś morza.

- Ale widziałem staw - upierał się Rob. - I strumień, i obrazy przedstawiające morze. Czytałem też o oceanie, a on również jest zawsze niebieski. Albo zielony - dodał uczciwie. - Może nawet szary. Ale barwy wina? Nie sądzę.

- Jest to możliwe podczas zachodu słońca - powiedział Drum. - Lub też przed burzą. To poetycka metafora i wcale nie taka zła. Kiedy Morze Egejskie odbija blask wschodu albo zachodu słońca, przybiera najrozmaitsze barwy.

- Był pan w Grecji? - szepnął Rob.

- Tak - odparł Drum, odkładając książkę. - Prawdę mówiąc, warto byłoby, żebyście mnie o to zapytali. Pomogłoby wam to zrozumieć poemat, gdybyście wiedzieli, co widział poeta, kiedy go pisał.

- On nic nie widział. Był ślepy - poprawił go Rob.

- Rob! - warknął Vin, a Aleksandria wyprostowała się i popatrzyła karcąco na brata. Chłopcy nie powinni poprawiać starszych, a przynajmniej nie w tym domu.

Rob także o tym wiedział. Zaczerwienił się, spuścił oczy i wymamrotał:

- Przepraszam. Proszę czytać dalej, milordzie.

- Ależ ty masz rację - rzekł Drum. - Homer był niewidomy. To jednak nie oznacza, że nie wiedział, jak wygląda świat. Niewidomy uczy się od tych, którzy widzą. Nie mógł opisać morza, dopóki ktoś mu tego nie opowiedział. Jestem pewien, że znał bardzo wielu żeglarzy.

- A pan, sir? - zapytał Rob. - To znaczy, kiedy pan tam był?

- Oczywiście - powiedział Drum. - Nie można zwiedzać wyłącznie lądu. Trochę więc też i żeglowałem. Opowiem wam o Grecji: jak wygląda, jakie są tam zapachy, jedzenie, krajobrazy, ludzie. Wtedy lepiej zrozumiecie podróże Odyseusza. To właśnie dlatego ojciec wysłał mnie za granicę: że-  
bym dowiedział się więcej, niż mogą powiedzieć mi księgi.

Aleksandria pochyliła głowę nad robotą. Może ojcowie wysyłali synów właśnie po to, ale ona dobrze wiedziała, dlaczego młodzi mężczyźni jeździli za granicę, i wcale nie kierowała nimi chęć lepszego zrozumienia „Odysei”. Pan Gascoyne wielokrotnie wygłaszał na ten temat tyrady. Wykrzykiwał o niesprawiedliwości, o tym, że klasy wyższe mają za dużo pieniędzy do wyrzucenia w błoto, wysyłając swych pustogłowych potomków, by prowadzili hulaszczę życie na kontynencie, udając, iż uzupełniają wykształcenie. Jadowicie powtarzał, że rzeczywiście nauczą się tam niejednego. Ci pozornie uprzywilejowani młodzieńcy wracali do Anglii, poznawszy więcej nieprawości, niż sami potrafiliby sobie wyobrazić.

Kilka minut później uniosła głowę. Widać było wyraźnie, że hrabia Drummond nie zmarnował pieniędzy swego ojca.

- Wzgórza są kamieniste i strome - ciągnął, odpowiadając na pytanie jednego z chłopców. - Ale morze jest przepiękne, i widać je z każdego miejsca. Dla starożytnych Greków było ono naturalnym szlakiem komunikacyjnym. Cały ówczesny świat przybywał do nich tą drogą, ale oni też cenili sobie podróże. Rozprzestrzeniaли cywilizację, a równocześnie uczyli się od innych. Wynaleźli filozofię i dramat, dali światu wszystkie formy sztuki, ale... tak, Kit?

- Sztuki? - zapytał chłopiec. - Przecież to chyba Rzymianie?

- Rzymianie wprowadzili udoskonalenia, ale Grecy stworzyli podstawy - odparł Drum.

Aleksandria uśmiechnęła się, przysłuchując się ożywionej dyskusji. Chłopcy oglądali kiedyś rysunki słynnych marmurów Elgina, sprowadzonych do Londynu, i poczuli się nimi szalenie rozczarowani.

- Wspaniałe dzieła sztuki można tam oglądać prawie na każdym kroku - ciągnął Drum. - Wiele z nich w doskonałym stanie. Jednak nie dajcie się zwieść. Grecy mieli zamiłowanie do sztuki, ale byli kupcami do szpiku kości. Wyspiarze często tacy bywają, tak samo jak my. Daliśmy światu Chaucera, Szekspira i licznych poetów. Ale też dostarczamy węglę, sery, cynę i węgiel. Dlatego Rzymianie tak bardzo chcieli nas podbić... nie

dla naszych bardów i poezji. Starożytni Grecy handlowali winem i oliwkami. Prawdę mówiąc, drzewa oliwne są małe i pokrecone. Dziwilibyście się, że ktoś zdobył się na odwagę, by posmakować ich gorzkich owoców, i że znalazł się ktoś na tyle sprytny, by odkryć, że pyszne są jako marynata.

- Pyszne? - pisnął z niedowierzaniem Rob.

- Rob ma rację. - Drum zaśmiał się. - Spróbowałem raz i usta wykrzywiły mi się jak drzewo oliwne!

Aleksandria uśmiechnęła się do pani Tooke, ale stwierdziła, iż dama ta przygląda się jej z niepokojem w oczach. Może uznała, że chłopcy za bardzo się spoufalają, pomyślała ze smutkiem dziewczyna. Może też i ma rację. Ale nigdy dotąd nie pozwolili przeczytać jej książki jednym ciągiem; zawsze przerywali pytaniami. Uważała, że to bardzo dobry sposób uczenia się. Wyniosły hrabia Drummond też rychło to dostrzegł i również zachęcał chłopców do dyskusji. Aleksandria westchnęła. Cokolwiek powie, nie ułagodzi to pani Tooke. Prawdopodobnie wywodzi się ona ze starej szkoły, tak jak pan Gascoyne, na którego lekcjach zawsze panowała cisza i surowa dyscyplina. Ale ona sama zaznała tego w nadmiarze i dlatego nie chciała postępować w podobny sposób.

Widziała, jak chłopcy zasłuchali się, gdy ich gość opowiadał im dalej o Grecji. Biedacy, pomyślała, mogą podróżować tylko w wyobraźni. Jeżeli nie wstąpią do marynarki, to nie znajdą się dalej od domu jak w Bristolu. Ona zaś wcale nie chciała, by trafili na okręt wojenny, przynajmniej dopóki nie ukończą nauk. Wtedy zaś zostaną raczej urzędnikami niż wagabundami. Może i szkoda, ale trzeba trzeźwo patrzeć na świat. Będą musieli jakoś sobie w życiu radzić, a wykształcenie to ich jedyny mocny punkt.

- Kalmary? - usłyszała pełen niesmaku jęk Roba. - Jedzą ośmiornice i kalmary?

- A wy nie gardzicie małżami i krewetkami - stwierdziła Aleksandria.

- Ależ one są jadalne - zaprotestował Rob. - No i nie mają nóg.

- Krowy mają - powiedział Drum.

Tym razem jęknęła Aleksandria.

- Proszę, nie przypominajcie mi! Gdybym miała odwagę, żywiłabym się wyłącznie jajkami.

- To nie kwestia odwagi, tylko apetytu - odparł. - A w zdrowym apetycie nie ma nic złego.

To nie jego słowa ani sposób, w jaki je wypowiedział, tak na nią podziałały, lecz błysk, który ujrzała w jego oczach. Na ten widok zabrakło jej tchu. Szybko skierowała wzrok na swoją robotę. Apetyt, pomyślała zła na niego i na samą siebie, starając się opanować gwałtowne bicie serca. Kompletnie zbił ją z tropu ten błysk w kobaltowych oczach. A przecież ich właściciel flirtował sobie tylko. Problem jednak polega na tym, że ona nie ma w tym żadnej wprawy. Znała tylko prostackie zaloty mężczyzn ze wsi oraz udające ojcowskie rady obleśne propozycje, jakich udzielali jej dawni przyjaciele pana Gascoyne.

Tymczasem widać było wyraźnie, że flirt stanowi drugą naturę hrabiego. Ten niecny człowiek flirtował nawet wtedy, gdy cierpiał straszliwy ból, pomyślała z gniewem. Prawdopodobnie tak samo zachowywać się będzie, gdy znajdzie się w drodze do grobu.

Nie mogła tego zignorować i nie mogła kryć się w kącie jak myszka. Musi mieszkać z tym człowiekiem pod jednym dachem przez jeszcze kilka tygodni. Podniosła głowę i spojrzała prosto w lazurowe tęczówki.

Ma być odważna, ale nie głupia. Jeżeli chce zachować panowanie nad sobą, nie wolno jej dostrzec nic ponad to, jakiego koloru są owe oczy.

- Nie pojmuję, jak można mieć zdrowy apetyt, żywiąc się ośmiornicą - stwierdziła wyniośle.

- Ośmiornicami - poprawił ją łagodnie. - To tylko kwestia gustu. Poza tym oprócz tych stworzeń Grecy jadają także warzywa i ryby. Nie jest to tak zdrowe jak nasze pocztowe smażeniny, ale zachowują zęby i ładną cerę dłużej niż większość Anglików.

- A więc wolałby pan jutro rano na śniadanie kałamarnicę zamiast bekonu? - spytała słodko.

- Ach, to nie ja uskarżam się na apetyt! - powiedział szybko, uśmiechając się. Otworzył książkę. - Mam czytać dalej? - zapytał.

- Tak, proszę - powiedziała, starając się ukryć satysfakcję.

A więc może to być gra, pod warunkiem, że ona się nie zapomni. Jeżeli się tego nauczy, czeka ją miesiąc pełen radości i śmiechu. Nie spodziewała się niczego więcej i bez względu na to, co mogło dziać się w jej sercu, niczego więcej nie pragnęła. Mogła przecież liczyć tylko na przyjaźń z hrabią, ale gdyby straciła dla niego głowę lub serce, byłoby to bardzo bolesne.

Wiedziała, że się nią interesuje. Nie była to kwestia próżności, lecz prostej logiki. Nudził się, a w pobliżu nie znajdowały się żadne inne młode kobiety. Nie uważała się za wielką piękność, ale choć żyła na wsi, nie znajdowała się w kompletnej izolacji. Zdarzało już jej się budzić zainteresowanie u mężczyzn, często nawet żonatych lub nieosiągalnych z innych powodów. Ten też się do nich zaliczał. Pogodziła się z tym i wiedziała, że on także. Bądź co bądź jest przecież dżentelmenem.

Odprężyła się, a podniecenie wywołane flirtem przygasło. Oparła się wygodniej i słuchała, jak jej gość czyta o zagubionym wędrowcu, próbującym odnaleźć drogę do domu.

W ich chacie nie czuło się już teraz pustki popołudniami, prawdę mówiąc, nie doznawało się takiego wrażenia ani przez chwilę. Aleksandria stwierdziła, iż, prócz tego że miło jest jej przebywać w towarzystwie swego niezwykłego pacjenta, przyzwyczaiła się też do tego, że często słyszy śmiech. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo samotnie czuła się dotychczas popołudniami. Stary pies chłopców zdechł miesiąc temu, a ona nie miała ani serca, ani okazji, by się postarać o nowego szczeniaka, a przecież wiekowy Sport stanowił jej jedyne towarzystwo podczas długich wieczorów. Pojawienie się hrabiego zmieniło sytuację diametralnie.

Pani Tooke nie sprawiała najmniejszych kłopotów. Prze-

ciwnie, okazała się wielce pomocna. Stała jej obecność okazała się przyjemną nowością dla Aleksandrii. Dziewczyna bardziej dbała o swój wygląd co rano, a wieczorem zasypiała z uśmiechem na ustach. Oddała swoją sypialnię, ale w zamian za to otrzymała nowe perspektywy.

Miała teraz więcej pracy, ale też była szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Jej życie w jakiś dziwny sposób nabrało większej wagi. Hrabia Drummond nigdy nie opuszczał sypialni, ale jego obecność czuło się w całym domu. Aleksandria złapała się na tym, że zastanawia się, co chciałby zjeść na obiad, co sądzi o wiadomościach z gazety, jak odniósłby się do tego, gdyby wplotła we włosy różową wstążkę. Nigdy się nie uskarżał, chociaż beczynność wyraźnie mu dokuczała. Należał do wyższych sfer, ale czasami... zbyt często zdaniem Aleksandrii... zapominała o jego statusie i pamiętała tylko, że jest przemiłym, czarującym człowiekiem. Dlatego też pilnowała, by nigdy nie znaleźć się z nim sama.

Razem z panią Tooke spędzały wesołe śniadania i lunche w jego towarzystwie. Po powrocie do domu zabawiali go chłopcy. Doktor pojawiał się często. Zaledwie po tygodniu tryb życia w małym domku uległ kompletnej zmianie.

Hrabia był niezwykły, fascynujący, a jego obecność równie nietrwała jak przelot komety po niebie. Dlatego też Aleksandria uznała, że nie powinna się dziwić, iż od chwili, w której go znaleźli, wszystko dookoła nich wciąż ulegało zmianom.

Chłopcy jak zwykle budzili się o świcie. Jedli śniadanie, zaprzęgali Pioruna do wozu i jechali do szkoły. Aleksandria i pani Tooke przygotowywały tacę i niosły ją gościowi.

- Ach, druga tura. Dzień dobry - mówił radośnie Drum, kiedy się pojawiały. Chłopcy przed wyjściem dbali o jego potrzeby osobiste, zaś zadaniem kobiet było go nakarmić. Męczył go ten stan zależności, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, ale starał się obracać to w żart i oni też tak czynili.

Przynosiły mu gazetę, żeby miał czym się zająć, kiedy musiały oddalić się do swych obowiązków, a potem on relacjo-



nował im co ciekawsze fragmenty i komentował. Ten człowiek był półżywy zaledwie kilka dni temu, pomyślała Aleksandria, przyglądając się mu badawczo, ale teraz z jego twarzy znikła niezdrowa bladość, w oczach pojawił się blask, a sińce zaczęły znikać. Gdyby nie łupki na nodze, nie zgadłoby się, że życie Drummonda było kiedykolwiek zagrożone.

Gawędzili na temat najnowszych londyńskich wiadomości, gdy nagły hałas, jaki dobiegł ich z dworu, sprawił, iż Aleksandria raptownie poderwała głowę. Wyrzała przez okno. Na podwórko wjeżdżała karetka... nie, dwie! A także dwaj forysie w liberjach, dosiadający pięknych wierzchowców. Takiego zamieszania nie było tu od czasu, gdy zmarł pan Gascoyne. A już na pewno nie pojawiały się tu takie eleganckie powozy.

- Co się stało? - zapytał Drum, urywając w połowie jakiś żart.

- Mamy gości - szepnęła ze zdumieniem, opierając się łokciami o parapet okienny. Jedna z karetek zdobiona była herbem, a druga, mimo że zakurzona po długiej podróży, lśniła tak jasno, iż odbite od niej promienie słoneczne poraziły oczy dziewczyny. Na dachu tegoż właśnie pojazdu znajdowały się tak liczne walizy i pudła, iż mogłoby się zdawać, że ktoś się przeprowadza. - Do pana.

Aleksandria i pani Tooke pospieszyły na podwórko. Z jednej z karetek wysiadł schludnie ubrany, żylasty mężczyzna. Skłonił się, kiedy podeszły bliżej.

- Dzień dobry - powiedział. - Jestem Austin Grimes, osobisty lokaj pana hrabiego Drummonda. Posłał po mnie. O ile dobrze rozumiem, pan hrabia przebywa tutaj. - Wyraz bezbarwnych oczu lokaja wyraźnie jednak mówił, że z trudem w to może uwierzyć.

Zwrócił się do pani Tooke, która skinęła w stronę Aleksandrii.

- Ja jestem tu tylko gościem. Oto panna Gascoyne, pani tego domu.

, - Tak, jest tutaj - odrzekła Aleksandria. - Ale zanim pan pójdzie do niego, jest kilka kwestii, które należałoby czym prędzej rozstrzygnąć.

Grimes słuchał z powagą, gdy opowiadała mu o stanie zdrowia jego pana i relacjonowała ostrzeżenia doktora. Po-tem powiedziała mu, dokąd ma iść.

- Zapakował pan rzeczy dla ośmioosobowej rodziny i je-stem pewna, że pan hrabia to bardzo doceni, ale na tym ko-niec. W tym domu nie ma już ani cała wolnego miejsca, jak sam pan widzi - ciągnęła, machając ręką w stronę budynku. - Nawet szopa jest zapełniona. Jednak doktor powiedział, że może pan zamieszkać u niego. Ma bardzo przyjemny domek, choć może niezbyt wytworny. W tej okolicy żyje się skrom-nie. Nawet u doktora nie pomieści się więcej niż pięć osób, więc proponuję, żeby pańscy... towarzysze... wrócili do Lon-dynu... razem z większością bagaży.

Czekała na jego reakcję, mając wrażenie, że potrwa to co najmniej rok.

- Przepraszam - dodała, trochę zawstydzona. - Z pewno-ścią odbyliście długą i męczącą podróż. Ale wasz pan czuje się całkiem dobrze. Tyle tylko że tutaj naprawdę nie ma ani skrawka wolnego miejsca.

Grimes milczał, sądząc, że dziewczyna powie coś jeszcze. Kiedy jednak tego nie uczyniła, podziękował i poszedł na górę do sypialni swojego pana. Ona zaś pozostała, by przyjrzeć się reszcie służby. Stangreci siedzieli na kozłach i przypatry-wali się jej czujnie z góry. Forsysie zsiadli z koni i stali przy swoich wierzchowcach, zakurzeni i wyraźnie znużeni.

- W kuchni mogą pomieścić się dwie osoby na raz - zwró-ciła się do nich. - Możecie zrobić zmiany. Mamy jabłecznik, herbatę i ciastka. - Teraz oni popatrzyli niepewnie.

Pani Tooke założyła ręce na piersiach.

- Możecie na razie zostawić karety tak jak są - rzekła sta-nowczo. - Przywiążcie konie w pobliżu stajni albo niech się pasą na łące obok. Mamy siano i wodę, ale brak nam miej-sca dla ludzi. Skorzystajcie z pompy, żeby się umyć, a ja przyniosę wam coś do jedzenia i picia.

- Tak jest, proszę pani - powiedzieli chórem i z wyraźną ulgą zaczęli spełniać jej polecenia.

- To służba z pańskiego dworu - wyjaśniła pani Tooke Aleksandrii, gdy weszły do domu. - Trzeba im powiedzieć, co mają robić, bo nie lubią narażać się na pomyłki. Zapytamy pana hrabiego, co z nimi zrobić, ale zanim to nastąpi, ktoś musiał im wydać polecenia.

- Rozumiem - powiedziała z zażenowaniem Aleksandria, - Istnieją rzeczy, których nie można nauczyć się z książek. Pan Gascoyne wiedział wszystko na temat etykiety, ale nigdy nie miał do czynienia z podobnymi ludźmi.

- Na pewno miał - stwierdziła pani Tooke. - A także z ich synami. Jestem pewna, że wiedział bardzo dużo. Wybacz mi, ale moim zdaniem on po prostu nie potrafił postępować z ludźmi należącymi do jakiegokolwiek klasy, wyższej czy niższej. Przecież to właśnie dlatego znalazł się tutaj, prawda?

Aleksandria ze smutkiem pokiwała głową.

- Racja. Nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie ludzi z arystokracji. Twierdził, że dobra krew nie oznacza dobrego charakteru, chociaż panowie sądzą coś przeciwnego. Nie lubił też osób z klas średnich. Uważał, że pieniądze nie stanowią o człowieku, chociaż się często tak sądzi. Uwielbiał powtarzać to zdanie. - Trudno byłoby jej o tym zapomnieć. Pan Gascoyne nie znał zbyt wielu zabawnych powiedzonek. - A poza tym utrzymywał, że chłop zawsze pozostanie chłopem i nic na to nie poradzi - dodała tak smętnie, że pani Tooke zmarszczyła brwi.

- A więc on doceniał...

- Samego siebie. I swoich przyjaciół... chyba - powiedziała Aleksandria. - Ale nie był złym człowiekiem. Okazałabym niewdzięczność, sądząc tak. - Zamyśliła się na chwilę. - Moim zdaniem należał do tych ludzi, którzy mówią co innego i robią co innego. Tak jak pan Bailey, który ma sklepik w miasteczku. Twierdzi, że nie znosi dzieci, ale kiedy chłopcy przynoszą mi zakupy, zawsze znajdują w paczce jakieś słodczy.

- Pan Bailey nie cierpi dzieci. Łakocie mają zaskarbić mu twoją życzliwość - odrzekła pani Tooke.

- Ależ skąd - oburzyła się Aleksandria. - Przecież on jest, prawie taki stary jak pan Gascoyne.

- Owszem - przyznała pani Tooke. - Jest w wieku, kiedy mężczyzna sądzi, iż słodczyce mogą zyskać mu czyjś uśmiech, zwłaszcza że nie ma nic więcej do zaoferowania.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Jakże by! Przecież nigdy nie powiedział nic, co mogłoby podsunać mi takie podejrzenia!

- Mówił, ale ty bardzo rozsądnie nic z tego nie słyszałaś - stwierdziła pani Tooke. - Jest dla ciebie o wiele za stary.

Aleksandria zaśmiała się w duchu, ale bez słowa poszła pomagać pani Tooke szykować przekąskę dla niespodziewanych gości.

## 7

- Nie - powiedziała Aleksandria, siląc się na spokój, chociaż zbierało się jej na łzy. - Nie, dziękuję. To najzupełniej zbędne. Nie. To absurd!

Chłopcy byli rozczarowani. Pani Tooke sprawiała wrażenie zafrasowanej. Doktor zmarszczył brwi.

Drum spojrzął na dziewczynę ze współczuciem.

- Proszę mnie zrozumieć - rzekł. - Wcale nie zamierzałem pani obrazić. Po prostu jestem leniwy i lubię wygodę. Pragnę tylko, choć wiem, że być może pozwalam sobie na nazbyt wiele, żeby zechciała pani rozważyć możliwość wyrażenia zgody. Bardzo by mi to ułatwiło życie - dodał żalostnie. - Tyle już wycierpiałem, że dla odmiany z przyjemnością zrobię coś, jak należy.

Zacisnęła zęby. Ten człowiek nie ma zwyczaju użalać się nad sobą. Po prostu robi sobie z niej żarty.

- Jeżeli w jakiś sposób okaże się to dla pani przydatne, to bardzo dobrze - ciągnął. - Nie rozumiem, na czym polega problem.

- To nonsens - zaprotestowała. - Wystarczy panu jeden lokaj. Nie trzeba panu więcej służby. Służba w wiejskiej chacie! - podniosła głos. Poczowała, że nabrał on niemile ostrego tonu, i wzięła głęboki wdech.

- Nie - odparł gładko. - Służba zamieszka w szopie.

- W szopie, w szopie - mówiła, starając się zachować cierpliwość. - Ale to przecież bez sensu. I proszę nie twierdzić, że potrzebni są do zajmowania się końmi - dodała gorąco. - Bo gdyby ich tu nie było, nie trzeba by tylu wierzchowców. - Znowu nabrała tchu. - Proszę mnie posłuchać, milordzie. Odsyła

pan karety do Londynu, więc niechże pan zrobi to samo ze swoimi forysiami.

- Posłużą jako lokaje - odparł.

- Forysie, lokaje, co za różnica! - wybuchnęła. - To dwóch więcej ludzi i dwa dodatkowe konie. Po co jednemu człowiekowi trochę służby? Nie ma tu miejsca ani dla ludzi, ani dla zwierząt, a już szczytem nonsensu i arogancji jest propozycja, że pańscy ludzie wybudują dla siebie szopę! - Usłyszała, że ktoś w pokoju wydał lekki okrzyk, i to jeszcze zwiększyło jej irytację.

- Być może pozwalam sobie na trochę zbyt wiele - wtrącił gładko. - Ale żeby arogancja? Wcale nie o to chodzi. Muszę tu zostać jeszcze przez kilka tygodni. To chyba nic złego, że chciałbym powiększyć waszą szopę. Nie proszę o wyrażenie zgody na rozbudowanie domu, który wygląda uroczo, tak jak jest. Poza tym - dodał - stukania i łoskoty przyprowadziłyby mnie o ból głowy, a jestem pewien, że doktor by na to nie pozwolił. Ale szopy? - zapytał. - Ci ludzie to moi towarzysze broni. Rozkładaliśmy się obozem, ilekroć tak było trzeba, ale tutaj namioty nie wyglądałyby najlepiej. Poza tym są silni i zręczni. Zrobili już pomiary i wyrysowali projekt. Jedynie, czego im trzeba, to materiały. Ja ich dostarczę. Wtedy powiększą szopę, a zajmie im to najwyżej parę dni. W ten sposób będą mieli gdzie spać, tak samo jak pan Grimes. Dzięki temu nie będziemy nadużywać gościnności doktora - ciągnął. - Poza tym nie będzie pani musiała mnie obsługiwać, a ja będę mógł zajmować się moimi sprawami podczas pobytu tutaj. Kiedy odjadę, zostawię po sobie coś więcej niż tylko brudną pościel. I co w rym może być złego?

Chłopcy spojrzeli na Aleksandrię z nadzieją. Ich niewielka szopa pilnie wymagała naprawy. Dzięki rozbudowie znalazłoby się więcej miejsca dla zwierząt, a nawet i bracia mogliby się tam bawić.

Jednak dziewczyna sądziła, że jest to nie w porządku. Czuła to w głębi serca, chociaż nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Nie chciała się zgodzić, gdyż, prawdę mówiąc, główny uszczerbek poniosłyby na tym jej duma i dobre samopoczucie.

cie. Albowiem, kiedy opiekowała się rannym, miała wrażenie, że jest mu równa. Jeżeli zaczęłby robić prezenty, czułaby się jak płatna pielęgniarka.

Przyjęła go z dobrego serca. Nie jest żebraczką. Pracowała ciężko, aż w końcu została pełnoprawną panią tego domu, mającą wystarczające środki, aby utrzymać siebie i chłopców. Nie był to pałac, a jej zasoby nie wykraczały wiele poza minimum, ale nie zależała od nikogo poza samą sobą i nie chciała mieć wrażenia, że znajduje się w tym domu tylko z czyjejś łaski.

Już przecież poczyniła pewne odstępstwa od swoich zasad. Dopiero co zakończyli spór na inny drażliwy temat: jedzenia dla wszystkich... i ona musiała ustąpić. Teraz jej gość chciał dokończyć nieosiągalnych dla niej udoskonaleń jej własnej szopy.

Wiedziała, że dla niego jest to równie proste jak zakup nowego surduta, zaś jej nigdy nie byłoby na to stać. Co więcej, otrzymałaby to za darmo, przez co rzecz zaczynała niepokojąco zbliżać się do działań dobroczynnych. A ona już miała dosyć korzystania z cudzej łaski. Nie posiada wiele, ale też i nie zależy od nikogo na świecie. I ta właśnie myśl pozwoliła jej 'wpaść na właściwą odpowiedź.

- Ale co o tym powiedzą ludzie? - spytała wyniośle. Dostrzegła jego zmieszanie i od razu poczuła się lepiej. - Mój drogi panie - ciągnęła. - Kiedy stąd pan odjedzie, co, pańskim zdaniem, będzie się mówiło na temat tego, że gościłam przez kilka tygodni szlachcica, który na odjezdnym zostawił mi zupełnie nowy budynek?

Z przyjemnością zauważyła, że stracił nieco opanowanie. Tyle tylko że chyba nie w taki sposób, o jaki jej chodziło.

Drum odchylił do tyłu głowę i ryknął śmiechem. Pani Tooke z trudem zachowywała powagę, a doktor wyglądał na wielce rozweselonego. Chłopcy zmieszali się, tak samo zresztą jak Aleksandria.

- Ach, droga panno Gascoyne - rzekł w końcu Drum, ocierając łzy z oczu. - Budynek, powiada pani? Jak bardzo zepsuje to pani opinię? Z pani reakcji można by sądzić, że jeżeli dżentelmen postawi damie „budynek”, to jest to równie gor-

szące, jak gdyby zostawił ją z dzieckiem. Chyba nie o to pani chodziło. Szopa to nie to samo co naszyjnik z brylantów, chociaż przyznaję, iż jest to znacznie bardziej osobisty prezent niż pudełko czekoladek. Mimo to nie sądzę, by wiele dam otrzymywało szopy od... - tu rzucił okiem na chłopców - dżentelmenów przebywających u nich w gościnie.

Chłopcy prychnęli śmiechem, a Aleksandria posłała im mordercze spojrzenie.

- Trudno mi więc powiedzieć - ciągnął Drum. - Mogę najwyżej zgadywać. Sądzę, że ludzie pomyślą, iż hrabia Drummond jest nie lepszy od wielu innych bogatych próżniaków, którzy starają się dostosować świat do swoich zachcianek. Musiał leżeć przez miesiąc i zbudował szopę dla swojej wygody? Będą zgorszeni i oburzeni. Uznają, że jestem zepsuty i ekscentryczny. Dzięki temu moja reputacja poprawi się znakomicie, a twoja nie dozna najmniejszego uszczerbku. Z pozycji aroganta, a także na podstawie tego, co wiem o tym okrutnym świecie, proszę sobie pozwolić powiedzieć, że ludzie zaczną żałować, iż nie złamałem sobie nogi pod ich domem.

Wszyscy obecni zaśmiali się, poza Aleksandrią. Jego słowa sprawiły, że wyszła na głupią. A więc, czemu nie? pomyślała z rezygnacją. On przecież prawdopodobnie nie jest aż taki zepsuty i ekscentryczny, ale przecież posiada tytuł, pieniądze i władzę. Wobec tego jej duma nie znaczy nic. Kogo poza nią samą obchodzi jej duma? Głupia była, sądząc, że zdoła powstrzymać go przed spełnieniem swoich zachcianek. Ale przecież nie musi się przy tym upierać.

- Dobrze - rzekła, schylając głowę. - Proszę zrobić tak, jak pan uważa. Zgadzam się, że postąpiłam nierozsądnie, sprzeciwiając się.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, nie zauważając zmarszczki, jaka pojawiła się na czole jej pacjenta.

Aleksandria wyładowywała swój gniew na chwastach w ogrodzie, kiedy pojawili się przy niej chłopcy z wiadomością, że czeka na nią niespodzianka na górze. Udała się więc



na piętro, mając jak najgorsze przeczucia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co to może być, ale wcale nie pragnęła otrzymywać następnego prezentu od swego samowolnego gościa.

Od wczorajszej dyskusji unikała go, tłumacząc się nawet obowiązków. Zabdała też o to, by było to prawdą. Tyle tylko że on miał jeszcze więcej roboty, a służący biegali na górę i na dół, dopóki wreszcie wieczorem nie nakazała im Opuścić domu. Zabrali koce i rozłożyli się obozem u progu jej domu. Co jakiś czas wyglądała przez okno, martwiąc się, że mogą ucierpieć od wilgoci i niewygód, ale następnego ranka nie wydawało się, by stała się im jakaś krzywda.

O świcie wzięli się do roboty, wyznaczając zarysy, wbijając paliki, rozciągając sznurki i wytyczając podstawy. Już teraz widziała, że szopa będzie większa niż dom. Chociaż usiłowała o tym nie myśleć, gdyż jej wczorajsze protesty wydały się jej coraz bardziej niemądre, cieszyła się, że teraz uda się trzymać Znacznie więcej kur, a jeśli budynek okaże się wystarczająco porządny, to może też uda się w nim wygospodarować miejsce do nauki dla chłopców.

Zatrzymała się w progu sypialni, szeroko otwierając oczy. Wysoki, ciemnowłosy dżentelmen siedział w fotelu przy oknie. Tak bardzo ją to zaskoczyło, że dopiero po chwili pojęła, iż nie jest on jej obcy. Kiedy w końcu stwierdziła, że koszulę nocną okrywa długi, kolorowy szlafrok, nabrała pewności, kto to jest. No i pomogło jej także to, że jedną nogę opierał na stołku... nogę, opatrzoną w łupki.

- Nie widziałem pani przy śniadaniu - powiedział Drum, uśmiechając się i gestem zapraszając ją do środka. - Czy wreszcie mi pani przebaczy?

Wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy leżał w łóżku. Teraz już nie sprawiał wrażenia bezradnego i osłabionego. Każdy jego gest nacechowany był wyniosłością, elegancją i siłą. Aleksandria pohamowała chęć dygnięcia. Spuściła wzrok.

- Miałam dużo pracy - rzekła, a potem dodała: - Widzę, że czuje się pan już lepiej.

- Owszem, dziękuję bardzo. Właściwe nastawienie do

swojej choroby może znakomicie pomóc w kuracji. Jestem ogolony i poniekąd odziany. We własnym ubraniu, siedząc, czuję się od razu zdrowszy. Nie śmiałbym, oczywiście, negować tego, co pani dla mnie zrobiła - rzekł szybko. - Ale Grimes wie, do czego jestem przyzwyczajony, a ja nie mam oporów, by od niego wymagać usług.

Kiwnęła głową, założywszy ręce przed sobą, jak gospoia czekająca na dalsze polecenia.

Popatrzył na nią i stwierdził, że ogarnia go przemieszane z rozbawieniem współczucie. Znał wiele pięknych, a także i brzydkich kobiet, ale żadna z nich nie była tak nieelegancka, jak ta dziewczyna w chwili obecnej. Miała na sobie okropną, starą suknię, prawdopodobnie kiedyś zdobioną wzorem w kwiatki, luźną, zupełnie nie pasującą do naturalnej elegancji jego gospodyni.

Zatrzymała się przy oknie, a słońce oświetlało ją od tyłu. Drum zauważył, że tkanina jej sukni jest tak sprana, że stała się cienka i prawie przezroczysta. Dostrzegł zarys szczupłego brzucha i wznoszące się nad nim łagodnym łukiem piersi. Szybko odwrócił wzrok.

Przeklął w duchu swą natychmiastową reakcję, jaką wywołał ten widok. Wiedział, że jest ona czysto fizyczna, ale nie mógł sobie na coś podobnego pozwalać. Modne damy chętnie nosiły suknie z cienkiego materiału właśnie po to, aby wywołać podobny efekt, ale niech go diabli; ta kobieta prędzej utopiłaby się w najbliższym stawie, niż celowo dążyłaby do czegoś podobnego. Prawdę mówiąc, z pewnością przeraziłaby się, wiedząc, co zobaczył. Lepiej więc, żeby już więcej na nią nie patrzył, gdyż mógłby się jej tym poważnie narazić.

Opanował się szybko. Nie jest przecież rozparzonym chłopczkiem. Może z łatwością zaspokoić swoje pragnienia gdzie indziej, a w dodatku bez żadnego ryzyka. Zna swoją wartość. Jest arystokratą o doskonałym pochodzeniu i szuka żony. Dama musi spodobać się jego ojcu, a co więcej, odpowiadać jego randze i statusowi. Ma dosyć pieniędzy, aby wynająć sobie cały harem, ale na tę właśnie uroczą dziewczynę po prostu go nie stać.

Rzucił okiem na twarz Aleksandrii, by sprawdzić, czy nie dostrzegła jego niepożądaney reakcji. Ona zaś odwróciła głowę i wyglądała przez okno. Skorzystał Z okazji, by się jej przyjrzeć, i stwierdził z zaskoczeniem, że wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Na policzku miała złocistą smugę. Chłopcy mówili, że pracowała w ogrodzie, więc jest to pewnie pyłek kwiatowy. Na białym ramieniu widniało ciemne pasmo, a włosy w nieładzie zawierały w sobie także gałązki i liście. Unikała też jego wzroku.

Nic w tym dziwnego, że mnie unika, pomyślał ze współczuciem i zawstyżeniem, widząc, jak patrzy wszędzie, tylko nie na niego. To nie przez moją pożądlivość. Wcale jej nie spostrzegła. Po prostu stara się ukryć swoje uczucia, a przecież tak łatwo jest je odczytać.

Spojrzenia pełne podziwu żenowały ją, komplementy budziły w niej zachwyt i przerażenie, próby flirtu rozbrajały i wprawiały w zmieszanie. To dziwne, pomyślał, bo przecież zazwyczaj zachowywała się z pełnym spokojem, jak kobieta, która niejedno wie i w niejednej grze brała już udział. Teraz przekonał się, że wcale tak nie jest.

Jaka szkoda, że stać go najwyżej na flirt. Gdyby zaś chciał okazać jej prawdziwą życzliwość, powinien po prostu zostawić ją w spokoju. Ale może kiedyś zdoła jakoś jej pomóc, bo widać było wyraźnie, że pomoc by się jej przydała.

Choćby na przykład to, że żyje w takiej dziwacznej izolacji. Spędził tu już sporo czasu, a nie odwiedził jej nikt poza doktorem i panią Tooke, która zresztą została wezwana przez tego ostatniego. Aleksandria prowadziła dom jak najsurowszy sierżant, zajmowała się chłopcami jak matka i dbała o ich naukę niczym kwalifikowana guwernantka. Nauczycielka, matka, sierżant, ale nie kochanka? Ta dziewczyna to istny kłębek sprzeczności. Prosta kobieta ze wsi o wykształceniu lepszym niż większość pańienek z dobrego domu. Piękna panna nie mająca starających się i wcale o nich nie dbającą. Tajemniczość zawsze fascynowała Druma, a poza tym nie podobało mu się, iż dziewczyna ta po prostu się tutaj marnuje.

- Mogę też chodzić - powiedział, żeby przerwać ciszę, która zrobiła się niepokojąca. - No, nie do końca. Grimes przynosi mnie z miejsca na miejsce. Czyżbym czymś panią obraził? - zapytał zniecierpliwiony. - Nie chciałem tego. Przez całe rano miałem towarzystwo, ale zastanawiałem się, gdzie pani jest. Pani Tooke to przemiła osoba. Widziałem się także z moimi ludźmi. Był tu też, oczywiście, Grimes. Chłopcy pojawili się przed pójściem do szkoły, ale powiedzieli, że jest pani zajęta. Unika mnie pani. Bardzo mi z tego powodu przykro. Czy możemy znowu być przyjaciółmi? Brakowało mi pani.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Mnie? Panu? - spytała, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Nie kłamię - odparł z powagą, patrząc jej prosto w oczy. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że spuścił wzrok. Strzepnął niewidzialny pyłek ze swego jedwabnego szlafroka. - Czasem upiększam prawdę - dodał. - A czasem ją omijam. Ale nie kłamię.

- Ach! Już rozumiem. To znaczy, że zastanawiał się pan, czemu nie przyszedł, i czuł się winny? Doskonale. W to mogę uwierzyć.

Zaśmiał się.

- Tak, ale brakowało mi także rozmowy z panią - przyznał uczciwie. - Doktor twierdzi, że muszę tu zostać jeszcze przez kilka tygodni. Niepokoją go moja noga i głowa. Wciąż się obawia, że wstrząsy podczas jazdy kareta mogłyby okazać się zgubne. Nie pozwala mi używać kuli jeszcze przez cały tydzień! A więc jeśli mam tu zostać, a obawiam się, że jest to konieczne, to czy możemy zawrzeć pokój? To nie moja wina, że jestem takim tyranem. Po prostu tak mnie wychowano. Co więcej, z natury lubię wtrącać się w nie swoje sprawy i wścibiać w nie nos. Przydawało mi się to podczas wojny i w końcu do tego przywykłem. Postaram się poprawić. Teraz jednak wolno mi tylko rozmawiać i potrzeba mi tego jak chleba i wody. Chciałbym rozmawiać z panią. Kiedy pani będzie mogła i kiedy pani zechce, oczywiście. Zgoda?

Tak miłej prośbie nie sposób było odmówić. Uśmiech, który jej towarzyszył, był wprost nieodparty. Jakie to dziw-

ne, że ten tak władczy człowiek mógł nagle wyglądać równie niewinnie jak któryś z jej chłopców. Talent ten jest go-dzien zazdrości. Aleksandria nie wątpiła nawet przez chwile, że jest on tak samo wyuczony, jak i ta przemowa.

Kiwnęła głową.

- Dobrze, świetnie. Ale czy mógłby pan postarać się przy-jąć do wiadomości, że nic od pana nie chcę? Nie potrzebuję pańskich pieniędzy ani prezentów. Natomiast chętnie będę Z panem rozmawiać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Proszę więc usiąść i opowiedzieć mi wszystkie ploteczki z okolicy, a także to, co robiła pani dziś rano.

Uśmiechnęła się, gdyż jego słowa zabrzmiały raczej jak polecenie.

- Nie, dziękuję. Nie chcę pognieść pościeli.

Zdziwił się, a potem zawstydził. Siedział w jedynym fote-lu, jaki znajdował się w tym pokoju.

- Muszę postarać się o drugi...

- Nie, ja się tym zajmę - przerwała mu. - Ale wolałabym postać. Jestem okropnie brudna. Przez całe rano pracowałam w ogrodzie. Tam też usłyszałam najnowsze plotki. Hm, hm, co to było takiego? Nowa rodzina raszek wprowadziła się do opuszczonego sadu przy drodze. Widziano też w nocy borsuka, jak wracał, zataczając się, do domu. Ach! I jeszcze jedno: złotokap zakwitł.

Nie zaśmiał się, choć to właśnie było jej celem. Przeciwnie, na jego twarzy pojawił się wyraz smutku.

- Nie ma pani sąsiadów? - zapytał poważnie.

- Ależ skąd, jest ich kilku - odparła szybko. Nie chciała jego litości. - Ale mało mamy ze sobą wspólnego. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ci ludzie są bardzo poczciwi. Jestem pewna, że przybiegliby natychmiast, gdybym miała jakieś kłopoty. Ale nie znamy się nazbyt dobrze. Gdy chłopcy byli młodszy, nie pozwalano im bawić się z okolicznymi dzieć-mi. Pan Gascoyne twierdził, że nie chce, żeby przyjaźnili się Z, jak to określał, istotami o niższej umysłowości. Dlatego

niewiele o sobie wiemy. Dzieci nawiązują przyjaźnie, choć rodzice wcale sobie tego nie życzą, a takie znajomości z dzieciństwa mogą przetrwać przez całe życie - wyjaśniała, jakby powtarzając wyuczoną kwestię. - Pan Gascoyne dobrze to wiedział. Nie lubiano go w okolicy i wcale nie zabiegał o sympatię sąsiadów. Chłopcy są teraz znacznie lepiej wykształceni niż dzieciaki z sąsiedztwa, więc nie bardzo mieliby o czym z nimi rozmawiać. Nie ma między nimi wrogości, ale też i zażyłości. Można by prędzej oczekiwać, że owce zaprzyjaźnią się z krowami. Żyjemy obok siebie, ale nie mamy ze sobą wiele wspólnego. - Zaśmiała się.

Nie krygowała się, zauważył Drum w myślach. Jej śmiech nie był sztuczny czy wyuczony. Brzmiał ciepło i naturalnie i człowiek miał od razu ochotę się do niej przyłączyć. Ale nie tym razem.

- Oto i wiejskie ploteczki - stwierdziła drwiąco. - Będzie pan miał o czym opowiadać swoim londyńskim przyjaciółom.

- A koledzy ze szkoły? - zapytał, ignorując jej uwagę. - Z pewnością przychodzą tu czasem z wizytą?

Pokręciła głową.

- Nie, chłopcom nie wolno było też przyjaźnić się z innymi uczniami. Zbyt wielka istnieje między nimi przepaść społeczna, a pan Gascoyne nie chciał, żeby pragnęli rzeczy, których nigdy nie dostaną. Dlatego też ich życie obraca się wokół naszego domu, ale to wcale nie jest aż takie złe.

- A pani? - zapytał sucho. - Pozwalano pani przyjaźnić się z okolicznymi dziećmi albo żonami nauczycieli?

- Ach, ja - odparła i znów odwróciła się twarzą do okna. - Potrzebna byłam tutaj. Nie miałam czasu na spotkania z koleżankami, nawet gdyby pan Gascoyne mi na to zezwalał.

- Do licha! - wykrzyknął Drum. - Nie chciałbym mówić źle o pani ojcu, ale co z niego był za człowiek?

Spojrzała na niego, a oczy jej pociemniały.

- Wziął pod opiekę dzieci, które, gdyby nie to, znalazłyby się na ulicy - odparła. - Kit był bardzo mały, więc mógłby zostać czeladnikiem kominiarskim i nigdy nie urosnąć,

a co gorsza, dostać jakiejś śmiertelnej choroby, spędzając całe dnie w brudnych kominach. Vin, duży i silny, mógł trafić do murarza albo tragarza i pracować ponad siły jak koń pociągowy. A tak jest znakomitym uczniem. A Rob zawsze popadał w kłopoty. Gdyby miał złego pana, być może już go by tu z nami nie było.

- A pani? - zapytał cicho Drum, przyglądając się jej z uwagą. Lekko wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

- Och, ja... - szepnęła, uśmiechając się smutno. - Przecież jestem dziewczyną. Pan Gascoyne nie rozumiał się na małych dziewczynkach. Myślał, że mnie chroni. Może i tak było, kto wie?

Drum stwierdził ze wstydem, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Tak więc zamiast tego opowiedział jej wszystko, co tego ranka wyczytał w gazecie.

## 8

Przeróbka szopy odbyła się bardzo szybko. Austin Grimes zatrudnił do pomocy ludzi, którzy dostarczyli drewno z tartaku. Drum obserwował przez okno, jak wznoszą się nowe ściany, niecierpliwiąc się, że nie może zobaczyć, jak to wygląda w środku. Nie wolno mu było schodzić na dół, więc mógł polegać tylko na sprawozdaniach innych osób. Kiedy dzieło zostało skończone, przyszli na górę, by mu o tym obwieścić.

- Ileż tam teraz miejsca! Zmieści się jeszcze pięć koni - mówił podekscytowany Vin. - A na stryszku są okna.

- I jak tam widno! Stryszek jest wielki - stwierdził entuzjastycznie Kit. - Można tam siedzieć aż do zapadnięcia zmroku i czytać bez potrzeby zapalania lampy.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - rzekł z satysfakcją Grimes.

Dwaj pozostali służący Druma stali w niewielkim przed-sionku przed sypialnią, bo już nie mogli pomieścić się w środku. Popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się.

- Drewno jest doskonałe. Rzadko kiedy się takie widuje - powiedziała z podziwem pani Tooke.

- Dębina - odparł Drum, powstrzymując się przed złożeniem ukłonu.

- Drewno złotego dębu, gładkie, lśniące i nie wymagające częstej konserwacji. Jestem pełna podziwu, milordzie.

- Szopa jest teraz znacznie ładniejsza, czystsza i większa - zapał Rob. - Moglibyśmy tam nawet zamieszkać!

Zapadło nagle milczenie i wszyscy popatrzyli na Aleksandrię. Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu.



- Więc może zrobmy tak. A Pioruna przeniesie się tutaj. jak sądzisz, spodoba mu się twoje łóżko, Rob?

Chłopiec przygryzł wargę.

- No, chyba nie. - Popatrzył na nią prosząco. - Ale tam test naprawdę wspaniale, Ally.

- Tak - przyznała. - Szkoda tylko, że szopa nie pasuje do reszty zabudowań.

Drum pohamował się, by nie odpowiedzieć natychmiast. Bez najmniejszego uszczerbku dla swoich funduszy mógłby postawić im nawet nowy dom, ale posunąłby się wtedy o wie-e za daleko. Powiększenie szopy to jedno, a zbudowanie pięknego domu dla młodej kobiety to coś zupełnie innego. Zmarszczył brwi. Aleksandria miała jednak trochę racji. Granica między tym, co uznano by w świecie za dbałość o własną wygodę, a tym, co potraktowano by jako nagrodę za uległość, była w istocie bardzo cienka.

- Ależ wasz dom jest zabytkowy, Rob - powiedział. - Co-rzaz mniej buduje się takich chat krytych strzechą. Mają one zalety, nieosiągalne dla nowych domów.

- Racja - zgodziła się słodko Aleksandria. - Zwolennicy nowoczesnych wygod wiele tracą. Nie mają okazji uderzać się w głowę, ilekroć wchodzą po schodach. Ale warto pocierpieć, bo przecież tutaj jest tak przytulnie. Cały dom można ogrzać, używając do tego paru szczap drewna, więc po co komu więcej przestrzeni? Zawsze można wyjść sobie na dwór. Ludzie mieszkający w nowych domach nie mają też takiego ścisłego związku z naturą. Owszem, zdarza się, że na poddaszu zagnieżdzą się u nich jaskółki, ale nie mogą liczyć na obecność myszy ani skorków, ani też nie zaznają przyjemności corocznego naprawiania strzechy w celu uniknięcia innych nieproszonych gości. Co zresztą niewiele pomaga, gdyż rozmaite dzi-kie stworzenia uwielbiają zamieszkiwać nasze prastare mury.

Drum odprężył się. Jak to dobrze, że ona potrafi podejść do tego z humorem. Jednak uśmiech zniknął z jego ust, kiedy zaczęła mówić dalej.

- Historia to rzecz bezcenna, ale postęp przynosi liczne

udogodnienia - rzekła z namysłem. - A my... - Wyjrzała przez okno na swoją nową, wielką szopę. - ... Mamy teraz i jedno, i drugie, prawda? Doprawdy poszczęściło się nam. Taka wielka dobudówka do szopy, nowiutka i czyścusiętka. Doskonale pasuje do naszej krytej strzechą chaty. Szczęściarze z nas. Bardzo dziękujemy, milordzie - zakończyła, dygając o wiele zbyt uniżenie.

Wyjrzał przez okno, a potem popatrzył na nią. Jej słowa przepajał sarkazm, ale Drum musiał przyznać, że ma rację. Szopa nie pasowała do domu. Razem sprawiały okropne wrażenie. Prawdę mówiąc, sam budynek gospodarczy wyglądał dziwnie: nowe skrzydło było znacznie większe niż stare. Przy dobudówce do szopy domeczek przedstawiał się nędznie; przy chacie nowa część szopy sprawiała wrażenie przesadnie eleganckiej. Całość sugerowała, iż komuś zabrakło albo pomysłów, albo pieniędzy. Chata, choć prosta i uboga, posiadała pewien specyficzny wdzięk. Rozbudowa szopy spowodowała, że wszystkiemu razem zabrakło proporcji. Widać było wyraźnie, iż chodziło przede wszystkim o spełnienie zachcianki jaśnie pana.

- Szopa zestarzeje się z czasem - powiedział Drum, czując z niezadowoleniem, że brzmi to strasznie głupio.

- Ależ oczywiście - odparła Aleksandria przez zaciśnięte zęby.

- Przepraszam - szepnął Drum. - Przecież pani wie, że chciałem się jej tylko odwdziaczyć.

Westchnęła.

- Tak, i bardzo dziękuję. Jestem przekonana, że z czasem dobudówka przestanie razić. Obsadzę ją kwiatami i przyzwyczaimy się do tego widoku. Ale proszę nie dawać mi już więcej prezentów. Przyjeliśmy pana pod nasz dach, bo potrzebował pan pomocy. Każdy uczyniłby to samo. Proszę się nam odwdziaczyć, wracając do zdrowia.

- I odjeżdżając co rychlej? - zapytał, uśmiechając się blade. - Zrobię to, gdy tylko będę mógł. Doktorze? Głowa już mnie nie boli. Dlaczego nie mogę opuścić tego domu?

- Przecież mówiłem panu - odparł doktor. - Może pan, ale za jakieś trzy tygodnie. Ani dnia mniej. Chyba że chce pan chodzić o lasce do końca życia.

Drum nie wiedział, kto wydał z siebie cięższe westchnienie: on sam, Aleksandria, chłopcy czy pani Tooke.

Tylko chłopcy i pani Tooke odetchnęli z ulgą.

Tego wieczora Aleksandra przysłała do pokoju Drama, niosąc tacę z kolacją. Odczekała, aż podniesie na nią wzrok, i dopiero wtedy weszła do środka. Znowu siedział przy oknie i ponuro wyglądał na świat. Na jego kolanach leżał magazyn ilustrowany, a listy, które napisał, odłożył na stojący opodal stolik. Jego pokój? Jego stół? Te myśli zdziwiły ją. Przybysz zagarnął ten pokój tak całkowicie, że trudno jej było wyobrazić sobie, że kiedykolwiek zdoła uznać, że na powrót należy do niej.

Ciekawe, na jak długo arystokrata wyciśnie tu swoje piętno. Ślady obecności pana Gascoyne dało się zatrzeć bez trudu. Pozostawił on po sobie pustkę i chłód, więc wystarczyło tylko kilka ładnych przedmiotów, aby usunąć stąd jego ducha. Obecny lokator wypełnił pomieszczenie śmiechem i żartami. Takie rzeczy zapomina się znacznie trudniej. I bardziej się za nimi tęskni.

- Czy mogę wejść? - spytała, gdy podniósł głowę.

- Ależ tak, proszę usiąść, stać, porozmawiać, co tylko pani zechce - odparł. - Cierpię wyrzuty sumienia i męki samotności. I z tego, i z tego może mnie pani z łatwością wyleczyć.

Odstawiła tacę.

- Obawiam się, że stałam się powodem tej pierwszej przypadłości, więc mam nadzieję, iż zechce pan przyjąć moje przeprosiny. Jednak nie pojmuję, skąd wzięła się panu ta druga. Owszem, nie okazałam wdzięczności za pański dar, i proszę o wybaczenie. Ale samotność? Pańscy służący, a także inni mieszkańcy tego domu dotrzymują panu towarzystwa. Skąd zatem owe cierpienia?

- Nie z każdym można naprawdę porozmawiać, moja droga - odparł, unosząc pokrywę jednego z półmisków i wąż

chając jego zawartość. - Paszteciki z mięsem... pycha - rzekł z zadowoleniem. Potem wbił w dziewczynę wymowne spojrzenie swych błękitnych oczu. - Chłopcy bawią mnie, a ja staram się nauczyć ich rzeczy, o których inaczej nie mieliby pojęcia. Pani Tooke to przemiła osoba, ale obawiam się, że czuje się skrępowana istniejącą między nami przepaścią społeczną. Sądzę, że w głębi duszy zasmucam ją, i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Grimes nigdy nie przekracza granicy dzielącej pana i służbę. Dla niego to dobrze, ale ja na tym teraz cierpię. Royce i Burdock, dwaj moi ludzie, umiają rozmawiać tylko o koniach i wojnie. Pani jest jedyną osobą, z którą można poruszać wszelkie tematy i która rozumie wszystkie moje aluzje.

- Doprawdy? - spytała ze śmiechem. - To chyba lekka przesada, milordzie. Poza tym wolę, jeżeli prawi mi się komplementy choć trochę zbliżone do rzeczywistości. Cóż ja wiem o Londynie? O Europie? O wielkim świecie i jego sprawach?

- Większość mieszkańców stolicy czyta znacznie mniej niż pani. Co więcej, potrafi pani docenić dobry żart i nie pozwala, by mój tytuł przyćmił nakazy zdrowego rozsądku. Wiele osób traktuje moją pozycję społeczną bardzo poważnie, co ma pewien wpływ także i na mnie. - Skrzywił się. - Na przykład mój ojciec. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem angielskim szlachcicem i z radością przyczyniłem się do obalenia Napoleona, ponieważ wcale nie podobało mi się, gdy głowy arystokratów spadały pod gilotyną. Jednak moim zdaniem traktowanie nazwiska jako głównej przyczyny do chwały wypacza charakter. Dlatego też cieszę się, jeżeli ktoś mityguje mnie, gdy staję się tyranem. Albo też próbuje mnie mitygować - dodał z żalem i rzucił okiem przez okno. Westchnął. - Ta szopa wyglądałaby bardzo ładnie, ale w jakimś innym miejscu. Miała pani rację. Zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby jej pokryć strzechą.

- O, nie! - zaprotestowała. - Utrzymanie strzechy wymaga wiele pracy. Z czasem całość będzie wyglądać znacznie lepiej. Proszę się już tym nie przejmować.

- Zrobię to, jeżeli i pani przestanie o tym myśleć - odparł.

Odjedźcie stąd za kilka tygodni i z pewnością zaraz potem o niej zapomni, ale w tej chwili wydawało się, jakby jej wybaczenie stanowiło dla niego najważniejszą sprawę w życiu. Ciekawe, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jak silny wpływ potrafi wywierać na ludzi. Zaśmiała się w duchu z samej siebie. Jasne, że tak. Na tym to właśnie polega.

- Dobrze - rzekła, zastanawiając się, jak zmienić temat, żeby Drum przestał się jej wreszcie przyglądać. O wiele lepiej radziła sobie, kiedy tego nie robił. Kiedy nie czuła na sobie spojrzenia jego płonących, błękitnych oczu, nie przenikał jej ten dziwny dreszcz, a serce nie biło mocniej. I tak byłoby lepiej dla wszystkich, powiedziała sobie w duchu, a potem zapytała głośno, jak długo jego zdaniem nieszczęsny szalony król Jerzy utrzyma się jeszcze na tronie.

Rozmawiali, dopóki nie zdała sobie sprawy, że trzeba zapalić lampy i że powinna iść na kolację. Po posiłku uczesała włosy, szykując się na wieczór, który od pewnego czasu stał się najprzyjemniejszą częścią doby. Potem razem z panią Tooke poszły na górę, gdzie byli już chłopcy. Ich kolejna, dodatkowa lekcja miała się właśnie zacząć.

Drum potrafił przykuć uwagę słuchaczy. Głośne czytanie od czasu do czasu przerywały wesołe żarty, a chłopcy z uwagą wysłuchiwali każdej anegdoty swego gościa. Grimes stał w półmroku, słuchając i czekając na polecenia swego pana. Aleksandria promieniała radością, przyglądając się owym scenom.

Czuła przyjemny spokój. Wyglądając przez okno, spostrzegła, że służący Druma szykują się w szopie do snu. Widziała światło ich lampy, wydobywające się z okien szopy na ogród, rzucające cienie w miejscach, gdzie dawniej ich nie było. Każdego dnia jej życie nabierało nowych znaczeń, a jej mały domek wydawał się coraz większy, choć w sposób zupełnie inny niż dopiero co rozbudowana szopa.

Działo się tak dlatego, że chatę wypełniały teraz rozmowy i śmiech, a ich wspomnienia staną się skarbem, który będzie musiał wystarczyć dziewczynie na resztę życia. Martwi-

ła się tylko, że teraz zbyt wiele się śmieje. Zawsze ją wszak ostrzegano: „Zbyt wiele śmiechu prowadzi do łez”. A płacz też nie był dozwolony.

Prawdopodobnie coś w tym jest. Trudniej wychowywać dzieci, ulegające silnym emocjom. Mimo to po śmierci pana Gascoyne zachęcała chłopców do śmiechu. Dzisiaj ona też pozwoliła sobie na okazywanie radości. Chichotała jak szalona, aż łzy jej napłynęły do oczu, ale przecież coś podobnego dotychczas się jej nie zdarzało i pewnie już nigdy nie zdarzy, powinna zatem wykorzystać tę jedną jedyną okazję.

Jeżeli zaś jutro przyniesie jej smutek, to chociaż na niego zapracuje. Zbyt wiele już razy płakała bez własnej winy.

Jednak następny dzień przyniósł zaskakujące wydarzenia.

Po śniadaniu przybyli przyjaciele Druma. Aleksandria ujrzała ich, wylewając na podwórko pomyje z miski. Wsiadali z trzech karet, które nagle pojawiły się na podjeździe. Elegancy i wystrojoni sprawiali wrażenie istot z bajki albo z innego świata.

Trzej dżentelmeni, którzy postawili swe odziane w lśniące buty stopy przed jej domem, byli przystojni, silni i pewni swej pozycji życiowej. Stanowili przykład osób z najlepszego londyńskiego towarzystwa, o jakich Aleksandria mogła dotąd tylko czytać w ilustrowanych magazynach. Ich strój składał się z dopasowanych surdutów, nieskazitelnej białości koszul i misternie zawiązanych pod szyją chustek. Ich muskularne nogi okrywały dopasowane pantalone, a obuwie mieli równie błyszczące jak boki i grzbiety ich wspaniałych wierzchowców. Jeden z panów był wysoki, ciemny i ponury. Drugi miał ciemnozłote włosy i niezwykle przystojną twarz. Ostatni, o postawie wojskowego, wyglądał na człowieka, który niejedno już przeżył i mimo jaskraworudych włosów sprawiał atrakcyjne wrażenie.

Aleksandria oniemiała na ich widok, ale zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy ujrzała towarzyszące im kobiety. Piękne i wdzięczne, wsiadały z karetą lekko niczym motyle. Ich

stroje elegancją przewyższały wszystko, cokolwiek Aleksandria widziała na okolicznych weselach, chociaż widać było wyraźnie, iż nie są to ich najlepsze ubrania. Odziane w modne suknie w najpiękniejszych barwach, chroniły swe białe ramiona przed chłodem poranka cennymi indyjskimi szalami. Maleńkie, kokieteryjne kapelusiki zdobiły ich śliczne loki. Choć stroje wyglądały na szalenie kosztowne, jedno spojrzenie na twarze i figury owych dam wystarczyło, by stwierdzić, iż wszelkie te ozdoby są zgoła zbędne.

Jedna z nich była maleńką, eteryczną blondynką, druga kruczowłosą pięknoscią, a trzecia, o miodowobrazowych włosach, oszałamiała urodą, którą raczej podkreślała, niż pomniejszała niewielką blizna na skądinąd nieskazitelnym policzku.

Aleksandria stała w osłupieniu, czując się z każdą chwilą mniejsza, a równocześnie coraz większa i bardziej niezgrabna w porównaniu ze swymi gośćmi. *Jego gośćmi*, napomniała się w duchu. W roztargnieniu skubała spódnicej swej spranej sukni. Oni pewnie użyliby jej najwyżej do wycierania kurzu, pomyślała.

2 następnej karety wysiedli służący. Aleksandria policzyła ich pośpiesznie. *Troje służby na sześć osób?* Boże! Gdzież oni wszyscy się zmieszczą?

Podczas gdy pozostali wpatrywali się w jaśniejącą nowością szopę, jasnowłosa kobieta odebrała z rąk pokojówki niemowlę w powijkach. Uważnie przyjrzała się twarzy śpiącego dziecka.

- Nawet kanonada armatnia nie zbudziłaby jej - stwierdziła z zadowoleniem, przytulając policzek do główki maleństwa. - Czyż nie miałam racji, zabierając ją z nami? - spytała, nie zwracając się do żadnej konkretnej osoby.

- To był jedyny sposób, żebyśmy ocalili życie - mruknął jeden z mężczyzn.

- Hm! - prychnęła. - Ale, ale - ciągnęła, rozglądając się niecierpliwie. - Gdzież on jest?

Popatrzyli na chatę i w końcu dostrzegli stojącą w drzwiach Aleksandrię. Ona zaś zmusiła się, by ich powitać. Przycisnęła do siebie miskę, jakby szukała za nią osłony, i pochyliła głowę w ukłon.

- Domyślam się, że przybyli państwo do pana hrabiego? - spytała, mając nadzieję, że w głosie jej nie da się słyszeć zaniepokojenia.

- W istocie - ozwał się wysoki brunet. - Czy twoja pani jest w domu?

Dziewczyna wyprostowała się dumnie.

- To ja - odparła lodowato.

- Przepraszam - rzekł, kłaniając się. - Nazywam się Sinclair i jestem kuzynem pana hrabiego. Dostaliśmy wiadomość, że spotkał go przykry wypadek. Czy hrabia wciąż tu przebywa? I jak się czuje?

- Jestem panna Gascoyne, milordzie - powiedziała Aleksandria, wciąż dosyć chłodno. - Pański kuzyn znajduje się na górze. Doznał poważnych obrażeń. Teraz czuje się znacznie lepiej, ale musi tu zostać, dopóki nie wydobrzeje do końca.

Eterychna blondynka lekko szturchnęła go pięścią w ramię.

- Widzisz, co narobiłeś? - zwróciła się do niego surowo. - Nastawiłeś ją przeciwko nam i wcale się temu nie dziwię.

- Au! - jęknął dżentelmen, chociaż cios był pozorowany. - Przestań, jędzo. Moja droga - zwrócił się do Aleksandrii z uśmiechem, który sprawił, iż jego twarz przybrała ciepły wyraz. - Proszę mi wybaczyć. Tak bardzo chciałem dowiedzieć się, gdzie znajduje się Drum i jak się czuje, że zapomniałem o dobrych manierach. Proszę pozwolić przedstawić sobie nasze towarzystwo. Ja jestem wicehrabia Sinclair, a to moja żona. Oto mój przyjaciel Rate Dalton i jego małżonka, a ta mała, jasnowłosa bestyjka to moja podopieczna, obecnie poślubiona nieszczęsnemu panu Ryderowi, zaś istotka w powijkach to ich potomkini imieniem Annalise.

- Doktor powiedział, że hrabia nie może opuszczać pokoju jeszcze co najmniej przez tydzień - powiedziała Aleksandria, lekko skłaniając głowę. - Powiadomię go o przybyciu państwa. - Odwróciła się i dostrzegła Austina Grimesa w oknie na górze. Ten zaś skinął jej, dając znak, żeby goście weszli na górę.

- Jak widać jego lokaj wszystko usłyszał - stwierdziła,



zwracając się do swych nowych gości. - Z pewnością pan hrabia pragnie jak najprędzej was ujrzeć, więc może zechcieliby państwo pójść za mną? - gestem wskazała kierunek.

Wicehrabia zmarszczył brwi.

- Ależ proszę zaczekać. Co mu się stało? Przysłał nam wiadomość, ale napisał tylko, że nie będzie mógł stawić się na umówione spotkanie, ponieważ miał wypadek. To trochę zbyt mało. Zaczęliśmy się poważnie niepokoić, kiedy nie wróciliśmy do domu i okazało się, iż posłał po swego lokaja i paru służących. Już nie raz musiał sobie radzić sam i nie należy do ludzi, którzy chętnie przyznają się, iż potrzebują pomocy. Dlatego kiedy zażądał przybycia służby, postanowiliśmy przekonać się osobiście, jak sprawy wyglądają. On bowiem napisał tylko, że spadł z konia i „nieźle się poharatał”.

Wbrew samej sobie Aleksandria zaśmiała się.

- „Poharatał się?” Chyba raczej padł jak martwy - stwierdziła, poważniejąc. - Strzelano do jego konia. Nie wiemy, kto ani dlaczego. Wierzchowiec zrzucił pańskiego kuzyna. Zwierzę ocalało, ale upadło na jeźdźca i złamało mu nogę w dwóch miejscach. Doktora zaniepokoił także stan głowy rannego. Teraz już wszystkie symptomy znikły - dodała szybko, widząc, jakie wrażenie wywarły jej słowa. - Ale przez jakiś czas... nie wiadomo było, czy ranny wyjdzie z tego z życiem.

Rudowłosy mężczyzna wymamrotał coś pod nosem, a potem zapytał ostro:

- Czy to jest dobry lekarz? Dlaczego nie posłaliście po specjalistę z Londynu?

Aleksandria znów zeszywniała.

- Doktor Pace ma doskonałą opinię - odparła, zaciskając mocno dłonie na misce. - Zrobiliśmy wszystko, co się dało, i jak najprędzej. Kiedy przynieśliśmy tutaj waszego przyjaciela na wyjętych z zawiasów drzwiach, nie było czasu na konsultacje. Mieliśmy szczęście, że w ogóle trafił się jakiś lekarz, a zwłaszcza tak dobry, jak doktor Pace. Ten człowiek był poważnie ranny i nawet nie wiedzieliśmy, jak się nazywa. Prawdę mówiąc, poznaliśmy jego tożsamość, dopiero

kiedy odzyskał przytomność, a przez jakiś czas wcale nie było to takie pewne. Na widok obrażeń jego nogi nie zamierzaliśmy zastanawiać się nad sprowadzaniem dodatkowych lekarzy. Najważniejsze było, żeby kości zostały złożone jak najprędzej. Oczywiście, gdyby pojawiły się jakieś problemy, doktor poprosiłby kogoś o konsultację. Ale rekonwalescencja lorda Drummonda przebiega niezwykle szybko.

Rudowłosa zawstydził się.

- Proszę mi wybaczyć. To mój stary przyjaciel i bardzo chciałbym, aby dożył sędziwego wieku. Dziękuję pani w jego imieniu, panno Gascoyne.

Sztywno skinęła głową.

- A więc może zechcą go państwo odwiedzić? Chata jest niewielka, dlatego zostaną na dole na czas waszej wizyty. Proszę uważać na głowy, przechodząc przez drzwi. Jego pokój znajduje się na piętrze. Niechże się państwo pospieszą, bo pewnie się już niecierpliwi i zaraz zechce wstać, a jest to mu wzbronione.

Kolejno weszli do środka. Wicehrabina zatrzymała się na chwilę przed Aleksandrią.

- Mam nadzieję, że wybaczy nam pani ten najazd - powiedziała. - Ale Drum jest nam bardzo drogi, a kiedy dowiedzieliśmy się, iż jest ranny, musieliśmy go zobaczyć.

Jasnowłosa furia również na chwilę zwolniła kroku.

- Panowie chcieli, żebyśmy zostały w domu, ale my, kobiety, też się martwimy o naszych przyjaciół - zwróciła się z uśmiechem do Aleksandrii. - Czy można zignorować to, że ktoś bliski znalazł się w kłopotach? On zrobiłby dla nas to samo. Rozumie pani.

- Tak - odrzekła Aleksandria i uśmiechnęła się również, chociaż zrobiło się jej trochę nieswojo, gdyż wiedziała, że gdyby jej coś się stało, obesłoby to wyłącznie chłopców.

- Mój brat prawdopodobnie nadjedzie tu wkrótce - stwierdziła kruczowłosa dama. - Proszę go także posłać na górę.

Aleksandria stała bez ruchu, obserwując, jak się tłoczą przy wejściu. Niedawno żartowała, że pod jej strzechą kryje się wielu nieproszonych gości. Jednak owi goście nie byli

jej tak obcy jak ci ludzie, wywodzący się z całkiem innego świata. *Jego przyjaciele*. W końcu przyjechali do niego. Teraz znalazł się wreszcie wśród swoich i wkrótce do nich powróci na stałe, a ona już go więcej nie zobaczy.

Zabawa się skończy. Powróci dawne życie, choć nigdy już nie będzie takie same. Ona zaś szybko przyzwyczai się do powszednich obowiązków, ale patrzeć będzie na nie inaczej. To, co kiedyś stanowiło normalną kolej rzeczy, odczuje jako piekącą samotność.

- Zbyt wiele śmiechu prowadzi do łez - powtórzyła. Cóż, pomyślała, wdychając. Nieprawda. Wcale nie miała ochoty do płaczu. Czuła tylko ogromną pustkę.

Służący, którzy przyjechali z nieoczekiwanymi gośćmi, przechadzali się, prostując nogi, oglądając domek, gapiąc się na szopę i ukradkiem przypatrując się Aleksandrii. Dziewczyna przeszła więc do ogrodu i pochyliła się nad dopiero co podpartym patykami groszkiem, udając, że się przygląda roślinom.

Zaraz jednak zaczęła zastanawiać się, czym i jak poczęstować swych gości. Musi im zaproponować coś do zjedzenia, gdyż najbliższa oberża znajduje się dosyć daleko... Jej rozmyślenia przerwał jednak odgłos końskich kopyt na podjeździe.

Jaskrawożółty faeton o czerwonych kołach ze złoconymi szprychami, ciągniony przez kremowej barwy konie, wpadł na podwórze, wzbijając obłok kurzu. Powozik robił wielkie wrażenie, elegancki i delikatny jak wałka, doskonale wyważony i przeznaczony do rozwijania wielkich prędkości. Dwaj dżentelmeni zajmujący miejsca na koźle wyglądali zupełnie jak na jednym z obrazków, które Aleksandria widziała w ilustrowanym magazynie. Mieli twarde, znudzone twarze. Jeden z nich był tęgi, a drugi chudy. Żaden nie przypominał brata czarnowłosej damy. Jeden z nich przykrywał swe żółte włosy modną czapką bobrową, a ciemne włosy drugiego, ostrzyżone *a la* Brutus, spadały mu grzywką na czoło.

Odziani byli w beżowe płaszcze chroniące przed kurzem, zapinane na wielkie guzy z masy perłowej i zdobione licznymi pelerynkami wysuwającymi się jedna spod drugiej od ra-

mion aż do bioder. Jeden z nich nosił żółte spodnie, a drugi błękitne. Obaj mieli zatknięte w butonierkach jaskrawe kwiaty. 2 pewnością należą do jakiegoś ekskluzywnego klubu, pomyślała Aleksandria, wpatrując się w nich. Jaka szkoda, że chłopcy ich nie zobaczą; byliby zachwyceni.

Faeton zatrzymał się, ale mężczyźni pozostali na koźle, przyglądając się otoczeniu, tak jakby byli właścicielami całej posiadłości. Zauważyli inne karety i z uśmiechem kiwnęli głowami. Potem przenieśli wzrok z chaty na szopę i zmarszczyli ze zdziwieniem brwi.

Wreszcie dostrzegli Aleksandrię i na ich twarzach znowu pojawił się uśmiech.

- No proszę - wycedził ten o żółtych włosach. - Wreszcie się czegoś dowiemy.

Zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć, mężczyzna mówił dalej, chociaż nie spuszczał z niej oczu. - A to mi rzeczywiście wypadek! Drummond znalazł tu skarb. Nic dziwnego, że chętnie został na wsi. To całkiem do niego podobne. Popatrz tylko, jak zadbał o swoją wygodę: służba, przyjaciele, nawet ten nowy... budynek. To pewnie on go postawił. Wygląda, jakby nastąpiło to wczoraj. I popatrz też na tę pannkę. Niezła sztuka, co? Teraz już wszystko rozumiem.

- Ale nie dama - stwierdził ten drugi, mierząc dziewczynę wzrokiem.

- Nie - powiedział ten pierwszy. - A po co mu tutaj dama? Ma wszystko, czego potrzeba mężczyźnie. Jest ładna i czysta, to nie żadna zużyta miejska kokietka. Wielki Boże! Pora, żebym pojechał do mojej posiadłości i sprawdził, czy nie wyrosło tam coś jeszcze prócz rzepy.

- Nie w twoim majątku - odparł tłusty, podnosząc lorgnon do oczu. - W tym sedno. Dlatego Drummond pojawił się na tym pustkowiu. Żadnego skandalu na jego własnym terenie. Już on się potrafi urządzać.

Aleksandria nie mogła uwierzyć własnym uszom i oczom. Wszystko jedno, czyimi krewnymi są ci wysoko urodzeni gburowie, chciała tylko, żeby się stąd jak najprędzej wynosili.

- Proszę? - zapytała, imitując pana Gascoyne, najsurowszego nauczyciela w kraju.

- Skarbie - odparł siedzący na miejscu woźnicy i przesunął po jej postaci obleśnym spojrzeniem. - Nie musisz nas o nic prosić. Nie irytuj się. Przyjechaliśmy odszukać Drummonda, ale z przyjemnością zajmiemy się tobą.

Aleksandria pożałowała, że nie ma psa, którym mogłaby ich poszczuć, brata, ojca czy też solidnej budowy przyjaciela. Jednak chyba nie była zdana wyłącznie na siebie.

- Jest na górze - rzekła lodowato. - Zaraz go zawiadomię, że panowie przyjechali.

- A do diabła z tym - powiedział powożący i, opierając się o koło powozu, zeskoczył na dół. Podsunął jej pod brodę palec urękawiczonej dłoni i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Jestem tutaj. Mam pełne kieszenie, a kiedy na ciebie patrzę, to robi mi się także pełno i w spodniach. To chyba dla ciebie wystarczy... jesteś przecież kobietą interesu. - Mrugnął do niej znacząco.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie i mocno odepchnęła jego rękę.

- Myli się pan. Wcale nie jesteście tu mile widziani. Proszę natychmiast odjechać.

- Oj, chyba nie - odparł, chwytając ją w talii.

- Uważaj! - zawołał z kozła jego przyjaciel.

- Na co? - odparł ten pierwszy ze śmiechem.

- Drummond jest bardzo drażliwy.

- Ja też, nie widzisz? - Żółtowołosy zaśmiał się, obserwując, jak Aleksandria usiłuje się wyrwać. - Nie przejmuj się. Drummond to człowiek światowy, a dżentelmeni nie pojeżdżają się o wiejskie dziewczki.

## 9

- Ewen! - zaśmiał się Drum, gdy kuzyn, pochylając głowę pod niskim nadprożem, wszedł do jego sypialni. - Draniu! Co tutaj robisz? Przecież pisałem, że już mi lepiej.

- No właśnie - odparł spokojnie wicehrabia. - Dlatego przyjechałem.

- I przywiozłeś swą uroczą małżonkę! - wykrzyknął Drum na widok wchodzącej kobiety. - Ach, ale dlaczego? Bridget - zwrócił się do wicehrabiny. - Dlaczego przyjechałaś na kraniec świata, żeby mnie zobaczyć? - Próbował wstać, ale powstrzymała go czyjaś łagodna, lecz stanowcza dłoń.

- Milordzie, proszę nie zapominać o swoich obrażeniach, bo inaczej ja będę musiał o nich przypomnieć - szepnął Grimes za jego plecami.

- Dobrze, już dobrze - poddał się Drum. - Ale kogo widzisz? - krzyknął na widok rudowłosego mężczyzny z żoną. - Państwo młodzi powinni mieć coś ciekawszego do roboty niż wizyty u chorych... Nie! - zawołał na widok następnych gości. - Gilly, ty też? - zwrócił się z uśmiechem do młodej kobiety. - Niecnoto, przyjechałaś mnie dręczyć, co? Witaj, Damonie, nie mogłeś jej zostawić w domu? Dlaczego nie pozwolicie mi umrzeć w spokoju?

- Myśleliśmy, że nastąpi to wkrótce - odparła jasnowłosa. - Dlatego przywiozłam też twoją największą wielbicielek, żeby się mogła z tobą pożegnać - dodała, uśmiechając się do niemowlęcia.

Drummond spoważniał.

- Niewiele mi brakowało - powiedział cicho.

- Właśnie - rzekł jego kuzyn, stając pod samym oknem,

Żeby zrobić miejsce dla pozostałych. - Kto do ciebie strzelał, Drum? Masz jakichś wrogów w tej okolicy?

- Wrogów mogę mieć wszędzie - wzruszył ramionami Drum. - Ale sądzę, że to raczej jakiś wieśniak usiłował ustrzelić przelatującego ptaka. Tak właśnie sądzą tutejsi chłopcy. Posłałem Grimesa, żeby się czegoś dowiedział. Nic nie wykrył, a jest przecież bardzo wnikliwy. Miejscowi sprawiają wrażenie ludzi najzupełniej niewinnych, ale w pobliżu znajduje się szkoła... a niech diabli wezmą tę moją nogę! - sapnął z irytacją. - Gdybym mógł sam pójść i popytać!

- Nie ma potrzeby. My tutaj jesteśmy - odparł krótko rudy.

- Rafe - zaczął z powagą Drum. - Dziękuję ci bardzo, ale masz ciekawsze rzeczy do roboty niż prowadzić śledztwo w tej sprawie. I jestem pewien, że twoja lepsza połowa zgodzi się ze mną. - Uśmiechnął się do ciemnowłosej kobiety.

- Nic z tego - odparła wprost. - Nie ma nic ważniejszego, niż wykryć sprawcę. Nie martw się, że Rafe się przepracuje. Mój brat mu chętnie pomoże. Dowiemy się, kto to zrobił i dlaczego.

- Słyszeliśmy, że poniosłeś poważne obrażenia - zaczęła z niepokojem Gilly Ryder. - I rzeczywiście, nie wolno ci wstawać.

- Przesada - powiedział szybko Drum. - Nie martwcie się. Teraz czuję się już bardzo dobrze. To tylko złamanie, a nie amputacja.

- Noga się zrośnie - stwierdził jej mąż, Damon, marszcząc brwi. - Ale co z twoją głową?

- Upadek spowodował wstrząs, ale teraz już wszystko w porządku. Dajcie spokój! - zirytował się Drum. - Nic mi nie jest poza tym, że się mocno uderzyłem, ale przecież nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Wracam do zdrowia i przykro mi, że z powodu plotek przyjechaliście taki kawał drogi, żeby mnie zobaczyć. - Uśmiechnął się. - Trochę mi wstyd, ale też czuję się pochlebiony.

- Wszyscy twoi przyjaciele martwią się o ciebie - rzekła Gilly. - Wycoff przebywa w swoim majątku z Lucy, gdyż właśnie przyszedł na świat ich syn, ale gdyby nie to... tak, mają chłopca. Prawda, że to wspaniałe?

- Napiszę do nich list z gratulacjami i prośbą, żeby nie ruszali się z domu - stwierdził Drum. - Jak tylko stanę na nogi, odwiedzę ich. I obiecuję, że nastąpi to już niedługo.

- A ta Aleksandria Gascoyne? - zaczął jego kuzyn, wyglądając przez okno. - Twoja gospodyni. Dlaczego jej nazwisko wydaje mi się znajome?

- Bo pewnie w swoim czasie znosiłeś udręki ze strony jej ojca. Był nauczycielem w Eton. Łaciny albo klasyki - odparł Drum. - Nie pamiętasz? Czy też może brak świeżego powietrza w tym pomieszczeniu odebrał ci zdolność myślenia?

- Boże! - wykrzyknął wicehrabia. - Ten Gascoyne? Mały cesarz? Nazywaliśmy go tak, zanim określenia tego zaczęto używać wobec Napoleona - wyjaśnił z uśmiechem żonie. - Uważaliśmy go za tyrana. Był kwaśny jak... Nie mówcie mi, że ta urocza dziewczyna jest jego córką? Nawet nie wiedziałem, że był żonaty. Która kobieta by go zechciała? Miał charakter węża i tyleż życzliwości co kamień. W końcu usunięto go z jakiegoś powodu, a słyszało się na ten temat masę plotek. Nikt się jednak zbytnio nie przejmował, dlaczego odszedł, bo wszyscy byli zadowoleni. Cała szkoła, tak nauczyciele, jak uczniowie.

- Wcale się nie dziwię - powiedział Drum. - Nie żyje od trzech lat, a jego obecność wciąż zaznacza się ponurym cieniem. Zostawił tę dziewczynę z trzema adoptowanymi chłopcami, których ona wychowuje. To miłe dzieciaki, ale musiała się nieźle napracować. Nigdy się nie uskarża... chyba że ktoś chce zrobić jej jakąś grzeczność.

- Ach, więc to ty jesteś odpowiedzialny za tę... niespotykaną dobudówkę do szopy? - zapytał kuzyn, wciąż wyglądając przez okno.

- Ładna mi grzeczność - uśmiechnęła się Gilly.

- Bardzo delikatne określenie - stwierdził jej mąż.

Drum skrzywił się.

- Przestańcie o tym mówić. Szopa wygląda teraz, jakby zwalono na nią stertę drewna. Wiem, wiem. Ale ja chciałem jakoś pomóc tej dziewczynie. To miała być grzeczność w rewanżu za to, co dla mnie zrobiła. Nie wiedziała, kim jestem,



kiedy jej chłopcy znaleźli mnie, leżącego bez ducha przy drodze, ale przyjęła mnie pod swój dach i zaopiekowała mną. Chciałbym wiedzieć, jak mógłbym jej za to odpłacić.

Kuzyn wciąż patrzył przez okno, ale teraz marszczył brwi.

- Napisałeś, że czujesz się dobrze, a kiedy pojechaliśmy do twojej miejskiej rezydencji, twój lokaj miał polecenie, by mówić to samo. To dlaczego wezwałeś tych głupków, Bryanta i Tencha?

- Co? - wykrzyknął Drum. - Oni tutaj? Unikałem ich w Londynie, to czemu miałbym chcieć widzieć ich tutaj? Stanowią tylko wspomnienia błędów młodości.

- To skąd się tutaj wzięli? - zapytał kuzyn, patrząc na podjazd.

- Do licha! Nie mów, że ich widzisz! - zawołał Drum, próbując zerwać się z krzesła. - No dobrze, już dobrze - zwrócił się gniewnie do Grimesa. - Zostanę na miejscu, nie pobiegnę na dół ich witać. Przestałem się z nimi spotykać dawno temu i zazwyczaj na ich widok przechodzę na drugą stronę ulicy. Chyba się pomyliłeś, Ewen. To próżniacy, plotkarze, zainteresowani wyłącznie rozrywkami, i chyba już nigdy nie staną się naprawdę dorośli. Jakaż przyjemność mogliby znaleźć w podróży z Londynu na to pustkowie?

- Pewnie chcieli popisać się nowym faetonem Bryanta - stwierdziła Gilly, wspinając się na palce, żeby też wyjrzeć przez okno. - Szaleli w nim po Londynie. Wszyscy robią zakłady, kiedy się wreszcie przewrócą i połamią sobie karki.

- Robią zakłady i mają nadzieję - dodał Rafę.

Ewen Sinclair przyglądał się scenie na dole, marszcząc gniewnie brwi.

- Czego ten idiota chce od twojej gospodyni? - mruknął.

Drum uniósł się na krzesło, próbując coś zobaczyć. Udało mu się co nieco dostrzec. Grimes i Damon Ryder musieli użyć wszelkich sił, żeby nie pobiegł na dół za pozostałymi.

Drum szarpał się, zgrzytając zębami i zaciskając pięści w bezsilnym gniewie. Ból głowy był fraszką w porównaniu z tym, co odczuł na widok sceny, którą ujrzał. Lord Bryant zeskoczył z wysokiego kozła faetonu i podszedł do Aleksandrii.

Chwycił ją i próbował pocałować. Jego przyjaciel, Tench, siedział na koźle i śmiał się jak głupi. Dziewczyna usiłowała się wyrwać napastnikowi. To tak rozbawiło Bryanta, że odchylił głowę i wybuchnął głośnym rechotem. A potem nagle umilkł.

Albowiem Aleksandria zdołała uwolnić jedną rękę i wymierzyła silny cios w uniesiony podbródek. W dłoni zaś trzymała emaliowaną miskę.

Drum aż się skulił. Wyobraził sobie, że słyszy, jak zęby Bryanta uderzają o siebie w wyniku tego ciosu. Uśmiechnął się. Nie takiej reakcji spodziewał się amant po Aleksandrii. Jednak uśmiech szybko znikł z twarzy Druma, a oczy załśniły mu gniewem, gdyż Bryant zamierzył się pięścią... i trafił prosto w metalowe naczynie, które dziewczyna uniosła jak tarczę, uchylając się równocześnie. Bryant zawył z bólu i podskakując, zacisnął drugą rękę na uszkodzonej dłoni. Dziewczyna szybko nastąpiła mu na nogę, z całej siły uderzyła go miską w głowę i rzuciła się do ucieczki. Bryant ruszył za nią, ale nadział się na pięść Rafe'a.

Drum z ulgą opadł na krzesło i westchnął z zadowoleniem, pewien, że przyjaciele dokończą dzieła rozpoczętego przez Aleksandrię.

Lord Bryant też sobie z tego zdawał sprawę.

- Wstawaj! - ryknął Rafe.

- Nic z tego - odparł Bryant, kuląc się na ziemi jak robak, wykopany przez łopatę ogrodnika. - Zabijesz mnie.

- Postaram się! - obiecał mu rudowłosy. - Okaż się mężczyzną i wstawaj!

- Przepraszam! Już nigdy jej nie dotknę! Proszę o wybaczenie! Żartowałem tylko - bełkotał Bryant. - Nie wiedziałem, że to wasza przyjaciółka. - Lękliwie podniósł wzrok i stwierdził, iż otaczają go osoby wysokiego rodu, wpatrujące się w niego z niesmakiem.

- Nie wiedziałem, że to ktoś ważny. Jej strój na to nie wskazywał. Myślałem, że to jakaś dziewczka służebna. - Odszukał wzrokiem Aleksandrię. Dziewczyna oddychała ciężko i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Bła-

gam o przebaczenie, pani - zwrócił się do niej pokornie. - Proszę im powiedzieć, żeby mnie nie zabijali.

- Nie zabijajcie go - powiedziała tępo, wciąż jeszcze nie mogąc odzyskać tchu.

- No tak, byłoby dochodzenie i po co nam takie kłopoty - stwierdził rozsądnie wicehrabia.

- Cóż, chyba muszę darować mu życie - przyznał Rafe. - Możesz wstać i odejść - poinformował Bryanta. - Ale szybko, żeby nie zmienić zdania.

Bryant przyklęknął, spoglądając na nich czujnie.

- Co w ciebie wstąpiło, żeby tutaj przyjeżdżać i robić to zamieszanie? - zapytał z zainteresowaniem wicehrabia.

- Wcale tego nie chciałem - odparł Bryant i pociągnął nosem. - Słyszeliśmy, że się tu wybieracie. Dowiedzieliśmy się, że Drummond także tu jest. Sezon się kończy, w Londynie nudy, a my, Tench i ja, chcieliśmy się trochę zabawić.

- Mów za siebie! - zawołał Tench z kozła faetonu. Ściągnął lejce i uniósł je do góry. Widać było, że jeśli ktoś ruszy się w jego stronę, to on natychmiast pogoni konie do galopu. - Po prostu wpadliśmy tu przejazdem - zapewnił swych słuchaczy. - W drodze do mego domu.

- Do Dover? - mruknął wicehrabia. - To ciekawe. Chyba udaliście się w niewłaściwym kierunku. Ale może się myłę?

Bryant poderwał się na nogi.

- Momencik - odezwał się od drzwi Damon Ryder. - Drum ma pytanie. Kiedy dowiedzieliście się, gdzie jest? I skąd?

- Właśnie - rzekł Rafe, mrużąc oczy. - To bardzo ciekawe.

Widząc, że trzech silnych mężczyzn mierzy go gniewnym wzrokiem, Bryant stracił resztki odwagi i stał, patrząc na nich tępo.

- Wszyscy zastanawiali się, gdzie jest Drummond - wtrącił się szybko Tench. - Nie widywało się go w zwykłych miejscach. Zaczęliśmy robić zakłady. Potem usłyszeliśmy, że opuszczacie w pośpiechu Londyn. Ja i Bryant wiemy, że Drummond jest kuzynem Sinclaira i waszym przyjacielem. Więc domyśliliśmy się, że coś wisi w powietrzu. Chcieliśmy

wygrać zakład, no i zabawić się trochę. Zaczęliśmy pytać, zwłaszcza w domu Sinclaira. Żaden lokaj nie oprze się brzękowi mamony.

- Sądziłem, że moi tak - mruknął wicehrabia. - Szkoda. Będę musiał zatrudnić nowych.

- Lepiej nie - szepnęła jego żona. - Czasy są ciężkie. A my przecież nie mówiliśmy im, że to tajemnica, prawda?

Poklepał ją po ręce.

- Masz rację. - Podniósł wzrok. - Jeszcze jedno - zwrócił się do Bryanta. - Kiedy się dowiedzieliście?

- W dniu waszego wyjazdu - odparł ostrożnie Bryant. - Ruszyliśmy za wami.

Wicehrabia popatrzył do góry. W oknie na piętrze stał Grimes. Odwrócił się, zjrzał do środka, a potem machnął ręką.

- Możecie odjeżdżać - rzekł wicehrabia. - Ale jeżeli piśnienie komukolwiek choć jedno słowo na temat dzisiejszego incydentu, to możecie liczyć na to, że się on powtórzy... z dodatkowymi ozdobnikami.

Bryant kiwnął głową, podniósł z ziemi kapelusz i niezdarnie wspiął się na kozioł. Po chwili lekki powozik zawrócił i oddalił się co koń wyskoczy.

Goście zostali na herbatę. Mężczyźni zgromadzili się w pokoju Druma, a kobiety w kuchni.

Mężczyźni wypytywali Druma o to, jak naprawdę się czuje i co sądzi o swym napastniku.

- Napisałem też do twojego szwagra, Eryka - powiedział Drum do Rafe'a. - Twoja żona mówiła, że się też tutaj wybiera?

- Tak - przyznał Rafe. - To stary żołnierz i wciąż jest kawalerem, więc ma mnóstwo czasu, żeby ci pomóc. A także umiejętności. Jeżeli ten złoczyńca znajduje się gdzieś w okolicy, to on go wywęszy. Szkoda, że ja nie będę mógł tego zobaczyć.

- Owszem - zaśmiał się Drum. - I trudno mieć ci to za złe. Przyjechałeś z żoną, a tutaj nie ma miejsca na nocleg, chyba że zechcecie oboje spać w szopie. W domu mieści się zaledwie rodzina, która tu mieszka, dlatego właśnie powsta-

ła ta idiotyczna dobudówka. Służy mojej wygodzie, bo dzięki temu mogę mieć przy sobie kilkoro służby. Sądziłem też, że przyda się i moim gospodarzom. - Skrzywił się. - Nawet ja mogę się mylić, ale proszę cię, nie rozgłaszać tego. Za to dla Eryka znajdzie się tutaj miejsce, choć taki z niego olbrzym. Rad jestem, że zechce mi pomóc. Dlatego też możecie spokojnie odjechać. Szybko wracam do zdrowia i zanim się obejrzyjecie, znowu będę w Londynie. A teraz powiedzcie mi coś o sobie? Jak się miewacie i co mnie ominęło?

Pograżyli się w konwersacji o wyścigach konnych, zakładach, meczach bokserskich i kwestiach finansowych.

Na dole kobiety podziwiały maleństwo Gilly, wymieniły ploteczki na temat potomstwa lady Sinclair i wyraziły radość, gdy Brenna Dalton nieśmiało zdradziła im, że także spodziewa się dziecka. Aleksandria pomogła pani Tooke podać herbatę i obserwowała te piękne, młode damy rozmawiające i śmiejące się z ożywieniem. Tak bardzo różniły się od kobiet, które znała, że czuła się zarazem zaszczycona i pomniejszona ich obecnością. Było to dosyć niepokojące, dlatego też przyglądała się im tylko ukradkiem.

I może dlatego nie zdała sobie sprawy, że one również okazują jej zainteresowanie. Ze szczególnym zaciekawieniem przyglądała się jej para złocistych oczu.

- Świetnie pani poszło z tą miską, panno Gascoyne - rzuciła nagle Gilly Ryder. - Dała pani temu draniowi, Bryantowi, po gębę tak, że tylko pozazdrościć.

Jak na damę, sformułowanie to było dosyć dziwne. Aleksandria uznała, że pewnie zapanowała teraz taka moda. Czuła się głęboko zażenowana i obawiała się, iż w oczach swych gości wygląda na wielką, niezgrabną wiejską dziewczynę.

- Właśnie wylewałam pomyje z miski, gdy nadjechali - szepnęła. - I chyba po prostu nie wypuściłam jej z rąk. Kiedy za zdałam sobie sprawę, że wciąż ją trzymam, zrozumiałam, iż może posłużyć mi jako broń. - Uniosła dumnie głowę, a policzki jej zabarwił leciutki rumieniec. - Mam trzech młodszych braci. To oni trochę nauczyli mnie walczyć. Powiedzieli, że ko-

biety nie muszą trzymać się żadnych zasad. Nie dlatego, że brak im honoru - dodała szybko. - Ale dlatego, że jeśli ktoś silniejszy usiłuje wykorzystać swoją przewagę nad kimś słabszym, wszystko jedno, jakiej płci, to wtedy obowiązują inne reguły.

- Racja! - stwierdziła z satysfakcją blondyneczka. - A rozum powinien zwyciężać nad siłą, zwłaszcza jeżeli się wie, jak z niego korzystać.

- Proszę nam opowiedzieć, jak znalazła pani naszego przyjaciela, Druma - zaczęła wicehrabina. - Założę się, że do pewnych rzeczy nigdy nam się nie przyzna. Czy był bardzo poraniony? Czy wie pani, jak to się stało? I czy zdaje sobie pani sprawę, jak bardzo jesteśmy wdzięczni, że zechciała się pani nim zająć?

Aleksandria z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu. Dobrze też, że nie wiedziała, na jakie tory zesłała rozmowa na górze.

- A jak z twoją gospodynią, Drum? - zapytał go kuzyn, kiedy już wymienione zostały wszystkie plotki dotyczące miejskiego życia. - Chyba poszło ci dosyć szybko? Spisz w jej łóżku i wybudowałeś jej szopę, a przecież tak krótko się znać. - Pozostali mężczyźni zaśmiali się. - Nie pytam dla żartu - ciągnął wicehrabia, poważniejąc. - Powiedziałeś, że pani Tooke to wcielenie przyzwoitości i dobrych manier. Ale nie to mnie martwi, lecz twoje przekłete poczucie honoru. Znam ciebie i twój niezwykły urok, a także wiem, że musisz czuć wdzięczność wobec tej dziewczyny. Czy sądzisz, że mogłeś obudzić w niej jakieś oczekiwania? - Zmarszczył brwi, widząc, jak Drum się krzywi. - Prawdę mówiąc, to chyba raczej odwrotnie. Czy ty masz jakieś oczekiwania wobec tej panny? Wcale bym się nie dziwił. Jest czarująca, dobrze wychowana i umie się wystawić.

- A na dodatek ma złote serce - dodał Rafe. - Przyjęła pod swój dach obcego, który mógł się okazać skończonym łotrem. Oczywiście, w twoim przypadku to nieprawda.

- Racja - przyznał kwaśno Drum. - Dodaj i to, bo tak rzeczywiście jest. Ale pamiętaj, że chociaż doznałem obrażeń

głowy, to nie straciłem rozumu. Ona ma złote serce, ale mój ród wywodzi się od Normanów. Mój ojciec nie pozwoliłby mi o tym zapomnieć, a ja nie zamierzam łamać *jego* serca, wybierając sobie żonę, której by nie mógł zaakceptować. I tak udało mi się go przekonać, że nie pragnę córki królewskiej w tej roli. Dlatego też chociaż panna Gascoyne jest urocza, to, wierzcie mi, że nie mam wobec niej żadnych zamiarów i, Bogu dzięki, ona nie oczekuje niczego takiego ode mnie. Zapewniła mnie o tym, kiedy poinformowałem ją, iż mój pobyt tutaj może ją skompromitować i zmusić do skorzystania z usług pastora, a nie tylko lekarza. Kiedy to usłyszała, niewiele brakowało, a wyrzuciłaby mnie na bruk.

- A więc jest także rozsądna - stwierdził Rafe.  
Mężczyźni zaśmiali się i zmienili temat.

Kiedy późnym popołudniem wesołe towarzystwo opuściło progi krytej strzechą chary, zatrzymali się, by podziękować Aleksandrii za jej gościnność i dobroć.

- Nie sposób powiedzieć, jak bardzo jesteśmy wdzięczni - rzekła wicehrabina. - Niepokoił się, w jakim stanie znajdziemy tu Druma.

- Nie mogliśmy go zostawić, gdyby nas potrzebował - wyjaśnił Damon Ryder.

- Wszyscy czuliśmy się niezwykle szlachetnie - przyznała Gilly. - Zgłaszając chęć pozostania tu z nim. Kiedy żadne nie zdołało przekonać pozostałych, zdecydowaliśmy się na losowanie. Choć jednak go wszyscy bardzo kochamy, każde miało nadzieję, że nie wygra.

- Mów za siebie - stwierdził jej mąż, udając urazę, chociaż na wszelki wypadek skrzyżował palce.

- Ale teraz możemy odjechać z czystym sumieniem - rzekł wicehrabia. - Widać wyraźnie, że trafił doskonale i ma jak najlepszą opiekę. Dlatego dziękujemy pani raz jeszcze, panno Gascoyne. Jesteśmy pani dłużnikami i nie wiemy, jak moglibyśmy pani odpłacić. Czy jest coś, co moglibyśmy dla pani zrobić?

- Bardzo dziękuję, ale niczego mi nie potrzeba - odparła

dziewczyna, prostując się dumnie. Stali na podwórzu i tak samo tu nie pasowali, jak czekające na nich karety. Jednak tak podwórze, jak i dom należały do Aleksandrii, a ona miała przecież swoją godność. Musieli to zauważyć, gdyż niektórzy z nich wyraźnie zawstydzili się.

- Powinna nastąpić wymiana! - stwierdziła w nagłym olśnieniu Gilly Ryder. - Pani gościła Druma, więc my powinniśmy panią do siebie zaprosić! Mamy masę miejsca, wszyscy posiadamy domy w Londynie. Byłaby to dla pani pewna nowość, prawda? Proszę powiedzieć „tak” i zgodzić się przyjechać do nas! Pokażemy pani Londyn, zabawimy się i równocześnie spłacimy dług.

- Kapitalny pomysł! - zgodził się Rafe.

Zaczęli się spierać, u kogo Aleksandria powinna zamieszkać, aż wreszcie dziewczyna przerwała im.

- Jestem bardzo wdzięczna - rzekła szczerze. - Ale to niemożliwe. Muszę zajmować się chłopcami i nie mam ani chwili wolnego czasu. Proszę zrozumieć, że nie oczekuję i nie przyjmę nic ponad dobre słowo. Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu.

Zaprotestowali gorąco, ale w końcu musieli się z nią zgodzić. Aleksandria odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie przestali ją przekonywać. Przez chwilę bowiem myśl o wyjeździe do Londynu wydała się jej tak kusząca, że o mało co, a zaczęłaby podskakiwać jak mała dziewczynka, wołając „tak, tak!” Nigdy nie odważyła się poważniej rozważyć wizyty w stolicy, chociaż nie raz o tym marzyła. Zaraz jednak zdała sobie sprawę, jakim szaleństwem byłby taki wyjazd. Zamieszkać pośród tych olśniewających ludzi, nie mając pieniędzy nawet na opłatę podróży do Londynu, nie mówiąc już o prezencie dla gospodarzy? Ani też choćby o jednej nowej sukni, a tym bardziej zestawu strojów niezbędnych, by nie wyglądała gorzej niż ich pokojówki. Tak samo nie miałyby na napiwki dla owych pokojówek czy też paru szylingów na rzeczy, które mogłyby się przydać osobie zwiedzającej największe miasto Anglii. Podróż do Bath kosztowała ją trzy razy więcej, niż



przypuszczała. Nie warto nawet próbować obliczać wydatków, związanych z pobytem w Londynie.

Dziewczyzna posmutniała. Takie zaproszenie sprawiło jej więcej przykrości aniżeli zaszczytu. Jakże to podobne do bogaczy zapomnieć, że biednych nie stać na przyjmowanie ich darów. A może oczekiwali, że zamieszka w kuchni i będzie zwiedzać miasto w towarzystwie ich służby? O nie, na to nie przystałaby za nic. Nie. Lepiej poprzestać na marzeniach o wizycie w Londynie, niż zaznać takiej hańby.

Pomachała im na pożegnanie i obserwowała, jak karety odjeżdżają jedna za drugą, uwożąc gości Druma do ich niewyobrażalnie wspaniałego świata. Oddalali się, pokrzykując wesoło, a forysie grali na rogach. Popatrzyła na okno, zastanawiając się, o czym myśli gość, który u niej jeszcze pozostał. Czy czuje się osamotniony, opuszczony i żałuje, że także nie może odjechać?

Cóż, pośle któregoś z chłopców do doktora, żeby dał im albo sprzedał butelkę wina do obiadu, pomyślała, wracając do domu. I upiecze na deser placek z jeżynami. Alkohol poprawi choremu humor, a coś słodkiego każe zapomnieć o przykrościach.

Weszła do kuchni, czując, że coś dławi ją w gardle, a serce ścisną się w piersi. Ciekawe, dlaczego o wiele więcej przykrości sprawia jej myśl, iż Drum chciałby wrócić do Londynu, niż to, że ona sama tam nigdy nie pojedzie?

## 10

Zaraz po tym, jak goście odjechali, chłopcy wrócili ze szkoły. Zrobili, co do nich należało, zjedli kolację, a potem poszli do szopy, by pogawędzić z lokajem i służącymi Drumma. Pani Tooke zmyła naczynia, a potem przyjęła zaproszenie doktora i jego żony, którzy zaofiarowali się zawieźć ją powozem w odwiedziny do wnuków. W domu zapanował dziwny spokój, a Aleksandrii wydawało się, że słyszy echo śmiechu i głośnych rozmów.

Po raz pierwszy od wielu dni nie trzeba było rozpalać w kominkach. Aleksandria podeszła do drzwi i zapatrzyła się na zachodzące słońce. Postąpiła tak przez chwilę, aż wreszcie zapadające ciemności uświadomiły jej, że zaraz nadejdzie noc. Zrobiło jej się smutno i przyszło jej do głowy, iż ich gość z pewnością odczuwa swą nagłą samotność znacznie silniej niż ona, więc poszła na górę, żeby zobaczyć, jak też się on miewa.

Siedział na krześle przy oknie i wyglądał na dwór. Nie odwrócił głowy, ale odezwał się, gdy tylko weszła do sypialni.

- Nieźle namieszałem w pani życiu, prawda? I tak właśnie odpłaciłem pani za jej dobroć. Następnym razem poważnie się pani zastanowi, zanim przyjmie pod swój dach jakiegoś włóczęgę.

- Nie wiem, czy będę miała jakiś wybór - odparła z namysłem. - Bez przerwy znajduje się w tej okolicy rannych mężczyzn. Gdybym ich nie zbierała, można by się o nich potykać.

Zaśmiał się i wreszcie na nią popatrzył.

- Mówię poważnie, Ally. Przepraszam za to, czego musiałoś doznać od tych głupków z Londynu. I proszę też o wybaczenie, że spadło ci na głowę tyle ludzi. Moja obecność

kosztuje cię sporo czasu i pieniędzy. Chciałbym ci się jakoś odwdziżyć.

Zamrugała powiekami. Zwrócił się do niej „Ally”, tak samo jak chłopcy.

Najwyraźniej nie zauważył swej poufałości i myśl ta zaskoczyła ją nie mniej niż jego propozycja.

- Wiem, że masz swoją dumę, i szanuję to. Nie pojmuję, dlaczego uważa się ją za grzech główny. Jest to raczej tylko irytująca przywara. Mój ojciec to dobry człowiek, a jednak swoją dumą mógłby obdzielić wszystkich obywateli Wysp Brytyjskich. Musisz jednak zrozumieć, że ja też mam swój honor, a to oznacza, że zawsze spłacam moje długi. Pomóż mi w tym, proszę.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, w roztargnieniu porządkowała leżące na stole przedmioty. Potem założyła ręce i wyjrzała na puste podwórko.

- Nie mogę. Pan też to musi zrozumieć. Każdy prezent będzie wyglądał na coś innego niż w rzeczywistości. Zapłata byłaby czymś jeszcze gorszym i nie chodzi tu tylko o to, co powie na to świat. - Pokręciła głową. - Wiem, że ci dwaj durnie, którzy tu przyjechali, nie reprezentują wszystkich, ale ich zachowanie było dość symptomatyczne. Ale to jeszcze nie wszystko. Czułabym się źle, gdyby mi pan zapłacił za to, że zrobiłam to, co powinnam. Pomogłam komuś, kto był w potrzebie. Najlepszą nagrodą będzie, jeżeli pan kiedyś sobie o mnie wspomni. - Zaśmiała się nagle. - Nie! Nie jestem święta. Jeżeli naprawdę chce pan coś zrobić, to proszę znaleźć w Londynie jakiś miły prezent dla chłopców. Przyjmę go chętnie. I może pan też przysłać mi jakieś dobre wino dla doktora, bo to, które pan dostał na kolację, pochodzi właśnie od niego, a ja też lubię płacić moje długi. I to już wszystko.

- Nie - odparł spokojnie.

Nie mogła się z nim spierać ani też zgodzić, a on to dobrze wiedział. Milczeli więc przez chwilę. W końcu popatrzył na nią ukradkiem. Spodobała się jego przyjaciołom, chociaż wcale się o to nie starała. Zrobiła na nich wrażenie

swym wdziękiem, inteligencją i urodą, chociaż ich przybycie zaskoczyło ją, a potem była zbyt zajęta, by przebrać się, i przez cały dzień miała na sobie starą, znoszoną sukienkę.

Teraz założyła inną, równie nienową, ale ładniejszą. Wyblakła tkanina przybrała barwę bladożółtą, a dziewczyna związała swe lśniące włosy wstążką w podobnym odcieniu. Kolor ten pasował jej. Jednak nawet pokojówki ubierają się piękniej w swe wolne popołudnia, pomyślał ze współczuciem. Przypatrywał się im, barwnym jak kwiaty, gdy w niedzielę spacerowały po parku. Jeżeli nawet Aleksandria miała jakąś najlepszą suknię, to z pewnością nie dorównywałyby ona ich strojom. Ale dlaczego?

Żyli razem z chłopcami skromnie, ale jedzenia wystarczało im w zupełności. Chłopcy mieli przyzwoite ubrania. Z pewnością musiała mieć dosyć pieniędzy, żeby sprawić sobie nową sukienkę. A może oszczędzała każdy grosz dla braci?

Drum uważał się za znawcę ludzi, tak mężczyzn, jak i kobiet. Nawet aborygeni starali się pięknie wyglądać, chociażby dzięki swym tatuażom. Ta zaś panna nie robiła tego, bo nie chciała albo nie mogła. Zawsze istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie ludzkiego postępowania. Jego przyjaciółka, Gilly, ubierała się jak chłopiec, gdy była młodą dziewczyną. Mogłoby się to wydawać szokujące, ale stanowiło dla niej jedyną ochronę w slumsach, w których dorastała. Kiedy jego kuzyn, Ewen, zaopiekował się nią, z wyraźną przyjemnością zaczęła nosić kobiece stroje.

Jeżeli Aleksandria Gascoyne nosiła stare suknie z konieczności, to wynikało to z biedy i było najzupełniej zrozumiałe. Dbała też o swój wygląd: była zawsze czysta i schludna. Jednak nie próbowała upiększyć się. Miała tylko jedną słabostkę: perfumy. Zawsze pachniała kapryfolium. Po tym poznawał, że weszła do pokoju.

Dlaczego nie stroiła się i nie mizdrzyła? zastanawiał się. Może nie wyszła za męż dlatego, iż ojciec jej zrażał wszystkich chętnych. Ale dlaczego teraz na horyzoncie nie pojawiał się żaden zalotnik? Czyżby sądziła, że nie może spodobać się mężczyźnie? Czy też po prostu nigdy się tego nie nauczyła? Podej-

rzewai, że nie chciała, by podobne sprawy stały się częścią jej Życia. Drum nie mógł tego zrozumieć. Nie można też było powiedzieć, że nie interesuje się mężczyznami. Wiedział, jak mu się czasami przygląda. Nie należał do ludzi próżnych, ale zdawał sobie sprawę, kiedy stanowi przedmiot zainteresowania kobiety. A może ta dziewczyna bezlitośnie stłumiła w sobie podobne odruchy, tak samo jak on i z tych samych powodów?

Aleksandria Gascoyne kryje w sobie wiele tajemnic. To źle, bo on uwielbia zagadki. Intrygowała go... i to coraz bardziej... im dłużej ją znał. Może zechciałby dowiedzieć się więcej na jej temat, ale najbardziej miał ochotę przekonać się, czy rzeczywiście jej skóra jest taka gładka i czy jej usta też pachną kapryfolium. Czy to tylko niewinna chętką? A może coś więcej? Jaka szkoda, że nigdy tego nie sprawdzi.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby urodziła się w szlacheckiej rodzinie, zastanawiałby się, czy nie warto byłoby jej poślubić. Mężczyzna niezdolny do odczuwania miłości mógłby trafić o wiele gorzej, niż ożenić się z kobietą, którą bardzo lubi i która go szalenie pociąga. Ale nie mógł wybrać sobie kogoś z aż tak niskiej sfery. Gdyby *pokochał*, o, to byłoby zupełnie co innego. Kiedyś poprosił o rękę Gilly, chociaż dziewczyna ta wywodziła się z dołów społecznych. Na szczęście Gilly wiedziała, iż owa propozycja wynika z zupełnie innego rodzaju przywiązania i nie dała się zwieść tym aktem galanterii.

Aleksandria patrzyła przez okno, jakby znajdowała coś ciekawego w dobrze sobie znanym widoku. A przecież to on miał problem. Nie mógł bardziej się zbliżyć do Aleksandrii Gascoyne. Teraz są przyjaciółmi, ale wkrótce będzie musiało się to skończyć. Należą do nazbyt odległych od siebie klas społecznych. Następnym kilka tygodni przyniesie mu sporo trudności ze względu na bliskość tej kobiety i brak innych, które mogłyby odwrócić jego uwagę. Nie wolno mu zapominać, że połowa jej uroku z pewnością właśnie z tego wynika. Z ulgą przekonał się, że zdecydowała odezwać się akurat w chwili, gdy jego myśli stały się bardzo ponure.

- Wiem, jak musi być panu przykro po odjeździe przyja-

ciół - rzekła, zwracając się w jego stronę. - Ale na pewno nie-  
długo znowu pan ich zobaczy.

Zaśmiał się.

- Sądzi pani, że jestem w tym samym wieku, co Kit i Rob? Biedny, mały chłopczyk? Proszę się o mnie nie martwić. Nie raz już rozstawałem się z przyjaciółmi. Brak mi ich, ale zapewniam, że jeszcze bardziej chciałbym móc wreszcie chodzić.

- Niedługo dostanie pan kule. Ale nie tak od razu - dodała natychmiast, widząc, jak zabłyśły mu oczy. - Najpierw noga musi się zrosnąć. A to nastąpi dopiero za kilka tygodni. - Zlitowała się nad nim, widząc jego rozczarowanie. - Na takie rzeczy potrzeba czasu, a i tak ma pan szczęście. Wie pan, że doktor Pace mówił, iż za życia jego ojca odjęto by panu nogę? Czy to nie okropne? Wtedy nawet nie próbowano nastawiać kości! Jak to dobrze, że żyje pan w dzisiejszych czasach. Doktor uważa, że udało mu się je złożyć bardzo dokładnie i po złamaniu nie powinien zostać najmniejszy ślad... jeżeli pan będzie uważał.

- Naprawdę myślisz, że jestem w wieku Roba. - Zaśmiał się. - Będę grzeczny, obiecuję. Mam wielką ochotę pocho-  
dzić, ale też przykro mi, że jestem dla pani ciężarem. Nie za-  
znała pani ani chwili spokoju od czasu, kiedy spadłem z ko-  
nia i stałem się przedmiotem twoich zabiegów.

- Nie jest pan ciężarem. Przykro mi z powodu pańskich obrażeń, ale prawdę mówiąc, wniósł pan wiele ożywienia do naszego domu. - Zarumieniła się, co widać było nawet w gasnącym świetle dnia. - Naprawdę - dodała. - Może powinnam była to sformułować inaczej, ale to racja, że od czasu pańskiego pojawienia się nie zazналиśmy chwili spokoju. Ale i ja, i chłopcy jesteśmy tym zachwyceni! Nasze życie toczyło się zgodnie z porami roku. Nie wiedzieliśmy o tym, dopóki się pan nie pojawił. Dlatego też uważam, że nastąpiła uczciwa wymiana, gdyż wreszcie przekonaliśmy się, w jak ciasnym światku żyliśmy. Chłopcy nauczyli się też, co to znaczy być dżentelmenem, a ja w tym krótkim czasie spotkałam znacznie więcej osób niż kiedykolwiek.

- A to dlaczego? - zapytał.

Dziewczyna zawahała się, nie dlatego, iż pytanie zostało zadane najzupełniej bez ogródek, lecz dlatego, że pragnęła dać mu właściwą odpowiedź. Zaczynało robić się ciemno. Gdyby chciała czuć się bezpiecznie, zapaliłaby lampy; w półmroku łatwiej się zdradza sekrety. Jednak czasami bywa to niezbędne. Ceniła sobie jego opinię i traktowała jak równego sobie, chociaż w oczach świata dzieliła ich przepaść. W tej chwili znajdowali się z dala od towarzystwa, a on stał się kimś, kogo od dawna nie miała: przyjacielem.

A może nawet jeszcze kimś innym, pomyślała, dostrzegając, jak czeka bez ruchu na jej odpowiedź, jak gdyby była ona dla niego szalenie ważna. Z trudem uwierzyła, że mogłoby tak być. W tym właśnie leżało sedno sprawy. Nigdy nie czuła się w pełni swobodnie w jego towarzystwie, gdyż był mężczyzną, a w dodatku potężnym arystokratą. Gdyby stanął na nogi, prawdopodobnie oniemiałaby z szacunku i onieśmienia. Obrażenia sprawiły, że jakby zmałał i zrównał się z nią. Przez to zaś odkryła, że jego osoba przyciąga ją jak magnes.

Przyjrzała mu się teraz, zastanawiając się, dlaczego człowiek ten wywiera na nią aż taki wpływ. Nie jest przecież przystojny. Jednak jego męską, pełną charakteru twarz trudno było zapomnieć. Wysoki i szczupły, mimo to sprawiał wrażenie silnego. Nie nadawałby się do roli Romea, ale doskonale widziała go w roli uwodzicielskiego czarnoksiężnika, Oberona. Był też inteligentny, odważny, szlachetny, dowcipny i dobry.

Czuła się w jego towarzystwie bezpiecznie, gdyż nie potrafiła sobie wyobrazić, by mógł jej dotknąć, choć myśl ta powracała, ilekroć na niego patrzyła. Liczyła tylko na to, że się nie zarumieni, tak jak zawsze, ilekroć pozwalała sobie na podobne bezwstydnne mrzonki. Zażenowanie jej zaś wynikało częściowo z tego, iż była przekonana, że podobne marzenia są po prostu żałosne. Niewiele zaznała w życiu bliskości i nie znała innych osobników płci męskiej poza małymi chłopcami i starszymi panami. Poza tym zdawała sobie doskonale sprawę, iż siedzący przed nią mężczyzna ma wszyst-

ko, do czego ona nie ma prawa aspirować. Utytułowany i bogaty, odnosił się do życia z dystansem, który wynikał nie tylko z jego wychowania, ale też z charakteru. Ona zaś nigdy nie zdoła owego dystansu pokonać.

Kiedy wyjedzie, nigdy już o nim nie usłyszy. Zniknie z jej życia na zawsze. To smutne, ale może tak będzie lepiej, gdyż dzięki temu mogli czynić sobie zwierzenia, na które nie poważiliby się, gdyby się mieli jeszcze kiedyś spotkać.

Nie można było jednak powiedzieć tego wprost, bez wprowadzenia.

- Dlaczego? - powtórzyła, unikając jego spojrzenia i kierując wzrok w stronę liliowych cieni zachodu. - Czemu nie spotykam się z ludźmi? Po pierwsze, mieszkamy na uboczu.

- W pobliżu znajduje się szkoła, a tam z pewnością znalazłabyś przyjaciółki pośród żon nauczycieli, a także młodych adeptów tego zawodu, których mogłabyś uwieść?

Ujrzał, że kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu.

- Mój drogi panie - szepnęła tak cicho, że musiał wstrzymać oddech, by ją usłyszeć. - Mam dosyć towarzystwa nauczycieli. Poza tym - dodała nieco weselej, a może aż nazbyt pogodnie - pan Gascoyne nie był szczególnie lubiany, nawet przez swoich kolegów. Ci zaś, z którymi był blisko, nie należą do ludzi, w towarzystwie których czułabym się dobrze. Mam też mało wspólnego z innymi mężczyznami, zamieszkałymi w tej okolicy.

Uśmiechnęła się z goryczą, powtarzając słowa, które rzucano jej w twarz, gdy wybierała się w swą nieszczęsną podróż do Bath.

- Mam wykształcenie ponad stan, co stanowi zresztą jedyną moją zaletę, oprócz młodości, która szybko przeminie.

- Ile masz lat? - zapytał, kiedy umilkła, jak gdyby nie chciał przerywać nici dziwnego porozumienia, jakie się między nimi nawiązało. Sądził też, że dziewczyna ma mu coś jeszcze do powiedzenia.

- Dwadzieścia cztery - odparła. - Co w naszej okolicy oznacza zgrzybiałą starość i pewnie tak samo zresztą w Londynie.



Jej opanowanie zawsze go zadziwiało. *Teraz* stwierdził, że ciężko na nie pracuje. Stała wyprostowana, ale w zapadającym półmroku wyglądała tak delikatnie, że miał ochotę podejść do niej, objąć ramieniem i pocieszyć, choć wiedział dobrze, iż byłaby to najgorsza rzecz, jaką mógłby uczynić.

- Ale chyba masz jakąś rodzinę, przyjaciół, kogoś, kto mógłby wprowadzić cię do jakiegoś bardziej odpowiedniego towarzystwa? - zapytał, mając na myśli zamożnych, wykształconych i dobrze wychowanych mężczyzn, którzy szukając żony, nie musieli się liczyć z konwenansem. Pastorów, emerytowanych wojskowych, kupców, farmerów i tym podobne.

- To raczej niemożliwe - odparła.

- Dlaczego? - zapytał bez osłonek, gdyż wiedział, że w tej chwili może mu to powiedzieć, a już w następnej nie.

Nabrała tchu, rozchyliła wargi... i nagle umilkła, dostrzegając coś, co nagle wyłoniło się z liliowego półmroku.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła z mieszaniną żalu i ulgi. - Pan jest chyba najbardziej popularnym człowiekiem w Anglii! Nadjeżdża następny gość. Z pewnością do pana, gdyż ja go nie znam. - Popatrzyła w dół na jeźdźca, galopującego pośród wieczornej mgiełki w stronę domu. - Chyba że - zachichotała - to jest następna inwazja wikingów!

- Wikingów?

- Ma jasne włosy, jest dobrze zbudowany i pędzi na złamanie karku. Wysoki blondyn na wielkim, białym koniu.

Drum zaśmiał się szorstko.

- Tak, rzeczywiście, wiking. Twierdzi, że się od nich wywodzi i walczył równie dzielnie jak oni, kiedy był w wojsku. Ale proszę się nie martwić: swym wdziękiem potrafi wydość wszystko od swojej ofiary. To Eryk Ford - dodał z lekką irytacją. - Brat lady Dalton. Owszem, ona jest czarna niczym Cyganka, a on jasny: są przyrodnim rodzeństwem, lecz bardzo się kochają. Mówiła, że Eryk się tutaj wybiera. Nie sądziłem jednak, iż pojawi się aż tak rychło. A ty pewnie już masz dosyć moich gości na dzisiaj.

W roztertaniu przygładziła włosy, obserwując przybysza.

- Ależ nie - odparła. - To żaden kłopot. Zaraz zejść na dół i go do pana przyślę.

Lekko marszcząc brew przyglądał się, jak wybiega z pokoju, żeby powitać wysokiego, nieznajomego jej blondyna.

- Panno Gascoyne - rzekł Eryk Ford, ujmując w swą wielką dłoń jej drobną rękę, kiedy już go przywitała i przedstawiła się. - Minąłem się z moją siostrą, nieprawdaż? Jednak poznawszy panią, trudno mi jest się martwić czymkolwiek.

Aleksandria podniosła na niego wzrok. Wiedziała, że Drum jest wysoki, choć jak na razie nie wstawał. Jednak ten jegomość był wielki jak wieża. Nie tęgi, ale mocno zbudowany, grubokościsty. Nosił zgrabny surdut, który znakomicie podkreślał szerokie bary, a jego długie, muskularne nogi okrywały brązowe bryczesy. Gęste, miodowozłote włosy otaczały przystojną, opaloną twarz, a w orzechowych oczach malował się ciepły uśmiech.

Na ten widok dziewczynie po prostu zabrakło tchu, więc natychmiast postanowiła nie zwracać uwagi na jego komplementy. Mężczyźni tacy jak on nie muszą flirtować z kobietami takimi jak ona, a to oznacza, że on po prostu nie umie inaczej rozmawiać z przedstawicielkami płci przeciwnej.

Natychmiast jednak przypomniał sobie o powadze sytuacji, gdyż przestał się uśmiechać i zaraz zaczął dopytywać się o Druma.

- Jak czuje się pan hrabia? Wciąż jeszcze tutaj jest, prawda?

- Ma się całkiem nieźle. Wypadek był poważny, ale teraz ranny już wraca do zdrowia. Proszę iść na górę, jego pokój jest na pierwszym piętrze. Czy jechał pan z daleka? Jest pan głodny? - spytała, zdając sobie poniewczasie sprawę, że tak potężny mężczyzna musi mieć porządny apetyt.

- Ja zawsze jestem głodny - odparł ze śmiechem. - Ale proszę nie robić sobie kłopotów.

- To żaden kłopot - odparła, rumieniając się, gdyż wciąż trzymał jej dłoń. Zauważył jej spojrzenie i uwolnił jej rękę. - Proszę iść na górę, a ja zaraz przyniosę coś do jedzenia. Mo-

że kurę? Albo szynkę? Czy też raczej zapiekankę mięsną? Woli pan piwo, herbatę czy wino?

- Tak, poproszę - odparł, uśmiechając się i ruszył na górę.

- Można się było spodziewać, że nawet po wypadku wyładujesz w najlepszym możliwym miejscu - stwierdził Eryk, wchodząc do pokoju. - Prosto do garnka z miodem, co? Ależ ona jest śliczna! A jak z twoją nogą? - zapytał obchodząc fotel, na którym siedział Drum, i przyglądając się z zawodowym zainteresowaniem żołnierza opartej o stołek, osłoniętej łupkami kończynie. - Masz dobrą wymówkę, żeby tu zostać na zawsze.

- To porządna dziewczyna - odparł krótko Drum, zakrywając się szlafrokiem niczym wstydliva stara panna. - Doznałem kontuzji nogi, ale także i głowy i mam szczęście, że reszta jest cała. Ktoś do mnie strzelał, Eryku - oznajmił. - Wszyscy utrzymują, że to jakiś chłopak, który zabawiał się strzelbą. Ale ja za dużo w życiu widziałem, żeby przyjąć to wyjaśnienie za dobrą monetę. I w tym właśnie rzecz. Chciałbym to sprawdzić, ale jestem tu uwięziony. - Z irytacją uderzył pięścią w poręcz fotela.

Eryk uniósł swą jasną brew.

- Koń przewrócił się na mnie. Nie martw się, nic mu się nie stało - dodał Drum z bladym uśmiechem. - Złamał mi nogę w dwóch miejscach, dlatego tak długo się zrasta. Z głową już lepiej, chociaż doktor zachowuje się tak, jakby miała mi odpaść, jeśli nią za mocno pokiwam. Cieszę się, że jesteś. Potrzeba mi kogoś, kto rozejrzałby się dookoła i sprawdził, co się stało i kto jest sprawcą. Jesteś starym zwiadowcą z dobrym nosem i okiem. Ale, ale, zostaw tę dziewczynę w spokoju. Chyba że masz poważne zamiary, a przecież to ci się nie zdarza.

- Zaczynam się chyba starzeć - odparł Eryk, opierając się ramieniem o ścianę przy oknie. - Poważne podejście do świata pojawia się jak siwizna: rano nie ma nic, a wieczorem cała głowa jest biała. Ale będę się trzymał z dala od tej panny, jeżeli tego chcesz.

Twarz Druma znieruchomiała i przybrała wyniosły wyraz.

- Troszczę się o nią jako wdzięczny pacjent. I zwróc uwagę, że to prowincjuszka, która nie zna się na flirtach i wielkim świecie. Ale rób co chcesz, tak zresztą jak zawsze. Tyle tylko że wolałbym, żebyś zajął się pracą dla mnie, a nie uwodził osobę, która mnie otacza opieką.

- Och, poradzę sobie i z jednym, i z drugim - odparł Eryk, pogodnie się uśmiechając. - Cała przyjemność po mojej stronie. Ostatnio czuję się trochę nieswojo. Może i na mnie przyszła pora ożenić się i mieć potomstwo. Ale na razie chętnie zabawię się w detektywa. Czy podejrzewasz jakąś konkretną osobę? Kogoś, kto ma interes w tym, żeby usunąć cię z powierzchni ziemi?

- Nie bardziej niż większość ludzi - wzruszył ramionami Drum.

- Ale ty przecież masz więcej pieniędzy i władzy niż znaczna ich część - stwierdził Eryk. - Na pewno przyszedł ci do głowy jakieś kandydatury. Nawet święty może nadebrać komuś na odcisk.

- A zwłaszcza święty, jak sądzę - odparł ze śmiechem Drum. - Przecież musieli się jakoś zasłużyć. Ale ja nie mam takich aspiracji, więc myślę, że tę hipotezę możemy odrzucić.

- No dobrze, w takim razie czy jest ktoś, kto żywi do ciebie jakieś pretensje? Albo ktoś, kto ci zawdzięcza tak wiele, że chciałby pozbyć się długu... jak najprędzej? Czy też mąż płochy żony, który sądzi, że zawędrowała i do twojego łóżka? Ojciec, przekonany, że wzgardziłeś jego córką? To mógł być ktoś, kogo nawet nie dostrzegałeś. Zastanów się: czy zwolniłeś niedawno jakichś służących? To może być ktoś niezadowolony, hodujący w sobie urazę o urojoną niesprawiedliwość.

Drum roześmiał się.

- Miło dowiedzieć się, co o mnie myślisz! Ale nie. Nie jestem niczym bankierem i nie robię szalonych zakładów. Nie uwodzę cudzych żon, gdyż wierzę w stare powiedzenie: nie rób drugiemu, co tobie niemiło. Płacę za wszystkie moje przyjemności i nie demoralizuję niewiniątek.

Przyszła mu jednak do głowy pewna panna, którą miałby ochotę uwieść, więc szybko mówił dalej.

- I chociaż może się to wydawać dziwne, zwracam uwagę na służbę. Wybieram ich starannie i płacę im emeryturę, kiedy przestaną pracować z racji wieku. Nie. Myślę, że mój napastnik to ktoś związany z czasami, kiedy pracowałem przeciwko Napoleonowi. Wtedy zawiesiłem na kołku wszystkie moje zasady moralne. Wiesz, jak to jest, Eryku; żołnierze i szpiedzy postępują podobnie. Robią to, co należy, kiedy jest to konieczne. W tamtych czasach narobiłem sobie zajadłych wrogów. A tacy ludzie posiadają wiele umiejętności. Dlatego po ciebie posłałem. Przydasz mi się znacznie bardziej niż policja.

- Mam nadzieję - odparł Eryk. - Przynajmniej spróbuję. Tylko gdzie będę nocować? Tutaj nawet nie ma gdzie stać. To uroczy przykład wczesnej architektury angielskiej, ale od pochylania się niedługo zdrętwieje mi kark. Owszem, dzięki temu mógłbym się lepiej przyjrzeć twojej pannie Gascoyne. A więc - ciągnął, zauważając z zainteresowaniem, że Drum skrzywił się, gdy wspomniał o flircie z ową dziewczyną - czy powinienem rozłożyć się obozem na otwartym powietrzu, jak w dawnych, dobrych czasach?

- Nie ma potrzeby - powiedział Drum. - Jest szopa. Nie musisz spać na dole; na stryszku jest dużo miejsca.

- W szopie? - zapytał Eryk. - Tej, którą widziałem, jadąc tu? Z tą dziwną, dopiero co wykończoną dobudówką z jednej strony? Podobno to twoje dzieło...

- Tak - przyznał smętnie Drum. - Cóż. Musiałem ją postawić, choćby po to, żeby dostarczyć okolicznym wieśniakom tematu do rozmowy, prawda? Rzecz jednak polega na tym, iż potrzebo-wałem stałej opieki, a nie mogłem zdręzczać Ally... panny Gascoyne... ani też pozwolić, by moi ludzie spali na dworze. Tyle tylko że całość wyszła niezupełnie tak, jak to sobie wyobrażałem. Tak, chciałbym, żebyś tu został. Będzie ci całkiem wygodnie.

- Pomieściłaby się tam cała armia Hannibala - stwierdził Eryk, wyglądając przez okno. - Razem ze słoniami. - Och - rzucił z zaskoczeniem, gdy Aleksandria weszła do pokoju, niosąc zastawioną tacę. - Nie trzeba było tego tutaj przynosić, z przyjemnością zszedłbym na dół.

Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że woli pan dotrzymać towarzystwa panu hrabiemu.

- Tak właśnie jest - powiedział szybko Drum. - Mamy wiele spraw do omówienia. Dziękuję - dodał poniewczasie.

- Nie ma za co - odparła, rzucając mu zdziwione spojrzenie. Nie bywał taki szorstki. - Nie jest pan głodny? A może chce pan się czegoś napić?

- Dziękuję, nie.

- Jeżeli będzie panom czegoś trzeba, proszę dać mi znać - rzekła i skierowała się do drzwi. Odwróciła się jednak szybko, słysząc łoskot i zamieszanie dobiegające z podwórza. Po-deszli z Erykiem do okna, zasłaniając je całkowicie tak, że Drum nie mógł nic a nic zobaczyć, chociaż uniósł się w fotelu i wyciągnął szyję.

- Ojej - szepnęła Aleksandria.

- Oj, tak - powiedział Eryk.

- Czy któreś z was będzie łaskawe powiedzieć mi, co się tam dzieje? - zapytał ostro Drum, nie widząc nic poza ich głowami.

W głosie Eryka dało się słyszeć rozbawienie, ale też i współczucie.

- Wygląda na to, że przyjechał twój ojciec. W pierwszej chwili myślałem, że to sam król, ale potem poznałem herb na karcie. Jest większy niż miłościwie panującego. Przybyły też jeszcze dwa inne powozy i tylu ludzi, że mogliby dokonać inwazji. Kiedy dobudujesz drugie skrzydło do tej szopy?

- O Boże - jęknął Drum, opadając na fotel. - Przepraszam - zwrócił się do Aleksandrii.

- Za co? - spytała, usiłując się skupić. Pożałowała, że pani Tooke jest nieobecna, bo nie miała pojęcia, jak zdoła sama nakarmić tę hordę.

Drum milczał. Biedna dziewczyna, nie wie, co ją jeszcze czeka.

## 11

Aleksandria domyśliłaby się, że mężczyzna, który pojawił się u jej drzwi, to ojciec Druma, nawet gdyby jej nie powiedziano, kim jest. Tak samo wysoki i szczupły, obnosił swój orli nos z podobną dumą, niczym tarczę herbową. Głowę o srebrnych włosach trzymał wysoko, tak że patrzył na wszystkich z góry bez względu na ich wzrost. Jego twarz o mocno napiętej skórze składała się wyłącznie z ostrych kątów. Jedynie wyraz ust miał w sobie cień łagodności. Drum będzie wyglądał podobnie, kiedy osiągnie wiek średni, tyle tylko że oczy starszego pana miały zimnoszarą barwę krzemienia i nie zawierały w sobie tak charakterystycznej dla syna dobroci i życzliwości.

Nieskazitelną biel i czerń stroju przybysza przełamывała jedynie srebrna główka laski oraz złoty błysk lorgnon, trzymanego w urękawiczonej dłoni. Na szczęście jednak dłoń owa nie uniosła przyrzędu do oczu, gdyż tego już byłoby dla Aleksandrii za wiele.

Uznała swego kolejnego gościa za człowieka twardego i dumnego, a co więcej, uważającego te dwie cechy za cnoty. Znała takich ludzi. Pan Gascoyne, niewysoki, żyłasty plebejusz o twarzy bardziej przypominający mordkę małpki niż oblicze człowieka, z pewnością doskonale porozumiałby się z tym arystokratą.

- Przyjechałem zobaczyć się z moim synem - odezwał się przybysz, lekko skłaniając głowę w symbolicznym ukłonie... albo pochylając się, by nie uderzyć głową o futrynę niskich drzwi. - Podobno jest tutaj.

Nawet nie raczył przedstawić się ani też zapytać Aleksan-

drii, jak się nazywa. Po prostu ruszył przed siebie. Dziewczyna zawrzała gniewem. Jak dotąd nie obracała się pośród książąt, ale teraz miała przed sobą najbardziej wyniosłego w całej Anglii arystokratę. Wiedziała jednak, jak należy traktować niegrzecznych chłopców i źle wychowanych mężczyzn.

- Jestem Aleksandria Gascoyne - rzekła z godnością, zastawiając mu drogę, tak żeby nie mógł wejść do domu. - Po wypadku pan hrabia nie mógł przemieścić się z miejsca na miejsce, dlatego przebywa u nas.

Mężczyzna zatrzymał się i uniósł brew.

- Moje nazwisko brzmi Winterton - rzekł, skłaniając wyraźniej już teraz głowę. - Czy mogę wejść? I zobaczyć mojego syna?

Głos zdrzął mu lekko, kiedy wymawiał to ostatnie słowo. Pozwoliło to Aleksandrii stwierdzić, iż człowiek ten być może bardziej przejmuje się sytuacją, niż daje po sobie poznać. Złagodniała. Opuściła głowę i odsunęła się na bok.

- Tak, proszę bardzo, wasza miłość. Jest w pokoju na górze. W chwili obecnej znajduje się w towarzystwie swego przyjaciela, Eryka Forda, ale wiem, że czeka na pana.

Zawahał się.

- Jak się czuje?

- Szybko wraca do zdrowia, wasza miłość - uśmiechnęła się. - Złamał nogę i doznał obrażeń głowy, ale wszystko idzie ku lepszemu, choć może nie tak szybko, jak pacjent by sobie życzył.

- To do niego podobne - odparł. Wszedł do niedużego przedsionka. Widać było wyraźnie, że laska służy mu tylko na pokaz, gdyż krok miał pewny. Mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, odziany w czerń, ruszył w jego ślady.

- Przepraszam - zaczęła z irytacją dziewczyna, gdyż nie zapraszała tego człowieka i zaczęła odnosić wrażenie, że jej chata stała się miejscem nazbyt uczęszczanym przez obcych. - Obawiam się, iż na górze może okazać się trochę zbyt ciasno. Eryk Ford jest bardzo dobrze zbudowany.

- Zgadza się, że wzrostem przewyższa większość śmier-



telników - odparł księżę, uśmiechając się blado. - Ale dla pana doktora musi się znaleźć miejsce, moja droga. Przyjechał tu z Londynu, by zbadać mojego syna.

Powiedział to tak, jakby do tej pory Drumem opiekował się wiejski kowal, pomyślała ze złością Aleksandria.

- Doktor Pace nastawił nogę natychmiast po wypadku - rzekła, zaciskając dłonie, żeby ukryć ich drżenie. - Gdyby tego nie uczynił, i to w dodatku doskonale, pański syn znajdowałby się teraz w znacznie gorszym stanie. Tymczasem jednak rekonwalescencja przebiega wzorowo. Doktor odwiedza pańskiego syna codziennie. Niebawem się tutaj i dziś pojawi.

- Bardzo dobrze - powiedział księżę i ruszył na górę. - Idzie pan, doktorze? - rzucił przez ramię.

- Zaczekam - odparł indagowany. - Nie ma sensu przytaczać pacjenta i denerwować pielęgniarki.

*Pielęgniarka* oburzyła się w duchu Aleksandria. Pożałowała, że nie założyła swojej najlepszej sukni... tyle tylko że takiej nie posiadała. Zaraz jednak pomyślała, że wtedy uznano by najwyżej, że jest po prostu lepiej płatną pielęgniarką.

Westchnęła i zaprosiła doktora do kuchni, proponując mu coś do picia, gdyż przyszło jej do głowy, że mógł ją określić znacznie gorzej, tak jak to uczynili wcześniejsi goście Druma.

- Ojczy! - wykrzyknął Drum, próbując się podnieść.

Księżę machnął ręką.

- Więcej rozsądku - warknął. - Siedź. Gdybyś mógł chodzić, przecież byś tu nie został. - Zdjął rękawiczki i skinął Erykowi. - Witam, majorze. Jakie to dziwne - ciągnął, podchodząc do okna i wyglądając na dwór. - Zatrzymawszy się przy drodze, by dać odpocząć koniom, dowiedziałem się, że twój kuzyn z żoną, ich przyjaciele, Ryderowie, a także ten szalony Dalton i jego małżonka odwiedzali cię dzisiaj. A teraz pan major. Ale do mnie ani słowa na temat tego wypadku. Musiałem wydobyć prawdę od twojej służby.

- Nikomu nic nie mówiłem - odparł Drum, opadając na oparcie fotela. - Sami to wykryli.

- Pewnie dlatego, że są takimi znakomitymi szpiegami. Jednak ja nie jestem równie biegły w stosowaniu podstępów - rzekł chłodno książę. - Nigdy też nie sądziłem, że powinienem się tego nauczyć. Można by przypuszczać, że, znalazłszy się o włos od śmierci, jedyny syn i spadkobierca powiadomi swego ojca.

Drum zaśmiał się.

- Biorąc pod uwagę, ojcze, że właśnie w takiej sytuacji byłem, jak mógłbym cię powiadamiać? A jeśli nie, to po co zawracać ci głowę? Pomyślałem, że dam ci znać, kiedy wyzdrowieję. Po co miałem cię niepokoić?

- Dlatego, że oczekiwałbyś czegoś podobnego ode mnie - odparł szorstko książę, odwracając się, by przyjrzeć się synowi.

Drum kiwnął głową.

- Racja. Następnym razem będę o tym pamiętał.

- Miejmy nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba. A teraz, jeśli łaska, opowiedz mi, co się stało.

Drum pokrótce zrelacjonował najważniejsze fakty.

- Eryk wkrótce wyruszy na trop, więc może wreszcie poznamy jakieś odpowiedzi - zakończył.

- Dobrze - rzekł książę. - A teraz powiedz mi, kto to jest ta panna Gascoyne? Jest chyba trochę za młoda jak na panią tego domu. Gdzie reszta rodziny?

- Jej ojciec i matka nie żyją - odparł Drum. - Aleksandria mieszka z braćmi.

Cienkie brwi księcia uniosły się do góry, gdy Drum użył imienia swej gospodyni.

- Nie martw się, ojcze - rzekł Drum, uśmiechając się lekko. - Zadbaliśmy o wszelkie wymogi przyzwoitości. Na czas mojego pobytu zamieszkała tutaj ogólnie szanowana kobieta w dojrzałym wieku.

Książę zmarszczył brwi.

- A normalnie ta dziewczyna mieszka tutaj sama?

- Ze swymi trzema młodszymi braćmi. Ale zapewniam, że nakazy konwenansu są ściśle przestrzegane. Prawdę mówiąc, tę dziwną dobudówkę do szopy postawili moi ludzie, żeby mieli gdzie mieszkać i mogli pomagać przy mojej pielęgnacji.

- Czy znałeś tę osobę przed wypadkiem? - zapytał księżę z podejrzaną łagodnością.

- Co? - Drum zaśmiał się. - Zawsze mnie potrafisz zadziwić, ojciec. A zwłaszcza jeśli chodzi o twoje poglądy na moją moralność. Nie. Nie udawałem się też do niej w odwiedzin, kiedy zdarzył się wypadek. Prawdę mówiąc, ujrzałem ją po raz pierwszy, kiedy przyciągnięto mnie tutaj, pokrwawionego z drogi. A potem? Zapewniam cię, że panna ta nie dybie na moją cnotę. Uratowała mi życie i to wszystko. Przekonałem się też, że nędzna to zapłata podejrzewać ją o jakieś niskie pobudki.

- A zatem w ramach rewanzu zbudowałeś szopę? - zapytał ojciec. - Nie. Nie jestem wszechwiedzący - dodał, widząc czujne spojrzenie Druma. - Wiem, że ty ją postawiłeś, i to w czasie niewiele krótszym niż tydzień. O tym się właśnie mówi u kowala, gdzie się zatrzymałem po drodze.

- Gdybyś został odrobinę dłużej, przekonałbyś się, iż nie mają tu żadnych innych tematów do rozmowy. Jak mówią chłopcy, ta kuźnia to punkt centralny całej okolicy. To znaczy, bracia Ally - poprawił się Drum. Uśmiechnął się, dostrzegłszy wyraz twarzy ojca. - O, przepraszam. Tak właśnie mówią o niej chłopcy, a ja od nich nabyłem tego zwyczaju.

- Oby pozostał to jedyny zwyczaj, jaki tu sobie przyswoisz. Drum pokręcił głową.

- Pochlebia mi to, że tak doceniasz moje możliwości. Rozbiłem sobie głowę i połamałem nogę. Przebywam pod dachem przyzwoitej kobiety w domu tak ciasnym, że nie można w nim nawet kichnąć, by wszyscy nie usłyszeli, a ty myślisz, że mógłbym ją uwieść ukradkiem? Czuję się zaszczycony.

- Obawiam się, że to raczej ona zechce cię uwieść - odparł ojciec.

Drum wyprostował się i spojrzał na niego surowo.

- Myślę, że gdybyś ją znał, czułbyś się w obowiązku przeprosić ją.

Nie poruszyło to księcia.

- Doprawdy? Może. Wybacz mi. Ostatnio w związku z tobą myślę przede wszystkim o kwestiach matrymonialnych.

Prawdopodobnie dlatego przypisuję innym podobne zainteresowania.

- A ja właśnie przez to się tutaj znalazłem - zaśmiał się Drum. - Rozmyślałem nad twoim kazaniem na temat małżeństwa zamiast patrzeć, gdzie jadę, i nie zachowałem należytej czujności.

- Ach, tak? - zainteresował się ojciec. - Czy chodziło ci o jakąś konkretną osobę? Lady Annabelle, o której mówiłem? Czy jest ktoś inny?

Eryk, który stał zapomniany przy oknie, popatrzył na Druma z nagłym zainteresowaniem.

- Lady Annabelle? Najpiękniejsza panna w Londynie? - zapytał Drum kwaśno. - Jakże bym mógł o niej zapomnieć? Zachwycałeś się nią bez miary. Tak bardzo ją wychwalałeś, że pomyślałam, że ona powinna zostać żoną... ale twoją.

- Gdybym miał dziesięć lat mniej, pomysł ten nie byłby ani obelżywy, ani dziwaczny. - Księżę machnięciem ręki zbył wszelkie protesty Druma. - Tak czy owak, panna ta jest piękna, utalentowana, bogata, utytułowana i czarująca. Mile widziałbym ją jako synową i matkę moich wnuków.

- Nie rezygnuj tak łatwo - upierał się Drum. - Masz lepszą kondycję niż wielu mężczyzn o połowę młodszych od ciebie i bajeczny majątek. Stanowisz znakomitą partię. Nie ma co, ta panna byłaby dla ciebie doskonałą żoną i mogłaby ci jeszcze dać lepszych dziedziców niż ja. Owszem, jest piękna, inteligentna i posiada wiele poloru. Jednak ja znam ją osobiście, a nie tylko jej reputację... osoby, która złamała niejedno już serce, skądinąd. Mówią, że uwodzi i porzuca mężczyzn dlatego, że ktoś, kogo kochała naprawdę, poślubił inną. Prawdę mówiąc, było ich dwóch... to moi przyjaciele. Ci właśnie, którzy odwiedzili mnie dzisiaj. Najpierw odrzucił jej względy Damon Ryder, którego uwielbiała jako młoda panienka, a potem Rafe Dalton, który miał być jej pocieszycielem.

Dokładnie takim samym gestem, jak ojciec, Drum zbył wszelkie możliwe komentarze.

- Proszę nie uważać ich za nikczemników. To nie była

w najmniejszym stopniu ich wina. Znaleźli swoje wybranki, kierując się nakazem serca. Panna także nie jest z gruntu zła, tylko bardzo rozpieszczona i zapatrzona w siebie. Ale też, skoro poznałem ją podczas jej nieudanych prób zdobycia Daltona i Rydera, a także dlatego, że występowałem jako mediator, nie przepadamy za sobą. Tak więc trudno mi sobie wyobrazić, by między nami mógł się nawiązać romans. Za to ty nadawałbyś się całkiem nieźle.

Rzucił okiem na Eryka, by sprawdzić, jak zareaguje na tak brutalny dowcip, i zauważył, że przez twarz przyjaciela przemknął wyraz rozpaczy albo może błyskawicznie zdławionego gniewu. Czyżby wielkolud interesował się piękną Annabelle? Bądź co bądź znali się. Panna pragnęła co rychlej wyjść za mąż, i to najlepiej jak tylko można, żeby pokazać światu, na co ją stać. Jeżeli Eryk miał co do niej poważne intencje, księżę stanowiłby dla niego niebezpieczne zagrożenie. Drum nagle zdał sobie sprawę, że to wcale nie żarty. Jego ojciec byłby znakomitą partią dla kobiety dążącej do zdobycia tytułu, zwłaszcza jeżeli zaznała już ona rozczarowania w miłości.

- Czasy się zmieniają, tak samo zresztą jak ludzie, więc nie sądzę, żeby nie mogło stać się tak i w tym przypadku - dodał szybko, żeby poskromić ewentualne zainteresowanie ojca ową panną. - Odwiedzę ją, jak tylko stanę na nogi i wrócę do Londynu. Kto wie, co może się jeszcze zdarzyć?

Księżę nie odpowiedział od razu. Zamyślił się na chwilę, przechylając głowę.

- Kto wie, kto wie - powtórzył w roztargnieniu.

Zapadał już zmrok, kiedy Eryk skończył rozkładać rzeczy w szopie i wrócił, by zobaczyć, jak miewa się jego przyjaciel. Vin, Kit i Rob łązili za nim jak kaczęta za matką, kwacząc zupełnie jak one. Księżę Winterton, stojący przy oknie w pokoju Druma, obserwował jasnowłosego olbrzyma i trzech chłopców, oświetlonych złotym blaskiem latarni, dochodzącym z okien nowej części szopy. Założywszy ręce z tyłu, czekał, czym teraz zajmie się ta czwórka, podczas gdy doktor kończył badanie Druma.

- A więc, kiedy będzie mógł stąd wyjechać? - zapytał, nie odwracając głowy.

- Najwcześniej za miesiąc - odparł doktor, podnosząc się z klęczek. - Bardzo przepraszam, milordzie - zwrócił się do pacjenta, który zbladł i mocno zaciskał wargi. - Musiałem wszystko dokładnie sprawdzić, a to nie mogło być miłe. Ale jestem zadowolony. Ktokolwiek składał pańską nogę, zrobił to bardzo dobrze. Sam nie potrafiłbym lepiej. Teraz musi pan poczekać, aż kości się zrosną, a tego nie może przyspieszyć nawet najlepszy lekarz.

Wyraz twarzy księcia nie uległ zmianie.

- Tak długo? - rozważał. - Ale chyba da się go jakoś przewieźć trochę wcześniej?

- Jak? - zapytał doktor. - Poleci? Bo nie wyobrażam sobie żadnego innego sposobu, który nie spowodowałby ryzyka. Na drogach są koleiny i doły, ukryte zasadzki, z powodu których nawet najlepsze karety kołyszają się i trzęsą. Nie można pozwolić, by to, co już uległo naprawie, zostało zniszczone. Przesunięcie kości odkryto by dopiero wtedy, gdy milord spróbowałby stanąć. Nie, lepiej poczekać, wasza miłość, chyba że chce pan, żeby nastąpiły jakieś trwałe uszkodzenia.

Książę odwrócił się wreszcie i spojrzał na syna lodowato.

- Uśmiechasz się? - zapytał zimno, widząc jego reakcję. - Tak bardzo się cieszysz, że możesz zostać tu dłużej?

- Tak bardzo nie nawykłem, by ktoś mówił ci „nie” - odparł Drum. - To niesamowite. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się słyszeć czegoś podobnego.

Ojciec nie miał szansy, by zareplikować, gdyż pokój uległ nagłej inwazji.

- Proszę nie mówić, że Drum będzie musiał wyjechać! - zawołał błagalnie Rob, wpadając do środka na czele pozostałych braci.

- Rob! - krzyknął Vin, rumieniąc się pod wpływem spojrzenia, jakie posłał im wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach, stojący przy oknie. - Zachowuj się, nawet nas nie przedstawiono.

- To da się łatwo naprawić - odparł Drum. - Ojczy, doktorze... oto mieszkańcy tego domu, licząc według wzrostu Vin, Kit, a ten niecierpliwy młodzieniec to Rob. Chłopcy, poznajcie mego ojca, księcia Winterton, i doktora Rainesa, który przyjechał aż z Londynu, by mnie zobaczyć. Doktor nie może wyjść z podziwu, że jeszcze żyję. Ja zaś jestem pod wrażeniem jego badania. - Rzucił lekarzowi wesołe spojrzenie. - Moja rekonwalescencja przebiega tak sprawnie tylko dlatego, że ci oto młodzi ludzie dbają, żebym ani na chwilę nie popadł w przygnębienie.

- Dobry humor to najlepsze lekarstwo - zgodził się doktor, a chłopcy ukłonili się gościom.

- Ta trójka przywróciłaby do życia nieboszczyka - stwierdził Eryk, stojący za ich plecami.

- Ależ to głównie zasługa Ally - zaprotestował Rob.

- Wszystko to pójdzie na marne, jeżeli niektóre osoby nie wyjdą stąd wkrótce - odezwała się Aleksandria od drzwi, skąd usiłowała zajrzeć do środka. - Pani Tooke wróciła i jest tu też doktor Pace. Chłopcy, pora spać. Przyniosłam pacjentowi tacę z kolacją, ale nawet nie mogę wnieść jej do środka.

Chłopcy ukłonili się znowu i ruszyli do wyjścia.

- Przyjdę jutro rano, Drum! - zawołał Rob, zanim bracia zdążyli go wypchnąć z pokoju.

- A czy dałoby się ciebie powstrzymać! - zaśmiał się Drum.

- Zwracają się do ciebie „Drum”? - zapytał księżę z niedowierzaniem, jakby nagle znaleźli się sami.

Zanim uzyskał odpowiedź, odezwała się Aleksandria.

- To moja wina, wasza miłość. Takie właśnie imię wyszeptał pan hrabia, gdy nie odzyskał w pełni przytomności, a chłopcy zaczęli tak go nazywać. Tu, na wsi, nie dbamy tak bardzo o konwenanse, ale dawno powinnam była to ukrócić.

- Próbowała pani - przypomniał jej Drum. - Ale ja sprzeciwiłem się. To nonsens, żeby zwracali się do mnie „milordzie”, gdy moje życie znajdowało się w waszych rękach.

- Mimo to należało z tym skończyć. - Pochyliła się, stawiając tacę na małym stoliku. Mówiła spokojnie, ale Drum

widział, że drżą jej ręce. - Czy to prawda? - spytała, podnosząc na niego wzrok. - Rzeczywiście już pan wyjeżdża?

Na jej twarzy malował się wyraz łagodnej ciekawości. Jednak nie spuszczała z niego oczu i wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. On zaś popatrzył na nią melancholijnie i z żalem pokręcił głową.

- Nie, droga pani - rzekł. - Jeszcze mi stąd nie wolno odejść. Bardzo mi przykro, ale wygląda na to, że pozostanę tu, dopóki nie zdołam zatańczyć walca na schodach.

Rozpromieniła się, niezdolna ukryć ulgi.

- Czy taka jest nowa moda w Londynie? Tańczenie walca na schodach? W takim razie bardzo się cieszę, że mieszkam na wsi.

- To zupełnie tak samo jak ja - zaśmiał się Drum.

Doktor patrzył na nich z uśmiechem, Eryk z wyraźną ciekawością, ale książę przeniósł wzrok z jednego na drugie i zmarszczył brwi.

Jednak jego niezadowolona mina w najmniejszym stopniu nie dorównywała wyrazowi twarzy doktora Pace, gdy ten wkroczył do pokoju. Nie poświęcił najmniejszej uwagi Drumowi ani też księciu. Przedmiotem jego zainteresowania był lekarz z Londynu.

- I cóż, panie kolego - zaczął bez wstępów, gdy tylko został przedstawiony. - Co powie pan o naszym pacjencie?

- To samo, co przed chwilą - odparł medyk ze stolicy. - Nie sądzę, że sam zaopiekowałbym się nim lepiej.

- Doprawdy? - Doktor Pace zawahał się na chwilę. - Hm, cóż. Dziękuję panu, miło mi to usłyszeć.

- Wszyscy jesteśmy radzi się tego dowiedzieć - odezwała się od drzwi pani Tooke. - Ale robi się późno, doktorze Pace. Pańskiej żonie kleją się oczy i bardzo prosi, żebyście już wracali do domu.

- Ma pani rację - rzekł Pace. - A pan ma chyba już dosyć lekarzy na dziś, milordzie - stwierdził, dostrzegając bladłość pacjenta. - Wszystko jest na najlepszej drodze, ale lepiej, żebyśmy pana aż tak nie męczyli. Przyjadę jutro rano. Dobranoc.



- Tak, dobranoc, Drummondzie - powiedział szybko książę. - Musimy sobie znaleźć jakiś nocleg. Doktorze, idziemy? - rzucił, i ruszył przed siebie, nie czekając na odpowiedź. Jednak zatrzymał się nagle na widok pani Tooke.

Kobieta patrzyła na niego spokojnie, ze smutkiem, ale i z rozbawieniem. Książę zmarszczył brwi i lekko przechylił głowę.

- Pani Tooke? - spytał zdławionym głosem. - Ależ ja panią znam.

- Ależ oczywiście - odrzekła, dygając. - Jestem... byłam... Rozalindą Usborne. Wiele, wiele lat temu.

- Rozalinda? - zdziwił się. - Ależ... pani nazywa się Tooke! Kiwnęła głową, spuszczać wzrok.

- Tak, milordzie. Pamiętasz chyba, że poślubiłam Leona Tooke? Tego młodzieńca, który przyjechał do mego ojca, żeby sprzedać mu konia, i w zamian zabrał mnie? - szepnęła. - Większość ludzi pamięta tylko związany z tym skandal, lecz nie nazwiska.

Na policzkach księcia pojawił się krwisty rumieniec.

- Teraz już sobie przypominam. W pierwszej chwili nazwisko nic dla mnie nie znaczyło. Słyszałem, że owdowiałaś, i proszę przyjąć moje kondolencje. A poza tym smutnym wydarzeniem, jak ułożyły się twoje losy? - zakończył już ze swą zwykłą swadą.

- Bardzo dobrze. A ty, panie?

- Jak widać. - Machnął ręką. - Kwitnę, jak każdy niedobry człowiek. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc. Teraz, widzę, że Drummond nie mógłby doprawdy lepiej trafić.

- To wszystko dzięki Aleksandrii - odparła, patrząc mu spokojnie w oczy. - Ja tylko zgodziłam się jej pomagać.

- Tak, tak. Zrobiłaś grzeczność także i mnie, za co jestem ci wdzięczny. Mam nadzieję, że dasz mi znać, jeżeli mógłbym coś zrobić dla ciebie.

- Mój drogi panie - rzekła, unosząc głowę. - Nie potrzebuję nagrody.

Kiwnął głową i skłonił się lekko a godnie.

- Na mnie już czas - zwrócił się do Druma. - Doktor i ja musimy znaleźć nocleg. Najbliższy jest o godzinę drogi stąd. Także uważam, że musisz teraz odpocząć, nie mniej niż ja. Ale wrócę tu rano - dodał prawie z groźbą i spojrzał wyniosłe na panią Tooke, znacząco na Aleksandrię, a w końcu na swego syna.

## 12

- O wiele lepiej! - stwierdził entuzjastycznie Drum, gdy następnego ranka Grimes ostrożnie pomagał mu usiąść w fotelu. - Dlaczego sam na to nie wpadłem?

- Chociaż nie mógłbym leczyć pana lepiej niż doktor Pace, cieszę się, że zdołałem sprawić, iż jest panu wygodniej - powiedział z zadowoleniem doktor Raines.

- Powinienem był sam na to wpaść - oznajmił z żalem doktor Pace.

- Nie, to ja powinienem - zaprotestował Grimes.

- Proszę się nie obwiniać, doktorze, i tak panu wiele zawdzięczam. A ty, Grimes, nawykłeś do zdrowych ludzi - odparł Drum. - Ach, jakaż to różnica! Taka prosta rzecz, a sprawia tyle ulgi - rzekł ze zdziwieniem, a potem zaśmiał się. - Boże! Już nigdy nie będę żartował z ludzi starszych. Kto by pomyślał, że sam znajdę się w sytuacji, gdy kilka poduszek pod siedzeniem i pod nogą odmieni moje życie? Teraz mogę wyglądać przez okno, nie wyciągając szyi jak żyrafa. To prawie tak samo dobre jak podróż zagranicę.

Popatrzył na podwórze, widząc je po raz pierwszy w całości od czasu, gdy przyniesiono go do chaty. Skrzywił się. Szopa w swej całej krasie wyglądała jeszcze gorzej, niż myślał, ale reszta sprawiała bardzo przyjemne wrażenie.

W końcu przeniósł wzrok na otoczenie domu. Ogródek na froncie był zadbane, trawnik, opadający łagodnie w kierunku drogi, starannie wykoszony, podjazd zagrabiony, a żywopłot wzdłuż niego przycięty. Wszystko to wyglądało skromnie, ale bardzo ładnie. Poranne słońce odbijało się od błękitnej wody gdzieś dalej, pewnie stawu, o którym mówili kiedyś chłopcy.

Ale, co najlepsze, teraz mógł widzieć, kto gdzie jest. Jego ludzie właśnie prowadzali konie. Aleksandria podlewała ogródek. Miała na sobie jak zwykle różową suknię, ale była bez czepka, więc z przyjemnością zapatrzył się, jak słońce budzi złociste połyski na jej lśniących, kasztanowatych włosach. Uśmiechnął się i uniosł rękę, by jej pomachać, ale zaraz ją powoli opuścił. Dziewczyna nie zauważyła jego pozdrowienia, gdyż z szopy właśnie wyszedł Eryk i ruszył w jej kierunku.

Złotowłosa, wysoki, szeroki w barach, silny i zręczny, znacznie górował wzrostem nad dziewczyną. Rysy twarzy Druma zaostrzyły się, gdy dostrzegł, jak panna podnosi rękę, by ocienić oczy i spojrzeć w górę na przybysza, a potem uśmiecha się... Nawet ze swego miejsca Drum widział, jak słoneczny jest ów uśmiech.

- Tak, ta szopa to błąd - stwierdził ojciec Druma, obserwując, jak syn się chmurzy. - Ale możesz ją zawsze rozmontować przed wyjazdem.

- Nie. - Drum rad był, że ojciec źle zrozumiał jego irytację. - Dodatkowa przestrzeń przyda im się, a już teraz ją wykorzystują na wiele sposobów. Można by ją jednak przerobić.

- Wątpię, żeby ci na to pozwolono - rzekł ojciec, wpatrując się w syna, który wciąż obserwował stojącą na dole parę. - Ta młoda kobieta jest bardzo uparta. Doktor i ja wstaliśmy o świcie i wyruszyliśmy tutaj. Nie mogłem się doczekać! Pojawiliśmy się tu o wiele wcześniej, niż mieliśmy - ciągnął książę. - Twoja gospodyni kazała nam czekać w saloniku, dopóki lokaj cię nie ubierze. Och, była bardzo uprzejma i pełna szacunku, poczęstowała nas również śniadaniem, ale nie pozwoliła nam wejść na górę, zanim Grimes nie oznajmił, że wszystko gotowe.

- Zna moje poczucie godności, jak sądzę. Co prawda, wiele już z niego się nie ostało. Odnoszę wrażenie, że stałem się zarazem starcem i niemowlęciem - mruknął. - Jestem bezradny. To paskudne uczucie. Nie, to nie twoja wina, Grimes. Mogę znieść ból, ale nienawidzę zależności od innych.

Nadal nie spuszczał oczu z pary na dole.

- Muszę kisić się tutaj, czekać, polegać na innych, którzy

przynoszą mi pożywienie i wiadomości i dostarczają towarzystwa. Nie mogę spacerować, jeździć konno, a nawet zejść na dół i posiedzieć na słońcu. Nie wspomnę już o tym, że trzeba mnie myć i tym podobne. - Zaśmiał się krótko. - Nigdy dotąd nie miałem zwyczaju tak się uskarżać. Nic dziwnego, że starcy narzekają, a małe dzieci wrzeszczą.

- Panowie doktorzy, Grimes, jeżeli skończyliście, to chciałbym zostać na chwilę sam z moim synem - rzekł książę. - Wkrótce wyjeżdżam i pragnąłbym udzielić mu kilku ojcowskich rad i napomnień. Wy będziecie mogli przekazać mu swoje polecenia później. Bardzo proszę.

Nim skończył, trzech mężczyźni zdążyli już wyjść.

Książę odczekał, aż zamkną za sobą drzwi. Spędził ten czas, obserwując Druma, który przyglądał się Erykowi i Aleksandrii, stojącym wciąż na podwórzu.

- Wygląda na to, że jej się spodobał - stwierdził książę, nie spuszczać oka ze swego potomka. - Mogłaby trafić znacznie gorzej, ale major powinien poszukać sobie kogoś lepszego.

Drum błyskawicznie przeniósł spojrzenie swych błękitnych oczu na ojca.

- Nie musisz tak od razu szukać sobie sekundanta - powiedział spokojnie książę. - Po pierwsze, nie pojedynkuję się z rannymi, a po drugie, mówię prawdę. Ona nie ma majątku, rodziny ani pozycji społecznej. Ford nie wywodzi się ze szlachty, ale ród jego jest stary, ma pewne zasoby finansowe, no i oczywiście to szalenie atrakcyjny mężczyzna. Mógłby celować wyżej.

- Zamieniasz się w swata - odparł Drum równie beznamiętnie jak ojciec. - To fascynujące. Większość ludzi o twojej pozycji zajmuje się raczej kolekcjonowaniem motyli, broni albo starożytnych zbroi. Ale każdy ma prawo do własnych zainteresowań.

- Mówię tylko o tym, co widzę - odparł książę, nie dając się sprowokować. - Dlatego właśnie chciałem porozmawiać z tobą sam na sam. Postaram się być zwięzły, żeby nam znowu nie przerwano. Ten dom stoi na uboczu, ale mniej tu prywatności niż na rogu londyńskiej ulicy. Nie rozumiem, dla-

czego uskarżasz się na izolację. Sądę, że odrobina samotności mogłaby się okazać dla ciebie wielką ulgą.

- Samotny a osamotniony to dwie różne rzeczy.

- Jesteś ulubieńcem wszystkich domowników - zaprotestował ojciec. - Dlatego chciałbym udzielić ci kilku słów ostrzeżenia.

- Przeszedł się po pokoju i zatrzymał, gdy przez okno dobiegł ich melodyjny śmiech. Eryk powiedział coś, co rozbawiło Aleksandrię. Drum znowu przeniósł uwagę na to, co tam się dzieje.

- Uskarżasz się, że jesteś opuszczony - rzekł książę. - To prawda i masz do tego prawo. Zbyt długie przebywanie w samotności zmienia pogląd na świat. Czytałem, że po jakimś czasie jeńcy wyobrażają sobie, że współpracują ze strażnikami, nawet gdy są torturowani, i nabierają sympatii do swoich prześladowców. Słyszałem też, że więźniowie potrafią zaprzyjaźnić się ze szczurami, jeżeli trzyma się ich w lochach wystarczająco długo. Pewien wielki wojownik uczynił sobie przyjacielem pająka, który rozciągnął sieć w jego celi. Bezradność i osamotnienie często dają początek najdziwniejszym zadurzeniom.

Drum wreszcie na niego spojrział.

- Dłuższa znajomość wytwarza przyzwyczajenie - ciągnął książę. - Łatwo jest pomylić wdzięczność z czymś więcej. Nie jesteś teraz sobą, chociaż może wcale o tym nie wiesz. Ta kobieta w istocie jest ładna i dobra. Ale znasz wiele jej podobnych, a w dodatku znacznie piękniejszych. Prawdę mówiąc, wątpię, czy w ogóle byś się do niej odezwał, natknąwszy się na nią w Londynie. Nie obrażaj się na mnie, lecz raczej się zastanów.

Przeszedł się po pokoju.

- No i pozostaje też kwestia celibatu, jakże trudnego do Zniesienia dla młodego człowieka. Nie można również zapominać o duchu rywalizacji, a tobie go nie brakuje. W grę wchodzi także współczucie, gdyż ta dziewczyna ma tak niewiele, a ty, jak prawdziwy dżentelmen, chętnie okazałbyś szlachetność. Tak czy owak, widać wyraźnie, że między wami coś jest, chociaż nawet jej nie dotknąłeś.

Drum siedział bez ruchu.

- Wierzę, że wystarczy ci rozsądku, by nawet nie brać pod uwagę małżeństwa z nią - powiedział ojciec, podejmując swój marsz. - Mezalians to coś gorszego niż jednorazowa pomyłka. Popatrz na tę nieszczęsną panią Tooke. Jako Rozalinda Usborne miała świat u swych stóp. Skłóciwszy się z rodziną, musi pracować na chleb jak prosta chłopka. Nie chciałbym znaleźć się w takiej sytuacji jak ona. To nie jest tylko kwestia pieniędzy. Odcięła się na zawsze od wszystkiego, co znała. Mężczyzna, który bierze sobie żonę z dołów społecznych, poczuje to samo, kiedy już minie pierwsza burza namiętności, a małżeństwo zazwyczaj kładzie jej kres.

- A nawet jeżeli masz na tyle rozumu, żeby unikać małżeństwa - ciągnął książę - nie chciałbym, żebyś wkładał się w romanse, które mogą doprowadzić do różnych niemiłych efektów. Rozalinda Tooke przynajmniej kochała szczerze, co bez wątpienia stanowi dla niej poważną pociechę. To całkiem coś innego. Ja zaś nie sądzę, byś stracił serce, ale widzę wyraźnie, że masz do tej panny słabość.

Urwał i uniośł palec, gestem tym nakazując synowi milczenie.

- Jesteś cenną zdobyczą, Drummondzie, choćbyś nie wiem jak temu przeczył. A ja proszę cię tylko, żebyś zachował ostrożność. Zapewne ta kobieta nie stara się ciebie usidlić, ale mogą to czynić jej sprzymierzeńcy. - Drum posłał ojcu tak lodowate spojrzenie, że ten musiał odwrócić wzrok. - Wyrażam tylko moje zaniepokojenie - dodał książę. W jego ustach zabrzmiało to prawie jak przeprosiny.

- Ona nie jest tego rodzaju kobietą - powiedział spokojnie Drum. - A ja nie należę do takich mężczyzn. Nie zaprzeczam, że czuję do niej pociąg. Jestem ranny, nie martwy. W istocie nie spotkalibyśmy się, gdybym nie padł, dosłownie, do jej stóp, ale łączy nas coś więcej niż to, co mogłoby wynikać z mojego osamotnienia. Lubimy się, bawia nas te same żarty i mamy podobne gusta. Znam jednak swoje miejsce, a ona także. Jesteśmy oboje dorośli i odpowiedzialni. Na-

wet gdybym spędził całe lata w samotności, nic by to nie zmieniło. A teraz pojawił się tutaj Eryk. W odróżnieniu ode mnie, może jej ofiarować bardzo wiele. Nazwisko i siebie samego. I jest jeszcze jedno.

Drum uśmiechnął się do ojca, co bardzo podkreśliło różnicę między nimi.

- Uważasz, że jestem zdobywcą, ojczu, ale nie każdy tak myśli. Nazwisko i pieniądze to moje główne zalety i nigdy o tym nie zapominam. A reszta? Jestem inteligentny. I co z tego? Nie jestem Adoniszem, a kobiety bardzo sobie cenią męską urodę, nawet te co roztropniejsze. Lecz ja je dobrze rozumiem, gdyż my, mężczyźni, tak samo traktujemy damy. Piękne serce to wspaniała rzecz, ale nie spotkałem jeszcze mężczyzny, który straciłby z tego powodu głowę, chyba że towarzyszy mu uroczą buzią. Nie, moim jedynym atutem, poza tytułem i majątkiem, jest mój wdzięk, i dobrze o tym wiem. W tej chwili jednak nawet i z tego niewiele mi pozostało. - Uśmiechnął się kwaśno. - Jestem ranny, przykuty do łóżka, a na dodatek stale się na coś uskarżam i narzekam. Eryk to piękny mężczyzna, ma sprawne nogi i umysł. Ale nie o to chodzi. Nawet gdyby się on tu nie pojawił i gdyby ona zapłonęła do mnie miłością, a ja do niej, nie musisz się martwić, że stracę panowanie nad sobą albo zrobię coś nieprzemyślanego tylko dlatego, że się zakochałem po uszy. Jak dotąd nie zdarzyło mi się kogoś pokochać i chyba nie jestem do tego zdolny. Dlatego jeszcze nie ożeniłem się i jest to mój wielki dramat.

Ojciec podniósł głowę.

- Przykro mi o tym słyszeć - powiedział. - Ja traktowałbym to jako zaletę.

- Czyżbyś nie kochał mamy do szaleństwa?

- Ależ tak. Ale ja zawsze wiedziałem, że jestem do tego zdolny. Nigdy też nie pozwoliłem, aby namiętność albo zachcianka sprawiła, że zboczyłbym z wytyczonej drogi, i nigdy tego nie pożałowałem. Dlatego też powinieneś postępować tak samo jak ja. Do niektórych mężczyzn miłość przychodzi późno. Masz jeszcze czas, by znaleźć kobietę, dla której two-



je serce zabije żywiej. Myśl sobie, co chcesz, ale moim zdaniem zdołasz wykrzesać z siebie cieplejsze uczucia dla panny, *nadającej* się na żonę dla ciebie. - Drum spojrzął na ojca ze zdziwieniem. Jeszcze nigdy starszy pan nie okazał mu nawet połowy takiej życzliwości.

- Masz czas, ale nie znajdziesz diamentu, jeśli nie będziesz go szukał. Gdy wrócisz do Londynu - ciągnął księżę - zastanów się jeszcze nad lady Annabelle. Uważam, że ma ona wiele do zaoferowania. Zawiódłszy się raz w miłości, z pewnością doce- ni kogoś, kto okaże jej zainteresowanie. Jeżeli zaś ci nie odpo- wiada, pomyśl o córce Trelawneya albo siostrzenicy Maxwella lub młodszej siostrze lady Abbott. Rozmawiałem z ich rodzi- nami i sprawdziłem ich sytuację. Każda z nich się nadaje.

- Zupełnie tak samo, jakbym kupował konia - stwierdził, unosząc brwi, Drum.

- Tak - przyznał ojciec. - Zupełnie tak samo. Wcale nie jestem nieczuły. Miłość pojawia się znacznie łatwiej, kiedy pokonane zostaną inne przeszkody. Ale to dobre porówna- nie. Weź pod uwagę genealogię, temperament, wygląd i ce- nę. Potem podejmij rozważną decyzję, a przekonasz się, co będzie dalej. Zapewniam cię, że wobec ciebie oni wszyscy stosują podobne zasady.

- Ojciec... - zaczął ze zniecierpliwieniem Drum, ale nie zdą- żył powiedzieć nic więcej, gdyż ktoś zastukał do drzwi.

- Tak? - zawołał.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwała się za drzwia- mi Aleksandria. - Ale pora wziąć lekarstwa.

- Czy udzieliłeś mi już wszystkich ojcowskich rad, tato? Księżę kiwnął głową.

- A cóż jeszcze można powiedzieć?

- Sam nie wiem - stwierdził Drum. - I bardzo mnie to cie- szy. Wejdz, Aleksandrio - rzekł, podnosząc głos. - Rozmo- wa w cztery oczy skończona.

Dziewczyna otworzyła drzwi i wkroczyła do środka, wno- sząc ze sobą zapach wiosennego dnia.

- Przyniosłam też coś do jedzenia i picia, żeby zabić smak

lekarstwa - powiedziała. Na tacy znajdował się talerz lukrowanych ciasteczek, biszkopty, miseczka z konfiturami i kilka kawałków sera. Całość zdobił nieduży wazonik z konwaliami.

Drum przyglądał się z rozbawieniem, jak ustawia przy nim tacę. Cofnęła się o krok, przyjrzała się swemu dziełu i zmarszczyła brwi. Kilka łądyżek kwiatowych przekrzywiło się. Pochyliła się, by je poprawić... w tej samej chwili, gdy on sięgnął po łyżkę. Dłoń Druma lekko musnęła jej pierś.

Każde z nich drgnęło jak oparzone... może o jakiś centymetr. Ale ona była zawsze tak spokojna, a on tak opanowany, że wydawało się, jakby odskoczyli od siebie. Serce dziewczyny zamarło. Zaś Drum cofnął rękę, jakby dotknął płomienia.

Książę przymrużył oczy.

- Dzień dobry, wasza miłość - powiedział Eryk, wchodząc do pokoju. - Co to? Czy trzeba złamać nogę, żeby dostać takie ciasteczka? Ja musiałem się zadowolić jajkami na bekonie, chlebem, nerczkami i szynką na śniadanie.

- Ależ pani Tooke dopiero co je upiekła - wyrzuciła z siebie w pośpiechu Aleksandria.

- To nie są jedyne apetyczne rzeczy, jakich zabrakło podczas mojego śniadania - odparł Eryk, uśmiechając się i patrząc na nią z zachwytem. - Co musi zrobić człowiek, żeby zechciała pani usiąść z nim do posiłku?

Drum wyprostował się. Eryk spojrział na niego i przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Książę uniósł głowę jeszcze wyżej.

- Zejdę teraz na dół - rzekł. - I porozmawiam z lekarzami.

Kiedy z pomocą Eryka taca została opróżniona, książę wrócił na górę. Za nim podążali doktorowie. Obaj mieli niezadowolone miny, co trochę zdziwiło Druma.

- Postanowiłem, że cię zabiorę do domu - poinformował książę Druma, unosząc dłoń. - Tak, wbrew radom obu lekarzy, aczkolwiek za ich zgodą. Rzecz jest niewłaściwa, ale możliwa do wykonania. Z największej karety o najlepszych resorach wyjmie się jedno siedzenie. W ten sposób będziesz mógł leżeć. Umieścimy tam prowizoryczne łóżko i założy-

my dodatkowe łupki na twoją nogę. Całość zawinie się ciasno w koce, tak że gdy karetą zakołysz się, nie wpłynie to na złamanie. To i tak o wiele lepsze, niż być przenoszonym na drzwiach, a w dodatku znacznie wygodniejsze. Będziemy posuwać się powoli i ostrożnie. Doktor Raines będzie ci towarzyszył. Wrócisz w całości do domu, a tam masz dosyć personelu, który się tobą odpowiednio zajmie.

- To dosyć nieoczekiwana decyzja - stwierdził Drum.

- Ale bardzo rozsądna - odparł ojciec. - Prawdę mówiąc, to po prostu jedyne wyjście. Powiedz mi, czy rzeczywiście należy męczyć pannę Gascoyne jeszcze przez tyle czasu? Tłoczyć się w jej domu, dezorganizować jej życie, zajmować sobą wszystkich domowników? Nie zbraknie ci miejsca, towarzystwa ani rozrywek, kiedy znajdziesz się znowu u siebie. Myślałem, żebyś przeniósł się do mnie, ale uznałem, że lepiej się poczujesz w Londynie. Tam masz wszystkie wygody, a w dodatku możesz liczyć na towarzystwo wielu gości, wszystkich twoich przyjaciół. Śmiem twierdzić, że wyda ci się, że jesteś w swoim klubie. To znacznie wygodniejsze dla wszystkich zainteresowanych, nie sądzisz?

Drum rzucił okiem na Aleksandrię. Dziewczyna wyglądała na równie wstrząśniętą, jak on sam. Cudownie było pomyśleć o powrocie do domu, ale z drugiej strony, jakoś dziwnie nie stanowiło to wielkiej atrakcji. Wcale mu się nie podobała perspektywa bycia wożonym na wózku jak małe dziecko. Nie chciał też stać się centrum zainteresowania licznych snobów, sądzących, iż zabawiają go, a tymczasem przyprawiających go tylko o ból głowy. Jednak najgorsza była wizja licznych panien na wydaniu i ich matek, które go zechcą nawiedzać.

Życie na wsi całkiem mu się podobało, tak samo rozmowy z chłopcami. Będzie im go brakowało, tak jak jemu wieczornych lekcji i długich rozmów z Aleksandrią. Odrzucił tę myśl równie szybko, jak wcześniej cofnął swą dłoń. Co więcej, jak ma doradzać Erykowi w jego poszukiwaniach człowieka, który do niego strzelał, pomyślał, no i jeszcze jest kwestia szopy: kto zajmie się...

Przerwał te rozważania. Poczuł nieznany dotąd ciężar na sercu; wcale nie chciał wyjeżdżać, a to stanowiło ostateczny dowód. Szuka wymówek.

Ojciec ma rację. Zbyt dobrze się tutaj czuł. Ten mały domek stał się jego światem, przysłaniając mu wszystko inne. A przecież on, Drum, ma swoje obowiązki, a co więcej, jako dżentelmenowi nie wolno mu uwodzić kogoś, komu nie może zaofiarować nic ponad swoje towarzystwo. Lepiej nie kusić losu.

Jedno wiedział na pewno. Ludzie, których tu poznał, należą do tego samego rodzaju co on. Albo należeliby, gdyby to było możliwe.

- Sądzę, że bardzo by mi to odpowiadało - stwierdził spokojnie Drum, spoglądając na ojca. - Oczywiście, jeżeli z powodu tej przeprowadzki nie skończę jako kulawy na resztę życia.

- Doktorzy zapewnili mnie, że nic ci takiego nie grozi. Musimy tylko jechać powoli i bardzo ostrożnie. I tak właśnie uczynię. Nie zamierzam narażać twojego zdrowia na niebezpieczeństwo. Wiesz teraz, co chciałbym uczynić, ale bądź co bądź to twoja własna noga - zakończył książę. - Ty musisz podjąć decyzję.

- I owszem - powiedział powoli Drum.

Aleksandria patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, a odbijający się w nich blask słońca sprawił, że wydały mu się szalone.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy czekali na jego odpowiedź.

- Cóż - rzekł Drum, uśmiechając się blade. - Czy jest jakieś inne wyjście? Jak sądzą, rzecz już jest postanowiona, nieprawdaż?

## 13

Księżyc był już wysoko na niebie, cały świat zapadł w sen, ale Aleksandria wiedziała, że Drum czuwa. Od wejścia do jego pokoju sączyło się łagodne światło lampy, którą miał przy łóżku, podkreślając złocistoróżowym blaskiem krawędzie, tak że drzwi jarzyły się w ciemności niczym brama do nieba. Może zapomniał zgasić lampę, a może po prostu zasnął przy zapalonym świetle, ale dziewczyna nie wiadomo dlaczego miała pewność, że nie śpi, równie niespokojny i pobudzony jak ona. Opanowała drżenie dłoni, w której trzymała lichartz ze świecą, nabrała tchu i cicho zastukała do drzwi.

- Proszę - odparł półgłosem, jakby na to czekał.

Leżał, wsparty na licznych poduszkach, a w szczupłej dłoni trzymał otwartą książkę. Miał na sobie jedwabny szlafrok w złoto-czerwone wzory. Przymykając oczy, spoczywał niczym cesarz, wyczerpany całodziennym wydawaniem wyroków na swych licznych poddanych.

- Jak się pan czuje? - spytała natychmiast.

- Tak samo dobrze jak zawsze - odparł, uśmiechając się lekko. - To myśli nie pozwalają mi zasnąć. Tak. Nasze duchowe biesiady wkrótce się skończą, nieprawdaż?

- O tym właśnie chciałam porozmawiać - rzekła z determinacją, zbliżając się do łóżka, żeby nie podnosić głosu. - Wolałam nie robić tego przy pańskim ojcu - szepnęła, jakby wciąż obawiała się, iż książę ją usłyszy. - A Eryk i pan Grimes zajmowali pana, kiedy już sobie pojechał. Potem musiałam zmyć naczynia. Teraz wszyscy już śpią, a wiem, że jutro rano nie starczy panu czasu na rozmowę ze mną, więc cieszę się, że jeszcze pan nie śpi. Milordzie, proszę nie my-

śleć, że musi pan odjeżdżać. Nie jest pan tutaj ciężarem, co nieraz już powtarzałam. Wcale nie przysparza pan nam żadnych niewygód. Może pan zostać, dopóki nie będzie pan mógł zatańczyć walca na schodach. Proszę mi wierzyć.

- Ależ ja to wiem. I wcale nie dlatego odjeżdżam. - Spojrzał na nią ze znużeniem. - Ależ droga Ally - stwierdził łagodnie. - To istna zgroza! Jest pani w szlafroku.

Zacisnęła dłoń na tkaninie przy szyi, otulając się mocniej sfatygowaną materia.

- Zastania mnie znacznie bardziej niż suknie - zaprotestowała.

Rzeczywiście. Okrywał ją od stóp do głów. Lśniące włosy zaplotła na noc w gruby warkocz. Kilka luźnych kosmyków fruwało wokół jej twarzy, na policzkach płonął lekki rumieniec, który podkreślał, jak bardzo błyszczą jej oczy. Ubrana była skromnie, ale myśli Druma odbiegły daleko od przyzwoitości. Sam fakt, że pojawiła się tu gotowa do snu, sprawił, że wydała się mu nieskończenie swawolna.

- Nieważne - rzekł. - To strój nocny. Świat jest bezlitosny i nietolerancyjny, Aleksandrio. Twoje pojawienie się tutaj w takim ubiorze mogłoby zgorszyć niektórych. Zaś to, że znaleźliśmy się sam na sam w środku nocy, a w dodatku moje życie nie jest już zagrożone, oburzyłoby niejedną osobę. Kiedy byłem półżywy, nic to nie znaczyło, a zwłaszcza wtedy, gdy nikt nie wiedział, iż tutaj jestem. Ale teraz moja obecność w tym domu stanowi wiedzę publiczną tak samo jak to, że już wróciłem do zdrowia... cóż, to grozi zrujnowaniem reputacji. Wyjeżdżam ze względu na nakaz przyzwoitości, moja droga. Uwierz mi, dla twojego własnego dobra.

I mojego, pomyślał, lecz tego nie powiedział. Nie widział całej postaci dziewczyny, ale lampa wyraźnie oświetlała jej twarz. Będzie tęsknił za tą miłą, poważną, owalną buzią, prostym noskiem, lekko uniesioną górną wargą. Czy to ważne, co powiedzą inni! pomyślał z żalem. Nie ma co, powinien zacząć spotykać inne panny, żeby się nie skupiać tak bardzo na tej jednej. Choć przecież urocza, nie zasługiwała chyba na

tyle beznadziejnych pragnień. A przecież stała się dla niego jedyną kobietą na świecie: pielęgniarką, przyjaciółką i przedmiotem pożądania. Ojciec ma rację, pora stąd zniknąć!

- Przykro mi będzie bez naszych dyskusji - rzekł, pragnąc zrnieniać temat. - Ciekawe, czy Rob złapie wreszcie tego wielkiego karpia i czy Kit rzeczywiście przeniesie się do stodoły, by się tam uczyć w spokoju. Napiszesz ten list to „Magazynu dla Panów” z twoją opinią na temat błędu w cytacie z Moliera i czy będziesz pamiętać, żeby podpisać go tylko pierwszą literą imienia i nazwiskiem, bo nie opublikują listu autorstwa kobiety? Co więcej, czy pani Tooke nauczy cię przed odjazdem, jak robić to ciasto z jagodami, tak jak chciałaś?

- Pamięta pan - powiedziała, rumieniąc się z przyjemności.

- Mam w pamięci wszystko, co mówiłaś, chyba że byłem nieprzytomny, ale to musisz mi wybaczyć. Kiedy wrócę do domu, nie zapomnę też wysłać ci najnowszej powieści panny Austen. Mówiłaś, że jeszcze jej nie czytałaś. Nasze rozmowy sprawiły mi zbyt wiele przyjemności, bym mógł je wyrzucić z pamięci.

- Mnie też, i też mi ich będzie brak - przyznała. - Ale nie z tego powodu tu przyszłam. Za nic nie chciałabym, żeby stała się panu krzywda po wszystkim, co dla pana zrobiliśmy, i to jeszcze ze względu na coś tak niemądrego jak wymogi przyzwoitości. Nie ma tu miejsca na chińskie ceremonie.

- A jednak jesteśmy trochę podobni do Chińczyków. Niestety, w naszym świecie reputacja jest wszystkim, więc musimy brać pod uwagę opinie innych choćby nawet dlatego, że trzeba dostosowywać nasze postępowanie do tego, jak chcemy, by nas widzieli.

- To nonsens! - stwierdziła z irytacją, zapominając się trochę. - Chodzi mi o to, że może pan sobie zrobić krzywdę! Dlaczego ryzykuje pan własne zdrowie ze względu na *innych*? Mnie to naprawdę nic a nic nie obchodzi. Powinien się już pan był przekonać, że nie chcę pana schwytać w pułapkę. A ja? Nie mam szans na znalezienie męża i dobrze o tym wiem, więc nie dbam o to, co powiedzą ludzie. Mogą sobie o mnie

plotkować, ile zechcą, byle tylko panu nie stała się krzywda. Czemu pan nie zaczeka, kiedy minie niebezpieczeństwo?

Położył sobie książkę na piersi i spojrzął na nią poważniej.

- Dlaczego masz sobie nie znaleźć męża, Ally? Od początku tego nie rozumiałem. Czy mogłabyś mi to wyjaśnić? Nie obawiaj się, że powiem komukolwiek. Jestem jak studnia, możesz do niej wrzucać wszelkie sekrety, a nigdy nie pojawią się na powierzchni. Ale nie pojmuję, dlaczego miałabyś zostać starą panną. Sama chyba wiesz, że jesteś bardzo ładna. A jeżeli nie, to ja ci to mówię. To jedna z korzyści z mojego wyjazdu: mogę powiedzieć ci rzeczy, których nie zdradziłbym, gdybym miał się jeszcze z tobą widywać codziennie. Jesteś urocza, dobra i wykształcona. Co do tego nie masz chyba wątpliwości. Nie odwracaj wzroku, jakbym przemawiał do ciebie zza grobu, bo niedługo wyjadę i moje słowa nie zrobią chyba większej różnicy. Jednak chciałbym wiedzieć, dlaczego nie możesz wyjść za mąż. Powinnaś mieć u swych stóp licznych wielbicieli. Czy wszyscy mieszkający w okolicy mężczyźni są ślepi i głusi?

Zaśmiała się.

- Nie, ale mają zwyczaj żenić się młodo i hołdują dziwnym obyczajom. Wybierają sobie dziewczyny, które dobrze znają.

Nie zaśmiał się.

- Być może. Ale świat się nie kończy na tej okolicy. Dlaczego tak się upierasz? Powiedz mi, zaufaj mi.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. On jednak nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu. W świetle dnia były brązowe, ale teraz, w nocy, stały się czarne i nieodgadnione.

Wciąż jeszcze wahała się. Przecież jutro odjedzie, pomyślała, i poczuła żal, bo tyle zaczął już dla niej znaczyć. Nie spotkają się nigdy więcej, dlaczego więc miałaby mu nie powiedzieć? Nie wszystko, ale większość, żeby wreszcie przekonał się, kim ona jest.

- Jaka jest przyczyna, dla której nie mogę znaleźć męża? Poza brakiem majątku? - spytała z goryczą. - I poza tym, że przez większość życia byłam trzymana z dala od młodych



mężczyzn i teraz nie mam najmniejszego pojęcia, jak z nimi postępować? Ci, którzy odważyli się mną zainteresować, spotykali się z pogardą lub niegrzecznością ze strony pana Gascoyne. Tak, wiem, on już nie żyje. A więc dlaczego jeszcze nie wysłałam za męża? Poza tym, że wykształcenie dzieli mnie od okolicznych mieszkańców? I ignorując fakt, że jestem odpowiedzialna za trzech małych chłopców? No, czemu?

Nigdy nie widział jej tak wzburzonej, chociaż pozornie zachowywała spokój.

- A jednak - upierał się. - Prócz tego wszystkiego musi istnieć jeszcze jakaś inna przyczyna.

Zobaczył, że oczy jej wypełniają się łzami.

- Nie. Nic nie mów. - Przeklął się w duchu. Przez swoją idiotyczną ciekawość prawie doprowadził tę dziewczynę do płaczu.

- Powiem. - Wytarła sobie oczy rękawem jak mała dziewczynka, po czym dumnie uniosła pobladłą twarz. - Równie dobrze może się pan tego dowiedzieć. Czemu nie? - Zaśmiała się. - Widzi pan, on wcale nie był moim ojcem. Jestem podrzutkiem zupełnie tak samo, jak chłopcy.

Drum zacisnął usta, stając się bardzo podobny do ojca. Trwało to tylko przez chwilę, jednak z jego strony ogromnym uchybieniem było okazać zdumienie i niesmak. Jako szpieg potrafił zachować czujność i panowanie nad sobą bez sekundy przerwy. Teraz jednak przestał się mieć na baczności, a oświadczenie dziewczyny zbiło go z pantałyku.

Jednak ona tak bardzo pogrążyła się w swojej niedoli, że nic nie dostrzegła. Drum szybko wrócił do siebie, równie zaskoczony i przerażony swoją własną reakcją, jak i wiadomością, która ją wywołała.

Mówiła dalej, jakby bała się przestać.

- Pochodzę z tego samego domu dla podrzutek, co chłopcy - wyjaśniła, mówiąc do trzymanej w rękę świecy. - Oczywiście z drugiej jego części, gdyż chłopców i dziewczynki wychowywano w ścisłej separacji. Pan Gascoyne zawsze potrafił dobrze liczyć. Dlatego kiedy adoptował chłopców, Zapytał przełożoną, która z dziewcząt jest posłuszna, umie

dobrze szyć, liczyć i potrafi zajmować się dziećmi. Wybrano mnie. Pan Gascoyne doprawdy postąpił bardzo sprytnie. Wyżywienie czworga dzieci kosztuje prawie tyle samo, co trojga, a dzięki temu dostał za darmo nianię dla chłopców.

Ręka zadrżała jej, a świeca zamigotała.

- Mężczyzna może czasami nie patrzeć na to, że dziewczynie brak jest posagu - powiedziała, głęboko nabierając tchu. - Zdarza się też, że potraktuje wykształcenie jako dodatkową korzyść. Potrafi czasem stawić czoło złości i wzdargie jej opiekuna. Ale nawet w tej okolicy młodzi ludzie wolą wiedzieć, skąd się wywodzą ich żony. Pomimo tego - dodała z goryczą - że są doskonale świadomi, iż pochodzi ona z Domu Sierot i Ubogich Dzieci.

- Znalazłam się tam, gdy miałam trzy albo cztery lata. Kobieta, która mnie przywiozła, powiedziała, iż dostała mnie z Domu Podrzutków w Londynie kilka lat wcześniej, a teraz nie stać jej na to, żeby się mną opiekować. Nazywała się Sally, a ja pomagałam jej robić kapelusze: pamiętam to, ale nie byłam jej córką. Miała jeszcze kilka osieroconych dziewczynek, ale musiała się wyzbyć ich wszystkich, gdyż jej mąż zabierał ją na antypody. Zamierzała zostać modystką także i tam, ale podróż kosztuje dużo, a małych dziewczynek jest Wszędzie aż za wiele.

- Przepraszam - powiedział Drum, gdyż po raz pierwszy w życiu nie przyszło mu do głowy nic lepszego. Albowiem ona miała rację i nie sposób było temu zaprzeczyć, nawet z grzeczności. Był wstrząśnięty i rozczarowany, zarazem sobą i tym, co mu powiedziano. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo spodobała mu się myśl, że mógłby spróbować ją komuś wyswatać. Ale *znajdę!* Drum poczuł, że ogarnia go rozpacz.

Sieroty, tak samo jak dzieci nieślubne, znajdowały się na samym dole drabiny społecznej i nikt nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Po prostu było ich aż nazbyt dużo. Ich samo istnienie zagrażało łaadowi społecznemu. Zaś dzieci niechciane równie dobrze mogły być też nieślubne. Gdyby zaś miały mieć takie same prawa i możliwości jak dzieci z prawego

łoża, to kto ceniłby sobie małżeństwo i inne niezbędne podstawy życia społecznego?

Może to i niesprawiedliwe, ale na tym opierał się panujący ład. Nie tylko wyższe klasy interesowały się dobrym pochodzeniem. Wiadomo, jak trudno jest wychować dzieci: wykarmić je, odziać, zajmować się nimi. Gdyby ludzie mogli tak po prostu zostawiać innym swoje bękarty, instytucja małżeństwa stałaby się zbędna. Reguły moralne to piękna rzecz, ale ich utrzymaniu służyło napiętnowanie i kary dla tych, którzy ich nie przestrzegali. Gdyby nie hańba i wstyd, porządek społeczny rychło ustąpiłby chaosowi.

Dlatego też znajdy karmiono i utrzymywano przy życiu, a także przyuczano je do wszystkich podrzędnych prac, których nikt nie chciał wykonywać. Mogły zostać czeladnikami albo wynając się za dobrą zapłatę, jeśli coś sobą reprezentowały. Jeżeli zaś jakaś majątna rodzina zaadoptowała podrzutka albo jeśli zaopiekował się nim bogaty człowiek, kształcąca i zapewniająca dobre warunki bytowe, los kogoś takiego stawał się znacznie łatwiejszy. Jednak nawet wtedy podrzutek nie miał takich samych przywilejów jak dziecko z prawego łoża. Sieroty nie mogły dziedziczyć, a gdy posiadały legalnych opiekunów, także nie było to łatwe.

Drumowi zrobiło się słabo. Przybrany ojciec zapewnił Aleksandrii dobre wykształcenie, a także, prawdopodobnie, zostawił jej część swego majątku. Ale mimo to nie mogłaby zostać żoną kogoś takiego, jak on, Drum. I nie chodziło tu o jego dumę; po prostu w świecie jego ojca i jego samego takich rzeczy się po prostu nie robi.

Trudno mu się było pogodzić z tym, że żywi słabość dla córki nauczyciela, ale kiedy okazało się, iż jest ona znajda, poczuł się jak idiota. Istniały pewne reguły, dobrze znane każdemu mężczyźnie z wyższych sfer. Gorzej urodzone kobiety mogły być traktowane jako zabawki; nigdy zaś nie na poważnie. Klas średnich należało unikać, gdyż wywodzący się z nich ludzie traktowali wszystko przesadnie serio. Żeniono się z pannami z własnej sfery albo też romansowano z nimi, jeżeli sobie tego życzyły

i miały odpowiednie doświadczenie. Jednak Aleksandria była zbyt porządną dziewczyną, by mieć z nią romans, a na cokolwiek innego znajdowała się o wiele zbyt nisko na szczeblach drabiny społecznej. Wszystko tę razem tworzyło kombinację, z którą Drum w żaden sposób nie potrafił sobie poradzić.

Zastanowił się szybko. Byłaby bezcennym skarbem dla mężczyzny, który nie pragnie poślubić kogoś równego sobie statusem społecznym. Ale gdzie znajdzie ona kogoś, kto spodoba się jej?

Nie mógłby to być prosty wieśniak, gdyż z kimś takim nie byłaby szczęśliwa, ale też nie zechciałby jej nikt szlachetnie urodzony. Oczywiście, zdarzało się, iż zgrzybiali lub zidiociali szlachcice żenili się z dziewczkami z karczmy albo pokojówkami, ale stawali się przedmiotem niesławy, pogardy i tematem do plotek. Drum zmarszczył brwi. Pani Tooke nie wyszła za mąż za kogoś niegodnego szacunku, lecz tylko nie z jej sfery, i proszę, jak to się skończyło. Została odrzucona przez własną rodzinę i klasę społeczną.

Aleksandria nie miała do utracenia rodziny, majątku czy też koneksji. Może znajdzie mężczyznę, który nie dba o to... człowieka wykształconego i na tyle majątnego, by nie musiał pomagać sobie finansowo, zawierając korzystny związek małżeński i nie pragnącego piąć się po szczeblach drabiny społecznej. Miłość przenosi góry. To jej jedyna szansa, i jakże potrzebna.

- Jestem ni pies, ni wydra - stwierdziła szorstko, czytając w jego myślach. - Rozumie pan teraz?

Nie udzielił jej odpowiedzi od razu. Usiłował znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie, które mogłoby złagodzić i jej, i jego ból.

Dostrzegła jego niepokój i źle go zrozumiała. Jej oczy rozszerzyły się.

- Racja! Jakże mogłam zapomnieć? To może zepsuć panu opinię! Rzeczywiście, to chyba dobrze, że jednak pan wyjedzie.

- Tylko ja sam mogę sobie zepsuć opinię w świecie - odparł gniewnie. - A i tak niełatwo o to bogatemu, dobrze urodzonemu mężczyźnie, proszę mi wierzyć. Wyjeżdżam, ba

tak jest lepiej dla wszystkich. Przepraszam, Aleksandrio. Czy rzeczywiście nie wiesz nic absolutnie o twoim pochodzeniu? Mógłbym się czegoś dowiedzieć, gdy wrócę już do Londynu. Mam w tym niemałą wprawę.

Zaśmiała się, lecz nie był to jej zwykły, uroczy śmiech.

- Dziękuję. Pan Gascoyne wszystko zbadał dokładnie. Ale prawda jest taka, że mogę być córką dziwki albo księżnej. Proszę wybaczyć te proste słowa, lecz tak się właśnie wyraził. Jestem niczym Ewa, panie. Moim ojcem jest Bóg, a matka jego małżonką, a ja nie dowiem się, kim byli, dopóki nie odejdę z tego świata.

- Czy mógł cię okłamać? - zapytał beznadziejnie Drum. - Dla swoich własnych celów.

Przechyliła głowę.

- To możliwe i nawet do niego podobne. Jednak nie uczynił tego. Na samym początku starał się dowiedzieć jak najwięcej o naszej przeszłości, licząc na jakąś nagrodę. Prawdopodobnie naczytał się za dużo romansów... o odnalezionych potomkach szlacheckich rodów, porwanych dzieciach powracających do swych bogatych rodziców i tak dalej. Jednak niczego nie znalazł. Kit mgliście pamięta swoją rodzinę, a była ona bardzo biedna. Vin, Rob i ja nie potrafiliśmy mu nic powiedzieć. Ale wiedziano w domu sierot. Każde z nas jest nikim i nie wydaje się, byśmy kiedykolwiek się dla kogoś liczyli. Napisałam tam po śmierci pana Gascoyne, kiedy już nie istniał żaden powód do zachowania tajemnicy. Ja też czytałam sporo romansowych powieści. Jednak oni stwierdzili to samo. Zostałam porzucona jako maleństwo i nie mam żadnej rodziny. Nawet imię nadano mi w domu sierot - ciągnęła, wpatrując się w migoczący płomień świecy. - Zostałam Znaleziona w dniu zwycięstwa pod Aleksandrią. Kit miał swoje imię, ale Vina nazwano od bitwy pod Vincennes.

- A Roba od Robres? - zapytał Drum, szybko licząc w pamięci, zniesmaczony faktem, że ktoś nie fatygował się nawet postarać wymyślić tym dzieciom jakichś ładnych imion, lecz nazywał je od dnia, w którym je znaleziono.

- Może. Było już tyle Marii i Elżbiet, Tomów, Robertów i Henryków - ciągnęła, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy. - Szybko też wyczerpały się nazwy kwiatów, rzek i hrabstw. Ale bezdomnych dzieci nigdy nie brakuje, więc coś musieli wymyślić. Mamy szczęście, że trafiliśmy na ludzi o nastawieniu patriotycznym. Bywa gorzej. Mogli nazwać nas imionami zwierząt: mnie dać Malina, a Vinowi i Robowi Nero i Reks. A i tak stanowiłoby to pewien awans, gdyż przecież nie byliśmy tak użyteczni jak krowa czy pies.

- Przepraszam - wyszeptał. - Mam nadzieję, że wiesz, iż szanuję cię nie mniej niż dotychczas.

Ale nie była to prawda. Czuła to. Dawne koleżeństwo gdzieś znikło. I nie tylko to uległo zmianie. Przepadł bez reszty jakikolwiek cień flirtu. Chociaż Drum nie ruszył się nawet o centymetr, miała wrażenie, iż się od niej odsunął. Leżał na plecach i przyglądał się jej spod przymkniętych powiek, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Cóż, dawno już minęła pora, o której powinien pan być zasnąć - stwierdziła, uśmiechając się z rezygnacją. - Jutro czeka pana ciężki dzień.

- Aleksandrio. Tak mi przykro - powiedział.

Kiwnęła głową.

- Dziękuję - rzekła, kierując się do drzwi. - Mnie też.

- Nie tak chciałem stąd odjeżdżać - rzekł Drum ze śmiechem, kryjącym zakłopotanie, kiedy następnego rana forysie znosili go ze schodów. - Boże! To żenujące - dodał, gdy układali go na posłaniu w karecie. - Do diabła, do diabła, do diabła. - Słowa te usłyszeli wszyscy zgromadzeni na podwórzu, gdy doktorzy przywiązywali go i po raz ostatni upewniali się, czy poduszki, koce i pasy są dobrze umocowane.

W końcu wszystko było gotowe. Drum pożegnał się z domownikami podczas śniadania. Chłopcy chcieli zaczekać do jego odjazdu, ale Drum polecił im iść do szkoły. Po śniadaniu pani Tooke przyjęła jego podziękowania. Aleksandria zachowywała pełen dystans, życząc mu rychłego powrotu do

zdrowia i szczęśliwej podróży. On zaś ani jednym gestem nie okazał, by wyróżniał ją w jakikolwiek sposób. Wyraził swą wielką wdzięczność, a ona oświadczyła, że to doprawdy drobiazg, po czym ustąpiła miejsca jego ludziom, którzy przyszli go zanieść do karety.

Teraz forysie wskoczyli na grzbiety swoich wierzchowców, lokaj wsiadł do karety i wszyscy byli gotowi do drogi. Eryk zajął jeszcze do wnętrza pojazdu, aby zamienić kilka ostatnich słów z przyjacielem.

- Przeprowadzę śledztwo i dam ci znać, co wykryłem.

Drum, trochę pobladły i roztrzęsiony, na chwilę przytrzymał dłoń wielkoluda.

- Nie pisz - powiedział półgłosem. - Jeżeli się czegoś dowiesz, przekaż mi to osobiście.

- Jasne.

- I jeszcze jedno - rzekł Drum. - Sprawdź dokładnie i dopilnuj, żeby tu wszystko było w porządku.

Eryk zawahał się.

- Oczywiście - mruknął z uśmiechem i cofnął się.

Doktor Raines wsiadł do karety i zamknął drzwiczki. Księżę dał znak stangretowi i jego pojazd ruszył jako pierwszy. Niewielka kawalkada powoli opuściła podwórze. Pani Tooke, doktor Pace, Eryk i Aleksandria stali przed chatą i machali na pożegnanie.

Drum leżał na boku, wyglądając przez okno pojazdu. Zobaczył, jak Eryk zwraca się do Aleksandrii i coś mówi. Dziewczyna zaśmiała się i uniosła ku niemu twarz. Drum patrzył, aż znikli z widoku. Na jego czole pojawiła się zmarszczka, która nie znikła jeszcze przez kilka długich mil. Rozpamiętywał ich śmiech, rozmyślał o wszystkim, co tam zostawił, i wyobrażał sobie, co mogłoby nastąpić, gdyby nie odjechał.

Aleksandria weszła na górę do swojej sypialni. Znowu należała wyłącznie do niej. W domu panowała cisza. Doktor Pace odjechał. Eryk wyruszył na poszukiwania. Dla zachowania pozorów pani Tooke została na czas jego pobytu, ale Alek-

sandria wiedziała, iż wkrótce ją także opuści. Świat wróci do swej dawnej postaci, ale dziewczyna miała świadomość, że nie już nie będzie takie samo. Pobyt hrabiego Drummonda zmienił ją. Wniósł do jej życia powiew szerokiego świata i pokazał, czego nie dane jej było zaznać. Hrabia zawstydził ją też, choć wcale tego nie pragnął, swoją reakcją na to, czego dowiedział się o jej pochodzeniu. Jednak nic na to się nie da poradzić, gdyż tak to już jest. Dawno już życie zmusiło Aleksandrię do patrzenia na rzeczywistość trzeźwo i realistycznie.

Mimo to zdejmowała pościel z łóżka z większą niż należałoby energią. Przypomniała sobie, jak Eryk Ford uśmiechnął się do niej i żartował, dzięki czemu zdała sobie sprawę, że świat się jeszcze nie skończył, tylko po raz kolejny odwrócił do góry nogami. Eryk jest ciepły i miły, ale nawet przez chwilę nie przypuszczała, by miał na myśli coś więcej niż beztroski flirt. I tak trochę jej pomógł. Jakoś przeżyje tę chwilową utratę szacunku dla samej siebie. Przecież bywało już gorzej.

Przynajmniej udało jej się pomóc Drumowi. Był jej naprawdę wdzięczny, a ona mogła sobie wyobrazić, iż gdyby nie jej nieszczęsne urodzenie, zostałby dłużej. Nie winiła go za to, że odjechał. Nikt lepiej niż ona nie wiedział, jak wielka dzieli ich przepaść. Mimo to czuła, że wcale nie było to dla niego łatwe i że on nigdy jej nie zapomni. Kiedyś poślubi kogoś ze swojej sfery, będzie miał dzieci i czeka go długie, pozytywne życie. Ale pewnego dnia, gdy już się zestarzeje, pomyśli może o tym, co mogłoby się zdarzyć, i pożałuje tak samo, jak ona teraz.

Aleksandria ściągnęła kołdrę, zdjęła poduszki... i zamarła.

Spod jednej z nich wyłonił się niewielki stosik złotych monet.

Zostawił jej pieniądze jako opłatę za pomoc. Oczywiście. Nietaktem byłoby wręczać je osobiście. Poza tym wiedział, że odmówiłaby. Tak zaś zostawił jej napiwek, jak podróżny w karczmie wynagradza dobrą pokojówkę, w miejscu, gdzie może mieć pewność, iż z pewnością zostanie odnaleziony przez właściwą osobę.



Zawahała się, a potem szybko podniosła je czubkami palców, jakby były to zdechłe myszy, i wrzuciła sobie do fartucha. Potem podeszła do okna i spróbowała wytrząsnąć, a gdy się to nie udało, cisnęła każdą osobno tak daleko, jak potrafiła.

Jednak, jako osoba praktyczna i roztropna, kiedy już skończyła sprzątanie łóżka, zeszła na dół i pozbierała je wszystkie.

I dopiero *wtedy* pozwoliła sobie na płacz.

## 14

- Gdybyśmy brali za wstęp, moglibyśmy zrobić majątek - stwierdził kwaśno Drum, obserwując, jak ojciec przerzuca karty wizytowe, zostawiane przez gości od dnia, w którym przyjechali do Londynu.

Siedział w swoim gabinecie, w wysokim fotelu ustawionym przy oknie, opierając nogę na małym stołeczku. Przed sobą widział prześwietlone słońcem drzewa rosnące w ogrodzie na zapleczu swej miejskiej rezydencji, a dookoła wałały się jego liczne książki oraz papiery. Zamiast szlafroka nosił dzisiaj bonżurkę i rozpiętą przy szyi koszulę. Pod ręką miał też kieliszek wina oraz miseczkę z kandyzowanymi owocami. Wyglądało na to, że jest mu całkiem wygodnie i tylko unieruchomiona noga przypominała o niedawnych wydarzeniach. Jednakże wyraz jego twarzy nie pasował do tej sielskiej sceny.

- Zgaduję, że myśl o towarzystwie nie budzi w tobie zachwyty - stwierdził chłodno ojciec, przerzucając z zainteresowaniem wizytówki. - Ja jednak sądzę, że pora, byś zaczął przyjmować. Chodzą pogłoski, iż brak ci połowy twarzy, i to jest wersja najłagodniejsza.

Drum wzruszył ramionami.

- Nic mnie to nie obchodzi. Połowa Londynu i tak wie lepiej. Tyłu bowiem ludzi gapiło się, kiedy wynoszono mnie z karety jak niebo.szczyka. Lepiej byłoby, gdybyśmy pojawili się w środku nocy. A przynajmniej można było skorzystać z wejścia dla służby, zamiast wnosić mnie jak zmarłego bojownika na tarczy na oczach ciekawskich tłumów. Zgodziłem się tylko dlatego, że gdybym protestował, dostarczyłbym im jeszcze dodatkowej atrakcji.

- W istocie - zgodził się książę. - Co więcej, muszę dodać, że narzekałeś tak, iż nikt nie wzięłby cię za martwego. Ale skoro przyjechaliśmy rano, nie miałem zamiaru zostawiać cię w karcie do czasu, aż uznasz, iż jest wystarczająco ciemno, byś mógł wrócić do własnego domu. Gdybym usiłował przetransponować cię chyłkiem przez tylne drzwi, plotki byłyby jeszcze gorsze. Powinieneś czuć zadowolenie, że tyle osób chce cię zobaczyć.

- Zupełnie tak samo jak lwy i słonia w Tower, jak sądzę - odparł z irytacją Drum. - Chociaż pewnie jestem od nich więcej wart jako przedmiot rozrywki, bo mnie można odwiedzić tylko na zaproszenie.

- A raczej dlatego, że cię *nie można* odwiedzić - poprawił go ojciec.

- Ależ skąd! - zaprotestował Drum. - Przecież miałem gości.

- Tak. Cztery osoby. Twoich ukochanych przyjaciół: Daltonów i Ryderów. Gdyby Sinclairowie nie pojechali na wieś, z pewnością ich też byś zaprosił. Potrzeba ci więcej towarzystwa. Chciałbym, byś zaczął przyjmować przed moim wyjazdem.

- Ach, to dlatego tu jeszcze jesteś?

Książę przeniósł wzrok z kart wizytowych na syna.

Na chudych policzkach Druma pojawił się rumieniec.

- No dobrze. Przepraszam, że odezwałem się takim tonem, ojczu.

- Właśnie - rzekł książę, odkładając karty na srebrną tacę. - Zostałem, bo chcę ujrzeć cię na drodze do rekonwalescencji. Jednak stwierdzam, iż sam pragnąłbym znaleźć się pośród ludzi. Sezon już prawie się skończył, ale w mieście przebywa jeszcze trochę osób z towarzystwa. Mógłbym chodzić na bale, wieczorki i temu podobne. Ale łatwiej mi byłoby porozmawiać z ludźmi, gdyby pojawili się tutaj.

- Mógłbyś pójść do któregoś z klubów, jeżeli jesteś spragniony konwersacji - burknął Drum.

- Owszem. Tylko nie spotkałbym tam żadnej kobiety.

Drum spojrział na niego czujnie.

- Nie - przyznał powoli. - To prawda. Czy chciałbyś spotkać jakąś konkretną damę, ojczu?

Książę kiwnął głową.

- W istocie, ale nie jest to coś, o czym zamierzam ci mówić.  
Drum zamrugął powiekami.

- Aha. No cóż. W takim razie wpuszczę tu tę dziką hordę.  
Pomyślał sobie szybko, że w ten sposób zdoła przekonać się, kogo sobie ojciec upatrzył, a jeżeli osobą tą okaże się lady Annabelle, to niech go diabli, jeżeli nie ukróci tego romansu w zarodku. Nie tylko dlatego, że jego przyjaciel, Eryk, mógł być zainteresowany tą uroczą, acz próżną, młodą damą, ale także dlatego, iż Drum nie potrafiłby sobie wyobrazić nic bardziej niesmacznego, jak to, by została ona jego nową mamusią. Wymienił tę możliwość w przystępie ironii, ale teraz żałował, że nie zachował owej myśli dla siebie. Jak do tej pory najbardziej obawiał się, iż może zostać kaleką do końca życia. Teraz przerażała go myśl o młodszej od siebie macosze. Młodszej, sprytniej, płytkiej, a na dodatek płonącej żądzą rewanżu.

- Zimno ci? - zapytał książę, dostrzegając, że syna przeszedł dreszcz.

- Ach, to nic wielkiego - odparł Drum, wzruszając ramionami, i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się, wyobrażając sobie, co Annabelle pomyślałaby na takie określenie jej osoby.

- Zrobiłeś wielkie przyjęcie - stwierdził Damon Ryder, rozglądając się po rzadko używanym, pięknym salonie, gdzie na kredensie rozstawiono tace z ciastkami i kieliszki na wino.

- Muszę. Prócz ciebie pojawiają się dzisiaj też inni goście - powiedział Drum. - Ojciec nalega, żebym prowadził dom otwarty. Obawiam się, iż nie wyjedzie, dopóki tego nie zrobię, dlatego zgodziłem się. Powiadomił kogo się da, że można już mnie odwiedzać.

- No i co w tym złego? - zapytał Rafe, sięgając po cytrynowe ciasteczko. - Mnóstwo ludzi się o ciebie pytało.

- Ojciec zaprasza przede wszystkim damy - odparł Drum. - Pamiętasz dlaczego wyciągnął mnie od Gascoyne'ów? Chce, żebym spotykał się z istotami płci pięknej. Szuka żony... dla mnie - dodał pośpiesznie. Nie ma co mówić im o swoich najgorszych

przecuciach. I tak nie zdołaliby nic zrobić w tej kwestii; pogorszyliby najwyżej sytuację. To delikatna sprawa i on sam się tym musi zająć.

- To będzie zupełnie jak na tym balu, który księżę wydał dla swego syna, by znalazł sobie żonę! - zawołała Gilly, klaszcząc w ręce.

- Nie bądź taka romantyczna - powiedział Damon Ryder, wymieniając z Drumem spojrzenia.

- On przecież nie może ruszyć się z miejsca - stwierdził Rafe, przeżuając ciasteczko. - Nie będzie mógł wstać i ratować się ucieczką.

- Właśnie - przyznał Drum. - Dlatego proszę was, żebyście zostali, kiedy otworzą się drzwi. Uratujecie mnie, jeżeli się to okaże konieczne.

- Oczywiście - ucieszyła się Gilly. - A przed kim tak cię mamy ochraniać?

Drum skrzywił się.

- Nie chodzi o ochronę, ale raczej... interwencję we właściwej chwili.

- Ale Gilly ma rację - stwierdziła poważnie Brenna Dalton. - Jeżeli powiesz nam, kto twoim zdaniem okaże się niebezpieczny, z pewnością zdołamy utrzymać tę osobę z dala od ciebie, ale jeśli nie, to jak mamy się tego domyślić?

- Kto? - głośno myślał Drum, marszcząc brwi. - Każdy, kto wygląda na to, że może przyprawić mnie o ból głowy, ot co. Ale nie lady Annabelle.

Nastała pełna zdumienia cisza. Przerwał ją Rafe.

- A więc to stąd wiatr wieje - wyrzucił z siebie. - Hm, hm. Przyznaję, że jestem zdziwiony. No, pewnie, jest całkiem ładniutka i może trochę spoważniała od czasu, kiedy ją ostatnio widzieliśmy?

- Ładnie to ująłeś - zaśmiał się Drum. - Chcesz powiedzieć, że nie jest już taka zapatrzona w siebie i samolubna jak dawniej? Może i nie. Nie o to mi jednak chodzi. Interesuję się nią z innego powodu, niż myślicie. I nie chciałbym, żebyście ją odstraszyli ode mnie.

- Chodzi ci o Eryka? - zapytał Rafe po chwili zastanowienia. - Masz zamiar odciągnąć ją od niego. Pamiętam, jak na nią patrzył, kiedy się ostatnio widzieli. Czemu nie? Ta dziewczyna doskonale nadaje się do *ogłądania*, zwłaszcza, gdy ktoś nie jest ciekaw, co kryje się za jej powierzchownością - dodał, uśmiechając się czule do żony. - Owszem, jest w tym pewien sens, ale nie pojmuję, dlaczego zawracasz sobie tym głowę. Wątpię, żeby ta panna zechciała emerytowanego żołnierza. Moim zdaniem zamierza zapolować na kogoś z tytułem, żeby pokazać wszystkim, na co ją stać. Dlatego uważaj. Jeżeli uzna, że się nią zainteresowałeś, przykują cię do niej, zanim zdążysz zrobić nawet jeden krok. Jej matka to potwór, a w dodatku doprowadzony do ostateczności.

- Nie martw się, będę uważać - obiecał mu Drum. - Choć na razie nie mogę się posługiwać nogami, nie utraciłem innych zdolności. Poza tym panienka nie ma do mnie zaufania, i zresztą słusznie. Wierz mi, mam swoje powody.

- Ach, wreszcie wróciłeś do siebie - rzekł Damon Ryder i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Rozmawiali beztrąsko, aż wreszcie zegar wybił trzecią. Drum westchnął.

- Cóż, chyba już lepiej nie zdołam się przygotować. - Sięgnął po dzwonek i do pokoju natychmiast wszedł Grimes.

- Proszę powiedzieć panu Phineasowi, że mogę przyjmować - powiedział Drum. - Jeżeli, oczywiście, ktokolwiek się dzisiaj pojawi.

- Goście już czekają - odparł Grimes.

Drum skrzywił się.

Okazało się wkrótce, że się nie pomylił. Salon był duży, ale nie na tyle, by pomieścić przybyłych. Nawet sala balowa mogłaby nie wystarczyć.

Drum nie obawiał się tłumów, ale zrobiło mu się trochę duszno. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo człowiekowi pomaga zdolność używania nóg. Goście przemieszczały się z miejsca na miejsce, zbierali w grupy. Jedyne siedzącymi osobami był on oraz matki. Chyba wszystkie dobrze

urodzone panny na wydaniu były tutaj obecne. A on nie mógł w żaden sposób usunąć się z ich widoku.

Mogłoby to stanowić spełnienie marzeń każdego mężczyzny. Zawszad otaczały go kobiety. Zgodnie z najnowszą modą ujawniały wszystko, co tylko miały, bez podwiązek lub innych krępujących elementów, pozostawiając jak najwięcej części swych osób bez przykrycia. Wiosna ustępowała latu, więc suknie nie tylko miały wielkie dekolty, ale też wykonane były z cieniuteńkich materiałów. A obecne tutaj panny bezwzględnie stosowały się do wymogów panującego stylu. Drum nie widział tylu półnagich, podskakujących piersi i drgających pośladków od czasu, kiedy ostatni raz znajdował się w burdelu. Nie czuł jednakże pożądania, lecz niejasne uczucie paniki. Przekonał się bowiem, że co za dużo, to niezdrowo... zwłaszcza że ceną całego tego dobra była jego wolność.

Nie mógł zbyt długo przyglądać się którejkolwiek z tych kobiet, gdyż natychmiast uznałaby, iż zyskała sobie przewagę nad swymi konkurentkami, a co gorsza, to samo mogłaby stwierdzić jej matka. Jeszcze gorzej: przykuty do krzesła miał oczy na poziomie ich brzuchów i pośladków. Gdy któraś z panien chciała zamienić z nim słowo, musiała się pochylić, a wtedy on przemawiał do jej biustu. Popsuło mu to humor i stracił wszelką ochotę do konwersacji.

Uznał bowiem, że z tymi półnagimi stworzeniami i tak nie dałoby się sensownie porozmawiać, nawet gdyby odziano je w zbroje, gdyż rzadko zdarzało mu się spotykać tak trywialne istoty. Jedynym tematem, jaki każdej z nich przychodził do głowy, był jego wypadek. Kiedy zaś odpowiadał, iż czuje się już znacznie lepiej i odmawiał dalszej dyskusji, pozostawały im jedynie pogoda i plotki.

Zdawał sobie sprawę, że jest niegrzeczny i niesprawiedliwy. O czymże miałyby z nim rozmawiać te obce kobiety? Nie zaczęła przecież zniemacka dyskutować na temat „Odysei”, malarstwa albo literatury: tematów, które poruszała kiedyś Aleksandria. W obecnych warunkach nawet i ona miałaby trudności z wprowadzeniem ożywczej innowacji. Ale jedno wiedział

na pewno: nie chichotałyby bez przerwy ani też nie wybuchająby piskliwym śmiechem, ilekroć on by coś powiedział. Był pewien, że nie gapiłaby się też na niego z otwartymi ustami, udając zachwyty z każdego komunału, jaki by wygłosił.

Tyle tylko że ta dziewczyna nie jest dla niego, napomniał sam siebie. I może w taki właśnie sposób zachowuje się w towarzystwie Eryka, pomyślał nagle i zmarszczył brwi, gdyż myśl ta wydała mu się zdradą.

- Czy coś cię boli, Drummondzie? - zapytał księżę, również ściągając brew.

- Ojczy! - zawołał Drum. - Skąd się tu wzięłeś? To znaczy, nie widziałem, jak wchodzisz.

- Jakże mógłbyś, mając dookoła tyle uroczych młodych kobiet? Ja zaś postarałem się dla ciebie o dodatkowe towarzystwo.

Drum poniewczasie dostrzegł, kto stoi obok jego ojca: lady Annabelle, cała w błękitach, pasujących do jej prześlicznych oczu. I jej tęga matka, spowita w złotogłów, odzwierciedlająca jej życiowe ambicje. Obie kobiety uśmiechały się do niego.

- Teraz zaś muszę przeprosić panie - ciągnął ojciec. - Wobec panującego tutaj tłoku z pewnością uznają, iż prowadzam samowary do Tuły.

- Ależ skąd - odparł Drummond z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki go było stać. - Jak mógłbyś posądzać je o coś podobnego? Ich blask zaćmi wszystkie inne.

Drum starał się być uprzejmy, ale nie pomylił się co do lady Annabelle. Wciąż była piękna, chociaż jak na razie nie osiągnęła sukcesu w polowaniu na męża. Poza tym znalazł ją zbyt dobrze, by zapomnieć, jak nieciekawa dusza kryje się pod tą powabną powłoką. Zakochani w niej nieudolni poeci pisali o niej, iż ma włosy jak skrzydło kruka i alabastrową cerę. Pełne usta jakby zapraszały do pocałunku, a otoczone długim rzęsami błękitne oczy lśniły pod idealnie zarysowanymi brwiami. Doskonałą figurę wprawnie podkreślała strojami, gdyż gust miała również nieskazitelny.

Mówiono, iż stała się próżną kokietką, dopiero gdy jej ukochany poślubił inną. Jednak zdaniem Druma ani ona, ani



nikt inny nie wiedział, że to nieprawda. Albowiem jej jedy-  
ną prawdziwą miłością była jej własna osoba.

- Pani - zwrócił się Drum do jej matki, pochylając głowę  
w imitacji ukłonu. - Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję.

. - Mój biedny chłopcze! - wykrzyknęła księżna. - Ależ  
oczywiście! Co za katastrofa. Jakże jestem rada ujrzeć cię na  
drodze do wyzdrowienia. Dawno już odwiedziłybyśmy cię,  
gdyby nie to, że nie przyjmowałeś gości. Bardzo byliśmy ra-  
de, gdy jego miłość poinformował nas, iż jest inaczej, i poja-  
wił się po nas osobiście.

*I jakże się księżna pani cieszy, że podaje jej moją głowę  
na tacy,* pomyślał Drum i powiedział:

- Bardzo mi miło, że zechciały mnie panie odwiedzić, bez  
względu na przyczynę. Jednak proszę pamiętać, iż ojciec  
wciąż uważa mnie za małego chłopca, chociaż jestem o do-  
bre dziesięć lat starszy od pani córki.

No, pomyślał Drum, ta gruba aluzja do różnicy wieku po-  
winna podzielać, jeżeli jego rodziciel zaczął już robić słod-  
kie oczy do pięknej panny.

Ojciec popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem.

- Jakże chętnie nasze dzieci przypisują nam wiek podeszły -  
Zwrócił się do księżnej. - Muszę się troszczyć o Druma, gdyż  
dojrzałość wydaje się przychodzić do niego z opóźnieniem. Zo-  
stałem jego ojcem w młodszym wieku, niż znajduje się obecnie  
pani córka.

Drum uniósł brew.

- Za pozwoleniem, ojcze. W poprzednim stuleciu sprawy się  
miały inaczej. Obecnie nie zdarza się, by żenić dzieci w kołyskach.

Teraz już na twarzy ojca pojawiło się rozbawienie.

- Prawdę mówiąc, drogi chłopcze, ty także urodziłeś się  
w poprzednim stuleciu. Czy nadal sypiasz w kołysce?

- Nie - warknął Drum. - Jakiś czas temu wyrosły mi zę-  
by mądrości.

- Tak też myślałem - rzekł księżę z lekkim uśmiechem,  
zerkając na lady Annabelle, która słuchała ich rozmowy z na-  
tchnionym wyrazem twarzy.

Drum spojrział na nią również. Stała obok jego ojca, a razem stanowili piękną parę: ojciec wysoki i wyprostowany, a panna filigranowa, lecz pełna uroczych okrągłości. No i proszę, pomyślał z rozpaczą Drum. Musimy sprawiać wrażenie dwóch baranów, bijących się o jej względy. To właśnie coś, co ta dziewczyna uwielbia. Do diabła, pobudziłem jej zainteresowanie!

Ojciec bardzo kochał jego matkę. Drum dobrze też wiedział, że przelotne romanse, jakie nawiązywał po jej śmierci, nigdy nie sięgały do jego serca. Dobrze byłoby, gdyby znalazł sobie kogoś na resztę życia. Drum kochał i szanował swego rodziciela, nawet jeżeli nie zawsze się zgadzali, gdyż mimo swego chłodu i ironii był on człowiekiem poważnym i honorowym.

Nie sądził także, że Annabelle zdradziłaby starszego od siebie męża, biorąc sobie kogoś młodszego jako kochanka. Wynikało to z faktu, iż jego zdaniem nie była ona zdolna do miłości. Tyle że ojciec zasługiwał na coś więcej. Być może pragnął nowego dziedzica, ale trudno mu to mieć za złe. Jednak jego istniejący potomek uważał, że nie zasłużył sobie na taką macochę.

Kogo chce ta panna oczarować tym razem? zastanawiał się Drum. Została, by z nim porozmawiać, i musiał przyznać, że potrafi wieść konwersację lekką, ale nie głupią, śmieje się we właściwych miejscach, nie piszcząc i nie chichocząc idiotycznie. Zauważył też niespokojne spojrzenia swoich przyjaciół, rozstawionych w różnych punktach salonu. Dostrzegł ponadto, iż jego ojciec przygląda się uważnie jemu samemu, ale też i uroczej Annabelle. Mimo to poczuł lekki żal, gdy dziewczyna oddaliła się, by dać innym pannom szansę na rozmowę z nim. Kiedy zechciała, mogła być całkiem przyjemną towarzyszką, choć lekki uśmieszek czasami zdradzał, że dobrze wie, jaką Drum ma o niej opinię.

Gdy ojciec uprzejmie zasugerował zgromadzonemu towarzystwu, iż wydaje mu się, że jego syn sprawia wrażenie nieco zmęczonego, Druma bolały usta od sztucznych uśmiechów. Kiedy zaś jego przyjaciele podeszli do niego, by się także pożegnać, dał im znak, by poczekać.

- Chciałbym z wami wszystkimi porozmawiać - zwrócił się do Rafe'a. - Zostańcie jeszcze na chwilę.

- Ale prosilibym, żebym najpierw mógł zamienić słówko sam na sam z moim synem - powiedział książę.

Przyjaciele Druma wyszli do hallu. Lady Annabelle i jej matka powiedziały księciu, że zaczekają na niego w jego karecie.

- Dobrze się sprawiłeś - powiedział książę Drumowi, kiedy zostali sami. - Teraz masz zapewnione liczne towarzystwo. Rad będę, jeśli zechcesz ich przyjmować, kiedy już stąd wyjadę.

Drum jęknął.

- Jak sobie życzysz, ale nie gwarantuję, co może nastąpić, kiedy już będę wstawać.

- Nie proszę cię o to - odparł książę. Zawahał się, a potem zapytał raptownie: - Co o niej sądzisz?

Drum zamarł. Ojciec nie mógł mieć na myśli żadnej innej kobiety. Ale dlaczego nie wymienił jej imienia? I czy pragnął poznać jego o opinię o owej pannie jako żonie dla siebie? Czy dla swojego syna?

- Nie jestem pewien - odparł Drum, udzielając niejasnej odpowiedzi na mało konkretne pytanie. - Potrzeba mi trochę czasu na zastanowienie, nie sądzisz?

- Oczywiście - przyznał książę, jak zwykle chłodno. - Nie brak go nam. Do zobaczenia jutro - rzekł, zakładając swą czapkę bobrową. - Miłego dnia - powiedział do Ryderów i Daltonów, wychodząc z domu. - Dziękuję za opiekę nad moim synem.

- To *nim* trzeba się opiekować! - wykrzyknęła Gilly, gdy już znalazła się znowu w salonie. - Widziałeś, jak na nią patrzył? - Poniewczasie zauważyła, że powiedziała coś niewłaściwego. Zawstydyła się. - Przecież to nie moja sprawa - szepnęła.

- Ależ skąd - odparł z uśmiechem Drum. - Zawsze mówiłaś do mnie to, co chciałaś, i tak powinno pozostać. Cenię to sobie, a ty dobrze o tym wiesz, chociaż trochę żal mi Damona - dodał, żeby ich rozpogodzić. - Być może tylko na nią patrzył. Może po prostu chce, żeby została moją żoną. Jednak teraz nie mogę nic zrobić w tej kwestii. Proszę tylko, żebyście nie krytykowali przy nim tej panny - zakończył. -

Przez to najwyżej uzna, że powinien jej bronić. Ten człowiek ma w sobie aż za wiele rycerskości.

Drum pokręcił się niespokojnie i spoważniał.

- Jednak chciałbym porozmawiać z wami na inny temat, który podsunął mi widok tych młodych istot. I wcale nie jest to coś, czego życzyłyby sobie ich mamusie. - Stukał palcami o oparcie fotela, próbując uporządkować myśli. Gdyby mógł chodzić, krążyłby po salonie.

Dotychczas nie brakowało mu słów. Przyjaciele wiedzieli więc, że rozważa coś niezmiernie ważnego.

- Nie ma powodu, by urocza, inteligentna i dobra osoba taka jak Aleksandria Gascoyne nie miała żadnej szansy na małżeństwo - rzekł w końcu Drum. Popatrzył z irytacją na swą złamaną nogę. - To, że nie ma tytułu i majątku, nie jest aż tak ważne w tym mieście; w Londynie nie brakuje mężczyzn, a pośród nich na pewno znalazłby się jakiś, który uznałby ją za dobrą partię. Dziewczyna ta ma przecież wiele zalet. Zastanówmy się wspólnie, w jaki sposób moglibyśmy ją tutaj sprowadzić, żeby odpłacić jej za dobro, jakie mi okazała. To dla niej jedyna szansa na znalezienie męża i na lepsze życie, gdyż na swojej głuchej prowincji nie ma żadnych możliwości.

Podniósł wzrok i stwierdził, że przyjaciele wpatrują się w niego ze zdumieniem.

- I tym się tak zamartwiasz? - zaśmiał się Rafe. - Twój ojciec nie jest jedynym człowiekiem o przesadnie rozwiniętej rycerskości!

- Lubię spłacać długi - odparł Drum.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu i z uśmiechem słuchał, jak spierają się, które z nich przyjmie znajcę w gościnę. Uznał jednak, że choć tylko ona sama może im powiedzieć prawdę o swojej przeszłości, lecz to właśnie on weźmie jej przyszłość w swe ręce. Nie może chodzić, nie jest w stanie wywrzeć żadnego wpływu na to, jak postąpi ojciec, ale w tej kwestii na pewno zdoła coś zrobić.

Po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że jest z siebie za-

## 15

Był ciepły wieczór, wieńczący wyjątkowo piękny dzień wczesnego lata. Eryk Ford stał przy furtce i obserwował, jak stojąca u jego boku kobieta unosi głowę i wdycha zapachy dochodzące z ogrodu i otaczających ich pól. Delektował się wdzięcznym widokiem profilu Aleksandrii, od jej zgrabnego noska po kształtne piersi. Z powodu upału upięła wysoko swe gęste włosy i teraz kilka rozjaśnionych słońcem luźnych kosmyków opadło jej na szyję. Nie zauważyła, że tak na nią patrzy, chociaż musiała sobie z tego nieświadomie zdać sprawę, gdyż przeciągnęła ręką po karku, żeby poprawić włosy, tak jakby czuła na sobie jego spojrzenie.

Wszystkie zaplanowane prace wykonano, obiad został zjedzony, konie zaprowadzone do szopy, a dzieci poszły do domu. Po wysiłkach całego dnia mieli poczucie spełnienia i spokoju, które ogarnęło ich razem z nadejściem nocy. Erykowi nie trzeba było wielkiej fantazji, by wyobrazić sobie, iż ten dom i te dzieci należą do niego, a ta kobieta jest jego żoną. Że za chwilę uśmiechną się do siebie, a on ją weźmie w ramiona. Na resztę poczekają, aż znajdą się w sypialni, zamkną za sobą drzwi i ofiarują sobie wtedy znacznie więcej. Tak właśnie postępowali jego rodzice, a on wierzył święcie, że to właśnie nadaje sens życiu mężczyzny.

Nigdy nie dostanie kobiety, której pragnął. Nie miał tytułu, a ona szukała męża - arystokraty. Duma nie pozwoliłaby mu ofiarować jej czegoś mniej ani też samemu pragnąć czegoś innego. Jednak polubił Aleksandrię i czuł się samotny. Tyle tylko że ona nigdy go w żaden sposób nie zachęcała. Znał kobiety, więc dobrze to widział. Oboje też pragnęli

kogoś, kto był dla nich nieosiągalny. Znajdowali się zatem w podobnej sytuacji, choć nie oznaczało to, że pójdą wspólną drogą. Martwił się tym, ale nie dlatego, że ją pokochał. Owszem, bardzo ją lubił. Ona jednak straciła swe serce dla innego. I o ile jego sny o miłości mogłyby się spełnić, jej marzenia nie miały najmniejszych szans realizacji, a on nie miał pojęcia, jak jej o tym powiedzieć.

Widział, jak patrzy na Druma i jak często stara się przed tym powstrzymać. Widać było wyraźnie, że nie może od niego oderwać oczu. Ilekroć o nim mówiła, jej głos zmieniał się.

- Napisałem dzisiaj do Druma - powiedziała.

Spojrzała na niego, a w jej oczach natychmiast pojawił się błysk zainteresowania.

- Odkryłem parę rzeczy, których się chciałem dowiedzieć, i mam nadzieję, że wykryję jeszcze więcej - ciągnął. - Ale jest coś, co pani mogłaby mi powiedzieć. Muszę o to zapytać, choćby dlatego, że obiecałem Drumowi zbadać sprawę i chciałbym być dokładny, ale też i dlatego, że, jak sądzę, on sam nie potrafił się na to zdobyć. To może być ważne. Czy wie coś pani o politycznych zapatrywaniach pana Gascoyne?

Drgnęła, odwróciła oczy, ale po chwili przeniosła na niego wzrok.

- Polityka! Och! Czy rzeczywiście ktoś próbował zabić Druma... pana hrabiego?

- Jak już mówiłem, nie mam jeszcze pewności. Ale dowiedziałem się tego i owego na temat poglądów pani ojca. Był wielbicielem Napoleona?

Odwróciła głowę. Znał już swoją odpowiedź, ale cierpliwie poczekał, aż dziewczyna odezwie się.

- Pan Gascoyne był... dosyć radykalny - rzekła, wbijając wzrok w ziemię. - Prawdę mówiąc, zachwycał się rewolucją francuską. To było dosyć niemądre. Przecież rewolucjoniści nawoływali, by dzielić się z innymi, a on nie oddałby nawet kubka wody, a co dopiero pieniędzy. Tak samo utrzymywali, że wszyscy ludzie są braćmi, a on uważał, że nikt nie jest mu równy. Interesował się raczej teorią.

Podniosła na niego oczy.

- A może chodzi panu o to, czy był na tyle radykalny, by narazić siebie albo kogoś innego na niebezpieczeństwo? Co to, to nie. Stracił posadę w Eton za to, że głośno wyrażał swoje poglądy, i na tym koniec. Ktoś usłyszał, co mówi, i przekazał to komuś innemu, a wtedy pana Gascoyne zwolniono, ponieważ uznano, iż nie nadaje się na nauczyciela dla dzieci arystokratów. Zadbał więc potem o to, żeby nigdy więcej nie wyrażać na głos swych politycznych opinii.

Przechyliła głowę i zaśmiała się.

- Pyta pan, bo uważa pan, że to jego duch zaatakował hrabiego? Nie sądzę, aby nawet w takiej postaci starczyło mu odwagi. Zresztą w tych okolicach pojawia się tylko upiór starożytny, zwariowanego mnicha, który czeka na nieszpory, ale jego klasztor dawno został zburzony, więc wędruje drogą o zmroku, coś do siebie mamrocząc. Mógłby przestraszyć konia, ale nie strzelać do niego.

- Chodziło mi raczej o to, czy ojciec pani miał przyjaciół mniej lękliwych od siebie, ale żyjących podobne przekonania.

Przestała się uśmiechać. Popatrzyła na zachodzące słońce i kiwnęła głową.

- To całkiem możliwe. Z niektórymi korespondował. Paru spotkałam. Bardzo byłam wdzięczna, że rzadko ich zapraszał. Jak sądzę, sposób, w jaki okazywali mi swoje zainteresowanie, sprawiał, że nie byli dla mnie ciekawi. Pan Gascoyne zaś nie miał zbyt wielu złudzeń na temat przyjaźni, więc łatwo mu było pozbyć się i tych nielicznych.

- A w szkole, gdzie uczył na końcu?

Pokręciła głową.

- Nie miał nikogo. Trzymał się z dala od wszystkich.

Teraz Eryk pokiwał głową.

- I zadbał o to, żeby pani robiła to samo. Czy zamierza pani kontynuować ten zwyczaj, kiedy on już nie żyje? - zapytał, gdyż noc była ciepła i wonna, a dziewczyna urocza i nie potrafił się powstrzymać. - Byłaby to wielka szkoda - dodał, gdy nie odpowiadała.

Postanowił odważyć się na więcej. Wierzył w jej inteligencję i współczuł jej z powodu stanu ducha, w jakim się znalazła. Wiedział dobrze, jak bardzo fascynujący potrafi być Drum, i widział już nie raz, jak reagują na niego kobiety. Przyjrzał się też, jak Drum odnosił się do niej. Jednak przyjaciel miał więcej szczęścia. Nie pozostanie sam z myślami o tym, co mogłoby być, tak jak ta prześliczna dziewczyna. Ale Erykowi żal było jednakowo ich obojga: Aleksandrii z powodu jej niespełnionego uczucia i Druma dlatego, że postanowił stłumić swoje.

- Drum uważa, że szkoda byłoby, gdyby spędziła pani życie w samotności - zaczął Eryk ostrożnie.

Zobaczył, że zadrgały jej nozdrza, gdy nagle wciągnęła powietrze.

- Bardzo panią podziwia - ciągnął. - Wymienia panią w listach i zawsze o panią pyta. Ale nie może uczynić nic ponad to. Poznała pani księcia, a dla Druma zdanie ojca oznacza bardzo wiele. Mimo swej oschłości ksiązę to dobry człowiek, a Drum jest dobrym synem.

- Nie oczekuję niczego - odparła sztywno.

- A więc, powtarzam, byłoby szkoda.

- Dziękuję.

Popatrzył w dal, na pola.

- Nie chodzi mi wcale o to, by zyskać pani wdzięczność, chociaż przyznaję, że wcale bym nią nie gardził. Ale przecież życie toczy się dalej.

Odwróciła się do niego ze smutnym uśmiechem.

- Och, Eryku - powiedziała żałośnie. - Na to liczę.

Przez chwilę stała w milczeniu, zastanawiając się, czy powinna spędzić z nim ten wieczór, skoro już wszystkie trudne sprawy zostały poruszone. Jednak było zbyt ładnie, zbyt spokojnie i cicho, zbyt pięknie pachniały pola. O takiej porze łatwo jest o nierozważne obietnice.

- Dobranoc - rzekła cicho i zostawiła go samego, zapatrzonego w narastającą noc.

Zmusiła się, by wejść do domu, choć na ogromnym niebie



zaczęły rozbłyskiwać gwiazdy, sprawiając, że chata wydała się jej mniejsza i ciaśniejsza niż zwykle. Mogłaby spędzić trochę czasu w towarzystwie Eryka, ale wiedziała, do czego mogłoby to doprowadzić. Tymczasem ona czuła się nieszczęśliwa i zbita z tropu nieoczekiwanym rozwojem sytuacji.

Wydawało się bowiem, że Eryk Ford jest w istocie nią zainteresowany. Nie spotykała wielu obcych, ale on był otwarty i serdeczny, tak że miała wrażenie, iż dobrze go zna. Miał jej wiele do zaoferowania, ale najbardziej podobało się jej poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawała w jego towarzystwie. Był taki wysoki, przyjacielski i ciepły. Był też niezwykle przystojny i bez trudu dawało się zauważyć, że serce ma równie wielkie i pełne życzliwości, więc może nie przeszkadzałoby mu, że ona mogłaby mu zaoferować wyłącznie własną osobę. Choć można by przypuszczać, że pragnie tylko przyjaźni, oczy jego mówiły co innego, a widać było wyraźnie, że nie ma zwyczaju igrzać z cudzymi uczuciami.

Stojąc w kuchni, Aleksandria wpatrywała się w wygasłe palenisko. Gdyby miała choć odrobinę rozumu, padłaby na kolana, podziękowała Bogu, że zesłał jej tego człowieka, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła do niego.

A tymczasem jej myśli opanował inny mężczyzna, nawet w połowie nie tak przystojny, i trudno było zrozumieć, dlaczego wydawał się jej dwa razy bardziej atrakcyjny. Człowiek o błyskotliwym poczuciu humoru, biegle posługujący się ironią i drwiną. Inteligentny, wykształcony, wysoko urodzony mężczyzna o równie szlachetnym sercu; tyle że owo serce zamknięte było na wszelkie żywsze porwy uczucia niezgodne z jego planami. Zaś plan ów polegał na zdobyciu żony o podobnym statusie oraz majątku. Nawet się z tego nie próbował tłumaczyć. Tak wiele dumy czerpał ze swego nazwiska i tak bardzo szanował swego wyniosłego ojca, że prawdopodobnie nie sądził, by było to konieczne. Co więcej, pomyślała żalostnie Aleksandria, cały świat by się z nim co do tego zgodził.

Ponadto, chociaż Eryk był oszałamiająco przystojny, a Drum nie, nawet jej skóra reagowała inaczej na każdego

z nich. To było niesamowite. Wystarczyło też, by Drum na nią spojrział, a serce zaczynało jej walić jak młotem. Coś podobnego nigdy się jej wcześniej nie zdarzyło.

Eryk to dobry człowiek i można mu zaufać. Hrabiemu Drummond nie wierzyła za grosz. Jak mogłaby? Nie знаła go, tak samo jak prawdopodobnie nikt inny na świecie. Stanowił kłębowisko sprzeczności. Pełen dystansu, a równocześnie w jego oczach malowało się ciepło, budzące w niej rozkoszny niepokój. Znajdując się w tym samym co Drum pokoju, wciąż miała wrażenie, że brakuje jej tchu. Niepojęte, ale niezaprzeczone. Co gorsza, kiedy wyjechał, oddychanie przestało być dla niej istotną funkcją. Po prostu ją zczarował. Musi trochę odczekać, żeby przekonać się, czy zdoła zrzucić z siebie ten czar.

Weszła na górę powoli, jakby panująca w chacie wilgoć zdążyła ją już przyprawić o reumatyzm. Kiedy otworzyła drzwi do swojej sypialni, na poły oczekiwała, że znowu zobaczy tam Druma, siedzącego w fotelu albo leżącego na łóżku, patrzącego na nią swymi chłodnymi, a zarazem płonącymi oczami, które wszystko wiedziały. Mówiła mu, że w okolicy nie pojawiają się duchy, ale myliła się. Nigdy nie zauważyła upiora człowieka, który do niedawna był panem tego domu, ale cały czas przed oczami ukazywała się jej zjawą mężczyzny, który pojawił się tu na krótko i odjechał, zabierając jej serce.

Aleksandria usiadła na łóżku i pochyliła głowę. No właśnie! Nareszcie się do tego przed sobą przyznała. Ten wysoki mężczyzna o absurdalnie wielkim nosie i przepięknych, błękitnych oczach wtargnął do jej życia i nie wiadomo, czy kiedykolwiek z niego zniknie. Nigdy dotąd nie straciła głowy do tego stopnia. Uśmiechnęła się smętnie, gdyż przecież jak na razie spotkała tylko dwóch dżentelmenów. A więc, pomyślała z nadzieją, może jest to tylko przelotne urzeczenie.

Zmarszczyła brwi. Nawet jeżeli oczarowanie to jest krótkotrwałe, i tak zniweczy jej szanse na związek z Erykiem. O ile, oczywiście, takowe w ogóle istnieją. Być może nie dbałby o jej brak pochodzenia i... Być może. Zaś gdyby ona pewnego dnia mogła mu się odwzajemnić uczuciem, on i tak

prawdopodobnie znajdzie sobie wcześniej jakąś mądrzejszą kobietę, gotową natychmiast odpowiedzieć na jego zainteresowanie i zdobyć jego miłość.

Aleksandria położyła się i zamknęła oczy. Drum odjechał, ale zrujnował jej szanse u Eryka, a może i u wszystkich mężczyzn... skąd ma to wiedzieć?

Przemknął jak kometa. Hrabia Drummond wywodził się z innego świata, równie odległego jak księżyc i gwiazdy. Ona zaś musi wrócić do siebie po tym wstrząsie i dopiero wtedy spróbuje na nowo ułożyć sobie życie. Może jeżeli los zechce okazać się dla niej łaskawszy, na jej drodze znowu pojawi się miłość. Może.

Usiadła, zdjęła ubranie i położyła się znowu, ukrywając twarz w poduszce. Nagle poderwała się. Nie założyła koszuli nocnej. Położyła się nago! To niewłaściwe, gorszące i zdróżne. W Domu Sierot dzieci kładły się spać od stóp do głów. Za życia pana Gascoyne postępowała tak samo. Nawet teraz, kiedy wreszcie była tu sama, nigdy nie odważyła się spać, jak ją Pan Bóg stworzył. Chłopcy mogliby się obudzić albo musiałyby szybko wybiec z sypialni...

Ale dzisiaj wszystko było inne. Dzisiejszego wieczoru zmusiła się, by zostać w sypialni. Na niebie lśniły gwiazdy, liście rosnącego koło domu drzewa szeleściły na wietrze, a serce biło jej mocno, napełniając duszę nadziejami i tęsknotami. Przy furtce stał silny, przystojny mężczyzna; może nawet w tej chwili patrzył na jej okno z pragnieniem i zaproszeniem w oczach, czekając, aż znowu do niego zejdzie.

Jednak tej nocy po jej sypialni krążyło widmo innego mężczyzny, przesuwając chłodnymi palcami po jej rozpalonej skórze, poruszając swym oddechem jej włosy na karku, podśmiewając się z jej zmieszania, szepcząc jej do ucha. Przekręciła się raz i drugi, zawstydzona i zafascynowana swym ciałem i tym, co jej podpowiadało.

Nie mogła się przykryć, gdyż nigdy dotąd nie była tak świadoma swego ciała, przerażona i zachwycona jego możliwościami. Nie wiedziała, jak bardzo gładką ma skórę. Prze-

ciągnęła po niej dłonią, a potem pomyślała o rękach Druma, o jego długich, niespokojnych palcach...

Ze stłumionym jękiem przekreśliła się na bok.

Z całych sił usiłowała zapanować nad sobą. Pragnienia miały ją jak wiatr latawcem. Próbowwała sprowadzić się na ziemię, przypominając sobie, jak wygląda surowa rzeczywistość. Miała ochotę wstać i narzucić na siebie koszulę, by ukryć swe rozbudzone ciało przed samą sobą. Ale zbyt wiele przyjemności sprawiał jej łagodny powiew wiatru, pieszczący jej skórę...

Wiele czasu musiało upłynąć, zanim zapadła w sen.

List nadszedł następnego ranka. Od wczorajszego wieczora w życiu Aleksandrii zapanował chaos. Dlatego też przy kolacji pokazała list wszystkim obecnym przy stole.

- Czy my też możemy pojechać? - pisał Rob, kiedy go wreszcie przeczytał.

- Głupek - stwierdził pocziwie Kit, mierzwiąc bratu włosy. - Oczywiście, że nie! To jest nagroda dla Ally, jej wakacje. Należy jej się trochę wolności od obowiązków.

- Wcale bym jej nie dodał pracy - zaprotestował z oburzeniem Rob.

- Oczywiście, że nie - powiedział Kit. - Wystarczy, że byłbyś w pobliżu. Musiałaby cię pilnować, zamiast zwiedzać Londyn.

- Poza tym ty masz przed sobą całe życie - dodał Vin. - A dla Ally to może być jedyna szansa.

- Dziękuję, że nie zapomnieliście o moim podeszłym wieku - rzekła Aleksandria, odbierając Robowi list i starannie go składając. - Ale nie pojedę. Być może już jestem zgrzybiała, ale sądzę, że jeszcze zdążę kiedyś w życiu odwiedzić Londyn. To bardzo miły gest i jestem wdzięczna za zaproszenie. Tak właśnie napiszę pani Ryder. Ale nie skorzystam.

- Dlaczego? - zapytał Eryk.

Siedzieli przy stole, choć obiad się skończył. List przechodził z rąk do rąk, po tym jak Aleksandria zdradziła jego istnienie. Była dumna z zaproszenia, ale zażenowana, że jakiś im-

puls skłonił ją, by go im pokazać, a teraz zastanawiała się, czy nie uczyniła tego po to, by ją przekonano, że powinna przyjąć zaproszenie. Tym bardziej się zawstydziła. Miała wrażenie, że wszyscy się w nią wpatrują, czekając, co odpowie Erykowi.

- Dlaczego? - powtórzyła ze zniecierpliwieniem. - Z wielu powodów! Nie mam odpowiednich strojów, nie mam pieniędzy... tak, wiem, że pani Ryder będzie mnie gościć, ale nie mogę pojechać do Londynu bez grosza przy duszy. Nie jestem Dickiem Whittingtonem\*. - Nawet nie brała pod uwagę zostawionych jej złotych monet. Ukryła je w bezpiecznym miejscu na czarną godzinę. - Co więcej - dodała, unosząc dłoń gestem, jakiego niechący nauczyła się od Druma. - Kto będzie zajmował się domem, jeżeli pojedę? Eryk wyjeżdża za kilka dni, żeby złożyć sprawozdanie panu hrabiemu, więc chłopcy zostaną sami. Kochana pani Tooke jest prawdziwym aniołem - ciągnęła, uśmiechając się. - Jednak z pewnością niedługo za tęskni do swoich. Zaczęły się wakacje, więc ktoś musi was tutaj pilnować przez całe dni. Nie - rzekła z mocą. - To piękny gest. Mogłabym go przyjąć za kilka lat, ale nie teraz.

- Chętnie zostanę dłużej - odezwała się pani Tooke. - Nie wahaj się ani przez chwilę ze względu na mnie. Kocham moją rodzinę, ale uczucie to wzmaga się, gdy jestem od nich daleko. Z przyjemnością zaopiekuję się chłopcami.

- I wcale nie będziemy leniuchowali - wtrącił się Vin. - Tego lata zarabiamy, zapomniałaś? Ja będę pracował popołudniami na farmie Montviñle'ów.

- A ja obiecałem panu Thatcherowi, że mu pomogę przy koniach i on też mi za to zapłaci - dodał z dumą Kit.

- Ja za to będę pomagał pani Tooke - obiecał Rob.

- Twoje suknie można trochę przerobić - dodała pani Tooke. - Latem w Londynie jest trochę swobodniej. Sezon

\* Richard Whittington, ur. ok. 1350. W wieku lat trzynastu posłany do Londynu jako czeladnik. Został największym kupcem średniowiecznej Anglii. Burmistrz Londynu w latach 1397, 1398, 1407 i 1420 (przyp. tłum.).

dobiegł już końca, więc nie musisz stroić się w najmodniejsze kreacje. Poza tym lekkie materiały na lato są tańsze niż zimowe. Mogę przerobić twoje suknie, umiem to bardzo dobrze. Nikt nie spodziewa się, że przyjedziesz wystrojona jak na wizytę u dworu.

Aleksandria zarumieniła się.

- Stać mnie na materiał na sukienki. Ale przecież jest tyle innych wydatków.

- Właściwie to nie - rzekł Eryk, przyglądając się jej z uwagą. - Kilka monet dla służących Ryderów i parę groszy na wszelki wypadek. Gość nie płaci za nic, tak się po prostu nie robi w Londynie. Poza tym - dodał ze śmiechem - jaśnie panowie i panie rzadko kiedy skrupulatnie regulują swoje rachunki.

- Ale ja nie pochodzę z wielkiego rodu - zaprotestowała.

- Pod wieloma względami tak. Nie martw się. Znam Gilly i Damona. Nie pozwolą pani wydać nawet pensa.

Pozostali zamarli w bezruchu, obserwując ich spór, przesuwając oczami od jednego do drugiego. Aleksandria wyczuła, iż argumenty Eryka wydają się im bardziej przekonujące, i zaczęła się wahać.

- Ale oni mają małe dziecko - stwierdziła słabo. - Będę im przeszkadzać.

- Gilly jest wspaniałą matką - rzekł Eryk. - Jest również damą i ma wystarczająco dużo służby, która zajmuje się jej skarbem, kiedy musi wyjść. Jak sądzę, w głębi duszy cieszy się na myśl, że zyska odrobinę wolności.

- Nie mam pokojówki, która mogłaby mi towarzyszyć - upierała się Aleksandria. - Żadna przyzwoita młoda panna nie pojechałaby sama w taką podróż.

Wszystkie głowy odwróciły się ku Erykowi w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

- Pojedzie pani dylizanssem. Ja udam się tą samą trasą. Nie będzie pani sama nawet przez chwilę, choćby i beze mnie. Na miejscu Gilly zapewni pani przyzwoitkę w razie potrzeby.

- Ona jest damą, nie będę tam pasowała - protestowała

Aleksandria, wzywając wzrokiem Eryka, by ośmielił się za-  
protestować.

- Będzie pani gościem. Jako taka, może pani zwiedzać mia-  
sto, może też spędzić wieczór w operze albo ogrodach Vaux-  
hall. Z pewnością nie będzie pani żałować. Zobaczy pani coś  
nowego. I coś znanego też, bo spotka pani swojego pacjen-  
ta. Zrobi pani grzeczność Drumowi, dając mu szansę rewan-  
żu, na przykład pozwalając mu zaprosić się do teatru. Z pew-  
nością już teraz może się poruszać na wózku inwalidzkim.  
Sądzę, że zasługuje pani na trochę rozrywki, zmianę otocze-  
nia i wszyscy obecni chyba się ze mną zgadzają. To przecież  
będzie tylko raz w życiu.

Zmierzyli się spojrzeniami. *On wie*, pomyślała z przera-  
żeniem. Wymieniwszy imię Druma, przyglądał się jej badaw-  
czo, a w jego oczach odmalował się bezmiar rezygnacji i zro-  
zumienia. A kiedy powiedział „raz w życiu” w jego głosie za-  
brzmiał smutek, lecz także i pewność.

No właśnie. Jeżeli nie pojedzie, spędzi resztę życia, żałując  
tego. Jeśli zaś to uczyni, do końca swych dni będzie tęsknić za  
Drumem... A może nie. Czyżby to właśnie stanowiło przeszkodę?  
Czy wyzbywszy się tęsknoty za hrabią, będzie gotowa na  
przyjęcie uczucia innego mężczyzny? Czy Eryk to właśnie ma  
na myśli? Czyżby wykorzystywała swe marzenia o Drumie,  
żeby uniknąć konfrontacji z rzeczywistością, gdyż obawia się,  
iż może się to okazać bolesne? Od kiedy to stała się tchórzem?

- Raz w życiu - powtórzyła z namysłem, patrząc mu  
w oczy. - Tak, właśnie. Więc może rzeczywiście powinnam  
pojechać.

## 16

Ilość powietrza, wpadającego przez szparkę w oknie dyliżansu, wystarczała większości pasażerów. Mżawka skończyła się, wyszło słońce i powietrze woniało teraz ciepłymi, dojrzałymi odpadkami, końskim nawozem, nieświeżą rybą, dymem, stojącą wodą i wszelkimi innymi niemiłymi rzeczami. Aleksandria jednakże nie poświęcała temu większej uwagi. Siedząc z nosem przy szybie i wdychając letni londyński smród, niczym zapach najpiękniejszych perfum, przyglądała się ludziom, tłoczącym się na ulicach, jakby byli to aniołowie z nieba.

Klekot kół powozów, ludzkie okrzyki i wołania, stukot końskich kopyt ogłuszyły ją, ale jednak usłyszała niezadowolony głos jednej ze współpasażerek.

- Czy mogłaby pani zamknąć to okno? - spytała siedząca naprzeciw niej kobieta. - Domyślam się, że jest pani po raz pierwszy w Londynie, ale już prawie dojechaliśmy do zajazdu „Pod Bykiem i Ujściem”\* i wkrótce nawdycha się pani tych wszystkich czarownych zapachów do syta. Tymczasem chcielibyśmy móc oddychać.

Pozostali pasażerowie przytaknęli jej ze śmiechem.

Aleksandria spleonęła rumieńcem i wstała, żeby zamknąć okno. Obecni w powozie mężczyźni zerwali się, by jej pomóc. Jeden z nich, starszawy, wracał do domu z wizyty u przyjaciela, drugi, o twarzy podobnej do pyszczka łasicy, utrzymywał, iż handluje zegarkami, zaś trzeci, postawny jegomość

\*W oryginale „The Bull and Mouth”. Znak zajazdu przedstawiał ujęcie rzeki i port w Boulogne, którego zniekształceniem jest jego nazwa (przyp. tłum.).



przespał większą część podróży. Od chwili gdy dziewczyna wsiadła do dyliżansu, wszyscy byli dla niej niesłychanie uprzejmi. Kobiety, które poznała podczas jazdy, też okazały się bardzo miłe. Aleksandria przypisała to londyńskim manierom, nie zdając sobie sprawy, jak świeżo i uroczo wygląda.

Nowy czepeczek ze słomki otaczał jej rozpłomienioną oczekiwaniem twarz. Miała na sobie śliczną różową suknię podróżną uszytą przez panią Tooke i szal w kwieciste wzory. Dzielącym z nią pojazd zblazowanym londyńczykom przypominała różę w pełni rozkwitu.

Choć wyglądała na osobę płonąca z niecierpliwości, podróż nie tylko zachwyciła ją, lecz także przeraziła. Wątpliwości ogarniały ją na przemian z podnieceniem, ale życzliwość towarzyszy podróży sprawiła, że im bardziej zbliżali się do Londynu, tym więcej czuła pewności siebie.

Wyglądało na to, że zgoda na przyjęcie zaproszenia Ryderów była jej ostatnią samodzielną decyzją. Od tamtej chwili straciła kontrolę nad swoim życiem. Chłopcy natychmiast przejęli jej obowiązki, jakby już wyjechała. Powiedzieli, że czynią to, żeby je lepiej opanować, ale wiedziała, iż chcieli, by miała czas na przygotowania. Wcale go jednak nie potrzebowała. Eryk załatwiał sprawy związane z podróżą, a pani Tooke zajęła się szyciem, twierdząc, zgodnie z prawdą, że zrobi to znacznie szybciej i sprawniej.

Aleksandrii pozostawało tylko martwić się, czy rzeczywiście podjęła właściwą decyzję, i temu poświęciła swój czas.

Jej bliscy zbyt byli zajęci, by zwracać na to uwagę. W wolnych chwilach chłopcy sporządzali listy rzeczy, które Aleksandria powinna zrobić lub zobaczyć w Londynie, chcąc, by po powrocie zdała im dokładne relacje. Pani Tooke przeglądała z nią co wieczór wykroje i wzory, aż dziewczynie oczy Zachodziły łzami. W końcu Aleksandria stwierdziła, iż woli polegać na guście starszej kobiety. Zanim jeszcze otrzymała od Ryderów odpowiedź, zachęcającą ją do natychmiastowego przyjazdu, jej stroje i lista zaleceń były gotowe.

Poprzedzającego wyjazd wieczoru Eryk zakończył śledz-

two, spakował się i przygotował do drogi swego białego wierzchowca.

- Pojadę tą samą trasą - powiedział Eryk Aleksandrii. - Jeżeli pojawią się jakieś problemy, znajdę się w pobliżu. Będziemy spotykać się na postojach, a kiedy zajedzie pani do Londynu na stację, która się nazywa „Pod Bykiem i Ujściem”, będę czekał, żeby bezpiecznie zawieźć panią do Ryderów.

Opuścił domek i udał się do szopy, chłopcy poszli spać, a Aleksandria podążyła do swojej sypialni. Jednak nie mogła zasnąć. Przewróciwszy się z boku na bok o jeden raz za dużo, wstała, cichutko zeszła na dół i jęła krążyć po znanych sobie w każdym szczególe pomieszczeniach, dotykając mebli, zastanawiając się, czy rzeczywiście podjęła słuszną decyzję.

U szczytu schodów pojawiło się migoczące światło i Aleksandria ujrzała otuloną szlafrokiem panią Tooke.

- Jeszcze nie śpisz? - spytała starsza dama. - Tak właśnie myślałam! Przed podróżą czuje się zwykle niepokój. Ale nie masz powodu się martwić. Nowe dylizanse mają doskonałe resory, a główne drogi wysypano tłuczniem, więc jazda jest znacznie gładsza. Nie toleruje się też tyle co dawniej pijaństwa u woźniców... przedsiębiorstwa oferujące dylizanse wolą unikać nieszczęśliwych wypadków. Setki ludzi codziennie docierają do Londynu bez nieprzyjemnych przygód, więc nie martw się, podróż będzie szybka i przyjemna.

- Ach, wcale nie o to mi chodzi... Och, pani Tooke. - Aleksandria westchnęła. - Jestem oczywiście podekscytowana, ale prawdę mówiąc, bardziej obawiam się wielkiego miasta niż samej podróży! Nie chcę się zblamować albo okazać się komuś ciężarem. Najbardziej podobałoby mi się, gdybym już była z powrotem w domu i rozpakowywała pamiątki, wspominając podróż raczej niż mając ją jeszcze przed sobą. Wiem, że to niemądre - dokończyła, śmiejąc się nerwowo.

- Powinnaś się napić herbaty - stwierdziła stanowczo pani Tooke. - Chodźmy do kuchni.

- To dobra myśl - przyznała Aleksandria. - Ale może pani chwileczkę zaczekać? Zapisałam sobie kilka rzeczy, które

chciałabym pani powiedzieć, a jeśli zostawię to do jutra, mogę o wszystkim zapomnieć.

Wróciwszy, podała pani Tooke plik notatek i zaleceń, a ręce jej drżały.

- Prawdę mówiąc, zrobiłam je dla siebie, nie dla pani. Bo przecież pani doskonale potrafi prowadzić ten dom.

- Na pewno mi się przydadzą - zapewniła pani Tooke, ujmując zimne dłonie dziewczyny. - W ten sposób będę miała pewność, że niczego nie zaniedbałam. Nie zamartwiaj się tak, moja droga. Dopilnuję wszystkiego. A ty baw się dobrze. I, oczywiście, przekaż panu hrabiemu pozdrowienia ode mnie.

To o czymś przypomniało pani Tooke. Zawahała się.

- Byłoby wspaniale, gdybyś spotkała tam jakiegoś odpowiedniego młodzieńca, bo bez wątpienia na to zasługujesz. Ale jeżeli tak się nie stanie, nie traktuj tego jako koniec świata. Jesteś młoda i bardzo ładna. Może poznasz jakieś miłe kobiety, które zaproszą cię w przyszłości w inne miejsca.

- Och, wystarczy mi ten jeden wyjazd! - zaprotestowała Aleksandria.

- Może tak, a może nie. Przekonasz się - stwierdziła pani Tooke. Jej twarz przybrała wyraz rozmarzenia. - Nigdy nie podróżowałaś, ale ja w młodości zwiedziłam niejedno miejsce. Rodzice zabierali mnie do Londynu, Brighton, Dover, a raz aż do Szkocji. - Zawahała się na chwilę. - Znalazłszy się w nowym miejscu, ludzie czasami zapominają, kim są. Podróże kształcą, jak to się mówi, i bardzo dobrze. Ale należy pamiętać, że w końcu trzeba wrócić do domu.

- Proszę się nie martwić - odparła ze smutkiem dziewczyna. - Wiem, kim jestem... lepiej niż ktokolwiek inny... i z pewnością o tym nie zapomnę. Choć, prawdę mówiąc, chętnie bym to uczyniła.

- Pan Gascoyne nie był przyjemnym człowiekiem - powiedziała nagle pani Tooke. - Sama o tym dobrze wiesz, biedaczko. Podziwialiśmy cię wszyscy za to, że tak cierpliwie to znosisz. Nikt nie słuchał nawet połowy z tego, co wyga-

dywał. Powinnaś także i o tym zapomnieć. Przeszłość minęła, teraz powinnaś zająć się swoją przyszłością.

- Racja - przyznała krótko Aleksandria, porzucając temat pana Gascoyne, który pragnął, by nigdy nie wychodziła z chaty, chyba że do pracy w ogrodzie. - Jadę do Londynu. Będę się tam dobrze bawić. Wrócę za kilka tygodni i wszystko wam opowiem.

Pani Tooke przyjrzała się jej uważnie.

- Gdy byłam młoda, podjęłam decyzję, która wydawała mi się wtedy jedynie słuszna. Nie twierdzę, że się pomyliłam, albo że żałuję mojego wyboru. Chcę tylko powiedzieć, że teraz widzę, iż świat był zupełnie inny, niż myślałam. Być może uznasz, że wtykam nos w nie swoje sprawy, ale uważam, że powinnaś zobaczyć się tam z panem hrabią. Tutaj był bezradny i chory, odcięty od swego świata. W Londynie ujrzysz go w jego normalnym środowisku. To przyda się i tobie, i jemu.

Aleksandria spuściła oczy. Kiwnęła głową.

- Też tak sędzę. Dlatego właśnie tam jadę.

Woda w czajniku zagotowała się, ale to nie dlatego pani Tooke poszła zrobić herbatę.

- Jesteś bardzo rozsądną dziewczyną - powiedziała Aleksandrii stłumionym głosem, nachylając się nad czajniczką. - Nie miałaś innego wyjścia. O tym także pamiętaj.

- Nie zamartwiaj się o nas! - powiedział Vin, machając jej na pożegnanie na przystanku dylizansów.

- Dopilnujemy wszystkiego! - zawołał Kit.

- Przywieź coś dla mnie - pisał Rob. Chłopcy i pani Tooke rozmawiali z Aleksandrią przez okno dylizansu. Eryk czekał na koniu. Pozostali pasażerowie wsiadali do środka, a ich bagaże ładowano na dach. Ranek był szary i mglisty, ale dziewczyna nie zauważyłaby, nawet gdyby padał ognisty deszcz. Wstrzymała oddech, kiedy woźnica strzelił z bata, a dylizans szarpnął i ruszył. Pomachała, a pomocnik woźnicy uniósł trąbkę do ust i zagrał melodię, sygnalizującą ich odjazd. Wielki powóz zakołysał się, a Aleksandrii zakręciło się

w głowie. Przestraszyła się, jakby miała opuścić kulę ziemską, a nie podwórze zajazdu.

Dopiero po pół godzinie udało jej się opanować szalone bicie serca. Odprężyła się wreszcie, złożyła ręce na kolanach, zaczęła wyglądać przez okno i w końcu poczuła radość. Uczucie to narastało w miarę upływu czasu. Obecność Eryka uspokajała ją, gdy spotykali się podczas postojów. Inni pasażerowie gawędzili z nią i dzięki temu poczuła, że podróżowanie nie jest niczym niezwykłym.

Teraz jednak, znalazłszy się prawie u celu, z trudem mogła się opanować. Wyzbyła się niepokoju do tego stopnia, że nie potrafiła sobie wyobrazić, iż kiedykolwiek się bała.

Ulice za oknem powozu wypełniał tłum ludzi wszelkich zawodów i stanów. Jeszcze jedna skromna panienka z prowincji z pewnością nie zwróci niczyjej uwagi. Tyle tu było kobiet. Damy w pięknych powozach, ubogie kobiety, popychające wózki ze starymi szmatami, pokojówki, guwernantki, nianie i modne panie, spacerujące lub dokąds się śpieszące, miały się na ulicach, którymi przejeżdżał dyliżans. Przyglądając się im, zafascynowana, Aleksandria pomyślała z ulgą, że jeżeli kobieta wygląda dobrze w sukni, która jest nowa i czysta, to chyba nieważne, czy ma na sobie kosztowne arcydzieło krawcowej, czy strój uszyty w domu.

Rozważała swoje atuty. Nie jest jeszcze stara, choć już nie taka młodzianka. Ma trochę pieniędzy, nowe ubranie i głowę pełną nadziei. Może z nich nic nie wyjść, ale też chyba nie spotka jej z tego powodu żadna krzywda. To rzeczywiście prawda, że w nowym miejscu wszystko się wydaje możliwe. I tak jest, pomyślała z rosnącym zachwytem. Tak jest!

Otrzeźwiała na chwilę, przypomniawszy sobie, że pewne rzeczy są po prostu niemożliwe, choćby nie wiem jak chciała. Ale inne?

Masz wielkie szczęście, zapewniła się w duchu, zaciskając ręce na torebce. Nic podobnego nie odczuwała, jadąc do Bath kilka lat temu. No bo i czemu? Wtedy uciekała, mając w uszach dźwięk klątw, osamotniona, zacięta, a równocześ-

nie pełna wątpliwości. Tym razem było inaczej. Spotka się z Drumem. Eryk czeka na nią na stacji dylizansów. Jej gospodarze, choć jeszcze nie przyjaciele, zatroszcza się o nią. A co najlepsze, nie była to ucieczka. Prawdę mówiąc, czuła taki zawrót w głowie, jakby frunęła nad ziemią!

Oparła się wygodniej i nabrała tchu, gotowa do nowych doświadczeń.

Hrabia Drummond rozparł się wygodniej w fotelu i obserwował salon, pełen czarujących, pięknych i bogatych pań, pragnących pozyskać sobie jego zainteresowanie. Czuł się po części jak indyjski radża, próbujący podjąć decyzję, którą wybrać kobietę z haremu, a po części jak dżentelmen, stojący w przedsionku do domu publicznego, zastanawiający się, która z wesołych pańienek dostarczy mu najwięcej przyjemności za jego pieniądze. Najgorsze było to, że oba te wrażenia miały ścisły związek z rzeczywistością.

Jego sytuacja nie była wcale taka świetna.

Siedział, bo nie mógł stać. Kobiety konkurowały o jego uwagę ze względu na to, co zawierały jego kieszenie, a nie głowa czy serce. Uśmiechnął się na myśl o ich reakcji na te jego myśli. Westchnął, gdyż uznał, że pewnie doskonale zdają sobie sprawę z jego poglądów i mało się nimi przejmują. Chciały go zdobyć dla jego majątku i tytułu, a on interesował się nimi, gdyż próbował zrobić to, co było jego obowiązkiem. Słowo „miłość” nie liczyło się tutaj wcale i prawdopodobnie nigdy nie znajdzie się na nie miejsce.

Rad był, że ojciec wyjechał do jednego ze swoich majątków. Na pożegnanie powiedział mu, że kiedy wróci, chce ujrzeć syna na nogach, a wkrótce potem, idącego nawą kościelną u boku swojej wybranej.

Tymczasem wybór nie należy do łatwych, pomyślał Drum, przyglądając się otaczającym go kobietom.

Piękna Annabelle, ubrana jak zwykle na niebiesko, była oczywiście obecna. Rozszczebiotana i uśmiechnięta, nie spuszczała z niego swych pięknych oczu. Dzięki temu wie-

dział jednak na pewno, że nie przebywa w towarzystwie ojca. Co więcej, od czasu do czasu umiała go rozśmieszyć, prawie tak samo często, jak zirytować swą wprawą w prowadzeniu salonowego flirtu, w której to grze został zmuszony brać udział. Droczył się z nią, ona czyniła mu z tego powodu wyrzuty, flirtowali nieustannie, przyglądając się sobie z zainteresowaniem i nieufnością.

Trochę jej współczuł. Nie na tyle, by zapragnąć się z nią ożenić lub by pogodzić się z tym, iż uczyni to jego ojciec, chociaż wiedział, że może zostać zmuszony oświadczyć się jej tylko po to, by uratować przed nią księcia. Drum przynajmniej wie, czego się po niej spodziewać. Ojciec potrzebuje kobiety, którą mógłby pokochać. On, Drum, nie, gdyż nigdy nie będzie do tego zdolny.

Przekona się, skąd wieje wiatr, kiedy ojciec wróci do miasta.

Nie byłoby jednak tak źle, gdyby on sam ją poślubił, pomyślał Drum. Kontrast ich charakterów może dać wspaniałe rezultaty w łóżku. Jeżeli chce mieć interesującą żonę, która da mu inteligentne dzieci, być może zdoła znaleźć kobietę, mającą więcej serca, ale z pewnością nie tak piękną i towarzysko obytą. Jednak na razie może z tą decyzją jeszcze poczekać. W salonie znajdowało się bowiem wiele innych uroczych istot. Obserwował przybyłe panny, beznamiętnie porównując ich zalety i notując w pamięci wady.

Oto lady Mary McGregor. Wywodzi się ze Szkocji, ale posłano ją do najlepszych angielskich szkół. Jej sztuczny śmiech jest dosyć męczący, ale ma piękną twarz i figurę. Tyle tylko, że potrafi mówić wyłącznie na temat koni.

Mała panna Probisher jest milutka i zgrabniutka, ale grozi jej, że zostanie starą panną. To niebezpieczeństwo sprawiło cud: nabrała ożywienia, którego brakowało jej, gdy była młodsza. Dowcipy jej stały się trochę gorzkie. Margaret DeWitt, dziedziczka bajecznej fortuny, ma chyba największy biust, jaki Drumowi zdarzyło się widzieć, ale poza tym nic innego godnego uwagi. Ciemnowłosa Violetta Vessey o lśniących oczach jest bardzo tajemnicza. Błada Olivia Carterwas,

równie nieprzenikniona, ma stale na ustach nieodgadniony półuśmiech. Drum podejrzewał, iż ich pociągająca małomówność wynika z tego, że żadna z nich nie ma wiele do powiedzenia. Ale przyjemnie jest na nie popatrzeć.

Panna Meacham, najmłodsza z całego stadka, stanowiła jego największą atrakcję. Obserwowała wszystko z fascynacją, a Drumowi przyszło do głowy, że pewnie myśli to samo, co on. Szkoła, że nie może porozmawiać z nią i wymienić poglądów.

Ale oczywiście nie miał na to szans. Gdyby okazał którejś z tych panien więcej zainteresowania, wszystkie by to natychmiast zauważyły. Musi zadowolić się obserwacją, a potem zdecydować, którą ma się zająć, kiedy już pozwoli mu chodzić. One też o tym wiedziały, więc odgrywały dla niego przedstawienie. Było to zabawne, irytujące, ale konieczne, a on marzył tylko o tym, żeby móc wstać i uciec z tego przesyconego wonią najrozmaitszych perfum salonu.

Poczuł powiew świeżego powietrza, gdy otworzono drzwi, prowadzące do frontowego hallu.

- Major Eryk Ford - oznajmił lokaj.

Drum uśmiechnął się szczerze po raz pierwszy tego dnia.

- Uratowałeś mnie - powiedział godzinę później, kiedy wreszcie zostali sami. - Dostały nową ofiarę.

- Ciebie? Przypominałeś prosię w koniczynie.

- To zabawny obraz, ale nieprawdziwy - odparł kwaśno Drum. - Raczej jak prosię na półmisku, z jabłkiem w ryjku.

- Annabelle wygląda bardziej apetycznie - stwierdził Eryk, spoglądając z ukosa na przyjaciela.

- Jeżeli się nią interesujesz, to spróbuję ją porwać albo zrobić co innego, abyście się mogli połączyć. To nie jest zła dziewczyna, ale nie dla mnie. Chociaż, kto to wie... - dodał pośpiesznie Drum, gdyż wciąż nie miał pojęcia, co może mu przynieść los, a nie chciał mówić czegoś, czego mógłby żałować, na temat damy, która może któregoś dnia zostać jego żoną.

- Jak twoja noga? - zapytał Eryk, nalewając sobie koniak z karafki.

- Strasznie mnie swędzi. Mam wielką ochotę zerwać łup-



ki i drapać się do upojenia. Ale nie boli mnie prawie wcale, w odróżnieniu od siedzenia - poskarżył się. - Próbuję ćwiczyć, żeby nie zmienić się w żałosną galaretę, ale ciągle jeszcze nie wolno mi chodzić. - Zacisnął pięść. - Przykro mi, kiedy przestaje padać - ciągnął. - A cieszę się, gdy nadchodzi burza, gdyż wtedy i tak nie mógłbym wyjść. Jednak kiedy świeci słońce, jestem wściekły i czuję się jak więzień. To jeszcze gorsze, niż gdy mnie wożą na wózku jak małe dziecko. Czekam na kule z taką samą niecierpliwością co na pierwsze oznaki, że rośnie mi broda, gdy byłem chłopcem... jakby to mogło stanowić dowód męskości. Boże, straszny zrobił się ze mnie zrzęda. Słoneczne dni sprawiają, że czuję się rozgorączkowany i oszukany, lecz ostatnio jest wiele innych rzeczy, które doprowadzają mnie do podobnego stanu.

Drum urwał i pomyślał, że może się także zdarzyć, iż się zanudzi na śmierć. Od czasu powrotu do Londynu... Nagle na jego twarzy pojawiło się ożywienie.

- I tak moja noga jest w lepszym stanie niż głowa! Jak się miewa Aleksandria? I chłopcy?

- Chłopcy mają się świetnie. A Aleksandria jest tutaj, w Londynie.

- Niemożliwe! - zawołał Drum, a oczy mu zabłyśły. - Kiedy przyjechała, mów!

- Dziś rano. Właśnie ją odwiozłem do Gilly i Damona. Bardzo się cieszyła, że się tu zjawi, ale znalazłszy się na miejscu, trochę się przestraszyła. Pomogą jej się zadomowić. Chciała też wiedzieć, kiedy może się z tobą zobaczyć.

- W tej chwili, za godzinę, jak tylko zechce.

- Powiem jej. A czy chcesz wiedzieć, co wykryłem w związku z twoim wypadkiem?

- Boże! Rzeczywiście chyba bardziej ucierpiałem na głowę. Oczywiście, że chcę. Czego się dowiedziałeś?

- Nic konkretnego, ale wszystko jest podejrzane. Nie natrafiłem na ślad żadnego chłopca z pożyczoną dubeltówką. Znalazłem jednak przyczynę, dla której twoja obecność w okolicy mogłaby się wydać komuś niepożądana. Okazuje

się, że uroczy ojciec Aleksandrii był nie tylko skąpcem, ale też bonapartystą.

Drum kiwnął głową.

- Nie jestem zaskoczony. Po tym, co o nim słyszałem, gotów bym uwierzyć, że pożerał niemowlęta na pierwsze śniadanie. No i co z tego? Przecież od dawna nie żyje.

- Ale miał w okolicy przyjaciół o podobnych poglądach.

- Ach! - zawołał Drum. - Ależ oni nie mogli wiedzieć, że tam się znajduję, skoro ja o tym nie miałem pojęcia. I dlaczego mieliby mnie atakować? Wojna się skończyła. Napoleon nie żyje. Rozczarowany rewolucjonista równie dobrze mógłby zacząć strzelać na wiejskim pastwisku albo w Londynie. Bardziej podoba mi się moja teoria o chłopaku, który wykradł broń.

Eryk wbił wzrok w przyjaciela.

- Myślę o czymś bardziej konkretnym. Wyobraź sobie szaleńca, który uparł się, by cię zgładzić z przyczyn, które tylko inny wariat może zrozumieć. To jest możliwe. Pracowałeś dla Ministerstwa Wojny i wszyscy domyślali się, że podczas ostatnich dwóch lat twoje podróże na kontynent nie były tylko wycieczkami krajoznawczymi.

- Połowa naszych znajomych walczyła na wojnie - prychnął Drum.

- Ale mundur wyróżnia. Pojechałeś na Elbę, a ostatnio, zanim jeszcze mały cesarz zmarł, odwiedziłeś Świętą Helenę. I to dwa razy, o ile dobrze pamiętam. Ktoś mógł to zauważyć.

Drum wzruszył ramionami.

- Byłem tylko kurierem.

- Wierzę ci. Jednak angielscy zwolennicy Bonapartego to dziwacy, którzy, obok innych motywów, wierzyli w niego ze względu na swoje poglądy filozoficzne. Trochę się o nich dowiedziałem. Dlaczego miałby Anglik pracować dla cudzoziemskiego przywódcy? Ci ludzie chcieli zniszczyć świat, który znali, mając nadzieję, że w nowym powiedzie im się lepiej. Ale nie posunęliby się tak daleko, by się ujawnić i stanąć do walki. To zagrzebani w książkach ludzie, nie mający, dosłownie, własnego życia. Zaś jeśli czerpie się siły witalne

z życia kogoś innego, to po jego śmierci wszystko traci sens. Połączenie się ze swym uwielbianym bohaterem dzięki zemście to właśnie coś dla nich.

- Czy może chcesz, żebym wynajął kogoś do próbowania mojego jedzenia? - zaśmiał się Drum.

- Może. Słyszałeś przecież plotki, że Napoleon został otruty. Nie posuwałbym się aż tak daleko, ale uważam, że powinieneś zachować zwiększoną ostrożność.

- Ach, tak. - Drum uśmiechnął się smętnie. - Nie musisz się martwić. Zapewniam cię, że uważam i na to, co mówię, i na to, co robię. Jestem najlepiej pilnowanym mężczyzną, jakiego znasz... pod każdym względem, niestety.

Jeszcze większy tłum młodych kobiet zebrał się w salonie hrabiego Drummonda następnego dnia. Wszystkie przybiebrały urocze pozy, chichotały i starały się zwrócić na siebie uwagę swego ospałego gospodarza. Drum bardzo rad był z obecności Eryka, gdyż mimo nalegań matek, wiele młodych dziewcząt wolało zignorować kulawego, kościstego i ironicznego jegomościa, choćby nawet hrabiego, starając się zamiast tego sprawdzić, czy przystojny, jasnowłosy olbrzym zechce na nie spojrzeć.

Nawet Annabelle nie potrafiła oprzeć się pokusie flirtu z Erykiem, a przecież znali się nie od dziś. Eryk próbował niegdyś odwrócić jej uwagę od Rafe'a, wyłącznie po to, żeby uchronić nowo poślubioną Żonę Rafe'a od jej złośliwości. A może kryło się za tym coś więcej? Drum nie był teraz taki pewien swego, obserwując ich razem. Stanowili uderzająco piękną parę, każde na swój sposób doskonale. Poza tym, jeżeli jakkolwiek mężczyzna miałyby uleczyć, albo może odnaleźć, serce tej piękności, to jest nim z pewnością Eryk.

A jednak mogło to równie dobrze nie znaczyć nic. Eryk to człowiek życzliwy i uprzejmy, a Annabelle posiadała wiele ogłady towarzyskiej i potrafiła znakomicie udawać. Flirtowała tak, jak inne kobiety oddychają. Gawędząc z Erykiem, znajdowała czas na to, by posyłać znaczące spojrzenia Drumowi, i uśmiechała się do niego niekiedy, żeby pokazać, że rozumie bezsens tych matrymonialnych rytuałów zbyt dobrze, by brać je serio. Tego dnia wyglądała szczególnie pięknie, w błękitnej sukni o nieco ciemniejszej spódnicy. Włosy miała zaczesane do góry, żeby dodać sobie wzrostu.

Wisior z szafirem podkreślał jej zgrabne, uniesione piersi. Drum nie mógł się nią nie zachwycać.

Uwaga zebranych skoncentrowała się częściowo na Eryku, ale mimo to Drum w głębi duszy poczuł się pochlebiony, że najbardziej poszukiwane partie w mieście pojawiły się w jego domu, wyłącznie po to, żeby go zdobyć. Pozwolił sobie na chwilę uwierzyć, że czynią to nie tylko ze względu na jego bogactwo i tytuł. Nie miał zwyczaju oszukiwać się, ale myśl ta stanowiła dla niego pewne pocieszenie, gdyż tego dnia widział świat w krzywym zwierciadle.

Dlatego też zdziwił się, iż kiedy lokaj oznajmił przybycie dwóch jeszcze osób, doznał nagłego przypływu radości, przy której poprzednie uczucie zadowolenia nagle zbladło.

Gilly wyglądała pięknie w białych koronkach, ale to nie nowego, potrafiła olśniewać nawet w starych szmatach. Wzrok Druma przeniósł się na towarzyszącą jej kobietę. Aleksandria wsunęła się do salonu jak osoba, wchodząca o trzeciej rano do piwnicy, zmuszona sprawdzić, co jest przyczyną hałasu, który stamtąd znieacka dobiegł. W oczach miała panikę, a twarz jej pobladła. Wydawało się, że może w każdej chwili zawrócić na pięcie i uciec pędem.

Mimo to oczy te błyszczały, a cera, choć blada, lśniła zdrowiem, zwłaszcza w porównaniu z twarzami modnych londyńskich panien, które rzadko wychodzą na dwór. Drum zauważył z zadowoleniem, że suknia Aleksandrii nie jest ani na jotę gorsza od strojów obecnych tu młodych dam.

Co więcej, od czasu kiedy się ostatnio widzieli, ktoś zajął się jej włosami. Były, jak zwykle, zaczesane do tyłu, ale nie tak ciasno i łagodnymi falami otaczały jej twarz. Nowa suknia znakomicie podkreślała jej wspaniałą figurę, pełniejszą, niż wymagała tego moda, ale nie pulchną. Mimo skromnego stroju Aleksandria emanowała ciepłem i kobiecością. Jej ciemnozłotej barwy suknia ze wzorem z maleńkich różowych kwiatków zdobiła jej postać, ale materiał był zbyt cienki, by ukryć to, co znajdowało się pod spodem. Drum znał się dobrze na modzie, ale choć stwierdził, że strój został do-

brany doskonale, to jednak nie potrafił powiedzieć, kto go sztył.

Najbardziej ucieszył się jednak, że te lśniące oczy rozjaśniły się jeszcze bardziej, kiedy dziewczyna ujrzała go i wreszcie się uśmiechnęła. Wyciągnął do niej rękę. W salonie nagle zapadła cisza, lecz on na to nie zwrócił najmniejszej uwagi.

- Ally! Moja zbawczyni! Witaj. Cieszę się, że cię widzę.

Skierowała się prosto do niego.

- Jak się pan czuje? - spytała takim tonem, że wiedział, iż nie pyta tylko z grzeczności.

- Niedługo pozwolą mi chodzić o kulach - oznajmił z dumą. - I od dawna nie boli mnie głowa. A pani?

- Jestem zdumiona - powiedziała. - Londyn przerósł moje oczekiwania, a wie pan, że dużo o nim myślałam. Prawdę mówiąc, stało się to moją obsesją.

- Ale teraz ma pani ciekawsze zajęcia - stwierdził Drum z satysfakcją. - Witaj, Gilly, moja miła. Widzę, że miałaś mnóstwo roboty.

Gilly rozpromieniła się.

- Hm. Nie zrobiłam nic, poza tym, że pozwoliłam Ally dobrze się wypaść. Reszta to jej własna zasługa. Ona jest jak powiew świeżego powietrza, prawda?

Drum kiwnął głową. Zdał sobie sprawę, że są obserwowani niczym aktorzy na scenie. Dlatego uznał, że sytuację należy rozwiązać w sposób teatralny.

- Tak. Pozwól, że cię przedstawię wszystkim obecnym, Aleksandrio - powiedział, biorąc ją za rękę i, podnosząc głos, zwrócił się do zgromadzonych. - Oto moja przyjaciółka, panna Aleksandria Gascoyne. Spotkaliśmy się pewnego pięknego majowego dnia w rowie przy drodze. Rad jestem, że tak się stało, i że wybaczyła mi moje grubiaństwo. Nawet się na jej widok nie podniosłem, by się ukłonić, a chociażby powiedzieć, jak się nazywam. Wybaczyła mi to i poleciła swym braciom, by zaprosili mnie do ich domu. Nie raczyłem nawet oczyścić sobie butów przed wejściem i ze wszech miar nietaktownie zaplamiłem krwią jej najlepsze łóżko. Ona jed-

nak błyskawicznie sprowadziła doktora i w ten sposób uratowała mi życie.

Towarzystwo zareagowało tak, jak oczekiwał: rozległ się śmiech i oklaski.

Aleksandria uśmiechnęła się.

- Byłam zbyt zadowolona, że pan w ogóle oddycha, żeby domagać się czegoś więcej. Wyszło to tylko na dobre, gdyż gdyby pani próbował zachować formy towarzyskie, mogłoby to okazać się katastrofalne. Okazał się pan też doskonałym gościem. Nie domagał się pan specjalnego jadła ani napoju, nie hałasował i nie wtrącał się do gospodarstwa... z początku.

- To cud, że w ogóle pozwoliliście mi wrócić do przytomności - zaśmiał się.

Obecne w salonie panny uśmiechały się także, ale kiedy dokładniej przyjrzały się rozmawiającej parze, ich twarze spoważniały, a matki zacisnęły usta. Drum trzymał Aleksandrię za rękę. Dziewczyna patrzyła na niego.

Eryk odkaszlnął.

- Ale co też uczynił ten człowiek, kiedy odzyskał przytomność? - zapytał. - Zbudował szopę swych marzeń, żeby pomieścić tam służbę i swoich przyjaciół, których natychmiast zawezwał na pomoc. Biedna panna Gascoyne. Zawstydzono jej konia i zbulwersowano jej kury, ale to nic w porównaniu z tym, co powiedzieli sąsiedzi!

Znowu rozległy się śmiechy.

- Tak. Przyznaję, że popełniłem gafę - rzekł Drum. - Szopa stała się tak wielka, że kury prawdopodobnie uznały, iż oczekuje się od nich, by składały złote jajka. Prawdę mówiąc, budowla ta pasuje bardziej do pałacu księcia regenta w Brighton niż do uroczego i zabytkowego domu panny Gascoyne. Proszę mi powiedzieć, panno Gascoyne, czy już pani rozebrała to okropieństwo?

- Kury by mi tego nigdy nie wybaczyły - odparła. - Tak bardzo porosły w pierze, że nie zechciałyby się przenieść do zwykłej szopy.

Zaśmiał się lekko i uściśnął jej dłoń jako znak aprobaty

dla jej żartu, a Aleksandria poczuła, że robi się jej trochę lżej na sercu. Kiedy tu weszła i zobaczyła to olśniewające towarzystwo, miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec. Wiedziała, że Drum żyje w dostatku, ale jak dotąd nie miała okazji zobaczyć na własne oczy, jak może to wyglądać. Teraz właśnie trafiła się jej po temu okazja.

Z zewnątrz jego miejska rezydencja wywarła na niej wielkie wrażenie, ale nie dało się to porównać z tym, jak poczuła się, znalazłszy się we wnętrzu. Sam hall o marmurowej posadzce w czarno-białą szachownicę był wspanialszy niż cały dom dziedzica w jej okolicy. Jednym rzutem oka zdołała ocenić, że na pokrytych jedwabiem ścianach wiszą arcydzieła malarstwa. Wysokie sufity zdobiły freski, obramowane na złoto, różowo, zielono i błękitnie. Przyszło jej do głowy, że być może wykonał je Robert Adam. Okno nad drzwiami wpuszczało promienie słońca, które odbijały się w ustawionych w niszach, wielkich czarnych i białych wazach z alabastru.

Pośrodku hallu znajdowały się schody, swym kształtem sugerujące zatrzymaną w biegu płynącą wodę. Lśniący mahoń, z którego je wykonano, był lepszym drewnem, niż wszystko, co miała w domu, a służba była lepiej ubrana niż ktokolwiek w jej wsi. Jak do tej pory widziała dwóch lokai i majordoma we wspaniałych uniformach.

Gdy weszła do salonu, dosłownie zaparło jej dech. Obecne tam osoby wyglądały, jakby zstąpiły tu prosto z kart magazynu mód. Pani Tooke uszyła jej piękną suknię, ale Aleksandria wiedziała dobrze, jak tanio kupiła materiał. Te zaś kobiety miały na sobie stroje wykonane rękami mistrzów, z jedwabiu i atłasu, haftowane przez same anioły. Każdy wachlarz, którym chłodziły sobie policzki, wart był więcej niż wszystkie ubrania Aleksandrii. Ich suknie, włosy, ich akcent, ich twarze, wszystko to było lekkie, chłodne, nawet ich śmiech przepajał powietrze niczym jakieś kosztowne perfumy. A co więcej, oprócz Eryka i Druma znajdowały się tu same kobiety.

Aleksandria była o to odrobinę zła, ale przede wszystkim przeraziła się tym widokiem. Chciała zobaczyć Druma. Za-



miast tego ujrzała siedzącego w wielkim fotelu hrabiego Drummonda, przymykającego ze znużeniem oczy i uśmiechającego się chłodno. Stanowił wcielenie zblazowanego, eleganckiego, bogatego i wpływowego dżentelmena, który może zmusić najpiękniejsze kobiety w Londynie, by tańczyły tak, jak im zagra... i wcale o to nie dba.

Ale gdy podniósł na nią wzrok, dostrzegła, jak jego świetliste oczy nabierają życia. Uśmiechnął się do niej, odezwał i znowu pojawił się znany jej Drum. Pani Tooke miała jednak rację, pomyślała Aleksandria; teraz już nigdy nie zapomni, kim ten człowiek naprawdę jest. No i bardzo dobrze, stwierdziła. Tyle tylko, że zrobiło jej się czegoś żal.

- Ach, więc to jest ta młoda kobieta, która uratowała ci życie! - wykrzyknęła Annabelle z pozornym zachwytem. - Brawo, panno Gascoyne! Wszystkie damy z Londynu są z pani dumne. Co za odwaga. Przyjąć pod swój dach obcego mężczyznę! I to o takim zbójckim wyglądzie - dodała, rzucając Drumowi kokietyjne spojrzenie. - Skąd pani wiedziała, że to nie jakiś łajdak, który, obudziwszy się w nocy, okradnie cały dom i zostawi was na pastwę losu?

- Martwiłam się tylko, co zrobimy, jeżeli się nie obudzi - odparła Aleksandria. - Trudniej jest poradzić sobie z duchem niż ze złodziejem. Wolałabym mieć do czynienia z rabusiem niż nieboszczykiem, a pani?

- Co było przyczyną wypadku? - spytała chciwie inna młoda kobieta, przepychając się do przodu i spoglądając koso na Annabelle, która, jak zwykle, wiodła prym w rozmowie.

- Królik, wiewiórka albo może przelatujący ptak, który spłoszył mi konia - odparł Drum, wzruszając ramionami.

- Musiała to być niezwykła istota - rzekła w zadumie Annabelle. - Skoro potrafiła strzelać. - Odczekała, aż umilknął okrzyki zdumienia, i dodała: - Pytałam ojca, a on powiedział, że prowadzone jest dochodzenie. Hrabia Drummond pracował dla rządu podczas wojny z Napoleonem i wciąż jeszcze ma licznych wrogów.

Drum stłumił jęk. Sądził, że dziewczyna mówi to, by do-

dać mu chwały, gdyż jeżeli chce go zdobyć za męża, to pragnie, żeby lepiej wyglądał w oczach innych. Albo, pomyślał ponuro, liczy, że to, co powiedziała, dotrze do jego ojca, któremu spodoba się, iż broni ona jego syna. Jednak nie spodobało się to samemu Drumowi.

- Albo chłopiec, strzelający do ptaków, tak jak sądzili wszyscy w okolicy - dodał znudzonym głosem, ostrzegając tym osoby, które chciałyby mu sprawić przyjemność, by nie drażyły tematu. - Tak. Panna Gascoyne nie zna Londynu, więc chciałbym was zapytać, piękne panie, co jej proponujecie zwiedzić. Traktowała mnie doskonale, gdy byłem u niej w gościnie, a ja chciałbym się jej zrewanżować. Co więc doradziłybyście?

Wszyscy natychmiast zaczęli mówić równocześnie, wysuwając propozycje, które miały wydawać się dowcipne albo mądre.

Oczywiście, Annabelle zdołała przebić się przez ten harmider.

- Mam pomysł! - zawołała, ucinając w zarodku propozycje wizyty w operze, cyrku Asdeya, ogrodach Vauxhall oraz każdej katedrze, zamku, galerii i zabytku w mieście. - Zróbmy bal. W ten sposób będziemy mogli poznać twoją wybawicielkę. Za parę tygodni, zanim wszyscy wyjadą z miasta na resztę lata. Kiedy już będziesz mógł wstać, żeby z nią zatańczyć. I ze mną też, mam nadzieję - dodała, składając usta w uroczy dziobek. - W nagrodę za to, że wpadłam na ten doskonały pomysł.

- Owszem, myśl jest niezła - przyznała niechętnie Gilly, odzywając się jako pierwsza. - Ale to ja wydam ten bal. Znam i irytuję Druma dłużej niż ktokolwiek tutaj obecny, no i w dodatku znam także Ally. Mój mąż będzie zachwycony. Chce zostać w Londynie, aby zakończyć jakieś interesy, i to będzie dla niego znakomita wymówka. Co ty na to, Drum? Z pewnością wszystko się uda... jeżeli udzielisz mi paru rad, oczywiście.

- O ile Damon się zgodzi, to rzeczywiście, pomysł jest nie najgorszy. - Ale zapytam go, jeżeli pozwolisz.

- Hm - rzuciła beztrąsko Gilly. - Oczywiście, że się zgodzi! Uwielbia przyjęcia, tak samo jak wszyscy. Zobaczysz, Ally, zabawisz się świetnie.

- Ależ ja nie potrzebuję takich wspaniałości - zaprotesto-

wała Aleksandria. Pobladła i przygryzła nerwowo dolną wargę. - Naprawdę. Niczego podobnego nie oczekiwałam. Wolałabym iść do cyrku Astleya. Chłopcy prosili mnie o to, żebym im mogła wszystko opowiedzieć. Wystarczy mi to i może wizyta w ogrodach Vauxhall, naprawdę.

- Wierzę ci - powiedział Drum. - Ale bal sprawi mi wielką przyjemność, więc proszę, zgódź się. Obiecuję, że odwiedzisz także te inne miejsca. Sam będę ci towarzyszył. - Uniósł rękę, żeby uciszyć szmer komentarzy. - Mam wózek inwalidzki, więc mogę udać się wszędzie, nawet bez kuli. Z radością wyjdę wreszcie z domu. Oczywiście - dodał ze smutkiem - jeżeli panna Gascoyne nie wyrazi zgody na bal u pani Ryder, to tym samym pozbawi mnie pretekstu do naszych wycieczek. Jeżeli bowiem ona nie może iść na bal, to ja z pewnością nie powinienem wymagać, by towarzyszyła mi w mieście. A to byłoby okropnie samolubne z jej strony, nieprawdaż?

Dostrzegł zmarszczkę na czole dziewczyny i wzruszył ramionami.

- Przyzwyczałem się, że zawsze potrafię postawić na swoim - oznajmił. - No bo jak miałbym ją zmusić? Człowiek posługuje się tym, co ma pod ręką, nawet przyjaźnią. A ja myślałem, że jest moją przyjaciółką. Sądziłem, że chciałaby widzieć mnie w dobrym nastroju, ożywionego, ale chyba się pomyliłem...

- Nonsens - odparła z zakłopotaniem Aleksandria.

- Nie - stwierdził wyniośle. - Szantaż. I pani też o tym dobrze wie. Kolej na panią.

- Jest pan równie niezdolny jak chłopcy, kiedy czegoś ode mnie chcą - powiedziała. - Wie pan, że chodzili ponurzy jak chmury gradowe przez kilka dni? Oznajmili, że jeżeli nie pojedą do Londynu, to będą się tak zachowywać przez całe lato, albowiem na mój widok robi im się smutno, gdyż zamiast bawić się wesoło w stolicy musiałam zostać z nimi.

- Oczywiście - stwierdził z satysfakcją. - Tak właśnie im doradziłem.

Zaśmiał się, widząc jej minę. Dołączył do niego Eryk, a potem Gilly. W końcu i Aleksandria musiała się roześmiać.

Ale byli oni jedynymi osobami w całym salonie, którzy to uczynili.

- Wielki Boże! - zawołał Eryk dwa tygodnie później, zatrzymując się w drzwiach do sypialni Druma. - Co ty wyprawiasz?

- Staram się nie zmienić w żalostną galarete - wyjaśnił Drum. - Zamknij drzwi, proszę. Usiłuję trzymać służbę z dala o tej porze. Ale nigdy nie wiadomo, kto może tu zajrzeć. Wolałbym, żeby wiadomość o tym, co robię, nie dotarła do mojego ojca.

Eryk zamknął za sobą drzwi, założył ręce na piersi i wybałuszył oczy. Jego przyjaciel przekształcił swą elegancką sypialnię w coś, co przypominało magazyn mebli. Sześć najróżniejszego kształtu sof stało jedna obok drugiej, plecami do siebie, tworząc jakby aleję wiodącą od wielkiego łóżka z baldachimem do wysokiego okna w głębi pokoju. Hrabia Drummond, odziany w koszulę i ineksprymable, przesuwał się tą dziwną drogą, wspierając się tylko na rękach o oparcia sof. Poruszał się powoli, unosząc na tyle wysoko, żeby nie dotknąć stopami pięknego dywanu z Aubusson albo lśniącego parkietu. Grimes czuwał w pobliżu, gotów w razie potrzeby rzucić się na ratunek.

Eryk spostrzegł, że jego przyjaciel choć szczupły, to jednak jest bardzo silny. Krzyżujące się na rękach żyły wskazywały na to, że jego dłonie służą nie tylko do demonstracji rękawic do jazdy konnej, ramiona są muskularne, a zdrowa noga harmonijnie zbudowana. Eryk drgnął, widząc ciężką, drewnianą klatkę, którą Drum miał na drugiej.

- Robisz to wbrew poleceniu lekarza? - zapytał spokojnie.

- Niezupełnie - sapnął Drum. - Nigdy mi nie zabronił.

- Bo go nie zapytałeś.

- Otóż to - przyznał Drum, nieco zadyszany, gdyż właśnie dotarł do okna. - Dzisiaj poszło mi to szybciej niż przedtem, prawda? - zapytał Grimesa, przysiadając na parapecie i wreszcie opierając się na zdrowej nodze.

Grimes popatrzył na zegarek, który trzymał w ręku.

- O dobre pół minuty, milordzie.

- Świetnie - odparł Drum. - Dziękuję ci, Grimes. Mam parę spraw do omówienia z majorem Fordem. Nie martw się, pomoże mi wrócić do łóżka.

Grimes skłonił się i zostawił ich samych.

Drum uśmiechnął się do przyjaciela.

- Gdybym tylko siedział i czekał, ta noga nie nadawałaby się do niczego, kiedy wreszcie zechcą zdjąć mi to przeklęte świństwo. Czuję się słaby jak niemowlę, Eryku. Siedzenie całymi dniami jest równie wyczerpujące jak całodzienna jazda konna, ale na dłuższą metę znacznie bardziej szkodliwe. Nigdy nie przypuszczałem, że trzeba używać mięśni, bo inaczej traci się tę zdolność. Świat sądzi, że ludzie bogaci mają szczęście, bo mogą się wylegiwać i unikać pracy fizycznej. Ale bogaczom, którzy tak właśnie robią, częściej przytrafia się podagra, apopleksja i dolegliwości wątrobowe. No dobrze, już dobrze - dodał, widząc niedowierzanie na twarzy przyjaciela. - Nie mogę tego udowodnić, ale dostaję szału od tej beczynności. Nie mogłem spać po nocach, a w dzień narzekałem. Zgadzam się, że nie powinienem używać tej nogi, i wcale nie chcę jej stracić z powodu własnej głupoty, co może nastąpić, jeżeli kości przesuną się. Ale nikt nie zabronił mi posługiwać się umysłem. Uczyniłem to i wpadłem na to, jak mogę ćwiczyć, nie opierając się na stopach. Grimes jest za chudy, żeby wytrzymać mój ciężar. Mógłbym skakać na jednej nodze, lecz cóż to za ćwiczenie. Odkryłem, że to mnie uspokaja. Popatrz na sufit nad łóżkiem.

Eryk rzucił tam okiem i ujrzał dwie liny zwisające z odsłoniętej belki.

- Od tego zacząłem, żeby wzmocnić sobie ręce - rzekł z dumą Drum. - Podciągałem się i opuszczałem, aż czułem, że więcej nie mogę.

- Nie chcesz, żeby twój ojciec dowiedział się. Co zrobi, jeżeli to zobaczy?

- Mam nadzieję, że nigdy się nie zorientuje. Rzadko wchodzi do mojej sypialni. A jeżeli? Nie mam już sześciu lat, nie

boję się go. Nie chcę tylko, żeby się martwił i nękał mnie swoim zmartwieniem. Jest w tym ekspertem. Tymczasem dzięki tym ćwiczeniom będę mógł chodzić o kulach, jak tylko mi je dadzą. A kiedy wolno mi będzie chodzić, zacznę biegać!

- Podobno jeździsz także na wózku inwalidzkim - stwierdził Eryk, podchodząc do okna i wyglądając przez nie, żeby uniknąć przenikliwego spojrzenia przyjaciela.

- Do herbaciarni? - odparł z goryczą Drum. - Do Tower, gdzie mnie zawieziono, żebym sobie obejrzał menażerię? Do Regent's Park, żebym siedział obok innych starców na wózkach i wygrzewał się w słońcu? Do Astleya, gdzie mogłem popatrzeć na popisy koni, siedząc w przejściu między rzędami? Rzeczywiście, podróżowałem po całym mieście, i już mam tego całkowicie dość.

- A kto ci w tym towarzyszył?

Drum przyjrzał się badawczo przyjacielowi.

- Chcesz, żebym się usunął? - zapytał w końcu. - Jeżeli tak, to powiedz. Jest mi z nią bardzo przyjemnie, ale jeżeli na serio chcesz o nią się starać, wycofam się, nawet zanim stanę na obu nogach. Ale nie wydawało mi się, byś sobie tego życzył.

• - Bo nie - przyznał Eryk. - Lubi mnie i ja też ją lubię. Ale ona nie dostrzega we mnie mężczyzny, zwłaszcza kiedy obok znajdujesz się ty. Trochę mnie to dziwi. Można by pomyśleć, że to ostatnia kobieta, w której zechciałbyś budzić nadzieję. Zawsze trzymałeś się z dala od takich jak ona, których mógłbyś pragnąć, ale nie romansować z nimi. Chyba że myślisz o czymś więcej, a to już by mnie bardzo zdziwiło.

- Ach, tak? - mruknął Drum. - A jeśli chodzi o przyczyny, dla których dotrzymuję jej towarzystwa... zapomnij o pożądanii. Jestem na tyle dorosły, by nad nim zapanować. Możesz też nie brać pod uwagę miłości: jak dotąd jej nie zaznałem i chyba nigdy już to nie nastąpi. Ale za to mam do niej wiele sympatii. Sam się temu dziwię. Nie bój się, nie skrzywdzę jej. Zapewniam cię, że prędzej odciąłbym sobie drugą nogę. Widzę, że chyba muszę ci to przysiąc, i to nie dlatego, że jesteś rycerski.

Twarz Eryka przybrała czujny wyraz.

- Nie jestem jedynym mężczyzną, z którym widuje się ją w mieście, nieprawdaż? - zapytał spokojnie Drum. - Nie wszystko da się robić na wózku inwalidzkim, na przykład wiosłować albo udać się na przejażdżkę po parku. Ty możesz i o ile wiem, towarzyszyłeś jej w tym. Dlatego pytam raz jeszcze: czy chcesz, żebym się usunął ze sceny?

- Nie - odparł beznamiętnie Eryk. - Jak już mówiłem, nie miałoby to sensu.

- A więc - rzekł Drum, wpatrując się w swoje dłonie, jakby po raz pierwszy zobaczył na nich odciski. - Zapomnijmy o tym. Ale ja mam ci coś nowego do powiedzenia. Zdobyłem listę nazwisk.

Eryk popatrzył z zainteresowaniem.

- Wciąż jeszcze zostały mi pewne kontakty. - Drum pokiwał głową. - Jest czterech ludzi mieszkających na wsi, a dwaj z nich stosunkowo blisko domu panny Gascoyne. I jeszcze kilku, zamieszkałych w Londynie. To angielscy bonapartyści, o których wiadomo, że bardzo boleją nad śmiercią swego bożyszczka. Wszyscy podlegali policyjnej obserwacji podczas wojny. Pozostaje pytanie, czy nadal ich należy pilnować.

- Chcesz, żebym znalazł na nie odpowiedź?

- Jeżeli się zgodzisz. Ja na razie nie mogę. Mam nadzieję, że stanę na nogi przed końcem tej historii. Oczywiście, może się to okazać stratą czasu. Może wkrótce dostaniemy od chłopców list, w którym opiszą nam, jak natrafili na tego nieszczęśnika i zmusili go do wyznania prawdy.

- Wątpię - odparł Eryk. - Daj mi tę listę. - Skrzywił się, gdy Drum znowu oparł rękę na sofie, szykując się do kolejnej mozolnej wędrówki do biurka. - Zaczekaj, nie mogę patrzeć, jak się męczysz... to znaczy, ćwiczysz. Oprzyj mi rękę na ramieniu i skacz na jednej nodze. Jestem wysoki i silny jak tur.

Drum uśmiechnął się, gdy Eryk prawie przeniósł go do biurka. Znalazłszy się przy nim, dotknął płytki z boku mebla i wtedy wysunęła się maleńka szufladka. Wyjął z niej złożoną kartkę i podał przyjacielowi.

Eryk wsunął ją sobie do kieszeni.

- Dobrze. W takim razie od razu biorę się do roboty. I tak nie mam żadnych ciekawszych zajęć.

Drum zawahał się.

- Przykro mi. Mężczyzna nie jest w stanie zrozumieć sposobów działania kobiecego umysłu. A ona zawsze może jeszcze zmienić zdanie... - Urwał i spojrzał na przyjaciela, i zaśmiał się. - Eryku, rozmawiamy już tyle czasu, a ja wcale nie wiem, czy chodzi nam o tę samą kobietę! Oczywiście, wychodziłem z Ally, ale także i z Annabelle. To przecież ja jestem sprawcą wizyty Ally i czuję się odpowiedzialny za tę dziewczynę, a gdyby widywano mnie tylko w jej towarzystwie, mogłoby to wywołać plotki, zaś Annabelle... prawdę mówiąc, spotykam się z nią z kilku powodów. A więc, o którą z nich ci chodzi? Czy też może to wszystko jedno? Zawsze staram się, aby odwiedzały mnie inne kobiety, gdy zapraszam tu Ally albo Annabelle, żeby nikt nie uznał, iż interesuję się jakąś konkretną panną. I żeby żadna panna nie uznała, iż mam wobec niej jakieś zamiary. A więc, która z nich?

Tym razem to Eryk uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiesz? Bardzo dobrze. Nie, to świetnie. - Popatrzył na aleję z sof, a potem na zwisające z sufitu sznury. - Jesteś dobrym przyjacielem, Drum, ale nie powinieneś zapominać, że inni także mają swoją dumę. Do zobaczenia wkrótce. Mam nadzieję, że obaj znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania.

Drum zaśmiał się, gdy Eryk pozdrowił go gestem i oddał się elastycznym krokiem. Potem jednak spowaźniał.

Eryk ma rację. Igra z ogniem, albo raczej z uczuciami kobiety, co jest znacznie bardziej ryzykowne. Nie zamierzał jednak jeszcze przestawać, a przynajmniej do czasu, kiedy zrozumie, dlaczego Ally tak bardzo go fascynuje. Wróciwszy do Londynu, wiedział już, że nie chodzi tu o przywiązanie pacjenta do pielęgniarki ani też chorą skłonność, jaką więzień odczuwa do swego strażnika. Była dla niego i jednym, i drugim, a także czymś znacznie więcej. Teraz musi wykryć, o ile.

Wspomniał zapach kapryfolium i serce zabiło mu żywiej. Ilekroć ją widział, doznawał ukojenia, dopóki nie spojrzał raz



jeszcze, a wtedy pragnął czegoś zupełnie innego... Nie miał pojęcia, skąd mu się to bierze. Owszem, jest bardzo ładna, ale w Londynie zamieszkują całe tuziny piękniejszych od niej pańien. Mógł pośród nich przebierać do woli. Mógł też zamówić sobie kurtyzanę, gdyby zapragnął kochanki. A to zdarzało mu się dosyć często. Chętnie obsłużyłyby go nawet z tą okropną klatką na nodze. Mimo to wcale nie pragnął żadnej innej.

Tak samo jak ona zdawał sobie sprawę, że ich znajomość nie ma przyszłości. Jest tylko teraźniejszość. Przekonał się jednak, iż ona liczy się najbardziej. Otarł się o śmierć, a to sprawiło, że nauczył się, iż należy cenić sobie każdy dzień... jeżeli tylko się da.

Na razie jednak nie było powodu, by przestał widywać się z Aleksandrią. Przemyślny człowiek zawsze potrafi obejść zakazy. Mówią, że nie może chodzić, a on nauczył się poruszać, używając rąk. Wiedział, że nie ma sposobu, by ją poślubił, a ona nie uznaje innych rozwiązań. On jednak jest kulturalnym mężczyzną o wielkiej dozie samokontroli. Cemu więc ma jej nie spotykać? I tak za kilka tygodni ta dziewczyna wyjedzie, a on powinien dotrzymać danego słowa i zajmować się nią. Jest jej to winien.

Może nawet uda mu się znaleźć dla niej męża. To uspokoiłoby jego sumienie i poprawiło jej los. Pożałował, że Eryk się jej nie spodobał, ale jakoś wcale się tym bardziej nie przejął. Gdyby bowiem zostali razem, musiałyby ich widywać przez resztę życia. Czuli się niezręcznie, przyglądając się ich miłości, gdyż stale przypominałoby mu to, iż on nie jest zdolny do tego uczucia.

Nieważne, jest przecież wielu innych mężczyzn. On zaś zadba, żeby ich spotkała.

Wrócił do swoich ćwiczeń. To znakomity sposób na odzyskanie sprawności fizycznej. A także na to, żeby oderwać się od swych myśli.

## 18

- Wynocha! - krzyknęła Gilly. - Natychmiast opuść mój dom albo każę cię służbie wyrzucić na bruk! Jak mogłaś? Zapraszam cię w gości, a ty co robisz? Intrygujesz za moimi plecami? Oszukujesz mnie? Hm! Wstyd mi za ciebie, Aleksandrio Gascoyne. Myślałam, że dotrzymujesz słowa.

Aleksandria raz jeszcze przytuliła małą Annalise, a potem niechętnie oddała ją rozpromienionej piastunce.

- Nie mogłam się oprzeć. Wiem, że mówiłaś, iż nie winnam poczuwać się do zajmowania małą, i nie w tym rzecz. Schodząc na śniadanie, mijałam pokój dziecinniej, a ona mnie tam po prostu zwabiła, naprawdę, Gilly.

- Ciekawe, że musiałaś iść na górę, żeby zejść na dół - odparła Gilly, odbierając córeczkę z rąk piastunki i całując dziecko w karczek. - Ale masz rację. Istna z niej kusicielka. Nie wiem, skąd bierze mi się siła woli, żeby się od niej codziennie oddalać.

Aleksandria spoważniała.

- Sama tak mówiłam, o ile dobrze pamiętasz - stwierdziła żywo. - Za dużo czasu poświęcasz mnie. Świetnie się bawię, zwiedziłam wszystko, co tylko mi polecano, a ty osobiście o to zadbałaś. Najwyższa pora, żebym wracała do domu. Mogę być gotowa za godzinę.

- A dajże sobie spokój - warknęła Gilly. Raz jeszcze pocałowała dziecko i oddała je piastunce. - Chodź - powiedziała. - Mam ochotę coś zjeść, a poza tym musimy sobie porozmawiać. Nie należy spierać się przy służbie - dodała, gdy wyszły z pokoju dziecinnego i znalazły się na schodach. - Chociażby dlatego, że ich to żenuje. Powinni udawać, że nic nie wi-

dzą, a my, że nie znajdują się w pobliżu. Żyję w wyższych sferach już od pewnego czasu, ale nie jestem tego w stanie zrozumieć. Ludzie to nie meble, nawet jeżeli płaci im się za to, by je udawali.

Przystanęła na schodach.

- Nie powinnaś jeszcze wracać do domu, chyba że jest ci tu źle. No jak? - spytała, wpatrując się w Aleksandrię, jakby chciała ją wyzwać, by powiedziała „tak”, po czym stanowczo ruszyła dalej, nie dając swemu gościowi szansy na udzielenie odpowiedzi.

Nie po raz pierwszy Aleksandria obserwowała, jak jej gospodyni zmieniała się z uroczej, delikatnej damy w zadziornego łobuziaka i z powrotem. Nie posiadała się ze zdziwienia, że taka urocza istotka może dokonywać tego z podobną łatwością. Jednak w ciągu kilku tygodni pobytu u niej w gościnie Aleksandria przekonała się, że chociaż jej gospodyni sprawiała wrażenie wcielenia kruchości, to mało która kobieta mogła jej dorównać mocą umysłu i ducha. A także uczciwością i dobrocią.

- Ależ nie, jest mi tu bardzo dobrze - zaprotestowała Aleksandria.

- Cóż, trudno cokolwiek powiedzieć, bo nie bardzo da się to zauważyć. Posłuchaj - ciągnęła Gilly, odwracając się do niej gwałtownie. - Za miesiąc Annalise i ja wyjedziemy na wieś i będziemy mieć dla siebie masę czasu. Twoja wizyta jest dla mnie nie mniejszą rozrywką niż dla ciebie... tylko czy rzeczywiście dobrze się bawisz? Wiem, wiem, nie jesteś nieszczęśliwa... Ale chodzi o to... Och, nie potrafię mówić ogródkami - jęknęła. - I nigdy się tego nie nauczę, chociaż mój dobroczyńca, wicehrabia Sinclair, i Drum, a on to już zwłaszcza, są w tym mistrzami - dokończyła z niesmakiem. - Chodzi o to, czy to właśnie nie przez Druma chcesz wracać do domu.

Gilly spojrzała na nią ze współczuciem swymi ciepłymi, złocistymi oczami.

- Gdy widzi się kogoś, kogo się kocha, ale nie może się mieć, chce się w tej samej chwili zostać i uciec jak najdalej -

powiedziała łagodnie. - Znam to. Jeżeli go nie widzisz, zaczynasz o nim marzyć. Kiedy go widzisz, jest ci tak źle, że żałujesz, iż znalazłaś się blisko. Och, i ja też tego zaznałam. Jako młoda panienka wyobrażałam sobie, że zakochałam się w Drumie - wyznała. - No cóż, taka jest prawda. Był dla mnie bóstwem - ciągnęła, widząc zdumienie Aleksandrii. - Ale kiedy to wreszcie odkryłam, wszystko wróciło do normy. Zrozumiałam bowiem, że najbardziej go kocham, gdy jest ode mnie z daleka. Był moim ideałem, pierwszym mężczyzną, z którym zaprzyjaźniłam się, kiedy Sinclairowie wzięli mnie pod opiekę, a w dodatku moim mentorem. Zawsze chciałam mu sprawić przyjemność. Ale żeby on mnie? W *ten* sposób? O, nie. Nic z tego by nie wyszło. Kiedy już to w końcu pojęłam, odzyskałam wolność i mogłam pokochać innego mężczyznę.

Zachichotała jak młoda panienka.

- *Uwielbiam* mojego męża, Ally. Największą przysługą, jaką zrobił mi Drum, to to, że na jakiś czas stał się moim ideałem i mogłam obdarzyć go ciełącą miłością, by potem dorosnąć i znaleźć mężczyznę, którego pokochałam tak, jak dojrzała, równa mu kobieta.

Aleksandria, czując, że się rumieni, uniosła dumnie głowę.

- Rozumiem słowo „równy”. I w tym właśnie rzecz, nieprawdaż? Ale nic się nie martw. Nie musisz wygłaszać mi wykładów, nie knuję, by zdobyć hrabiego. Przykro mi, że mnie o to posądzasz.

- Do licha! - krzyknęła Gilly, tupiąc nogą. - Z tobą nie można rozmawiać! Masz w sobie tyle dumy... zupełnie tak jak i on. Tylko że tego nie rozumiesz. To właśnie jego najgorsza wada. Niechże nie będzie i twoją. Chodź, to zaczyna się robić niemądre. Na dole możemy porozmawiać bez świadków

Znalazłszy się w pokoju porannym, Gilly zamknęła drzwi, opadła na fotel i wbiła wzrok w Aleksandrię, która z zaniepokojonym wyrazem twarzy zajęła miejsce naprzeciwko niej. Gilly tego jednak nie dostrzegła, gdyż bardziej uderzył ją fakt, że widzi przed sobą całkiem inną kobietę niż ta, którą znała z początku.

Aleksandria nie tyle zmieniła się, ile wyłoniła z cienia dzięki zmianom, jakie poczyniły w niej te tygodnie spędzone w Londynie. Nowe stroje, dobre francuskie mydło i dobra francuska fryzjerka, nieco kremów i maści, a także odrobina pudru dodały jej blasku. Najlepszym jednak kosmetykiem były z pewnością komplementy Eryka i przyjaciół Damona oraz innych mężczyzn, którzy gromadzili się wokół dziewczyny, ilekroć znalazła się w towarzystwie. Na wsi była ładną kobietą, pomimo strojów i sytuacji. Teraz promieniała. Nie była piękna, tak jak lady Annabelle i inne londyńskie panny, ale robiła wrażenie. Nie tylko ze względu na swoją figurę, pomyślała Gilly. Twarz Aleksandrii chwytała za serce. Jej profil przypominał wizerunki na gemmach, był czysty i szlachetny.

A przecież ta młoda kobieta nie wywodzi się z wysokiego rodu, i w tym cały problem. Gilly przypomniała sobie, o czym rozmawiali wczoraj z mężem, i zmarszczyła brwi.

- Drum to człowiek, który z łatwością budzi podziw - powiedziała bez wstępów, przechodząc do tego, co wczoraj obiecała Damonowi przekazać dziewczynie. - Bardzo łatwo jest się w nim zakochać bez pamięci. Obserwowaliśmy to już wcześniej. Jest czarujący, ale zachowuje dystans, który przeraża co najmniej odporne panny. Inne traktują to jako wyzwanie. Niektóre zaś stają się macierzyńskie i chcą, żeby stał się ich małym pieszczołkiem. Hm! Jakby to było możliwe. Nie jest przystojny, lecz jego twarzy nie da się zapomnieć... no i te oczy! Jeżeli nie ożeni się, by spłodzić potomstwo, powinno się go powiesić! Damon i ja uważamy go za jednego z naszych najlepszych przyjaciół.

- Jednak, Ally, on chyba nie potrafi kochać. Nie tak, jak Romeo i Julia. Nigdy czegoś podobnego nie zaobserwowałam, a znam go już dosyć długo. I wcale nie z powodu złamanego serca albo żalu za utraconą ukochaną - ciągnęła Gilly, przechodząc w gwarę, jak zawsze, kiedy znalazła się w stanie silnego wzruszenia. - Ewen Sinclair to jego kuzyn i wiedziałby o czym takim. Wiesz, gadaliśmy o tym ze sobą. To tak, jakby brakło mu jakiej części. Przyjaźni się z kobietami, a i kochankę też miał niejedną, bo chociaż nie powinniśmy wiedzieć

o jego biedroneczkach, takie rzeczy rozchodzą się. A on wybiera sobie te najpiękniejsze i najdroższe. Tyle że bierze je sobie, a potem porzuca i nigdy nie patrzy wstecz. Moim zdaniem ten człowiek nie zaznał jeszcze prawdziwej miłości! On kocha tylko swoje nazwisko... o, to jest to, na czym mu najbardziej zależy, no i jeszcze uwielbia swoich prześwietnych przodków. Tak samo, jak ten jego ojczulek, jak sądzę. Zimny jak ryba. Nie potrafi o nich zapomnieć... no, raz mu się zdarzyło, kiedy się mnie oświadczył.

Aleksandria popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No ale przeca nie dlatego, że mnie kochał! - Gilly nie dbale machnęła ręką. - To było w czasie, kiedy sama nie wiedziałam, czego chcę. Zrobił to, żeby mnie ochronić, i dlatego, że go bawiłam i byliśmy przyjaciółmi, no takie rzeczy. Nieźle miałyby się z pyszna, gdybym przyjęła jego ofertę! Bardzo go lubię, ale Drum ma okropną wadę. Nie potrafi pokochać kobiety bardziej niż swego pochodzenia. Nie pozwoli sobie na coś podobnego. Owszem, podobasz mu się, każdy to widzi. Rozmowa z tobą sprawia mu wyraźną przyjemność. Wcale mu się zresztą nie dziwię. Ja też ciebie polubiłam i bardzo bym się cieszyła, gdybyś mogła zostać tutaj na zawsze!

Gilly spoważniała.

- Ale, Ally, nie jesteś damą ze szlachtetnego rodu, i na tym kończy się cała sprawa. On wybierze sobie kogoś dla prestiżu i pompy i żeby zadowolić swojego ojca. Obawiam się, że nastąpi to całkiem niedługo. Dlatego tyle spotyka się z tą okropną Annabelle, która, wiem dobrze, wcale się mu nie podoba. Ale czy można mieć mu to za złe? Ta panna ma odpowiednich przodków, a ojciec go naciska. Brr. To nie będzie przyjemny związek, chociaż oboje nie zasługują na więcej. Mnie jednak go będzie żal.

- Tak czy owak, nie ma nadziei, a w rezultacie ty będziesz pragnąć więcej, co dla niego stanie się nieznośne, a dla ciebie niezdrowe. Wiedz, że zrobiłabym wszystko, żeby ci pomóc, gdybym tylko mogła. I chyba dlatego jestem teraz wobec ciebie taka brutalna - dodała z westchnieniem.

Słuchając kazania Gilly, Aleksandria czuła, że z każdą chwilą coraz bardziej pali ją twarz. Miała wrażenie, że żołądek zmienił się jej w ciasno zbitą kulę, a w oczach zapiekły łzy. Ale nie rozpłakała się. Zbyt była upokorzona, by cokolwiek dać po sobie poznać. Gilly chciała okazać jej życzliwość, przez co cała ta sytuacja stała się jeszcze bardziej żenująca.

- Nie jesteś brutalna - powiedziała. - Przykro mi, że tak po mnie wszystko widać. Żałuję tego. Nie przypuszczałam, że tak jest.

- Hm. Ty masz serce. Takich ludzi łatwo odczytać, i to wszystko.

- Sądysz, że on wie? - spytała z niepokojem Aleksandria, gdyż przyszło jej do głowy, że zrobiła z siebie ostatnią idiotkę.

- Może, on wiele potrafi zauważyć. Ale co z tego? Wszystkie kobiety prędzej czy później zakochują się w nim. To niesamowite, prawda?

- Nie - odparła smętnie Aleksandria. - A więc - dodała, uśmiechając się słabo i stając się opanować drżenie głosu. - To ja mam rację. Powinnam wracać do domu. Nawet jeżeli on nic się nie domyślił, czułabym się zażenowana, wiedząc, że inni ludzie czytają we mnie jak w otwartej książce. Tak będzie najlepiej. Chłopcy potrzebują mnie, a ja ich. - Podniosła się z fotela.

- Nie, zaczekaj! - zawołała Gilly. - Nie możesz tak od razu wyjechać. Przecież wydaję bal na twoją cześć. To ważne, żebyś na niego przyszła i zobaczyła, jak zostaniesz przyjęta. Poza tym, może znajdziesz sobie kogoś innego.

- Gilly - rzekła Aleksandria stanowczo. - Teraz ty mnie posłuchaj. Owszem, żywię wobec pana hrabiego ciepłe uczucia i jest mi bardzo przykro, że to dostrzegłaś, ale przysięgam, że nigdy nie brałam ich serio. Nigdy! Jak mogłabym? - przypomniała sobie wszystkie swoje wcześniejsze rozważania. Teraz musiała wypowiedzieć je na głos. Było to bolesne, ale niezbędne. - Nie mam urodzenia, majątku ani żadnego miejsca na ziemi poza domem, którym jest niewielka chata na wsi. Nie mogę wiele zaoferować mężczyźnie, a nic komuś takiemu jak on i dobrze o tym wiem.

- Jesteś przecież urocza... - zaczęła Gilly.

Aleksandria przerwała jej bezlitośnie.

- O tak - stwierdziła z goryczą. - Ten londyński elegant, który napastował mnie w moim własnym domu, nazwał mnie „niezłą sztuką”, wiesz? Ale nie dlatego go uderzyłam. Przecież powiedział prawdę. Nie jestem ohydna, ale rzecz polega na tym, że nie należę też do wielkich piękności. - Przełknęła ślinę, nie dlatego, że przypomniła sobie gburę, który usiłował ją pocałować, ale dlatego, że poruszył sprawę, której wstydziła się najbardziej. Wiedziała, że jej główne uroki pojawiły się z wiekiem. Pełne biodra i piersi. Jako dziecko nie cechowała się szczególną urodą, była duża jak na swój wiek, poważna i pracowita. Dlatego właśnie pan Gascoyne wybrał ją na opiekunkę dla chłopców. Kierownictwo zakładu nigdy nie podało w wątpliwość jego decyzji, gdyż widać było wyraźnie, że tej konkretnej dziewczynce nie grożą niebezpieczeństwa, jakie mogłyby czyhać na ładniejszą osobkę.

- Jestem dużą, wiejską dziewczoją - ciągnęła z zaciętością. - Można najwyżej powiedzieć, że mam przyjemną twarz i dobre biodra do rodzenia dzieci. - Gilly zaczęła protestować, ale Aleksandria nie dała sobie przerwać. - Sama to dobrze widzisz, nie zaprzeczaj. Hrabia Drummond nawykł zaś do pięknych dam z wielkiego świata... albo królowych nocy, biedronek, jak je nazwałaś. Spotkaliśmy się przez przypadek. Tylko dlatego mnie poznał. Gdyby zobaczył mnie na ulicy, minąłby mnie, nie poświęcając mi nawet jednego spojrzenia. Gdyby jego koń zgubił podkowę, a nie zrzucił jeźdźca, może zatrzymałby się przy mojej chacie, żeby zapytać o drogę do kuźni i pogawędził przez chwilę, gdyż należy do ludzi uprzejmych. Potem odjechałby, nie oglądając się za siebie. Ale ja nigdy bym go nie zapomniała, pomimo to. Tak więc to, że zajmowałam się nim, kiedy był całkiem bezradny, sprawiło, że mnie trochę polubił i nic poza tym.

Gilly spojrzała na nią żałośnie.

- Życie to nie bajka - ciągnęła Aleksandria, gdy Gilly nie znalazła słów odpowiedzi. Z ponurą satysfakcją pokiwała



głową, widząc, że jej gospodyni nie zdobędzie się na kontrargumenty. - Ty zaś jesteś kochaną istotą, Gilly, ale dobre wróżki istnieją tylko w historyjkach dla dzieci. Więc mnie nie żałuj, bo nie dlatego ci to wszystko powiedziałam. Przyjechałam do Londynu, żeby popatrzeć na hrabiego, skoro nie mogę zobaczyć królowej, i moim głównym celem było to, żebym wreszcie przekonała się, gdzie jest moje miejsce. - Spuściła wzrok. - Przyznaję, że osoba Druma sprawia, iż inni mężczyźni są dla mnie mało atrakcyjni. Ale ja przecież nie liczyłam na wiele. I tak udało mi się zobaczyć więcej, niż sądziłam, poznałam ciebie i twój męża, i parę innych życzliwych osób. Nigdy was nie zapomnę, ale ja nie należę do waszego świata i żadne zaproszenie na bal tego nie zmieni. Mój czas tutaj dobiega końca, tym bardziej jeżeli zostając, narażam się na politowanie lub wzgardę.

- Nie masz racji! - zaprotestowała Gilly. - Nie miałam nic, kiedy poznałam Sinclairów, a popatrz na mnie teraz!

Aleksandria uśmiechnęła się.

- Patrzę i widzę najpiękniejszą kobietę, jaką zdarzyło mi się zobaczyć, a w dodatku pełną życia i dobrego humoru. A ja tylko uratowałam szlachcica, którego spotkał wypadek. Mam swoje zalety, ale nie jestem nikim niezwykłym. Nie oczekiwałam nawet tyle uwagi, ile mi jej poświęcono, i zadawałam się tym.

- Nieprawda!

- A jednak, w pewnym sensie, tak. I wolę wrócić do domu, ocalając dumę, niż pójść na bal, czując, że każdy przenika do głębi mojej duszy i lituje się nade mną.

- Powinno mi się wyrwać język! - zawołała Gilly. - Ale ja chciałam ci dać dobrą radę.

- I tak się stało.

- Zostań na moim balu, proszę - błagała Gilly. - Nigdy bym sobie nie wybaczyła twój wyjazd. Nie przejmuj się, co pomyślą inni. Słusznie stwierdziłaś, że nie należysz do ich świata. Masz szczęście. Ci ludzie gotowi obrzucić błotem świętego, tym właśnie żyją. A więc czy to ważne, że dowie-

dzą się, iż *zależy* ci na Drumie? Tutaj to drobiazg. W tej samej sytuacji znajduje się połowa znających go kobiet, więc nic w tym szczególnego. Ich zainteresowanie nie potrwa dłużej niż jedną godzinę, zapewniam cię.

Gilly dostrzegła niezdecydowanie Aleksandrii i naciskała dalej.

- Ja zaś chętnie dowiedziałabym się, dlaczego Annabelle i Drum spędzają tyle czasu razem. To najbardziej fascynująca sprawa od czasu, gdy w Londynie pojawiły się plotki, iż Francuzi zamierzają najechać na Anglię, używając do tego balonów. Damon twierdzi, że w klubach panowie zakładają się o termin oświadczyń. Ally, ten bal to ma być mój prezent dla ciebie. Proszę, pojaw się na nim, a następnego dnia możesz wracać do domu. Najlepszą rzeczą, jaka wynikła z wypadku Druma, jest to, że się poznałyśmy. Chciałabym, żebyś została moją przyjaciółką. Nie jesteś wysoko urodzona, tak samo jak ja, jesteś rozumna, uczciwa, mądra, a w dodatku dobra. I ładna, chociaż tak temu przeczysz! Ach, żeby Drum znowu upadł na tę swoją głowę i pozbył się z niej tych bzdurnych poglądów. Mógłby wtedy pokochać cię tak, jak na to zasługujesz - ciągnęła. - Bo ty nadawałabyś się dla niego doskonale! Wcale nie jesteś prosta albo zwykła. I zasługujesz na coś lepszego.

Aleksandria nie chciała rozwiewać złudzeń Gilly, gdyż także ceniła sobie ich przyjaźń. Jednak wiedziała, iż otrzymała już to, co jej się należało, dzięki swemu przyjazdowi do Londynu. Wszystko było tak, jak przewidział pan Gascoyne. Bolało ją serce na tę myśl. Powinna była nie zapominać, gdzie jest jej miejsce. Otrzymała niewspółmierne do niego wykształcenie, ale tak jak mówił jej zmarły opiekun, jeżeli nauczy się świnie liczyć, to wcale nie zmieni faktu, że pozostanie ona tylko wykształconą świnia. Dziewczyna siedziała w milczeniu, odwracając wzrok. Gilly obawiała się powiedzieć cokolwiek więcej, nie chcąc czegoś zepsuć. W końcu Aleksandria odezwała się znowu.

- Dobrze, zrobię to dla ciebie. Ale potem wyjadę. - Pod-

niosła głowę, pociągnęła nosem, po czym spytała: - Mówią, że rzeczywiście stara się o Annabelle? A co ty o tym myślisz?

Człowieczek nie posiadał się z wściekłości. Krążył po gabinecie, z każdym krokiem coraz bardziej podnosząc głos.

- A ja twierdzą, że to nikczemne kłamstwo! - ryknął, wygrażając palcem hrabiemu Drummond, który siedział, milcząc, za biurkiem. - Ktokolwiek je rozpowiada, jest moim wrogiem, albowiem ja jestem tak samo wiernym poddanym jak pan, milordzie, i stoczę pojedynkę z każdym, kto twierdzi coś przeciwnego! Przyjechałem tu aż z Sussex, żeby przekonać się, jaki to nikczemnik psuje moją opinię, i ślad doprowadził prosto do pana! Twierdzą, że jesteś pan chory, a zatem poczekam, ale jeżeli mamy spotkać się o świcie i stoczyć walkę o moje dobre imię, to niech i tak będzie!

Drumowi szumiało w głowie. Jegomość wykrzykiwał tak już od pewnego czasu, nie dając mu dojść do słowa. Wreszcie jednak umilkł, mierząc Druma rozjuszonym spojrzeniem.

- Nigdy nie twierdziłem, że jest pan wrogiem - stwierdził spokojnie Drum.

To na nowo zirytowało przybysza. Poczzerwieniał.

- Ach, tak? To dlaczego ten pański przyjaciel wypytywał o mnie po całej okolicy? - Wskazał na Eryka, który stał przy oknie.

- Ja też nie twierdziłem, że jest pan wrogiem, panie MacDonald - stwierdził Eryk.

- Nie, ale *pytał* pan, czy nim jestem - odparł jadowicie MacDonald. - Pytał pan każdego, kogo pan napotkał, to jaki z tego wniosek? Moi sąsiedzi patrzą na mnie, jakbym miał dwie głowy, ja, wierny poddany...

- Panie MacDonald - przerwał mu stanowczo Drum. - Chodzi o pewną sprawę, i nie mówiłbym nic o niej panu, gdybym nie uważał, że nie zasługuje pan na to. - Zniżył głos, a jegomość zamarł w oczekiwaniu. - Wróg naszego rządu uczynił zamach na moje życie. Podczas śledztwa natrafiliśmy na pańskie nazwisko - dodał i uniósł dłoń, by zapobiec na-

stępnemu wybuchowi gniewu. - James MacDonald z Ivy Close w hrabstwie Sussex. To pan? No więc właśnie dlatego mój przyjaciel pojechał sprawdzić.

- To ten łotr MacDougal! - krzyknął z furią starszawy mężczyzna. - Wiedziałem! Nie może mi zapomnieć, że mój James pożyczył jego najlepszą kosę i zostawił ją w trawie, tak że cała pokryła się rdzą i nijak się jej nie dało doczyścić...

- Ale korespondował pan z Louisem Gascoyne, znanym apologetą Napoleona - włączył się Eryk.

MacDonald zachwiał się, porażony.

- Ja! Ależ ja do nikogo nie piszę! - Zamarł na chwilę. Dwaj pozostali mężczyźni patrzyli, jak jego gniew opada, zastępowany przez zgrozę. - To mój syn - szepnął człowieczek. - Och, Jamie, ależ z ciebie dureń.

Nagle stał się jakby mniejszy i starszy.

- Najpewniej chodzi wam o mojego syna, Jamesa - powiedział, wzdychając ciężko. - Ale gdyby wystarczyło tylko trochę poszukać, już dawno sprowadziłbym go do domu, gdzie jego miejsce. Poznał pana Gascoyne w szkole, nieprawdaż? Cóż, zaznajomił się tam z wieloma gorącymi głowami i nic w tym dziwnego. Popierał Napoleona? - westchnął raz jeszcze. - Więc może właśnie dlatego wyjechał zagranicę. Nie mamy od niego wiadomości już od trzech lat. Udało mi się zarobić trochę pieniędzy, żeby posłać go do dobrej szkoły i dać mu szansę na lepsze życie, a on dobrał sobie takich koleżków. No, ale to właśnie do niego podobne.

Ponieważ ostatnie zdanie skierował do samego siebie, żaden z dwóch pozostałych mężczyzn nie znalazł komentarza.

- I nic o nim nie wiadomo? - spytał Drum.

- Nic a nic - odparł MacDonald, kręcąc głową. - Nie, kłamię! Słyszeliśmy pogłoskę, że po wojnie wyjechał do Ameryki, do miasta Nowy Orlean. Jeżeli tak kocha tych Francuzików, to nawet by się zgadzało. Ale nie możemy za to zaręczyć.

- Bardzo mi przykro - powiedział Drum.

- Proszę się nie obwiniać - rzekł starszy mężczyzna. - Pretencję można mieć tylko do Jamesa, ale to nic nowego. Pro-

szę mi wybaczyć wszystko, co panu nagadałem. Jeżeli da jakiś znak, powiadomię pana. - Skłonił się i wyszedł.

Drum odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- To już trzech mężczyzn, którzy wkroczyli tu, grożąc, że mi odstrzelą głowę w wyniku twojego śledztwa - stwierdził uprzejmie. - Dwóch przeprosiło, a trzeci, jak się obawiam, nie zmienił zdania. Nie mam im tego za złe. Dwóch korespondowało z Gascoynem na temat jego drugiego hobby: łapania motyli. A jeden po prostu nazywa się tak samo jak jegomość, który obecnie znajduje się w tym samym miejscu, gdzie jego przyjaciel, Napoleon.

- A więc zostało jeszcze trzech, tutaj w Londynie, z którymi nie rozmawialiśmy - przypomniał mu Eryk. - I czterech poza miastem.

- Trzech - poprawił ich od drzwi znajomy głos.

- Ojczy - odezwał się Drum. - Wróciłeś?

- Jak widać - odparł księżę, zdejmując rękawice do jazdy konnej i niedbale wkraczając do gabinetu. - Ja też prowadzę śledztwo.

Drum zmarszczył brwi.

- Lepiej, byś tego nie czynił, ojczy. To niebezpieczne!

- Doprawdy? Dla mnie tak, ale nie dla ciebie? Przecież mówiłeś mi, że nic ci nie grozi. Nie martw się, potrafię o siebie zadbać, a tym bardziej o moją rodzinę. Pojechałem zobaczyć miejsce twojego wypadku i dowiedziałem się paru rzeczy. O ile pamiętam, miałeś na swojej liście nazwisko Augusta Powella. Majora. Możesz go skreślić. Powell zajął się teraz sprawami wyższymi niż Napoleon, znalazł sobie coś innego, co może czcić, dosłownie. Stał się głęboko wierzący i głosi chwałę Pana.

- To może być tylko przykrywka, ojczy - stwierdził Drum. - Szaleńcy bywają sprytni.

- Aż tak podstępni, żeby rozdać majątek i wstąpić do zakonu? - zapytał słodko księżę. - Bo tak właśnie uczynił ów jegomość. Na miesiąc przed twoim wypadkiem.

- A zatem na liście podejrzanych zostaje sześciu - powie-

dział Drum. - Sześciu ludzi, którzy prawdopodobnie też się zmienili. Dajmy sobie z tym spokój, panowie. Bezsprzecznie ktoś strzelił, zadrasnął mojego konia, który mnie zrzucił. Ale im więcej upływa czasu, tym bardziej jestem pewien, że nie celowano do mnie. Niektóre zagadki nigdy nie zostają wyjaśnione. Żyję, wracam do zdrowia i niech już tak pozostanie. Tak - ciągnął, pogodniejąc. - Cieszę się, że przyjechałeś, ojcze. Mam nadzieję, że zostaniesz na jakiś czas. Gilly wydaje bal jako nagrodę dla panny Gascoyne i sądzę, że byłoby miło z twojej strony, gdybyś i ty ofiarował jej choć jeden taniec.

- I ja? - zainteresował się książę.

- Tak - odparł Drum, uśmiechając się. - Polowanie na skrytobójcę może skończyć się niepowodzeniem, ale ja mam lepsze wieści. Doktor powiedział, że wkrótce będę mógł chodzić o kulach, gdyż tak szybko i skutecznie wracam do zdrowia. Mam nadzieję, że stanie się to jeszcze przed balem.

- Żeby zatańczyć z panną Gascoyne? - spytał książę. - Ależ to uroczy gest. Tylko co powie na to lady Annabelle? Sądziłbym, że dobra wiadomość dotyczy przede wszystkim tej panny.

- Jeszcze na to za wcześnie - stwierdził wymijająco Drum.

- Czas mija - rzekł książę. - Znasz to powiedzonko: „Bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”? To znaczy, mówiąc wprost, ktoś może skorzystać z okazji, jeżeli będziesz się długo wahał. Panna jest piękna i wolna. To pierwsze zostanie jej jeszcze przez kilka lat. To drugie jest stanem znacznie bardziej przejściowym. Niejeden zapragnie z nią zatańczyć, i nie tylko, jeżeli nie będziesz działał szybko. - Przez chwilę patrzył na syna. - Mimo to, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, mogą pojawić się najrozmaitsze nowe możliwości.

Drum zmarszczył brwi na myśl o owych możliwościach, zastanawiając się, czy właśnie słyszy ostrzeżenie w kwestii matrymonialnych planów swego ojca. Czy książę chciał przez to powiedzieć, że jeżeli syn nie zechce lady Annabelle, to on zapragnie jej dla siebie?

- Nie krzyw się tak - rzekł książę. - Twój czas jeszcze nie

minął. Jeżeli to taki wielki bal, to chyba nic się przed nim nie zdarzy. Wrócę, by się na nim pojawić. Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z takiej okazji.

- Wrócisz? - zapytał Drum. - Przecież przyjechałeś dopiero co.

- Chciałem cię tylko powiadomić o postępach mojego śledztwa. Wracam na następny, bardziej obiecujący trop. Ale będę niedługo z powrotem, nie lękaj się.

Jednak Drum poczuł wyraźny niepokój. Ojciec porównywał swoje notatki z zapiskami Eryka, a on patrzył na to z przygnębieniem. Choć temu przeczył, nie był taki pewien, czy jego katastrofa stanowiła wynik przypadku. A więc ojciec może narazić się na jakieś niebezpieczeństwo. Być może ze strony wrogów państwa, którzy gwałtownie zareagują, by uniknąć czyjegokolwiek zainteresowania. Albo, jeżeli zostałby w mieście, ze strony panny, która, choć słabej płci, snuje wobec niego równie drapieżne i groźne plany.

*Orkiestra grała walca, chociaż trudno było to stwierdzić na pewno, gdyż co chwila zmieniano melodię. Drum nigdy dotąd nie zachwycał się takimi rzeczami, ale teraz nie mógł się doczekać początku balu. Salę oświetlono tak jasno, że musiał mrużyć oczy, a wszystko otaczała lśniąca aura. Przybyło wielu gości, ale rozstępowali się, by dać mu drogę. On zaś szedł, jak gdyby nigdy nic. Miał dwie, zdrowe nogi, co widział dobrze, gdyż był bez spodni. Popatrzył na nie, a obecni skłonili się z podziwem.*

*Poszukał wzrokiem swojej towarzyszki. Niełatwo ją było znaleźć, gdyż inni tancerze chwilami przemieniali się w żebraków i kaczkę, ale zaraz, jak zawsze we śnie, wracali do swej poprzedniej postaci. Ujrzał też Aleksandrię, która stała przed nim z uśmiechem, czekając, aż z nią zatańczy. Zaczął się do niej zbliżać, chociaż musiał iść jakby pod górę, a dziewczyna cofała się.*

*Miała suknię barwy różowej. Czasami przybierała ona odcień fioleto, a po chwili łososiowy, ale zawsze kolor w jakiś sposób związany z różem. Widok ten sprawił, że zrobiło mu się gorąco. Wreszcie znalazł się przy niej i skłonił się. Zaśmiała się, patrząc na niego. Nigdy jeszcze nie stał obok niej i wywołane tym zaskoczenie sprawiło, że prawie się zbudził. Ale cudownie było patrzeć jej w oczy, a jeszcze lepiej móc wreszcie wziąć ją w ramiona. Westchnął z zadowoleniem.*

*Wzrostem odpowiadała mu doskonale. Czubek jej głowy sięgał mu na wysokość brody, tak że czuł jej ciepły oddech na szyi. Co dziwniejsze, nie miała na sobie ubrania, ale tak*



było nawet jeszcze lepiej. Przyciągnął ją do siebie i niewiele brakowało, by sen całkiem zmienił swój charakter.

Przekręcił się na drugi bok, a drewniane łupki wbiły mu się w nogę, wypędzając mu z głowy wszelkie erotyczne myśli.

- Tańczymy! - powiedziała z uśmiechem, przypominając mu, że noga już się zagoiła, a oni są na balu. Był bardzo dumny.

- Mówiłem, że tak się stanie.

Tańczyli, krążąc powoli, a sen Druma przemienił się w głębokie, mroczne poczucie błogości.

- Co ty robisz? - zapytał ojciec.

- Tańczę - odparł Drum, wracając do swego snu.

- Bardzo dobrze - powiedział ojciec, a Drum spojrzał na twarz swej partnerki i przekonał się, iż jest nią Annabelle.

Była bardzo piękna, przybrana w chłodne błękity, ale on poczuł nagle, że przenika go lodowate zimno. Rozejrzał się za Aleksandrią i ujrzał ją... tańczącą w ramionach innego.

- Przestań! - zawołał. - Nie wolno tak. Ona wywodzi się z gminu, zostaw ją.

Ramiona obcego wypuściły dziewczynę, a że wirowała w tańcu, oddaliła się od niego i upadła.

Strasznie było popatrzeć na jej twarz, gdyż pojawił się na niej wyraz lęku i poczucia winy. Drum zawahał się.

- Widziałem już cię taką - powiedział. - Ale kiedy i gdzie? Nie patrz tak, proszę.

- Wiesz kiedy - odparła. - I wiesz dlaczego.

Jęknął, gdyż prawie to sobie przypomniał. Potrząsnął głową, bo nie potrafił ustalić tego do końca. Podbiegł, by pomóc jej wstać, ale coś zmusiło go, by spojrzeć w dół... szczur gryzł go w stopę. Z całej siły potrząsnął nogą...

- Milordzie? - odezwał się obok czyjś głos.

Drum otworzył oczy... i zaraz zamknął, gdyż poraził je blask trzymanej przez Grimesa lampy, która rozświetlała ciemną sypialnię.

- Pan krzyczał - powiedział Grimes. - Boli pana? Czy czuje pan ból w nodze?

- Do diabła - warknął Drum. - Zapomniałem o niej. Tak, chyba mnie boli.

Grimes odsunął kołdrę, przybliżył światło i syknął.

- Od łupków odszczepiła się drzazga i wbija się panu w skórę. Nic w tym dziwnego, że pan krzyknął!

- Leci krew? - zapytał Drum. Skrzywił się, próbując unieść się na łokciu i coś zobaczyć.

- Na szczęście nie. To nie jest wielka drzazga, ale musiało niezłe zboleć. Chyba wpadł pan na stół albo jakiś inny mebel i stąd się wzięła. Mówiłem, że te ćwiczenia są zbyt gwałtowne! Teraz trzeba będzie sprawdzać łupki każdego wieczora. Robią się stare, a drewno nie jest najlepszej jakości.

- Nie wpadło mi do głowy, żeby zażądać, by wykonano je z mahoni - mruknął Drum.

- Właśnie. Proszę się nie ruszać, milordzie. Oderwiemy ten kawałek i wyładzimy drewno. Nie sądzę, żeby w jakikolwiek sposób osłabiło to konstrukcję.

- Człowiek nie powinien ubierać się w drewno - burknął Drum. - Która godzina?

- Już prawie świta. Zajmę się tym, a pan pośpi dalej.

- Nie ma sensu. - Drum ziewnął. - Zapal lampy i odsuń zasłony. Gdybym mógł wybrać się konno, tak jak bym chciał, właśnie bym wstawał. Do diabła, do diabła, do diabła. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie uwolnią mnie od tej klatki.

Zapalono lampy i odsunięto zasłony, ukazując szarzejący świt. Drum przypomniał sobie, jak jego sen przerodził się w mrok. Nie miał pojęcia, co może to oznaczać, ale wołał o tym nie myśleć. Na jawie także zatańczy na balu, ale Aleksandria się nie przewróci, a jego ojciec... To tylko głupi sen. Pojawił się pewnie dlatego, że on, Drum, martwi się, jak tę dziewczynę przyjmie towarzystwo. A przecież nie trzeba mu o tym przypominać. Zadba, by nikt jej nie obraził lub zranił. W końcu jest jej winien przynajmniej tyle.

- Greer, Henderson, Copley i Fitch? - zapytał ponuro Drum kilka godzin później, przy śniadaniu. - Wszyscy są w Londynie?

- Jak również Norton - dodał jego gość, podchodząc do kredensu po nową porcję jajek.

Drum pokręcił głową.

- Moje źródła podają, że Norton wyemigrował rok temu. Dłużnicy i żona. Do diabła, Eryku, gonimy za błędnym ognikiem. Wojna skończona. Napoleon nie żyje. Nie warto sobie zawracać głowy tą sprawą. Czy w ogóle istniał powód, dla którego zostałem zaatakowany? Prawdopodobnie nie. Czy się to powtórzy? Także nie. Nasi wrogowie przekuli miecze na lemesze. Jeśli snują jakieś intrygi, to najwyżej w swoich kantorkach. Tylko w ten sposób można teraz wańczyć. Armie obu stron są wyczerpane, brak ludzi i amunicji. Czas działań zbrojnych skończył się i wiedzą o tym nawet szaleńcy. Jeżeli rzeczywiście jakiś wróg strzelił do mnie, to dlatego, że trafił na mnie przypadkiem. Zadziałał spontanicznie i prawdopodobnie zaraz tego pożałował. Odzyskał zdrowy rozsądek i uciekł, rad, że nie zostanie wykryty. Nie ma co, teraz na moje życie dybią tylko ambitne matki, szukające bogatego zięcia.

- Doprawdy? - zapytał Eryk, unosząc brew. - I to właśnie dlatego wynająłeś policjanta, by śledził twój ojca? On zaś to wykrył i poinformował mnie o tym przed swoim wyjazdem. Bardzo go to rozbawiło. Zdaje się też, że zatrudnił był tego samego człowieka, żeby pilnował *ciebie*.

- Chciwy drań, dostaje teraz dwie pensje.

- Nic z tego. Twój ojciec zwolnił go. - Eryk usiadł przy stole. - Powiedział mu, że może pracować dla ciebie, ale on zamierza rozwalić głowę każdemu, kto go będzie śledził, a dopiero potem zapyta, o co chodzi.

- To do niego podobne - stwierdził Drum z lekkim uśmiechem.

- Ciekawe, że wcale się tym nie przejmujesz - rzekł Eryk.

- Nie raz ryzykowałem życie... a obecnie chyba wcale nie ma to miejsca - dodał szybko Drum. - Jednak nie zamierzam narażać moich najbliższych. Nie dziw się tak. Mówi się, że jestem zimny, ale chociaż nigdy nie dałem się zwieść wdziękom pięknych kobiet, nie musi to oznaczać, że nie kocham mojego ojca.

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprotestował Eryk. - I wcale ci się nie dziwię. To wspaniały człowiek. Tak samo jak ty sprawia wrażenie chłodnego, dopóki go się lepiej nie pozna. Sądzę, że tak samo jak ty oburzyłyby się na takie słowa. Cieszę się, że mogłem go poznać przez ostatnich kilka tygodni. Podziwiam mojego własnego ojca. Nie - dodał po chwili wahania - prawdę mówiąc, także go kocham. To ważne. Dobra matka uczy mężczyznę kochać kobiety. Ale dobry ojciec uczy go je szanować. Chłopiec potrzebuje wzorów do naśladowania. Widziałem wielu mężczyzn, którzy boją się, pogardzają albo nawet wstydzą się swoich ojców. Nam obu się pod tym względem poszczęściło.

- Owszem - przyznał Drum. - O matce też zachowałem wyłącznie dobre wspomnienia. Jednak umarła młodo i zostało mi tylko wrażenie ciepła, bezpieczeństwa... i piękna. Sądzę, że musiała być urocza. Potwierdza to jej portret, chociaż trudno by się tego domyśleć, patrząc na mnie. Ja jestem kopią ojca. Może to i lepiej, bo chyba nie pasowałaby mi zgrabny nosek i różane usteczka. Słyszałem, że wszyscy mali chłopcy uważają swe matki za ideały. Czy sądzisz, że chcą znaleźć ich wcielenie, kiedy szukają żony? Jeżeli tak, to ja się nigdy nie ożenię, bo chociaż bardzo lubię kobiety, nigdy dotąd nie natrafiłem na doskonałość.

- Nie, i niech cię Bóg broni. Jak mógłbyś wytrzymać z wcieleniem wszelkich cnót?

- Cóż, kobieta, którą poślubię, będzie się musiała właśnie tego nauczyć - stwierdził Drum.

Eryk uśmiechnął się, a potem spojrzał pytająco.

- Czyżbyś już znalazł tę szczęśliwą istotę?

- Jeszcze nie i chyba tak szybko to nie nastąpi, zwłaszcza kiedy jestem w tym stanie - odparł ponuro Drum. - Kilka tygodni wcale bym się nie przejął tym, że nie mogę aktywnie poszukiwać żony. Teraz gniewa mnie to, gdyż w końcu zdałem sobie sprawę, że czas płynie. Mówisz, że mój ojciec jest mądry, i masz rację. Nie chcę okazać się starcem, kiedy moje dzieci przyjdą na świat.

- Poszukiwać? - prychnął Eryk. - Co za bzdura. To one za tobą się uganiają. Każdego popołudnia twój dom wypełnia się wielbicielkami.

- A ja siedzę jak wypchana sowa i mogę się im tylko przyglądać. Nie. W ten sposób nie znajduje się żony. Muszę móc pójść z nią na spacer, zostać z nią sam na sam, a może nawet zwabić do ciemnego kąta, żeby przekonać się, czy do siebie pasujemy.

Eryk zdumiał się, a Drum wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie jestem zdeprawowanym potworem. Ale też żadna z tych panien nie jest wzorem niewinności, bez względu na to, co utrzymują ich matki. Przynajmniej żadna z tych, którymi mógłbym się zainteresować. One wszystkie też już tego i owego zaznały. Można spodziewać się, że panna młoda będzie dziewicą, ale nie tego, że nikt jej nigdy nie pocałował. Owszem, są kobiety, próbujące w ten sposób złapać męża, ale wszyscy wiedzą, które to... albo powinni. Ale cóż złego, że chce się sprawdzić, jak całują? - Prychnął. - Przecież im też to się może przydać. Wiadomo, że kobieta może wydawać się odpowiednia pod każdym względem, ale gdy weźmie się ją w ramiona, jest sztywna jak deska. Tak samo kawaler, wyglądem równy Adonisowi, może okazać się w miłości niezręczny jak kmiotek od pług. A co więcej, ten ostatni być może kryje w sobie talenta Casanowy! Są rzeczy, które można stwierdzić tylko na dotyk. Więc jak można mieć pewność, jeżeli się nie spróbuje choć odrobiny? To jedyny rozsądny sposób przy tak poważnej decyzji. Będę musiał uczynić to wkrótce, ale jeszcze nie jestem pewny...

Drum urwał i wbił w Eryka poważne spojrzenie swych lazurowych oczu.

- Zapytam cię raz jeszcze. Skoro nikogo nie kocham ani też nie mam żadnych wobec nikogo zobowiązań, ale chcę znaleźć żonę, to powiedz mi, jeżeli ktoś, kim się zajmę, nie znajduje się w sferze twoich zainteresowań... zanim nie będzie za późno. Oczywiście, trudno mi konkurować z tak wspaniałym wikingiem, jak ty. Ale też nie chciałbym tego.

- Nie obawiam się konkurencji jednonogiego - odparł gładko Eryk. - Ani też nie przejmuję się, kim się zajmiesz. Jestem romantykiem i wierzę w porozumienie dusz. Kobieta, która mnie zapragnie, nie weźmie sobie innego dla zysku ani z próżności. Jeżeli zechce ciebie, to nie mam zamiaru stawać jej na drodze. Jeśli zaś wcale ciebie nie pragnie, ale zamierza i tak cię zdobyć, to z pewnością mnie na niej nie zależy.

- A jest nią...?

- Za wcześnie na nazwiska - uśmiechnął się Eryk. - Tak sądzę.

- Cóż, to już jest coś - stwierdził Drum. Odłożył serwetkę. - Dobrze. Przejdźmy zatem do przyjemniejszych tematów. Dzisiejszego wieczoru udaję się do ogrodów Vauxhall. Myślę, że przejażdżka po wodzie dobrze mi zrobi, a poza tym spotkam tam Gilly i Ally. Lady Annabelle i inne panny dowiedziały się o naszych planach, dały im poklask i stwierdziły, że będą na nas czekać na przystani. Chcesz do nas dołączyć? - Drum spostrzegł, że Erykowi rozbłysły oczy. - To może być ciekawe - dodał, przyglądając się badawczo przyjacielowi.

On jednak zdołał się już opanować.

- Doprawdy? - rzekł chłodno i zajął się śniadaniem.

- Owszem - odparł Drum, śmiejąc się jak uczeń. - Bo będzie to mój pierwszy publiczny występ o kulach.

Eryk spojrział na niego ze zdumieniem.

- Nie mogę się doczekać widoku ich twarzy - przyznał Drum. - Nie mówiłem nikomu, ale cały czas ćwiczę, więc nie dostarczę nikomu rozrywki, przewracając się. Chociaż z początku myślałem, że będzie mi potrzeba podpórek dla przedramion. Te przekłete kule są strasznie bolesne. Czego to się człowiek nie uczy, będąc kaleką. Doktor powiedział, że się do nich przyzwyczaję. I rzeczywiście. Ale nie mogę się doczekać, kiedy je odrzucę jak pielgrzym w świętym miejscu. Nastąpi to niebawem, ale na pewno jeszcze nie dziś wieczorem. Mimo to nie narzekam... zbyt często. Przynajmniej wreszcie będę mógł stanąć pionowo, a to już wielki krok naprzód... że tak powiem. A więc przyjdiesz?

- Za nic w świecie nie opuściłbym podobnego widowiska - odparł Eryk, wycierając chlebem resztę jajka. - Panie są dzielne, a Grimes śmiały, ale chociaż tak się przechwalasz swoją sprawnością, lepiej żeby się znalazł w pobliżu ktoś, kto cię złapie, na wypadek, gdyby się okazało, że przedobrzyłeś.

Aleksandria odrzuciła głowę do tyłu, delektując się chwilą. Łódź nie posuwała się szybko... gdyż nie pozwalała na to jej konstrukcja... ale wiał silny wiatr, a Tamiza lśniła w blasku słońca. Dziewczyna od wielu lat nie czuła się tak młoda i swobodna.

- Mój ojciec musiał być żeglarzem - zwróciła się do Gilly, która z rozbawieniem przyglądała się jej zachwytom.

Opowiedziała była Gilly o okolicznościach swego przyścia na świat na samym początku wizyty, na wypadek gdyby Daltonowie nie chcieli gościć u siebie tak nisko urodzonej istoty. Wolała od razu wyjechać, gdyby miało się to dla nich okazać problemem. Jednak Gilly zdobyła sobie na zawsze jej serce, mówiąc:

- Phi! Kto by się tym przejmował? Nie liczy się to, kto cię powołał do życia, ale to, co ty z nim sama uczynisz, takie jest moje zdanie. - Jej mąż przyznał jej rację, a Aleksandria od tamtej pory czuła się w ich towarzystwie swobodnie.

Teraz zaś siedzieli w długiej, płaskodennej łodzi, a wioślarz kierował ich w stronę ogrodów Vauxhall. Gilly zazwyczaj udawała się do miasta z lokajem albo pokojówką, ale dzisiaj towarzyszył im jej mąż. Damon Ryder wolał nie ryzykować, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo jego żony. Podczas przejażdżki łódką po rzece pragnął osobiście czuwać nad nią.

- Cieszę się, że przyjedziemy tam rzeką, jak w dawnych czasach, a nie mostem Vauxhall! - wykrzyknęła Aleksandria, z lubością wdychając słonawy zapach wody. - Pomyślcie tylko - ciągnęła w rozmarzeniu. - W dawnych czasach wszyscy tak przedostawali się na drugi brzeg. Tylko bogaci ludzie posiadali karety, a nawet oni nie zawsze odważali się nimi podróżować. Tak więc przez wieki, jeżeli chciało się gdzieś do-

trzeć, należało iść pieszo, jechać wierzchem albo płynąć wodą. Na rzece tłoczyły się duże łodzie pasażerskie i barki, małe łódki i promy, wszelkiego rodzaju jednostki pływające. Widziałam to na obrazkach! Sądziłam też, że ujrzę coś podobnego i teraz, ale mimo że wciąż jeszcze jest tu wiele łodzi, to nie tyle, ile sobie wyobrażałam. No i są wszędzie schodki prowadzące prosto do wody, ale ku mojemu zdziwieniu mało kto ich teraz używa.

- Masz rację - powiedział Damon Ryder. - Zabudowali wiele z tych schodów i proces ten trwa stale. Przyzwyczailiśmy się do wygody. Karetą jest znacznie suszej i prędej.

Aleksandria popatrzyła na stare domy stłoczone ciasno przy brzegu.

- Wiele z nich miało wejścia od strony rzeki, tak samo jak w Wenecji. Tam też pewnie je zamurowano - dodała z żalem.

Ryderowie popatrzyli po sobie z rozbawieniem.

- Oczywiście - ciągnęła Aleksandria, uśmiechając się z lekkim zażenowaniem. - Tak samo nie odwiedzałam Wenecji, jak nie żyłam w przeszłości, ale czytałam to i owo, a pewnie nie wiecie, jak to wspaniale móc wszystko zobaczyć na własne oczy. Poza tym uwielbiam wodę. Szkoda, że koło mojej chaty jest tylko nieduży staw.

- Wenecja jest oszałamiająca - powiedział Damon. - Będę cię tam musiał kiedyś zabrać. - Zwrócił się do żony. - A może i ty pojedziesz tam z nami, Ally, co?

- Ależ tak! - zawołała entuzjastycznie dziewczyna, ale zaraz się Zawstydziła skwapliwością, z jaką przyjęła wygłoszone wyłącznie z grzeczności zaproszenie.

- A zatem wybierzemy się tam pewnego dnia - stwierdziła Gilly. - Kiedy już skończy się ta nieznośna kwestia wychowania - dodała. - Nie należę do modnych dam i nie zostawię Annalise pod opieką pokojówek, dopóki mała nie skończy siedemnastu lat!

Wymieniali żarty na ten i inne tematy, a wioślarz wiozł ich przez wodę do ogrodów. Łódź ruszyła szybciej, gdy natrafiła na silniejszy prąd, a Aleksandria poczuła, że jej zmar-



twienia zostają w tyle tak jak miejskie budowle, gdyż coraz bardziej zagłębiali się w tereny wiejskie. Tyle tylko że nie jest to wieś, jaką znam, pomyślała, zakładając ramiona na piersi, nie dlatego, że doskwierał jej chłód, lecz raczej z radości. Albowiem Vauxhall przewyższał urodą wszystkie ogrody publiczne w Anglii, a może także i te na kontynencie.

Czytała o nim, widziała ilustracje w swej Biblii, „Magazynie dla Panów”. A więc jest tam rotunda, w której gra orkiestra, są wystawione na widok publiczny dzieła sztuki, i więcej dam i panów z towarzystwa, niż zdarzyło się jej kiedykolwiek widzieć, spacerujących po ogrodach, podziwiających sztuczne grotty i inne starannie skonstruowane leśne zakątki. Odbываły się tu także wystawy i spektakle najrozmaitszych rodzajów. Można było zjeść obiad, a jeżeli zostaną dłużej i utrzyma się ładna pogoda, doczekać, aż zapalonych zostanie tysiące lśniących lampionów i zaczną się tańce przy świetle pochodni i blasku księżyca.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Damon, wskazując przed siebie.

Aleksandria dostrzegła niewielkie nabrzeże, przy którym gromadziły się liczne łodzie, oraz stopnie, prowadzące w górę, na zielone trawniki. Miejsce, gdzie przybijały łodzie, zdobiły barwne flagi i chorągiewki. Ich łódź skierowała się do nabrzeża, tam gdzie stały wysokie słupy, zupełnie takie same jakie widziała na ilustracjach przedstawiających Wenecję. Dziewczyna wstrzymała oddech. Coś podobnego przeżywa się tylko raz. Zachowa to wspomnienie na czas, kiedy na jej horyzoncie nie pojawi się już nic nowego, kiedy, aby żyć dalej, będzie od czasu do czasu musiała wrócić do tych chwil. Postanowiła też cieszyć się wszystkim, wiedząc, że radość ta jest równie nietrwała jak wartki prąd płynącej dookoła wody.

Kiedy znaleźli się przy brzegu, Aleksandria wyprostowała się i zaczęła się rozglądać. Nie mogła się doczekać, kiedy Drum ją zobaczy. Może jej nie zapamięta na zawsze, ale wolałaby, żeby zachował jej obraz takiej, jak wyglądała w tej chwili.

Miała na sobie nowy czepeczek, który podarowała jej Gilly. Protestowała wtedy, twierdząc, że nie może przyjmować

podobnych prezentów, aż wreszcie Gilly stwierdziła, że czepek nie jest ani nowy, ani szczególnie kosztowy i że odda go biednym, jeżeli Aleksandria nie zechce go przyjąć. Aleksandria nie uwierzyła jej do końca, ale zmieniła zdanie, kiedy przymierzyła czepek. Wykonane z jasnej słomki rondo otoczyło jej twarz. Natychmiast wytłumaczyła sobie, że musi go przyjąć, gdyż ochroni jej cerę przed słońcem i wiatrem, ale wcale nie dlatego, że doskonale podkreśla jej profil.

Gilly wpadła na pomysł, by przypiąć kilka kwiatów róż na boku rondka. Pasowały one doskonale do sukni Aleksandrii. Kupiła ją gotową jako jedyny nowy strój, nabyty w Londynie. Nie była to szczególnie droga kreacja, gdyż nie nadawałaby się na bał, ale mimo to dziewczyna nigdy dotąd nie miała nic równie pięknego. Wykonano ją z cienkiego muślinu barwy różowej, a spódnicę pokrywała warstewka gazy. Suknia miała dekolt, nie przesadnie skromny, ale też nie wyzywający, zaznaczający bujność kształtów dziewczyny, lecz w granicach przyzwoitości. Aleksandria poczuła, że nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie.

Dopóki nie zobaczyła lady Annabelle i innych panien, spacerujących po trawniku w oczekiwaniu na ich przybycie.

Już z łodzi Aleksandria dostrzegła, jak wspaniale przedstawia się Annabelle, gdyż piękna panna z łątwością wyróżniała się z tłumu. Młoda ta kobieta uwielbia stroje barwy niebieskiej, podkreślające kolor jej oczu, pomyślała z przygnębieniem Aleksandria, więc dlaczego ja zdecydowałam się na ciemnoróżowy? I co to za suknia! Jedwabista, migocząca błękitnie w słońcu, doskonałe skrojona, by podkreślić nieskazitelne kształty postaci, którą okrywa. Białe ramiona Annabelle chronił wzorzysty szal, ale nie zakrywał on jej śnieżnobiałego dekoltu. Uroczy, różowy czepeczek zdobiła stylowa kompozycja z piór, a widok ten sprawił, że Aleksandria poczuła, iż jej różyczki wyglądają dokładnie na to, czym są: tanią, przypadkową ozdobą godną prostej wieśniaczki. Wielkiej, grubokościwej, wiejskiej dziewczuchy, pomyślała ponuro przyglądając się drobnej figurce Annabelle.

Opodal stało co najmniej pół tuzina innych młodych kobiet w równie eleganckich, różnobarwnych sukniach. Czekała, aż pojawi się hrabia Drummond, który, niczym Parys, przyzna jabłko tej najpiękniejszej, stwierdziła w duchu Aleksandria. Mimo to nie mogła mieć im tego za złe. Poprawiały sobie włosy i strzepywały spódniczki, ale w rzeczywistości walczyły o swoją przyszłość. Hrabia Drummond dysponował tytułem i majątkiem, które każda z czekających młodych dam pragnęła dzielić z nim przez całe życie. Aleksandria zaś chciała zdobyć sobie kolejne piękne wspomnienie, które opromieni jej przyszłość. Różni ludzie mają różne cele, a ona ma prawo tu być, nie mniejsze niż tamte panny.

Uniosła głowę, zebrała fałdy spódnicy, przyjęła pomocną dłoń Damona Rydera i wysiadła z łodzi na brzeg, by czekać wraz z innymi.

Pewności siebie nie wystarczyło jej na długo.

Nikt się do niej nie zwracał, poza Ryderami. Pozostałe panny nie odzywały się nawet do siebie, zbyt zajęte pozowaniem, wypatrywaniem łodzi na horyzoncie i oczekiwaniem. Widać było wyraźnie, że bez tchu czekają na pojawienie się Druma, a Aleksandria pożałowała, że w ogóle się tu znalazła. Ale wtedy nadpłynęła jego łódź, a ona porzuciła próżne żale i wróciła do rzeczywistości.

Najpierw dostrzegła wysoką postać Eryka i jego jasne włosy. Potem westchnęła z ulgą, gdyż zobaczyła, że razem z nim w łodzi znajduje się Drum. Ciekawe, jak zdoła wysiąść? Nie mogą przecież przetoczyć wózka przez wodę albo po schodach. Czy Eryk będzie musiał go przenieść? To żenujące. Przez chwilę jednak miała nadzieję, że tak się stanie. Pomogłoby jej to ujrzeć go znowu jako zwykłego człowieka. Rozejrzała się wokół i dostrzegła, iż grupkę oczekujących panien przenika napięcie. Im było wszystko jedno, czy zejdzie, czy spleźnie. I miały rację. Nic nie zdoła pomniejszyć hrabiego Drummonda. Ani teraz, ani nigdy. Może nawet pojawić się przyniesiony na drzwiach, tak jak do jej domu.

Łódź dopłynęła do brzegu. Oczekująca na trawniku grup-

ka ruszyła na powitanie przybyszów. A wtedy hrabia Drummond podniósł się na nogi! Wyprostował się na całą swoją znaczną długość... wspierając się na kulach. Miał na sobie dopasowany surdut barwy granatowej, białą koszulę, skórzane spodnie i lśniące buty... nie, but. Tylko jeden. Drugą nogę ciasno owijał bandaż, okrywający łupki i stopę. Poza tym Drum wyglądał jak każdy inny wysoki, ciemnowłosy, szalenie przystojny mężczyzna.

Patrzyła, jak błyska zębami w uśmiechu na widok ich zdziwienia. Przypominał jednego z jej chłopców, kiedy udało im się wykonać coś szczególnie trudnego. Zrobił krok naprzód... i zachwiał się, gdyż łódź poruszyła się wskutek jego ruchu.

Rozległy się głośne okrzyki.

Drum zwrócił się do Eryka.

- Podaj mi ramię, przyjacielu - rzekł. - Mogę przejść na brzeg, ale wolałbym nie pływać.

Jego tytuł, majątek... i wdzięk, pomyślała Aleksandria, czując, że się bezwiednie uśmiecha. Czar i swobodny wdzięk. Tak, to jest to. I właśnie dlatego stała tu, z rozanielonym uśmiechem na ustach, razem z całą resztą beznadziejnie spragnionych kobiet.

Nie miała pojęcia, jak to się stało. W jednej chwili wędrowała po ścieżkach ogrodów Vauxhall wraz z Ryderami, czując się, jakby brała udział w jakimś królewskim pochodzie, ponuro ciągnąc się za Miłościwym Królem Drumem i jego małżonką, Królową Annabelle, oraz długim szeregiem jej dam dworu. W następnej zaś znalazła się u boku Druma... no może nie tak blisko, gdyż musiała zostawić trochę miejsca na kule... a Annabelle została wymanewrowana i zaanektowana przez Eryka. Na twarzy Aleksandrii musiało ujawnić się jej zmieszanie, gdyż Drum spojrział na nią i uśmiechnął się.

Dezorientacja dziewczyny wynikała także z tego, że po raz pierwszy w czasie ich znajomości przyszło jej podnosić głowę, by spojrzeć na Druma. Świat zachwiał się w posadach. Kiedy zaś wszystko się ustabilizowało, ona i hrabia znaleźli się wreszcie na właściwych miejscach. Przedtem Drum robił wrażenie, teraz był imponujący. Wiedziała, że jest wysoki, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest szczupły. Chociaż to ostatnie określenie nie należało do najwłaściwszych. Był silny i zręczny. Aleksandria nie miała pojęcia, co może powiedzieć temu wysokiemu, ciemnowłosemu, zachwycającemu nieznanemu.

- Tak, kiedy już stanąłem na nogach, a raczej na przedramionach, wszystko wygląda zupełnie inaczej, prawda? - zapytał z uśmiechem, posuwając się obok niej. - Przedtem nie spotykaliśmy się na równej płaszczyźnie. Teraz też nie, bo jestem o głowę wyższy. Jak do tej pory najczęściej przebywałem w pozycji leżącej. Tak mnie znaleźliście, a gdy poznaliśmy się bliżej, również musiałem leżeć. Kiedy zaś przyjechałaś do Londynu, patrzyłem na twój... podołek.

Pomyślała, że pewnie powinna być oburzona takimi słowami, gdyż prawdopodobnie właśnie tego od niej oczekiwał. Mogła przynajmniej odwrócić głowę, udając, że się rumieni. Zamiast tego roześmiała się głośno.

- Tak właśnie przypuszczałam.

Odpowiedź ta spodobała mu się.

- Przepraszam - powiedział. - Ale bardzo lubię żartować z tobą, nie troszcząc się o konsekwencje. To przywilej starych przyjaciół. No właśnie... - Przyjrzał się jej badawczo. - Pozwól, że ośmielę się powiedzieć ci, iż pięknie dzisiaj wyglądasz. To coś więcej niż miejski polor, to pozłota. Nowa suknia, nowy czepek i nowe spojrzenie na świat, mam nadzieję? Bardzo ci z tym do twarzy.

- Tak - odparła radośnie, widząc, jak wszyscy na nich patrzą... na Druma, bo był Drumem, i na nią, bo znajdowała się w jego towarzystwie i nie wyglądało to wcale dziwacznie. Uniosła wyżej głowę. - Świetnie sobie radzisz z kulami.

- Dopiero zaczynam - przyznał, opierając się na jednej z nich i unosząc lekko drugą, żeby zademonstrować swe umiejętności, a potem ruszył dalej. - Z początku bolały mnie ręce, ale potem się przyzwyczaiłem. Najważniejsze to dużo ćwiczyć. Prawdę mówiąc, gotów jestem założyć się, że mógłbym poruszać się szybciej niż reszta towarzystwa, gdyż o kulach mogę pokonać większą odległość za jednym zamachem, niż idąc na nogach. Z przyjemnością zademonstrowałbym to, ale wtedy musiałybyś pobiec... i to całkiem szybko, żeby za mną nadążyć.

Natychmiast wyobraziła sobie wszystkie te damy unoszące spódnice i goniące za nim. Z trudem ukryła uśmiešek, ale Drum musiał czytać w jej myślach. Rozpromienił się.

- Tak - powiedział. - Wyglądałoby to zupełnie tak jak na jednym z rysunków pana Rowlandsona. Ja, natężający muskuły i świszczący w powietrzu kulami, i pędzące za mną, podkasujące spódnice damy. Jaka szkoda, że jestem džentelmenem i nie mogę przekonać się o tym doświadczalnie.

- To zarozumiałstwo tak twierdzić - rzekła.

- Wielkie - przyznał.

Śmiali się, ale niedługo. Aleksandria musiała wkrótce cofnąć się, żeby dać możliwość porozmawiania z Drumem innej pannie. Wciąż jeszcze podniecona ich krótką rozmową, nie przejęła się tym nadmiernie.

Zauważyła, że ich niewielka grupka przemieniła się w istny pochód, gdyż zaczęły do nich dołączać inne osoby. Z początku owa grupka składała się głównie z kobiet, podążających w ślady Druma i Eryka. Wdzięki tylu młodych panien przywabiły licznych młodszych i starszych dżentelmenów. Kiedy Drum dostrzegł lorda Daltona i jego małżonkę, wydawało się, że kroczy na czele defilady wojsk, a przynajmniej tak skomentowała to półgłosem Gilly. Albo gości weselnych, zaszczebiotała matka Annabelle do przyjaciółki. Albowiem jej córka zdołała znowu wywalczyć sobie pozycję u boku Druma..

No i co z tego? pomyślała Aleksandria, czując lekkie dławienie, które jednak nie miało nic wspólnego z tempem, jakie narzucił Drum. Dostała od losu tę swoją okazję i zobaczyła się z nim. A jednak z przygnębieniem wlokła się za elegancką parą, gdyż nie mogła już dłużej zaprzeczać, że przez długi czas oszukiwała się. Pomimo tego, co stale sobie powtarzała, liczyła na więcej. Bo przecież w przeciwnym wypadku nie czułaby się tak zawiedziona i oszukana.

Fakty pozostają faktami, a ona usiłowała o nich zapomnieć. Annabelle to dama z tytułem, a ona sama jest znajdą. Kobiety takie jak ona nie poślubiają mężczyzn takich jak Drum, najwyżej w bajkach, i tylko wtedy, kiedy okaże się, że są zaginionymi księżniczkami. Ona zaś nie może liczyć i na to. A jeśli nie małżeństwo, to w takim razie nic. Nie mieli żadnych szans w tym świecie.

No więc spotkała się z nim. Musi zadowolić się dzisiejszym dniem i nadchodzącym balem. Potem wróci do domu i będzie żyła dalej. I to wszystko. Aleksandria wpatrywała się w plecy Druma, czując, że prawdopodobnie wkrótce nawet i tego nie będzie jej dane oglądać.

- Annabelle nieźle wbiła w niego pazury - mruknęła po-

nuro Gilly, widząc, w którą stronę spogląda Aleksandria. - Ale nie martw się. Drum lubi skomplikowane intrygi.

- To nieważne, przynajmniej dla mnie - odmruknęła Aleksandria. - Ty się tym martwisz, bo jesteście starymi i dobrymi przyjaciółmi i często się widujecie. Dlatego przejmujesz się tym, kogo on poślubi. Ale mnie jest wszystko jedno, przynajmniej w teorii. Zastanów się tylko.

Gilly wymamrotała coś chyba niecenzuralnego, ale zaraz rozpromieniła się.

- Ha! Gdybym w to uwierzyła, wciąż jeszcze mieszkałabym w slumsach sama na świecie, najwyżej z młodszą siostrą, i czekałoby mnie życie pełne ciężkiej pracy. Ale ja zawsze wierzyłam w niemożliwe, a przynajmniej tak mnie nauczono, i proszę, co się zdarzyło! Nic z tego, co planowałam, a wszystko, o czym marzyłabym, gdybym tylko potrafiła to sobie wyobrazić. Życie jest pełne niespodzianek. Nikt nie wie, co może się zdarzyć za chwilę.

- Nikt - zgodził się jej mąż, idący obok. - Poza mną. Idziemy do rotundy, żeby zobaczyć wystawę sztuki, więc przygotujcie się na fałszywe zachwyty. A potem, jeżeli będziemy grzeczni, pójdziemy coś zjeść.

- *Ona* na pewno wepchnie się na miejsce obok niego - powiedziała Gilly do Aleksandrii, unosząc ramię w stronę Annabelle. - Ale my zabawimy się doskonale. Zaraz się o tym przekonasz!

Ku zaskoczeniu Aleksandrii tak się rzeczywiście stało.

Było słonecznie i ciepło. Kiedy dotarli do rotundy, wydała się ona Aleksandrii równie wspaniała i wielka jak pałac. Dziewczynę zachwycił jej chłodny majestat. Po obejrzeniu dzieł sztuki całe towarzystwo zasiadło przy stołach ustawionych pod wysokimi drzewami na skraju alei dojazdowej. Kelnery podawali poncz, cieniutkie plasterki szynki, baraniny i sera, a potem ciastka i inne wyroby cukiernicze oraz lody, którymi goście pożywiali się, obserwując przechodzące opodal damy i kawalerów. Ci zaś wydawali się poruszać w takt muzyki. Grała bowiem orkiestra, a gdy muzycy zmęczeni się, powietrze zapełniały głosy śpiewających solistów.



Stół Druma zagarnęła dla siebie Annabelle, jej matka i grupka innych równie szybko nogich panien i ich rodziców. Eryk zajął miejsce obok Aleksandrii. Ryderowie, jeszcze jedna, wesoła para małżeńska i dwóch młodych panów dopełniło kompletu. Wszyscy tak się śmiali, że siedzący przy innych stołach spoglądali na nich z zazdrością. A Drum patrzył w ich stronę prawie przez cały czas.

To jest coś godnego zapamiętania, pomyślała Aleksandria, śmiejąc się z czyjegoś żartu. Żałowała, że nie może zatrudnić kogoś z malarzy, przechadzających się po galerii w rotundzie i napawających pochwałami. Poleciałaby mu namalować ten dzień w kolorach żółtym i brzoskwiniowym, by oddać nimi blask słońca i wesołości. Powiesiłaby ten obraz u siebie w domu, żeby na zawsze przypominał jej ciepło i radość dzisiejszego dnia. Ten dzień należał do niej, bez względu na to, co miała przynieść przyszłość.

I co z tego, że połowa z jej radości spowodowana była tym, że Drum patrzył w jej stronę?

Drum nie mógł tańczyć, więc całe towarzystwo podniosło się od stołu, gdy zaczęto grać walce, i udało się w dalszą przechadzkę. Pozdrawiano starych przyjaciół i przedstawiano sobie nowych. Każdy posąg, drzewo, ozdobny staw, a było ich wiele, budziły okrzyki zachwytu. Kiedy długie, letnie popołudnie przerodziło się w zmierzch, jedna po drugiej zapalały się ukryte latarenki, niczym pułki zdyscyplinowanych świetlików. Lampiony zawieszono wysoko na drzewach rozbłyskiwały światłem, ożywiane przez ekipy dobrze wytrenowanych pracowników. Ukryte wśród rododendronów maleńkie lampki na cienutkich sznureczkach lśniły niczym mokre pajęczyny w słońcu. Rzędy maleńkich światełek strzegły krawędzi ścieżek, prowadzących z głównej alei w głąbiny ogrodów.

Jednak Aleksandria pomału oswajała się z tymi wspaniałościami. To, co Z początku wydawało się jej czarami, coraz częściej okazywało się dziełem utalentowanych rzemieślników. Tchnęło tu sztucznością i tylko drzewa i kwiaty wydawały się jej naturalne, chociaż i co do niektórych miała już niejake

wątpliwości. Wszystko tu zostało stworzone po to, by zadziwiać i zachwycać. Dziewczyna musiała przyznać w duchu, że ów nastrój rozczarowania wynikał po części z tego, że nie miała już więcej okazji, by znaleźć się bliżej Druma. Albo może z tego, że bućki uwierały ją w palce, albo z tego, że Gilly i Damon zostali trochę z tyłu. Szli sobie razem, rozmawiając półgłosem, rozmarzeni atmosferą ogrodów i swymi słodkimi szeptami. Kiedy Aleksandria po raz ostatni widziała Eryka, został on zagarnięty przez pannę Probisher. A Drum prawdopodobnie nadal przebywał u boku Annabelle.

Nie była to najlepsza pora na samotność. Zapadał zmrok, a wtedy żadna kobieta nie powinna pozostawać bez towarzystwa. Jest to bowiem czas na refleksje i żale. Aleksandria musiała przyjąć do wiadomości, że dzień dobiega końca, a wkrótce nadejdzie także kres wielu innych rzeczy, takich jak na przykład jej wizyta w Londynie. Jej wiejski domek wydawał się być o tysiące mil stąd, a jednak znalazła się bliżej niego niż jeszcze kilka godzin temu. Większa część podróży do Londynu stanowiła już teraz wspomnienie, a reszta wkrótce się także tym stanie. Czy jeszcze kiedykolwiek zdarzy się jej przeżyć coś podobnego?

Dzień skończył się, słońce zaszło, a mężczyzna, o którym ośmielała się marzyć, zniknął z horyzontu. Dziewczyna nagle poczuła gniew. Dlaczego jedni ludzie mogą dostać wszystko, a inni muszą zadowolić się niespełnionymi pragnieniami? Dlaczego niektórzy przy urodzeniu otrzymują tytuł, bogactwo, a w dodatku płęć, dzięki której mogą robić, co im się podoba, podczas gdy inni skazani są na ciężką harówkę i mogą tylko starać się odrobinę polepszyć swój los? Nie miała Drumowi za złe tego, że miał w życiu szczęście, ale zazdrościła mu i żałowała, że kiedykolwiek uznała, iż mogą być przyjaciółmi. Bądź co bądź, przyjaciele są sobie równi. A gdzież teraz jest jej przyjaciel?

Aleksandria zdjęła czepek i niosła go za tasiemki, wędrując wąską ścieżką, zatopiona w myślach. Dróżka skręciła i dziewczyna zatrzymała się jak wryta, zapominając na chwi-

lę o swych niewesołych myślach. Już wcześniej słyszała cichy bulgot wody i w roztargnieniu skierowała się w jego stronę. Teraz stała jak wmurowana, przyglądając się polance, która nagle pojawiła się przed nią. Słyszany wcześniej szum niósł się od niedużego wodospadu, spływającego ze skałek do niewielkiego stawku. Za kaskadą wody znajdowała się grotta, widoczna tylko dzięki tysiącom maleńkich, czarodziejskich światełek.

- Ale masz minę - odezwał się jakiś głos. Brzmiały w nim śmiech i sympatia.

Zaskoczona, Aleksandria odwróciła się w jego stronę.

Drum patrzył na wodną kaskadę.

- Jest piękna, prawda? - ciągnął. - A zarazem kompletnie sztuczna, jak wiele innych rzeczy w tym mieście. Umieścili ją tu, by zadziwić gości, i zawsze się to udaje. Efekt ten osiąga się dzięki tuzinom świeczek umieszczonych za szkłem, żeby nie zamokły. Ustawiają je na skałach za i obok kaskady, przy samym wejściu do grotty. W środku mieszka pewien stary człowiek. Tak. Prawdę mówiąc, płacą mu za to, a odwiedzający mają sobie wyobrazić, że jest pustelnikiem. Nie goli brody, ubiera się w łachmany i ukazuje się od czasu do czasu. To niewiele, ale dzięki temu ma z czego żyć. W nocy zapala świece, a więc nie wystarczy mu tylko być, żeby zarobić na chleb. Mało kto tak ma.

- Ty - odparła bezmyślnie, a potem przeraziła się. Zakryła sobie usta ręką. Powiedziała coś, o czym przed chwilą myślała. - Przepraszam, nie chciałam...

- Naprawdę? - Przekrzywił głowę i spojrzął na nią.

Był równie zdziwiony jak ona sama. Przecież powiedziała mu wprost, że jest niesłusznie uprzywilejowany. Jednak zamiast ją wyśmiać lub potraktować z góry, co uczyniłby wobec każdej innej osoby, poczuł, że powinien się wytłumaczyć.

- Masz trochę racji - zaczął. - Urodziłem się w lepszej sytuacji niż inni. Ale zapewniam cię, że nie zadowolilem się tym, powiększam mój majątek. Dzięki Damonowi zacząłem inwestować, bardzo korzystnie zresztą. Stało się to moim za-

jęciem, a poza tym wziętem się za politykowanie. Ale masz rację, że inwestowałem, mając pieniądze, a także rtie brakło mi wolnego czasu, by zająć się polityką, i nigdy nie musiałem szukać posady, tak jak ten pustelnik.

Słuchając, jak się przed nią tłumaczy, Aleksandria pożałowała, że nie może cofnąć swych słów. Była na niego zła, ale nie miała prawa ranić jego uczuć.

- Wobec mnie zawsze odnosiłeś się przyzwoicie - stwierdziła. - Niesłusznie to powiedziałam. Zapomniałam się, bo mnie zaskoczyłeś.

- Nie mniej niż ty mnie - rzekł. Stał plecami do światła, więc nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. Widziała jednak, że Są absolutnie sami.

Znalazła się o zmroku sam na sam z mężczyzną w sekretnym lasku, w parku słynnym ze swych ciemnych alejek, gdzie pary chodziły na tajemne schadzki. Jednak czuła się całkowicie bezpiecznie. On nigdy nie pozwoliłby sobie na zbyt wiele wobec niej. Ta myśl wywołała uśmiech na jej ustach. To, musiała przyznać, właśnie jeden z powodów, dla których jest dzisiaj taka na niego zła.

- Nie powinnam tak była mówić - powtórzyła, kręcąc głową. - To niesprawiedliwe i nieprawdziwe. Ani ty, ani ja nic na to nie możemy poradzić, że jesteśmy, kim jesteśmy. Choć, oczywiście - dodała szybko - ty nie masz powodu, by narzekać na swój los.

- Ani ty - odparł.

Zaśmiała się, ale nie był to wesoły śmiech.

Zawahał się. Chciał jej powiedzieć, że jest jedyna w swoim rodzaju, urocza i bystra, tak czarująca, że zbrodnią byłoby, gdyby żałowała, iż przyszła na ten świat i że znalazła się tu dzisiaj z nim. Ale powstrzymał się. Gdyby jej to powiedział, musiałby mówić dalej, a przecież nie mógł.

Kiedy zobaczył, że oddala się od towarzystwa, rzucił jakąś wymówkę i ruszył za nią. Powiedział sobie, że zamierza chronić ją przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Teraz zrozumiał, że jedyną osobą, przed którą należy jej bronić, jest on

sam. Zacisnął pięści, szukając słów, które pocieszyłyby ją, a równocześnie nie wyrażałyby nic więcej niż troskę. Nie wolno mu było ofiarować jej niczego więcej. Ma zobowiązania wobec ojca i nie powinien o nich zapominać. Mógłby dać jej chwilę przyjemności i nic ponad to, a nie pozwalały mu na to zasady. Wszelkie drogi były przed nim zamknięte. Nie potrafił nawet wymyślić gładkiego kłamstwa, a w tej chwili bardzo było mu ono potrzebne.

Stali w narastających ciemnościach, słuchając plusku wody i odległych dźwięków muzyki. Oparł się mocniej o kule, mimo to górując nad dziewczyną wzrostem, a ich milczenie przedłużyło się. Teraz Aleksandria poczuła niepokój. Nie ze względu na jego wzrost, lecz dlatego, że pozwoliła sobie rozważać różne możliwości. Mrok gęstniał, a oni byli sami. Oboje o tym wiedzieli. Ta nagła świadomość i napięcie, jakie się między nimi wytworzyło, stało się równie rzeczywiste jak odgłos płynącej wody.

Lekko przechylił głowę.

- A gdyby... - szepnął, wpatrując się w nią.

W tej chwili pożałowała, że jest on takim wcieleniem dżentelmena. Od kiedy zaczął chodzić, wyglądał jak ktoś obcy. A ona wolałaby, żeby też postąpił jak ktoś obcy, ktoś, kto jej pragnie. Dlatego, że marzyła o nim już od tak dawna, a teraz założyła dla niego swą najpiękniejszą w życiu suknię i że taka noc może już nigdy się nie zdarzyć. Oczywiście, że nie mogą wziąć ślubu. Za nic też nie zostałaaby jego kochanką. Myślała dręcząc ją, gdyż chociaż nigdy nie przyjęłaby takiej propozycji, żałowała tego. Podziwiała go, że potrafi nie poruszać tego tematu, a równocześnie prawie nienawidziła go za to, że pewnie w ogóle coś podobnego nie przyszło mu do głowy. Wprawiał w zamęt jej myśli i zmysły. Jedyne, czego była pewna, to tego, że chciałaby, aby pragnął jej tak, jak ona jego.

Domagała się tego w duchu. Nic więcej nie mogła uczynić. Choćby nie wiem jak pragnęła czegoś, o czym, jak dobrze wiedziała, będzie marzyć przez całe życie, wolałaby stracić obie nogi, niż uczynić ten pierwszy gest. Bo Drum mógłby się cofnąć.

A może nie. W każdym wypadku nie odważyłaby mu się więcej spojrzeć w twarz. Ale gdyby to on zrobił pierwszy krok...?

Nie mógłby jej wziąć w ramiona, bo musi wspierać się na kulach. Ale nie potrzebowałby ich, gdyby oparł się na niej. Podtrzymałaby go, och, jakże tego pragnęła. Mógłby ją do siebie przytulić i pocałować, choćby nawet ten jeden raz, gdyż teraz byli sami, a może się to już nigdy więcej nie zdarzyć. I czy ktokolwiek będzie o tym wiedział poza nimi dwójkiem?

Całowano ją już kilka razy, zniecka, na siłę lub podstępem. Ale zawsze byli to miejscowi chłopcy lub swawolni mężczyźni. Zdarzało się to częściej po śmierci pana Gascoyne. Była we wsi obca. Od pewnego czasu nie poruszała się więc nigdzie sama, chyba że po własnym ogrodzie. Nie chciała też, by całowali ją mężczyźni, dopóki nie pojawił się Drum. Przez cały czas jego pobytu zastanawiała się, jaki smak mają jego wargi. Czy wreszcie zdoła się o tym przekonać? Czy będą ciepłe? Czy chłodne, jak on sam? Czy sprawi, że poczuje się tak, jak sobie to wyobrażała? Musi się o tym przekonać, by wiedzieć, co straciła i co może stać się przedmiotem jej marzeń w przyszłości.

Zachwiała się, skłoniła w jego stronę i zamknęła oczy. Czekwała. Na tyle tylko się odważyła, a mimo to serce waliło jej młotem.

- Hm! - powiedział nagle Drum, cofając się nieco. - Co pomyśleliby ludzie, gdyby nas tak zastali? Vauxhall jest słynne ze swych mrocznych alejek oraz rozwiązłości, na jakie pozwalają sobie w nich frywolne pary. Żadne z nas nie chciałoby, aby o nas plotkowano. Lepiej poszukajmy reszty naszego towarzystwa.

Otworzyła oczy. Miała wrażenie, jakby uderzył ją w twarz. Cofnęła głowę, jakby to rzeczywiście miało miejsce. W zmieszaniu nie zauważyła, że w jego głosie brzmi nuta żalu.

- Tak! - wykrzyknęła. - Idź! To znaczy, jeżeli pójde z tobą, to właśnie tak sobie pomyślą.

- Ale ty nie możesz zostać tu sama. Odprowadzę cię.

- Nic mi nie będzie - odparła, odwracając głowę, by spojrzeć

na wodospad, którego i tak nie mogła oglądać, gdyż oczy jej przesłaniały łyzy. Paliła ją twarz. Stwierdziła, że rzeczywiście można umrzeć ze wstydu, a ona będzie pierwszą osobą, której się to przydarzy. - Z pewnością nie oddaliłam się zbyt od reszty, bo ty znalazłeś mnie z łatwością. Nie sądzę, aby coś mi groziło - rzekła, marząc, żeby odszedł, zanim spojrzy jej w twarz. - Odczekam kilka minut, a potem dołączę do reszty towarzystwa. Ty idź pierwszy. Masz przecież znacznie więcej do stracenia.

- Jak możesz tak mówić! - oburzył się.

- W takim razie idź i przyślij tu po mnie Eryka - stwierdziła sztywno.

- Przyślę Gilly i Damona - powiedział. Obrócił się na kulach, zawahał i spojrzał przez ramię. - Przykro mi, Ally. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Problem polega na tym, że jestem niestety dżentelmenem.

Cały wstyd i ból sprawiły, że Aleksandria zapomniała o swoim miejscu.

- Nie - rzekła twardo. - Jesteś szlachcicem, panie. I w tym cały problem.

Zamarł na chwilę, ale zaraz kiwnął głową i zniknął w ciemnościach.

Nic nie trzeba było wyjaśniać, gdy w kilka minut później Aleksandria dołączyła do towarzystwa. Zaczął się bowiem pokaz ogni sztucznych.

- Mówiłam ci, żebyś się nie oddalała - łąjała ją Gilly.

- Właśnie wracałam, kiedy zobaczyłam ciebie i Damona, prawda? - odparła Aleksandria. - Och! Patrz! Oglądałam spadające gwiazdy, ale nigdy nie ognie sztuczne. To niesamowite!

Muzyka grała do taktu pirotechnikom, podkreślając każdą barwną eksplozję. Choć zmieszana i gniewna, Aleksandria nie mogła nie zachwycić się widowiskiem.

- Och! - zawołała wreszcie, gdy coś jakby olbrzymia chryzantema pojawiło się nad ich głowami. - Gdybym mieszkała w Londynie, przychodziłabym tutaj co wieczór!

- To musiałybyś długo czekać - zaśmiała się Gilly. - Nie co dzień robią tu takie pokazy.

- Ja nigdy czegoś takiego nie widziałam, a ty? - spytała, w podniecieniu składając ręce jak do modlitwy.

- Aż nazbyt często podczas bitwy - odparł Drum.

Aleksandria aż drgnęła. Nadszedł bezgłośnie, gdyż kule robiły mniej hałasu na żwirowej ścieżce niż ludzkie stopy, albo może ona zbyt się zajęła oglądaniem pokazu. Teraz Drum stał za jej plecami.

- I pewnie dlatego obecni tu dzisiaj mężczyźni nie są tak zachwyceni jak wy, kobiety - powiedział. - Ten hałas, zapach prochu, powietrze niebieskie od dymu sprawiają, że zbyt wiele się im przypomina.

- No, ale przecież tu przyszli - zaprotestowała dziewczyna.

- Niebezpieczeństwo nas często przyciąga.

- Nie wiedziałam, że brałeś udział w bitwie - rzekła, zastanawiając się, czy jego słowa rzeczywiście zawierają w sobie aluzję.

- Och, Drum służył Jego Wysokości wszędzie - odezwała się Gilly. - Na polach bitwy i w buduarach, chociaż, oczywiście, temu drugiemu zaprzeczy.

- Rzecz jasna - przyznał.

- Och! - zawołała stojąca po prawej stronie Druma Annabelle. - Popatrzcie, trzy gwiazdy w jednej!

Aleksandria poczuła się dzięki temu w jakiś straszliwy sposób lepiej, zrobiło się jej wszystko jedno.

Pokaz trwał, aż wreszcie Aleksandrii zaczęło migać przed oczami, a w uszach huczeć od głośnych eksplozji towarzyszących ogniom sztucznym. Kiedy się skończył, powietrze było gęste od dymu i wydawało się, że latarnie i świece przysgasty. Nie tylko ze względu na kontrast z blaskiem fajerwerków, ale też dlatego, że znajdujące się w nich knoty dopalały się. Wieczór dobiegał końca. Ścieżki oświetlał jaskrawy blask pochodni, gdy rzędy ludzi zaczęły kierować się do swych powozów, a inni ruszyli w stronę przystani.

Noc wypełniły okrzyki pożegnań, wrzaski sług, nawołujących powozy, oraz woźniców dorożek, poszukujących klientów. Dalej, przy brzegu, niewielka flotylla łódek zajmowała



miejsca przy pomoście, a panowie ostrożnie przenosili swe damy do kiwających się na wodzie jednostek pływających.

Aleksandria stanęła w kolejce razem z tymi z grupki Druma, którzy nie poszli do powozów. Gilly i Damon byli gdzieś w pobliżu, ale nie widziała ich w tłumie. Być może składał się on z przedstawicieli szlachty, ale wszyscy przepychali się jak prości ludzie, starając się zająć najlepsze miejsce. Aleksandria w zamyśleniu przyglądała się, jak zasiadają w łódkach i odpływają.

Wiał lekki wiatr. Sztandary na barwnych słupach strzelały i trzepotały. Łodzie kołysały się na falach. Dziewczyna stwierdziła, że można by prawie pomyśleć, iż znalazła się w obcym kraju. Jednak jej podniecenie przygasło, gdy przypomniała sobie, że jest tak w rzeczywistości i że wkrótce będzie musiała opuścić ową krainę. Jakiś czas temu zdjęła już czepek i teraz z przyjemnością czuła, jak wiatr targa jej włosy, przesłaniając twarz ze spływającymi po policzkach łzami.

- Tutaj jest pańska łódź, lordzie Drummond - zawołał jakiś głos.

- Idź pierwsza - odezwał się za nią głos Druma, a potem poczuła na plecach jego dłoń, kierującą ją naprzód.

Pochyliła głowę, by ukryć dowody swego smutku, i zrobiła krok. Przewoźnik chwycił ją za ręce i pomógł wsiąść. Puścił ją nagle, kiedy znalazła się w łodzi, tak że omal nie upadła.

- Na Boga, człowieku, uważaj trochę! - zawołał gniewnie Drum. - Poradzę sobie sam, a ty zajmij się panią.

*Panią?* Aleksandria rozejrzała się w poszukiwaniu lady Annabelle, zawstydzona, że zajęła jej miejsce. Jednak Drum musiał mieć na myśli ją samą, gdyż nigdzie nie dostrzegła owej panny, a po chwili wahania przewoźnik ujął ją znowu za rękę i pomógł wsiąść w kolebiącej się łodzi. Dwaj mężczyźni wspierali Druma. Po chwili, ujmując kule w jedną rękę, zajął miejsce obok niej.

Łódka ruszyła.

- A gdzie Ryderowie? - spytała, rozglądając się, Aleksandria.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Drum. - Jeszcze przed

chwilą byli gdzieś obok, a potem zniknęli. Nie wiem też gdzie podział się Eryk. Jesteśmy sami. Nie martw się - dodał szybko. - Nikt ci nie będzie miał za złe, że wracasz bez przyzwotki. Nawet najgorsza świętoszka nie uzna, że mogłbym zrobić coś niewłaściwego na łodzi, i to w towarzystwie trzech obcych mężczyzn.

- Wcale się tym nie przejmuję - odparła, kiedy już zdołała opanować nagłą radość.

Nie odpowiedział. Łódź płynęła w ciemnościach. Dwaj mężczyźni wiosłowali, a trzeci stał za nimi, wpatrując się w aksamitną noc. Na rzece błyszczały liczne światła. Widok ten zachwycił Aleksandrię tak bardzo, że na chwilę zapomniała o swej sytuacji. Przystań, z której wyruszyli, wyznaczały rzędy pochodni, a obok lśniły latarnie na kiwających się łodziach oraz okna budynków wzdłuż rzeki. Wydawało się, że wszystkie gwiazdy zebrały się tutaj, odbijając się w czarnej powierzchni warko płynącej rzeki.

Im dalej się posuwali, tym bardziej łodzi rozpraszały się w różnych kierunkach i robiło się coraz ciemniej. Wtedy dopiero Aleksandria zauważyła, że ich łódź nie jest oświetlona. Zdziwiła się, że mężczyzna u steru potrafi znaleźć drogę, chociaż ona sama nie widziała wiele, nawet kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Drum najwyraźniej dostrzegał więcej niż ona. Po kilku minutach odezwał się znowu. Ale nie do niej.

- Nazywam się Drummond i mam dobić do przystani przy Adam Street w pobliżu doków Adelphi. A my właśnie przepłynęliśmy pod mostem Blackfriars. Skręcaj, to nie w tę stronę - dodał z irytacją. - Co ty sobie wyobrażasz, człowieku?

Mężczyźni przy wiosłach w milczeniu pochyłali grzbiety. Ten, który stał za nimi, pochylił się tak, że jego usta znalazły się przy uszach Druma i Aleksandrii.

- Och, ja dobrze wiem, kim jesteś, milordzie - rzekł cicho. - I wiem, dokąd płyniesz. Ty nie masz o tym pojęcia, ale tak właśnie powinno być. Dostałem cię wreszcie, milordzie. I tak też powinno się było już dawno stać.

## 21

Drum siedział bez ruchu u boku Aleksandrii, ale dziewczyna czuła, jak zeszywniał, słysząc słowa nieznanego. Ona sama bała się nawet głośniej odetchnąć. Miała nadzieję, że to czyjś żart, wygłup jakiegoś wysoko urodzonego, ale mało inteligentnego znajomka. Czekwała na rzucony w odpowiedzi dowcip. Jednak to, co usłyszała, nie uspokoiło jej w najmniejszym stopniu.

- Wiesz, kim jestem? - odparł spokojnie Drum. - W takim razie masz nade mną przewagę, panie.

- A i owszem - zgodził się mężczyzna. - I to na wiele sposobów. Wyjmij pistolet z kieszeni surduta i rzuć go przed siebie. - Wyciągnął rękę i chwycił Aleksandrię za szyję. Dziewczyna nie była w stanie przełknąć śliny, a tym bardziej krzyknąć. - Panna Gascoyne znalazła się w bardzo niemiłej sytuacji - rzekł głosem równie brutalnym jak jego chwyt. - Jeżeli natychmiast mnie nie posłuchasz, mogę sprawić, że pannie tej przestanie być nieprzyjemnie, i to na zawsze. Mnie wszystko jedno, ale jej pewnie nie. No już, wiem, że nosisz pistolet w kieszeni. Wiem bardzo dużo o tobie. Nie ma co kłamać albo zaprzeczać.

- Nawet bym nie próbował - odparł Drum. Sięgnął do kieszeni. Aleksandria straciła dech, gdyż ręka na jej szyi zacisnęła się. Drum zamarł na chwilę i odwrócił się.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna, poluźniając odrobinę swój chwyt. - Jednak nie do końca ci ufam, Drummond, więc wolałem postawić sprawę jasno. Złamię jej kark w jednej chwili albo uduszę ją powoli. Albo też puszczę. Wszystko zależy od ciebie.

Drum sięgnął do kieszeni, wydobył nieduży pistolet i rzu-

cił go tak daleko, że dobiegł ich tylko cichy plusk. Wioślarze zwolnili na chwilę, a potem na nowo podjęli swój rytm.

- Trochę może przesadziłeś, ale nieźle - powiedział mężczyzna, puszczając Aleksandrię. Chwyliła się za szyję. - Weź pod uwagę, że jest nas trzech i wszyscy mamy uzbrojenie - ciągnął nieznajomy. - Przeciwko tobie jednemu, a w dodatku inwalidzie. O, przepraszam, panno Gascoyne, ale ciebie nie należy liczyć. Jesteś urocza, ale niegroźna. Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy, milordzie. Zapewniam cię bowiem, że chociaż puściłem jej szyję, nie oznacza to, iż pozwolę jej żyć, jeżeli zechcesz odgrywać bohatera.

Drum bezradnie rozłożył ręce.

- Nie zrobię nic, co mogłoby jej zagrozić, ale ty chyba o tym wiesz. Może jednak mógłbyś powiedzieć mi, skąd wzięła ci się ta wiedza i na co ci ona?

- Oczywiście - odparł ich przeciwnik, wstając. Przeszedł się po łodzi i stanął przed nimi. Był to krępy mężczyzna w średnim wieku, o siwych włosach, ubrany przyzwoicie, choć nie według najświeższej mody. Aleksandria nie widziała dokładnie jego twarzy, ale mimo to mogłaby przysiąc, że nie widziała go nigdy w życiu. Ale mogła, bo w niczym nie zwracał na siebie uwagi. I znał jej nazwisko.

- Jestem Fitch - powiedział, wbijając wzrok w Druma. - Fryderyk G. Fitch z Dworu pod Trzema Koronami. Widzę, że mnie nie znasz. A może? Potrafisz doskonale udawać obojętność, nieprawdą? To cecha znudzonego jaśnie pana, którym starasz się mienić. Ale jest to również charakterystyczne dla najlepszych tajnych agentów - ciągnął ostrzej. - A tym, jak wiemy, właśnie jesteś. A panna Gascoyne... - skłonił się ironicznie. - Jakże się pani miewa?

- Pan mnie zna? - spytała.

- Spotkaliśmy się, ale ty tego, oczywiście, nie pamiętasz. Nie interesowali cię przyjaciele Louisa, nieprawdą? Ja jednak pytałem go o ciebie. Nic ci nie powiedział? Nie? Trudno się dziwić. Stwierdziłem, że jesteś zdrowa, przyjemna, cnotliwa, posłuszna i dobrze wychowana. Nie miałem oka-

zji spotykać wielu takich kobiet. Pomyślałem, że go *od* ciebie uwolnię. Ale on dobrze dbał o swoje interesy. Odrzucił mnie natychmiast. I co mu z tego przyszło? Wyjechałaś przy pierwszej okazji i wróciłaś dopiero, kiedy się przekonałaś, że jest umierający. Gdyby cię oddał mnie, nieźle by na tym zyskał. A tak zysk przypadł tobie. No, ale z tym także koniec. Sama chyba widzisz, jakiego kiepskiego wyboru dokonałaś.

- Panna Gascoyne nic sobie nie wybierała - stwierdził Drum. - Znalazła mnie, kiedy zostałem zaatakowany, i pielęgnowała mnie. Teraz zwiedza Londyn, a ja próbowałem zrewanżować się jej, zabierając na tę wycieczkę. Innego związku nie ma.

Fitch zaśmiał się.

- Rzeczywiście! I dlatego do niej jechałeś, kiedy do ciebie strzelano?

- Nieprawda. Zboczyłem z głównej drogi, żeby się trochę odprężyć - odparł Drum. - To ty do mnie strzelałeś?

Aleksandria ujrzała w blasku księżyca, że mężczyzna uśmiecha się. Dostrzegła też, że trzyma w ręku pistolet

- Tak - rzekł dumnie Fitch. - Panna Gascoyne mogłaby tylko lamentować nad twoim zgonem, gdybyś się wtedy nie odwrócił.

- Czy wolno wiedzieć, dlaczego do mnie strzelałeś? - zapytał Drum, jak gdyby dyskutowali kwestie polityczne w klubie, a nie w łodzi, pod lufą pistoletu, płynąc nie wiadomo dokąd.

- Nie staraj się mnie ułagodzić! - warknął Fitch.

- Zapewniam, że nie miałem takiego zamiaru - odparł Drum. - Najwyraźniej w świecie uważasz, że zrobiłem ci jakąś krzywdę, ale naprawdę nie mam pojęcia, co to mogło być. Wierzę ci, chodzi o moje życie, a mimo to nie wiem, dlaczego na nie dybiesz.

- W tej chwili nie pora na dyskusje - warknął Fitch, rzucając okiem na wioślarzy.

Aleksandria poczuła, że Drum odetchnął, i też nieco się odprężyła. Teraz już tylko lekko drżała. A więc ten człowiek

nie zamierza zrobić im krzywdy od razu. Albo może wcale nie uczyni im nic złego. Ale był jednym z przyjaciół pana Gascoyne. Zaczęła sobie przypominać tych, których poznała. Nie dałoby się ich naliczyć wielu. Jeżeli ona albo któryś z chłopców spotykał przypadkiem jakiegoś jego znajomego na targu, wtedy musiał go im przedstawić. Robił to jednak niechętnie i zdawkowo. Jeszcze rzadziej pojawiali się oni w chacie. Nie pamiętała tego mężczyzny, ale mogła go spotkać wiele lat temu. Ci, których sobie potrafiła przypomnieć, byli to starszawi prowincjusze, nienawykli do dzieci poza szkołą, a tym bardziej nieprzyzwyczajeni do towarzystwa młodych kobiet. Pan Gascoyne nakazał jej unikać ich, a ona z przyjemnością wykonywała to zalecenie.

Rozejrzała się dookoła, próbując stwierdzić, dokąd się udają. Na brzegach paliły się jakieś światła, ale ona nie znała Londynu. Znał go Drum i musi mu teraz zaufać.

On zaś najwyraźniej myślał o tym samym.

- Moi towarzysze zaczną mnie szukać - stwierdził lekko.

- Owszem - zgodził się Fitch. - Ale nic im z tego nie przyjdzie. Jak dotąd nie wykazali się szczególną czujnością, więc chyba nie warto na nich zbyt liczyć. Kiedy zorientują się, że zaginałeś, i zaczną cię szukać, moje dzieło będzie dawno skończone. Okazało się to łatwiejsze, niż myślałem. Wykorzystałem tłok, żeby cię zwabić. Zawołałem twoje nazwisko, a ty grzecznie przyszedłeś do mojej łodzi. Nie chciałem wcale chwytać panny Gascoyne, ale skoro już jest, to też mi się przyda. A teraz proszę o ciszę. Porozmawiamy sobie, kiedy dotrzemy na miejsce.

No, to już coś, pomyślała Aleksandria. Jednak wolała nie zastanawiać się, do czego może się „przydać” ani też co Fitch miał na myśli, mówiąc o „dokończeniu dzieła”.

Poczuła przygnębienie, kiedy skierowali się w stronę opustoszałych magazynów i składów. Teraz przyświecał im tylko księżyc i gwiazdy. Nastrój nie poprawił jej się wcale, gdy łódź zatrzymała się przed czymś, co wyglądało jak gładka ściana, wybudowana na skraju rzeki. Jeden z wioślarzy wstał

i zaczął obmacywać mur. Usłyszała szczękanie metalu o metal, kiedy w końcu natrafił na gruby łańcuch z kłódką. Łódź zakołysała się. Mężczyzna, z trudem łapiąc równowagę, po-grzebał w kieszeni, szukając klucza.

- Szybciej - syknął Fitch.

Drugi z wioślarzy podniósł niewielką latarnię i odsunął przesłonę. Nagły promień żółtego światła ukazał osadzone w murze wrota. Pierwszy z mężczyzn uporał się wreszcie z kłódką i szarpnął ciężkie skrzydła. Otworzyły się, skrzy-piąc, i ukazały mroczną otchłań. Podpłynęli do czegoś, co najwyraźniej było wejściem od strony wody do domu albo składu z czasów, kiedy londyńczycy poruszali się po mieście łodziami... wejścia zapomnianego przez wszystkich oprócz Fitcha. Aleksandria zadrżała, przypominając sobie, jak lek-ko rozprawiała na ten temat zaledwie kilka godzin temu.

Teraz przyszło jej na myśl, że za tymi drzwiami znajduje się jej grobowiec albo też mogą ją tam czekać liczne upo-korzenia. Gdyby umiała pływać, rzuciłaby się do rzeki już dawno temu. Kiedy się znaleźli na miejscu, pożałowała, że nie uczyniła tego pomimo wszystko. Poczuła, że dłoń Dru-ma muska jej rękę, dodając jej odwagi, jak gdyby usłyszał on jej myśli.

- Do środka - polecił Fitch.

Wioślarze usiedli, sięgnęli do wiosł i cicho wprowadzili łódź przez wierzeje do ciemnego wnętrza.

Powietrze było tu zatęchłe, zimne i wilgotne. Znajdowali się w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Łódź stuknęła o pomost i zatrzymała się. Ktoś ją zacumował. Było ciemno i cicho jak w środku bębna; dobiegało ich tylko chłupotanie wody o dno łodzi i o tajemniczy brzeg, do którego przybili. Jeden z wiośla-rzy odstłonił drugą latarkę. Teraz dało się widzieć więcej, ale dziewczynie wcale nie poprawiło to nastroju.

Ujrzała szeroki pomost. Czarne ściany pomieszczenia ciągnęły się gdzieś w mrok. Sufit znajdował się tak wysoko, jak nocne niebo na zewnątrz. Poza tym nie zobaczyła nic więcej. Całość wydała się jej tak wielka jak boisko.

Jeden z mężczyzn wspiął się po chwiejnej, omszałej drabinie na pomost.

- Na górę - powiedział Fitch do Druma, machając pistoletem.

Aleksandria lękała się upokorzeń, ale zapomniała o swych niepokojach, gdyż teraz czekało to raczej Druma. Najwyraźniej nie mógł wspiąć się na podest o kulach; nie mógł nawet wstać w łodzi, gdyż nie starczało tu miejsca. Spróbował się podnieść, zachwiał się i usiadł.

- Nie staraj się robić jakichkolwiek sztuczek, milordzie - syknął Fitch. - Bo wezmę pannę Gascoyne na twoich oczach, a potem zajmę się tobą.

Drum wzruszył ramionami.

- Chcesz, żebym wpełzł po tej drabinie?

- Nie jestem drobiazgowy - mruknął Fitch. - Oczywiście. Hake! Wnieś pana na górę. Panno Gascoyne, pozwoli pani, że jej pomogę?

Aleksandria chciała powiedzieć, że wolałaby umrzeć, ale stwierdziła, że wcale nie jest to prawdą. Dlatego też spokojnie patrzyła, jak Fitch wspina się po drabinie, a potem podniosła głowę i ujęła jego dłoń. Trzymając drugą ręką rąbek spódnicy, ostrożnie wdrapała się po oślizgłych szczeblach. Kiedy znalazła się na pomoście, rada była, że w ciemnościach nie ujrzy twarzy Druma, gdy jeden z wioślarzy podniósł go, zarzucił sobie na ramię i, przeklinając głośno jego wagę, wgramolił się na górę. Zanim Fitch zapalił kolejną latarnię, Drum wspierał się na kulach i rozglądał dookoła siebie.

Było tu jeszcze więcej przestrzeni, niż Aleksandria sądziła z początku. Sufit znajdował się wysoko jak w jakiejś katedrze. Stali na kamiennej posadzce. Pod ścianami piętrzyły się stosy drewnianych skrzyń, ale trzeba by zużyć całą puszcę, żeby zapełnić nimi tę wielką halę. W głębi dało się dostrzec schody, umieszczone po obu bokach wielkiego, kwadratowego pomieszczenia. Wyglądało na to, że prowadzą na następne piętro, ale ich kres krył się w nieprzeniknionych ciemnościach. Wiele pokoleń temu prawdopodobnie przy-



wożono tu lub wywożono stąd najrozmaitsze towary. Teraz nie pozostał po tym nawet najmniejszy ślad, a jedyny zapach, jaki tu panował, był wonią odpływu.

- Świetnie - powiedział Fitch. - Bardzo dobrze. Hake, wyprowadź łódź i czekaj na mnie na zewnątrz, przy schodach po prawej stronie, tam gdzie ci pokazywałem. Zamknij za sobą drzwi. No, już.

Hake kiwnął głową i wrócił do łodzi. Odepchnął ją i powiosłował do drzwi. Kiedy tam dotarł, Aleksandria prawie wcale go nie widziała. Zatrzasnął za sobą wierzeje ze złowieszczym łoskotem. Dziewczyna zamknęła oczy, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy nocny mrok lub światło dnia.

- A ty, Dubbin - zwrócił się Fitch do drugiego mężczyzny. - Czy sprawdziłeś jego lordowską mość? Nie wiadomo, co może trzymać w rękawie.

Mężczyzna zwany Dubbin chrząknął; mógł to też być tłumiony śmiech.

- Tak, wszystko. Pusto w kieszeniach, a w rękawach ma tylko ręce.

- Dobrze - powiedział Fitch. - Przyniesz nam teraz krzesła, a sprawdzimy, co milord może ukrywać w nogawce.

Dubbin przywłókł z ciemności dwie skrzynki i zostawił je obok Fitcha, blisko skraju pomostu.

Fitch wskazał je gestem.

- Panno Gascoyne? Przepraszam, że nie mogę zapewnić większej wygody, ale proszę usiąść. Muszę teraz porozmawiać sobie z panem hrabią. Milordzie? Siadaj pan i oddaj mi uprzejmie swoje kule.

Aleksandria ostrożnie ulokowała się na skrzynce, trzymając się bardzo prosto i zaciskając na podołku złodowaciałe dłonie. Drum zbliżył się do skrzynki, usiadł na niej, pochylił, sięgnął po kule i podał je Fitchowi... który odebrał mu je jedną ręką i cisnął do wody.

Aleksandria wydała stłumiony okrzyk. Fitch nie mógłby jaśniej powiedzieć, jakie są jego zamiary. Drum był teraz całkowicie bezradny.

- Dubbin - rzekł Fitch. - Zobacz teraz, co pan hrabia ma pod bandażami na nodze.

Dubbin przykląkł u stóp Druma. Wyjął spod płaszcza nóż. Aleksandria zadrżała przerażona. Przed chwilą Druma pozbawiono kul, a zaraz utraci bandaże. Przed chwilą wydawało się jej, że Fitch nie może jaśniej wyrazić swoich intencji, ale teraz przekonała się, że się pomyliła.

Drum siedział, wyciągając przed siebie nogę, a Dubbin rozcinał okrywające ją zawoje. Odsłonił znajdujące się pod spodem solidne, drewniane łupki: cztery grube kawałki drewna połączone razem za pomocą drewnianych śrub i dla bezpieczeństwa związane sznurkiem. Dubbin obmacał je wnikliwie.

- Nic - powiedział. - Drewno i noga, to wszystko.

Drum zmarszczył brwi, jakby brutalna inspekcja Dubbina sprawiła mu ból.

- A druga noga? - zapytał Fitch. - Oddaj Dubbinowi nóż, który nosisz w bucie, milordzie, albo ci go odbierzemy siłą.

Drum pochylił się, wydobył zza cholewy niewielki nożyk i rzucił go Dubbinowi, który schował go do kieszeni.

- Teraz - rzekł z zadowoleniem Fitch - rozwiąż te sznurki i rozkręć śruby. Już mu nie będą potrzebne.

Dubbin pochylił się. Po kilku chwilach łupki opadły na boki i leżały jak skórka obranej pomarańczy wokół nogi Druma. Aleksandria poczuła, że coś dławi ją w gardle. Drum zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Doskonale - powiedział Fitch. - Odsuń się na bok, Dubbin, i nie ruszaj się. Ale pilnuj go dobrze, bo wąż potrafi ukąsić, nawet gdy się go już zmiażdży.

- Więc może teraz wyjaśnisz, dlaczego się tu znaleźliśmy - zapytał spokojnie Drum.

- Z największą przyjemnością - odparł Fitch, zwracając się twarzą do niego. - Nie, jestem po prostu zachwycony. Prawdę mówiąc, jedyną rzeczą, jakiej żałowałem po mojej pierwszej próbie, było to, że nie wiedziałeś, dlaczego cię to spotkało. Powodzenie upoiło mnie, gdy zobaczyłem, jak padasz... myślałem, że już po wszystkim. Jednak myliłem się. Poczułem

się oszukany. Przyszło mi to do głowy później, gdy znalazłem się na drodze do Londynu. Wróciłem więc, by ci wyjaśnić, kto ci to zrobił, ale panna Gascoyne znalazła cię wcześniej. Rad jestem, że wydobrzałeś, bo bolało mnie to niedopatrzenie. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że zemsta nie ma smaku, jeżeli się nie powie dlaczego i jak wiele to przyczynia radości.

Zrobił kilka kroków, a potem znowu odwrócił się do Druma.

- Wyjeżdżam dzisiaj do Nowego Świata. Oddalę się więc spokojnie, wiedząc, że wykonałem moje zadanie. To dla mnie wielka pociecha.

- Rad jestem, że mogę pomóc - odparł sucho Drum. - Ale czy zechcesz wreszcie powiedzieć mi, o co chodzi? Rozumiem twoją radość, ale nie znam przyczyny.

- Dość tych gier - rzekł Fitch. - Wiesz dobrze i pora, byś się przyznał. Nie umkniesz mi.

- Prawdopodobnie - stwierdził Drum. - Ale też nie wiem, co mam ci wyznać. Podczas wojny zrobiłem sobie wielu wrogów, ale nie przypominałem sobie twojego nazwiska, kiedy uzyskałem je z moich źródeł. Gdybym miał z tobą do czynienia, nie zapomniałbym. Czym cię uraziłem? Czy zgładziłem twojego krewnego albo ukochaną? Uwiodłem i zrujnowałem? To możliwe. Robiliśmy sobie takie rzeczy w tamtych dniach, ale tak właśnie dzieje się podczas wojny.

Fitch wyzbył się resztek uprzejmości.

- Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa! - wrzasnął, a jego głos rozległ się echem w ogromnym pomieszczeniu. Usłyszał swoje słowa i nabrał tchu. Kiedy odezwał się znowu, wciąż mówił piskliwie, ale spokojniej. - Wiesz dobrze - rzekł. - To było twoje najważniejsze zadanie. Zabiłeś go... największego człowieka, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi! Człowieka, któremu niegodzien byłeś czyścić butów!

- Tak? - zapytał Drum. - A któż to jest?

Fitch znowu zaczął chodzić.

• - Odwiedziłeś go w styczniu w Longwood House. Bywałeś też tam wcześniej. Jesteś dżentelmenem, uroczym człowiekiem; sam tak powiedział. Mówisz po francusku jak

Francuz i znasz się na historiach wojen. Dlaczego miałby ci nie ufać? Podobno dżentelmeni dochowują nakazów honoru. - Fitch chciał się zaśmiać, ale zabrzmiało to bardziej jak szloch. - Nie miałeś nawet odwagi, by użyć noża lub kuli, ani nawet garoty. Był żołnierzem, wojownikiem, zasługiwał na czystą śmierć, a nie to, co ty mu zgotowałeś. >

Drum wyprostował się.

- W styczniu? Byłem wtedy na Świętej Helenie... Longwood House? Oskarżasz mnie, że zabiłem Bonapartego?

Aleksandria drgnęła tak silnie, że Dubbin uczynił krok w jej stronę. Zamarła i wbiła wzrok w Druma. Ten pokręcił głową.

- To szaleństwo. On umarł na wątrobę, w maju. Ja wtedy byłem już w Anglii, o czym wiesz najlepiej.

Fitch pokiwał gwałtownie głową.

- Ale dostarczyłeś coś generałowi porucznikowi Lowe, nieprawdaż?

- Listy z kraju - odparł Drum ze szczerym zdumieniem.

- Oraz truciznę - powiedział Fitch. Podniósł rękę. - Nie zaprzeczaj. Pocienie się, bóle żołądka, wymioty, bledność i utrata apetytu to typowe objawy. Sekcja wykazała, że była to kwestia wątroby, ale dobrze wiemy, że naprawdę chodziło o otrucie arsenikiem.

- Na litość boską, człowieku - zaczął Drum. - To nonsens. Kto powiedział coś tak głupiego?

- Marchand! - odparł z triumfem Fitch.

- Lokaj? - zapytał Drum, marszcząc brwi. - To wariat albo oszalał z rozpacz. Był przywiązany do swego pana, ale plótt wierutne bzdury! Słuchaj, Fitch, nie było potrzeby zabijać Bonapartego. Jego wojna skończyła się, znalazł się w pułapce, nie miał już żadnych szans i dobrze o tym wiedział. Zachorował i pozwolił sobie podupaść. Czuł się zgnębiony, bo wiedział, że jego niezwykła przygoda dobiegła końca. Na swój sposób miał wielki umysł, przyznaję. Ale może umarł z takiego samego powodu jak ginące w niewoli orły. Nie zabiliśmy go, a już na pewno nie ja.

- Uwolniłby się - powiedział z uporem Fitch. - Alianci

nie znali dnia i godziny, dopóki żył, i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Wydostalibyśmy go stamtąd. Jest nas, Anglików takich jak ja, znacznie więcej. Wyjeżdżam do Nowego Orleanu w Nowym Świecie, gdzie można znaleźć mnóstwo ludzi wierzących w to, co ja. Całe tysiące. A nadzieja trwa, dopóki jest życie; tego się obawialiście. Nigdy by się to nie skończyło, dopóki by nie umarł. Dlatego wysłaliście kogoś, kto uczyni to tak, by nikt nic nie podejrzewał. Alianci byli sędziami i ławnikami, jego lekarze występowali jako instrument, ale ty byłeś zabójcą, Drummond. Zaczął chorować od czasu, kiedy pojawiłeś się po raz pierwszy. Zanim odjadę, dopilnuję, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Ile czasu i pieniędzy włożyłeś w jego sprawę - spytał Drum - skoro teraz tak szalejesz z rozpaczy?

- Czymże są pieniądze wobec honoru? - rzucił Fitch. - Czy liczy się czas, kiedy wierzy się w sprawę? Znalazłem moją gwiazdę i podążyłem za nią. Ty ją zgasiłeś! - Zaczął wymachiwać rękoma. Aleksandria skuliła się, kiedy koło niej przeszedł. Ten człowiek to szaleniec.

- Wyjeżdżam z Anglii - ciągnął Fitch. - Nie mógłbym tu dłużej żyć. Ta radość, to świętowanie ciągle przypominały mi o mojej stracie. Uczyłem w tej żalostnej namiastce Eton, a moje marzenia czyniły to życie znośnym. Gdy uległy ruinie, wiedziałem, że muszę odejść. Właśnie złożyłem wymówienie i wyruszyłem do Londynu, żeby zamknąć tam resztę moich spraw przed ostatecznym wyjazdem. Zbliżałem się do rogatki... i zobaczyłem ciebie! To był szczęśliwy traf! Poznałem cię! - mówił, odwracając się gwałtownie i wbijając wzrok w Druma. - Dawno temu obwoziłem jako opiekun pewnego młodego tumana w jego podróży po Europie i przekonałem go, żeby się zatrzymał na Elbie. Rozmawiałem z cesarzem i wiedziałem już, jakie jest moje życiowe zadanie. Ale też ujrzałem tam i ciebie i zapytałem, kim jesteś. Kiedy wróciłem do domu, śledziłem twoje postęпки. Wszyscy się tym zajmowaliśmy. Prawdę mówiąc, mieliśmy całe harmonogramy. Gascoyne też, ale nie mogłeś o tym wiedzieć. Panna Gas-

coyne? Jasne, że nie. Louis był bardzo ostrożny - odpowiedział sam sobie, nie odwracając nawet głowy, by zobaczyć, jak dziewczyna zareaguje. Skupił całą uwagę na Drumie. - Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię ujrzę, Drummond. Kiedy jednak wszystko stało się w jednej chwili jasne, wiedziałem, co muszę uczynić. Los umieścił cię w tamtym miejscu nie bez powodu. Należało skorzystać z okazji! Spróbowałem, lecz bez powodzenia. Ale teraz już nie zawiodę.

- Rozumiem - rzekł ze znużeniem Drum. - Szaleństwo - powiedział ze współczuciem. - Nie mam co zaprzeczać, prawda? Longwood House przypominał wielkie uzdrowsko. On żył tam w dostatku i wygodzie. Jeżeli nazwać to więzieniem, to było to bardzo luksusowe więzienie. Mia! więcej lekarzy, Francuzów i Anglików, niż zdołałbym policzyć. Zbiegali się, gdy choćby kichnął. Poza tym stale przyjeżdżali goście ze wszystkich stron. Odbywały się tam przyjęcia, rauty, koncerty. Stanowił większą atrakcję niż piramidy. Uznałeś mnie za złoczyńcę, bo musiałeś sobie kogoś takiego znaleźć. I dlatego, Fitch, sądzę, że gdybyś potrafił myśleć rozsądnie, zrozumiałbyś, że coś zwichnęło ci umysł.

- Byłeś tam dwa razy! - zawołał Fitch. - Tak samo jak na Elbie. I wiadomo, że byłeś tajnym agentem rządowym.

Drum westchnął.

- Tak samo jak wielu innych. Ale ciebie przecież wcale nie interesuje prawda. Bo jeżeli przestaniesz obwiniać mnie, to co ci zostanie? W jaki sposób zemścisz się na wolnych narodach? Jak odegrasz się na losie albo na Bogu?

- Robiąc z tobą koniec - odparł z satysfakcją Fitch.

- I z panną Gascoyne? - zapytał cicho Drum. - Chyba widzisz, że nie miała z tym nic wspólnego.

- Nie miała - przyznał Fitch. - Ale teraz to coś innego.

- Panna Gascoyne znalazła się w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwej porze w dniu, kiedy do mnie strzelano - tłumaczył cierpliwie Drum. - Ty także natrafiłeś na mnie przypadkiem. Przypadek sprawił, że oboje natknęliście się na mnie tego dnia. Tak samo było i teraz. Najpierw pomogła obcemu, którego znalazła w rowie niczym bezdomnego psa, i zabrała do domu, by go wyleczyć. Spotkałem się z nią dzisiaj w ogrodach Vauxhall, bo chciałem pokazać jej życie londyńskie, zanim wróci do domu. Nie ma powodu, by ją w to mieszać.

Fitch roześmiał się.

- No właśnie. Mój drogi panie, zamierzam pana zabić. Więc jak mógłbym ją zostawić?

- To jej nie zostawiaj - rzekł krótko Drum. - Weź ją ze sobą. Mówiłeś, że masz na nią ochotę - ciągnął uparcie, ignorując oburzony okrzyk Aleksandrii. - Teraz możesz to zrobić, więc czemu nie?

- Bo ja się nie zgadzam! - zawołała dziewczyna. Drum spojrzał na nią ostrzegawczo, ale ona była zbyt rozgniewana, by zamilknąć. Próbował ratować jej życie, lecz takie rozwiązanie było dla niej nie do przyjęcia. Wydawało się jej też, że ma lepszy pomysł, dzięki któremu może zdołaliby trochę zyskać na czasie. Nie akceptowała myśli o klęsce; gdyby tak miało być, wiele lat temu dałaby za wygraną. Nie wiedziała, co jeszcze może zrobić, ale jeżeli zdoła opóźnić to, co zamierzał uczynić Fitch, może coś się nieoczekiwanego wydarzyć.

- Pan Gascoyne był sprytnym człowiekiem - zwróciła się do Fitcha. - Ufał mi.

Fitch spojrzał na nią.

- I wiedział dlaczego - ciągnęła szybko. - Nigdy nikomu nie powiedziałam o tym, co robi. Nawet kiedy mnie rozgniewał i opuściłam go, nie uczyniłam tego. Umarł spokojnie we własnym łóżku, a nikt nie miał o niczym pojęcia. Tak samo i teraz nie nikomu nie powiem. Bo prawdę mówiąc, co się takiego stało? - spytała z wymuszonym uśmiechem. - Nic. Po prostu przyjechaliśmy tu z panem. Wrócimy i powiemy, że wsiedliśmy do niewłaściwej łodzi i zgubiliśmy się, ot i wszystko. Nie ma powodu, żeby stosować przemoc. Pan pojedzie do Nowego Świata i zacznie życie na nowo, nie obawiając się pogoni. Pan hrabia powiedział, że jest niewinny - ciągnęła desperacko, gdyż Fitch zamarł, przechylając głowę i słuchał jej z uwagą. - Wierzę mu - stwierdziła. - Nie dlatego wcale, że mu ufam. Wierzę mu, bo pan Gascoyne miał harmonogram. Widziałam go - skłamała. - Nazwisko Drummonda nie pojawiło się na nim więcej niż raz czy dwa. Powinien pan widzieć, ile razy inni byli tam wymieniani! Ale Drummond wcale się nie liczył: nie trzymałabym go w moim domu, gdyby było inaczej. W końcu nie darmo byłam córką pana Gascoyne - dokończyła, uśmiechając się sztucznie.

Nie patrzyła na Druma, gdyż nie chciała widzieć jego reakcji. Wiedziała, że niszczy sobie reputację, podając się za zdrayczynię, ale zrobiłaby gorsze rzeczy, by poprawić ich sytuację.

- *Córką?* - zaśmiał się Fitch, szczerząc zęby. - To tak się teraz nazywa? Przecież nie jesteś jego krewną ani też cię nawet nie adoptował.

Aleksandria pobladła. Spojrzała na Druma i przekonała się, że jego twarz jest całkiem pozbawiona wyrazu.

- Nigdy się z tym nie krył - ciągnął Fitch. - Zawsze się zastanawialiśmy, w jaki sposób cię potrafił zatrzymać przy sobie. Był stary, suchy jak wiór i z pewnością nie miał dosyć pieniędzy, aby pozwolić sobie na taką młodą uroczą istotę, kiedy już stanie się pełnoletnia. Jak się okazało, nie umiał tego wcale. Nie masz pojęcia, ile satysfakcji sprawiła mi twoja ucieczka. A jeśli twierdzisz, że widziałas harmonogramy Louisa, to wybaczone, ale nie wierzę. Chełpił się, że nikt w waszym domu



nie ma pojęcia o jego misji. A więc jesteś kłamczucha, nie tylko dziwka. W to ostatnie nie wątpiłem ani przez chwilę.

Odwrócił się do Druma.

- Szkoda czasu. Teraz już wiesz, dlaczego. Zabrałeś mnie i świata kogoś wspianiałego. Ja tylko sprawię, że odrobina błota wróci na dno Tamizy. Dwie odrobiny... cały czas zapominam o pannie Gascoyne. Pozwalał jej się tak nazywać, gdyż dzięki temu mógł się utrzymać na stanowisku nauczyciela. Nie wiedziałeś? - zapytał, widząc, jak w oczach Druma zapłonął gniew. - Jeszcze lepiej.

Znów się odwrócił.

- Dubbin - polecił. - Pilnuj bacznie jego lordowskiej mości. Mam Hake'owi coś do powiedzenia, zanim stąd odpłyniemy.

Ruszył pomostem. Niósł zapaloną latarnię, a gdyby nie to, Aleksandria nie zobaczyłaby drzwi, w stronę których poszedł. Znajdowały się w bocznej ścianie, tam gdzie pomost stykał się z wodą. Otworzył drzwi i wyszedł, zamykając je starannie za sobą i pozostawiając tamtą część pomieszczenia w ciemnościach. Usłyszeli szuranie metalu, kiedy zasunął z zewnątrz zamek.

Zapadła głucha cisza. Aleksandria przestała przejmować się tym, co przed chwilą powiedział Fitch. Żywi mogą martwić się takimi rzeczami, a ona przecież znajduje się o włos od śmierci. Nie pora teraz na wstyd lub zaprzeczenia. Myślała gorączkowo. Nie po to uniknęła w życiu tylu niebezpieczeństw, żeby teraz zginąć z rąk szaleńca, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłoby zmienić bieg wypadków. Masywny Dubbin stał między nią a Drumem, nieporuszony jak skała. Spojrzała na Druma. Zwracał głowę w stronę, w którą udał się Fitch, i wydawało się, że słucha z uwagą. Potem pokiwał głową.

- Dubbin - zaczął swobodnie. - Przykro mi mówić ci o tym, ale sądzę, że twój przyjaciel Hake właśnie udał się na dno Tamizy, a kiedy Fitch wróci, niewątpliwie stanie się to i twoim udziałem.

- Powiedział, że będziesz próbował wszystkiego. Więc daruj se te sztuczki - warknął Dubbin.

- A z jakiego powodu miałyby z nim teraz rozmawiać? - perswadował Drum. - I po co? Wszystko chyba zostało dokładnie zaplanowane, nieprawdaż? I czemu zamknął za sobą drzwi?

- Nie mnie pytać - odparł Dubbin, chrząkając z zadowoleniem. - On płaci, ja robie. Daj se siana.

- On chce stąd odjechać sam - powiedział Drum. - Nie potrzebuje nikogo do wiosłowania albo do chlapania językiem. Słyszałeś ten plusk? Ja tak, chociaż drzwi były zamknięte. Wątpię, żeby którykolwiek z nich zajmował się łowieniem ryb. A Hake chce tylko zarobić parę pensów, to nie jest człowiek, który zaatakuje swego pracodawcę przed wypłatą, co? Fitch jeszcze wam nie zapłacił całości. Nikt tego nie robi przed końcem pracy, prawda?

Spokój, z jakim to mówił, sprawił, że Dubbin przestał się uśmiechać.

- Fitch chce stąd wyjechać i zyskać sobie wolność - ciągnął Drum. - Dlatego właśnie przed chwilą posłał twojego przyjaciela, żeby przekonał się, czy dno rzeki jest wygodne, zanim zrobi to ze mną i z tobą.

Dubbin zmarszczył brwi.

- Sprawdź to, kiedy otworzy drzwi, jeżeli mi nie wierzysz - rzekł Drum, wzruszając ramionami. - Ale pośpiesz się. I uważaj, bo to może być ostatnia rzecz, jaką zobaczysz. On nie chce zostawiać świadków. Zrobiłbyś pewnie to samo, będąc na jego miejscu.

Ostatnie słowa Druma sprawiły, że Dubbin zawahał się. Aleksandria widziała to wyraźnie. Człowiek ten nie umiał myśleć szybko, a jego działania były równie niezręczne i łatwe do przewidzenia. Wykrzywił twarz i powoli odwrócił się w stronę drzwi.

Wtedy ona wkroczyła do akcji. Zerwała się ze skrzynki i rzuciła na niego, pochylając głowę i wpadając na niego z całą siłą, na jaką ją było stać. Uderzenie oszołomiło ją trochę. On tylko zachwiał się lekko i potknął. Jednak jej to wystarczyło. Oparła stopę o jego kostkę i pchnęła. Zatoczył się i odwrócił, kierując cios w stronę jej głowy. Chwyciła go za ra-

mię i ugryzła z całej siły. Równocześnie uniosła kolano, modląc się, by starczyło jej energii na to, co miała zrobić, zgodnie z tym, czego uczyli ją chłopcy. Zrobiła to. Dubbin stęknął i zgiął się wpół. Pistolet wyleciał mu z ręki i upadł na podłogę. Opadła na kolana i chwyciła go, ślizgając się po wilgotnych kamieniach. Powolniejszy od niej mężczyzna odwrócił się, by ją zaatakować znowu, jedną ręką przytrzymując się za nadwyreżone krocze, a drugą zaciskając w pięść.

Kłęcząca, trzymając pistolet w obu dłoniach, kiedy się do niej zbliżał. Uniosła broń, spojrzała w jego wykrzywioną wściekłością i bólem twarz i nacisnęła spust.

Potem zamknęła oczy.

Huk był ogłuszający. Poczwała w dłoniach pieczenie i mocne szarpnięcie. Upuściła pistolet i czekała ciosu, nie ośmielając się spojrzeć. Nie nastąpiło to jednak, więc wreszcie podniosła wzrok. Na tym, co pozostało z twarzy Dubbina, malowało się bezbrzeżne zdumienie. Potem olbrzym cofnął się o krok i spadł z podestu. Aleksandria usłyszała głośny plusk. Czując równocześnie zadowolenie, zgrozę i mdłości, odwróciła się, by spojrzeć z niedowierzaniem na Druma.

Tymczasem on uniesiony był do połowy ze skrzynki. O jego szyję owijała się ręka Fitcha, a druga przystawiała mu pistolet do ucha.

- Bardzo ładnie - sapnął Fitch. Musiał być stoczyć z Drumem walkę, ponieważ oddychał ciężko. - Moje gratulacje, panno Gascoyne. Dobry strzał i odrobina szczęścia. Ten głupiec miał odbezpieczony pistolet; wątpię, żebyś umiała z niego wystrzelić w przeciwnym wypadku. A teraz rzuć broń Dubbina w ślady jego samego. Takie pistolety mają w sobie tylko jeden pocisk. Ale widziałem, że potrafisz walczyć jak wściekła kocica, więc wołę, żebyś nie miała w ręku czegokolwiek, co może nadać się jako broń. Aha, wiedz także, że mój pistolet jest znacznie lepszy. Mogę z niego oddać dwa strzały, co w zupełności wystarczy, żeby dać sobie radę z wami obojgiem, jeżeli mnie nie usłuchasz. Wyrzuć go.

- Nie słuchaj go - powiedział Drum. - Zabierz pistolet

i odejść, Ally. On mnie i tak zabije. Jeżeli zrobisz, co każe, stracisz wszelkie szanse. Spróbuj się dostać do drzwi, przez które wszedł. Nie miał czasu ich zaryglować. Może ci się uda, jeżeli zrobisz to zaraz. Idź! - krzyknął, zanim Fitch zacieśnił uchwyt, dławiąc go.

- Rzucaj! - sapnął Fitch. - Nie będę czekał.

- Nie - wydusił Drum, patrząc na nią z napięciem. Spojrzała w jego niezwykle, lśniące, lazururowe oczy i zdała sobie sprawę, że nie zniosłaby, gdyby to przez nią zgasty. Wątpiła też, by sama i tak pochodziła dłużej po tym świecie, gdyż nie-naładowany pistolet to marna broń, a życie bez Druma byłoby także nikczemne, więc nie było się nad czym zastanawiać. Chyba już to powiedziała. A przynajmniej mogła powiedzieć. Teraz już sama nie miała pojęcia, co myśli lub mówi.

Ale rzuciła pistolet w ślady Dubbina i usłyszała plusk.

- Bardzo dobrze - powiedział Fitch, zwalniając uścisk i pozwalając ciężko oddychającemu Drumowi osunąć się na skrzynkę. - I to nie tylko pod tym względem. Oszczędziłaś mi trudu wypłacenia się Dubbinowi, moja droga. Owszem, ode mnie nie dostałby nic innego niż od ciebie. Pan hrabia miał rację. Właśnie wracałem, załatwiwszy Hake'a, i usłyszałem, co mówił Dubbinowi. Zasłoniłem latarnię Hake'a i wślizgnąłem się tu ukradkiem. Nigdy nie ufałem hrabiemu. I miałem rację. Co za głupcy. Pierwszy z nich dlatego, że zawierzył mi, a drugi, że nie docenił was. Jakże trudno w dzisiejszych czasach o dobrych pracowników! Choć prawdę mówiąc, wcale ich nie szukałem. Potrzeba mi było chciwych na grosz osiłeków. A tych jest bardzo wielu! A więc, które z was pójdzie na pierwszy ogień? - zapytał z namysłem. - Przykro mi, panno Gascoyne - powiedział po chwili. - Sądzę, że chyba ty, bo chciałbym, żeby jego lordowska mość wiedział, co to znaczy być bezradnym, kiedy ginie ktoś, kogo się podziwia. Na tym polega to ćwiczenie.

- Wychowawca do samego końca - rzekł Drum, kiwając głową.

- Będę żył dalej i nauczał o wielkości cesarza - odparł

Fitch. - A ty będziesz uczył ryby, jak jeść twój kłamliwy język. Nie - stwierdził, najwyraźniej podjąwszy decyzję. - Muszę odmówić im tej przyjemności. Nie traficie do wody. Drzwi nie sięgają do samego dna, które jest, co więcej, nierówne, więc codziennie pojawia się tu przypływ i odpływ. Dubbin wkrótce dołączy do Hake'a... Ale ty nie skacz do wody, sądząc, że uda ci się tamtędy wydostać - ostrzegł Aleksandrię. - Musiałabyś zanurkować do samego dna, żeby znaleźć wyjście, a kiedy już by ci się to udało, bez wątpienia znalazłabyś się w stanie takim, jak Dubbin. Zostawię was tu, na pomoście, i nikt was nie znajdzie - powiedział Fitch, jakby do siebie. - Będziecie tu leżeć, dopóki nie zmienicie się w kupę kości. Drzwi na górze są zamknięte na klucz tak samo jak wrota dla łodzi. Ja zarygluję drzwi, przez które wyjdę. Doskonale. W tej okolicy są całe setki opuszczonych magazynów i starych domów. Wy dwoje po prostu znikniecie.

Urwał. Potem uśmiechnął się.

- Nie, skłamałem. Może znajdą was w przyszłym pokoleniu, kiedy rozpocznie się przebudowa. W Londynie zawsze coś poddawane jest przebudowie. Ale w chwili obecnej? Kiedy się nie pojawicie, wszyscy pewnie uznają, że uciekłeś z panną Gascoyne na kontynent, milordzie. Tak. Wszystko pasuje, jeżeli dadzą wiarę bajeczce o tym, że panna jest przyzwoita. Bądź co bądź masz na nią chrapkę... sam to widzę... a nie mógłbyś uczynić jej swoją kochanką, skoro udaje cnotliwą. Należałoby ją poślubić, a gdzie miałbyś mieszkać z tak nikiemną istotą? Oczywiście, złamie to serce twojemu ojcu, ale tak będzie jeszcze lepiej. Ty złamałeś moje.

Nie ma co z nim dyskutować, pomyślała tępo Aleksandria. Jej jedyną nadzieją pozostało to, że Drum, słysząc twierdzenie szaleńca, o tym, iż on, Drum, jej pragnie, domyśli się, że cała reszta jest stekiem bzdur.

- A więc - rzekł dziarsko Fitch. - Mamy coraz mniej czasu. Myślę, że najpierw kolej na pana, milordzie. Zmieniłem zdanie. Wolę wpierv usunąć ciebie, żebyś nie zastosował jakichś swoich sztuczek. Sądzę, że myśl, jak zemścić się na

pannie Gascoyne, kiedy już ciebie nie stanie, będzie dla ciebie równie bolesna, jak oglądanie jej śmierci. To jest to, mogę jej zrobić wiele ciekawych rzeczy, zanim z nią skończę. Odmów ostatnią modlitwę i pochyl głowę. Szybko, bo to nie potrwa długo. Co jest zresztą o wiele bardziej humanitarne niż to, co wy zrobiliście naszemu cesarzowi.

Drum pochylił głowę. Fitch cofnął się o kilka kroków. Aleksandra zamarła, szykując się, by rzucić się na niego i po swoją śmierć, jeżeli tak trzeba.

Zanim się zdążyła poruszyć, uczynił to Drum. Skoczył, odwracając się równocześnie, i uderzył Fitcha łokciem w twarz, a drugą ręką chwycił go za nadgarstek i pchnął do góry. Był znacznie wyższy od Fitcha, gdyż stał na obu nogach... bez łupków. Aleksandria była równie zdumiona i zaskoczona jak Fitch. On jednak oprzytomniał wcześniej.

Drum był młodszy i wyższy, ale Fitch cięższy i miał siły szaleńca. Zaczęli się mocować. Drum, zmagając się z obłąkańcem, usiłował skierować trzymającą pistolet rękę w stronę sufitu. Fitch skrzywił się i zaczął kopać, próbując trafić Druma w złamaną goleń. Drum cały czas trzymał go za rękę, odpychając od siebie, równocześnie próbując uniknąć ciosów wierzgających odnóży Fitcha. Walczyli zawzięcie, a ciszę przerywały tylko ich urywane oddechy. Aleksandria to przybliżała się do nich, to cofała, dostrzegając możliwość włączenia się do walki i tracąc ją w sekundę później. Pistolet znajdował się to niżej, to wyżej.

Fitch wykrzywił twarz, cofnął dolną część ciała i zamachnął się nogą. Jego but trafił prosto w goleń Druma. Ten wypuścił ramię przeciwnika i zrobił krok do tyłu. Z grymasem wściekłości Fitch wycelował do niego z pistoletu. Drum z całej siły uderzył go w twarz, tak że szalenciec zatoczył się w ciemność. Drum ruszył za nim.

Aleksandria porwała latarnię i pobiegła w ich stronę. Obaj mężczyźni mocowali się, teraz leżąc na podłodze. Pistolet zaś leżał obok nich. Chciała go chwycić... a wtedy oni ją zauważyli. Fitch puścił Druma i ruszył na czworaka ku broni. Po

chwili kopnięciem wybił ją dziewczynie z ręki. Pistolet, wirując, poleciał po mokrej posadzce. Rzuciła się za nim, ale porośnięta mchem kamienna podłoga była śliska i broń wkrótce dotarła do krawędzi pomostu i wpadła do wody.

Mężczyźni usłyszeli to. Fitch podniósł się na nogi i dziko przewracając oczami, ruszył w stronę wyjścia. Drum podążył za nim, kulejąc. Spotkali się w chwili, gdy Fitch właśnie otworzył drzwi. Aleksandria widziała ich sylwetki na tle nocnego nieba. Zaczęli walczyć, stękając, aż wreszcie któryś z nich wrzasnął przeraźliwie.

Potem jedna z postaci odbiegła z dzikim okrzykiem, a druga opadła na kolano.

Aleksandria uniosła latarnię trzęsącą się ręką i zobaczyła, że Drum podnosi się i, utykając, podchodzi do drzwi... które zamknęły się mu przed nosem. Chwycił za klamkę, ale zgrzyt metalu powiedział mu to, co do czego upewnił się po chwili, gdy spróbował nacisnąć klamkę. Z rozpaczą uderzył barkiem o drzwi. Nawet nie drgnęły. Zostali zamknięci. Fitch wydostał się na zewnątrz.

Aleksandria podbiegła do Druma. Ten chwycił ją w ramiona.

- Nic ci się nie stało? - powtarzała bez końca. Płuca pracowały mu niczym miechy, czuła, że całe jego ciało drży, ale był ciepły, oddychał, żył.

Pogłodził ją po głowie.

- Nic - powiedział. - Nie płacz.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wstrząsa nią szloch. Odetchnęła głębiej, a potem szeroko otworzyła oczy. Szarpnęła go, starając się go wciągnąć w głąb ciemności.

- On wróci, on wróci! - zawołała. - Chodź, ukryjmy się, on tutaj wróci!

- Nie - odparł, a w jego głosie dało się słyszeć znużenie. - Nie, nie wróci. Zadałem mu śmiertelny cios. On już nigdy nie wróci, uspokój się - powiedział, ujmując jej twarz w dłoń. - Uwierz mi, naprawdę tak jest. Znam się na tym. Popatrz. - Pokazał jej długi, złowieszczy sztylet. Jego ostrze nie było czyste.

- Miałem go w łupkach - powiedział. - Wyżłobiliśmy w nich

rowek, bo ja przecież byłem tajnym agentem, a człowiek, który wykonuje podobne zajęcie, musi być zawsze przygotowany. Pracowałem przeciwko Napoleonowi... chociaż go nie otrułem, jeżeli rzeczywiście zginął od trucizny. Ale zawsze istnieje szansa, że pojawią się jacyś mściciele, więc lepiej mieć przy sobie coś do obrony. Straciłem pistolet i mały nóż, a także szpadę, którą miałem w jednej z kul, ale na szczęście pozostało mi to. Wsunąłem go do rękawa, zanim Dubbin zaczął oglądać łupki. I jak widać spełnił swoje zadanie. Doznawszy takiego ciosu, człowiek może się poruszać, biec, a nawet mówić - rzekł. - Ale tylko przez krótki czas. W tej chwili Fitch już jest martwy. Gotów jestem postawić na to moje życie. Tylko ile jest ono warte? - zapytał ze znużeniem. - Co więcej, postawiłbym na to i twoje. Serce nie może bić, gdy zostanie przekłute. Ally. Zaufaj mi. On już nigdy nie wróci. O świcie znajdą go unoszącego się na Tamizie razem z Dubbinem i Hake'em. Albo leżącego na dnie łodzi. Już po nim.

Odetchnęła lżej i ukryła twarz na piersi Druma. Gładził ją po włosach, aż trochę się uspokoiła. Wtedy poczuł, że nagle zeszywniała, i wiedział dlaczego.

Zrozumiała wreszcie to, z czego on zdał sobie sprawę, kiedy próbował dotrzeć do drzwi, zanim Fitch je za sobą zamknie.

Teraz już nikt nie wiedział, gdzie się znajdują... ani przyjaciele, ani też nawet wrogowie.



Aleksandria wiedziała, że powinna się martwić. Nie, raczej należałoby rozpaczać. Zostali zamknięci bez jedzenia i wody i nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Ale nie potrafiła zdobyć się na panikę. Nie, kiedy była w ramionach Druma.

Oparła się o jego pierś. Krawatka rozwiązała mu się podczas bijatyki, a surdut rozpiął. Koszulę miał z najlepszego płótna, więc była cienka, a ciepło jego ciała tak bardzo koiło jej lodowaty policzek. Słyszała równomierne bicie serca i czuła zachwycająco odmienny kształt jego ciała. Rozważała w myśli różnice między nimi dwójkiem. Pachniał jak dżentelmen, dobrym mydłem i krochmalonym płótnem, a także, leciutko, drzewem sandałowym.

Cudownie było oprzeć się o niego i czuć jedną jego dłoń na plecach, a drugą, gładzącą jej włosy... dopóki sobie tego nie uświadomiła. Wtedy poczuła niepokój. To jest hrabia Drummond, wielki pan, stojący o tyle wyżej od niej. A także Drum, człowiek, z którym żartowała i śmiała się, a równocześnie przedmiot jej najskrytszych marzeń, choćby nie wiem jak się przed tym broniła. Ten wysoki, szczupły mężczyzna był jej ideałem, a teraz znalazła się tak blisko niego.

Powinna się od niego odsunąć, lecz nie zrobiła tego. Postanowiła skorzystać z tej ostatniej szansy na odczucie niezwykłej przyjemności, której on nigdy się nie domyśli, a cokolwiek się z nimi stanie, nigdy więcej już się jej nic podobnego nie przytrafi.

Przytuliła się mocniej. Jednak jego bliskość i jej własne myśli sprawiły, że znienacka jej ciało obudziło się. To zaś przywróciło ją do przytomności. Modliła się, żeby nic nie za-

uwążył, żeby pomyślał, że ten dreszcz to od chłodu. Odsunęła się wreszcie.

- To co teraz? - spytała gwałtownie, patrząc w bok, nie mogąc mu spojrzeć w oczy i usiłując ukryć zakłopotanie.

Nic chyba nie spostrzegł. Opuścił ręce i rozejrzał się.

- Weźmy te latarnie, zanim się wypalą do końca, i sprawdźmy, czy nie ma jakiegoś wyjścia. Co prawda wątpię w to. Fitch był zbyt dokładny i zbyt z siebie zadowolony. Jednak musimy się upewnić. Weź jedną z tych lamp i idź w lewo. Wejdź też na te schody. Powiedział, że na górze drzwi są zaryglowane, ale nigdy nie wiadomo. Ja pójdę w prawo, a potem spotkamy się tutaj i porównamy nasze odkrycia. Pośpiesz się - rzekł i dodał: - Jeżeli coś cię przestraszy, krzycz i wracaj tu biegiem.

- Nie - zaprotestowała. - Ja pójdę w jedną stronę, a potem w drugą. Ty zostań tutaj. Chodzi o twoją nogę - wyjaśniła, gdy zmarszczył brwi. - Nie rozumiem, jak wytrzymałeś przez tyle czasu, ale lepiej jej nie nadwyręzać.

Uśmiechnął się.

- Nic się nie bój. Myślę, że już się zrosła. A przynajmniej sprawia takie wrażenie i nie zawiodła mnie, gdy jej potrzebowałem. Boli mnie tylko dlatego, że mięśnie się zastały. Od jakiegoś czasu obciążałem ją stopniowo, żeby zaskoczyć doktora, kiedy zdejmą mi łupki. A także dlatego, że nienawidzę poczucia bezradności - przyznał. - Nie patrz na mnie tak, jakbym był jednym z twoich chłopców. Nic nie ryzykowałem. I tak mieli je zdjąć mniej więcej za tydzień.

- Ale Fitch kopnął cię! Widziałam!

Skrzywił się na to wspomnienie.

- Owszem, odczułem to. Tylko że on trafił mnie w drugą nogę. Wszystko jedno, grunt, że teraz sobie poradzę. Chodźmy, szkoda marnować światło.

Odwrócił się i ruszył w prawo. Przygryzła wargę, widząc, jak mocno kuleje. Nie widziała, która noga bardziej go boli, ale posuwał się nierównym krokiem. Zatrzymał się i odwrócił do niej, a wtedy zobaczyła, że się uśmiecha. Usiadł na skrzynce i zaczął ściągać but.

- Trudno stać prosto, kiedy się ma but na jednej stopie, a druga jest bosa - powiedział, postępując. - Grimes uczciwie zara-bia na chleb; diabelnie trudno jest ściągnąć... No, nareszcie!

Zdjął but i odrzucił go na bok, jakby nie został wykonany z najlepszej hiszpańskiej skóry.

- Teraz wreszcie znalazłem się na równym poziomie - oznajmił, wstając. Jedną stopę miał bosą, a drugą w skarpetce. Zauważył to i podniósł wzrok, by to skomentować. Wtedy zobaczył wyraz twarzy dziewczyny.

- Ally, nie martw się - powiedział łagodnie. - Owszem, nasza sytuacja jest nie najlepsza. Ale wydostaniemy się stąd. Zaraz przyjdzie nam coś do głowy, prawda?

Ruszył trochę niepewnie w mrok. Jego latarnia rzucała na wszystkie strony skaczące cienie. Zbliżył się do schodów i zatrzymał się. Stopnie były wysokie i wąskie, wykonane z zimnego, nieprzyjaznego kamienia. Jednak zaczął się po nich wspinać z pewną łatwością. Aleksandria odetchnęła z ulgą, sięgnęła po drugą latarnię i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Pokonawszy pięć stopni, Drum spojrział przez ramię. Poszła. Zatrzymał się, pochylił i skrzywił, przeklinając swoje uszkodzone nogi, szalonego Fitcha i los.

Bolały go obie. Jedna gdzieś w środku, bo nieużywane od miesięcy mięśnie zastały się, a każdy krok o tym przypominał. Druga, bo Fitch nosił ciężkie buty i trafił go w goleń. I tak ma szczęście, że kość nie została złamana. Ale żyje. Może stać na obu nogach. I Ally została przy życiu. I tak trzymać.

Martwił się o nią bardziej niż o siebie. Ally jest bystra i wie, że znaleźli się w groźnej sytuacji, ale wątpił, by zdawała sobie sprawę z całej jej powagi. Nie może pozwolić, by to zrozumiała, gdyż on sam nie miał pojęcia, czy zdołają się w porę stąd wydostać. Fitch i jego pomocnicy nie żyją. Drum wątpił, by poinformowali jeszcze kogoś o swoich zamiarach, więc rzeczywiście nikt nie ma pojęcia, gdzie oni, Drum i Ally, się znajdują. Było tu wiele opuszczonych budynków. A co więcej, w Londynie istniała niejedna podobna okolica. Londyn jest ogromny.

Przyjaciele i rodzina z pewnością rozpoczną poszukiwa-

nia, ale ile czasu im zajmie odkrycie właściwego miejsca? I w jakim stanie będzie para więźniów? Jak długo on i Ally mogą przeżyć bez jedzenia i wody? Tamiza stanowiła główną arterię Londynu, ale Drum nie sądził, by ktokolwiek przy zdrowych zmysłach z niej pił.

Dziwił się, że w ogóle przeżyli. Nie udałoby się to, gdyby nie pomoc Aleksandrii. Cekał na właściwą chwilę, hamując gniew, znosząc upokorzenia, zachowując dla siebie fakt, że może chodzić, gdyż tylko w taki sposób zaskoczenie odniosłoby największy efekt. Tymczasem ona z jakąś odwagą spróbowała rozbroić Dubbina. Co więcej, powiodło się jej. Stało się to tak szybko, że pokrzyżowało jego własne plany. Nie spodziewał się, że strzeli, gdy Dubbin się na nią rzucił, wiedział tylko, że musi ją chronić. Dlatego bez Zastanowienia skoczył na równe nogi... a Fitch chwycił go od tyłu za gardło, zanim zdążył uczynić choć jeden krok.

Potem znowu musiał czekać, gdyż nie była to właściwa pora, by uzmysłować Fitchowi, że jest znowu zdolny do walki.

Bogu dzięki, że miał ten sztylet. I niech diabli wezmą Fitcha i jego intrygi.

Wyprostował się, krzywiąc się, i ruszył dalej na górę. Ally zaraz wróci, a on nie chciał, żeby została sama. Zawsze ją podziwiał, ale teraz tym bardziej. Jednak kiedy dowiedział się, że nie była córką Gascoyne'a, lecz jego kochanką, przeżył szok.

Świadomość ta leżała mu ciężarem na sercu. Znał już tę dziewczynę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że kimkolwiek była dla Gascoyne'a, nie wynikało to z jej własnego wyboru. Znajdy niewiele miewały szans w życiu. I tak się jej udało, że nie wepchnięto jej do domu publicznego, zmuszając do obsługi liczących mężczyzn. Stanowisko kochanki jednego było w porównaniu z tym luksusem. Myśl ta sprawiła, że przeszedł go dreszcz. Bystra i urocza Aleksandria, która, dzień po dniu, zmuszona jest zadowalać obcych mężczyzn... Nie chciał sobie tego nawet wyobrazić, ani też tego, co robiła, żeby zachować dach nad głową, kiedy mieszkała z Gascoyne'em.

Świat jest okrutny, a ona przynajmniej zdobyła wykształ-

cenie, powiedział sobie, ale współczuła jej całym sercem. Jaka szkoda, pomyślał, jak czynił to wiele razy od czasu, kiedy ją poznał. Gdyby los zrządził inaczej...

Myśli te sprawiły, że poczuł złość na siebie, a dzięki temu ulgę. Gotów był myśleć o tej dziewczynie jako córce nauczyciela, gdyż dzięki temu można ją było akceptować, bo chciał, żeby w Londynie znalazła sobie jakiegoś konkurenta... Nie. Zbyt blisko znalazł się śmierci, by oszukiwać się dłużej. Sprowadził ją do Londynu, gdyż chciał mieć ją przy sobie. A tymczasem czego się o niej dowiedział?

Nie winił jej, że nie wyjawiała mu prawdy. Ale stanowiło to dowód, iż ta dziewczyna nie jest dla niego, choćby nie wiadomo jak bardzo jej pragnął. Tego też nie mógł już dłużej ukrywać przed samym sobą. Kiedy ją trzymał w ramionach, drżąca i zapłakana, poczuł, że całe jego ciało budzi się do miłości.

Była zmarznięta, ale gdy się trochę ogrzała, poczuł słodki zapach kapryfolium. Ociepliło to trochę to ponure miejsce, ale znacznie bardziej ożywiło jego serce. To męka mieć ją tak blisko, czuć jędrne piersi, gładkie ramiona, bujne ciało. Doznał ulgi, gdy się od niego odsunęła, gdyż w przeciwnym wypadku musiałyby wykryć, jak bardzo jej zapragnął.

Zdumiało go to. Przeżył wstrząs, gdyż cały jego organizm tak silnie odpowiedział na jej bliskość.

Dopiero co uniknęli śmierci, i stąd się to wzięło, powiedział sobie. Tak wiele razy znajdował się w niebezpieczeństwie, że dobrze o tym wiedział. Spełnienie fizycznych pragnień jest najlepszym sposobem, w jaki człowiek może udowodnić, że jeszcze żyje. Tymczasem on musi to pokonać. Ta dziewczyna zasługuje na coś więcej niż jego przelotne pożądanie, należy ratować jej życie. Jeżeli to osiągnie, to niech stąd odejdzie wolna, tak samo i on nie powinien mieć wobec niej zobowiązań.

Jest dżentelmenem, ale też chodziło o coś jeszcze. Nie był człowiekiem dla niej... wiedział o tym, kiedy uważał, że jej życie było nudne, lecz godne. A jeśli przez chwilę hołubił myśl, że nadawałaby się doskonale na kochankę, szybko ją zdołał stłumić. Nie będzie kolejnym rozdziałem jej żalösnej historii.

I jeszcze jedno. Wcale nie jestem aż taki szlachetny, pomyślał gorzko. Albowiem, mówiąc szczerze, to gdyby raz ją posiadał, nie mógłby już bez niej żyć, ani sam, ani z inną kobietą. Ich sytuacja była od początku beznadziejna, choć on cały czas usiłował znaleźć jakiś sposób, aby to zmienić. Ale może jej coś ofiarować. Ocali jej życie. Musi tylko wykryć, jak, bo jak się okazało, drzwi u góry schodów były zamknięte.

Kiedy zszedł na dół, czekała, siedząc na skrzynce. We wszechobecnym mroku przygasły nawet barwy jej uroczej, różowej sukni. Latarnia, której używała, zgasła. Dziewczyna pokręciła głową.

- Ciągnęłam z całej siły, ale te drzwi nawet nie drgnęły. Chyba je zamurowano, a nie ma stąd innych wyjść - powiedziała szybko, co kazało mu się domyślać, że jest na skraju paniki.

- Na pewno coś znajdziemy - powiedział z przekonaniem, którego wcale nie czuł. - Mam parę pomysłów. Zaraz wypróbujemy jeden z nich.

Sięgnął po latarnię i poszedł do drzwi, które omijał Fitch. Przyklęknął i przeciągnął dłońmi po ich bokach. Wykonano je z mocnego drewna, ale były już stare, a w pomieszczeniu panowała wilgoć. Dlatego też spaczyły się nieco. Wydobył sztylet. Wsunął go między skrzydło a framugę i przesuwiał do góry. Nie szło mu to zbyt łatwo, chociaż drzwi nie były idealnie dopasowane. Miejsca starczało tylko na sam czubek sztyletu. Zacisnął zęby i przesuwiał powoli ostrze... aż wreszcie natrafił na przeszkodę. Był pewien, że jest to zasuwa, zamknięta z drugiej strony.

- Myślisz, że mógłbyś je podnieść? - zapytała za jego plecami Ally.

Potrząsnął głową, nie odwracając się.

- Mogę spróbować. Jeżeli mi się nie uda, mogę przekonać się, ile tam jest miejsca, może uda nam się wepchnąć tam coś mocniejszego, może... - zaklął przez zęby.

- Co się stało? - spytała bez tchu, przyklękając.

Odetchnął i wydobył nóż, by jej pokazać. Czubek odłupał się.

- Cóż - powiedział Drum. - To był tylko jeden pomysł. Wpadłem też na inne. Możemy rozłupać te drzwi i dotrzeć do zasuw.

Milczeli przez chwilę. Mieli tylko ten jeden nóż. Drzwi składały się z twardych, dębowych desek. To mogłoby zabrać im wiele godzin, a nawet dni. Bez słowa zastanawiali się, czy starczy im czasu.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział szybko. - Ale teraz wypróbuję coś, co nie jest moim najlepszym pomysłem.

Sięgnął do kieszeni i wydobył zegarek.

- Bez wątpienia Dubbin miał na niego chrapkę - mruknął. - Na szczęście nie podwędził mi go, bo Fitch go pilnował. To jest prezent od ojca i nie raz mi się przydał. Wielki Boże! Już po północy. Nic dziwnego, że myśli mi się płaczą. Rano pójdzie mi znacznie lepiej, zwłaszcza jeśli w ciągu dnia wpada tu trochę światła. Jeżeli tak, to z pewnością zobaczymy więcej i więcej osiągniemy. Powinniśmy też oszczędzać latarnię. Moim zdaniem należy teraz iść spać.

- Spać? - zdumiała się, patrząc na niego, jakby oszalała.

Zaśmiał się.

- Tak. To całkiem możliwe. Sypiałem już w gorszych miejscach i gorszych okolicznościach, wierz mi, jeśli chcesz. W trudnych chwilach nie tylko ciało, ale i umysł potrzebuje odpoczynku. I tak musimy poczekać do świtu. Wolisz siedzieć i rozmawiać przez całą noc?

- Tak - szepnęła.

- Nie - zaśmiał się i wstał. Podał jej rękę. - To tylko nas jeszcze bardziej wyczerpie i zdenerwuje. Potrzeba nam całej przytomności umysłu, żeby się stąd wydostać.

- Ale spać? - spytała ze zdumieniem. - Gdzie? Na podłodze?

- Niezupełnie - odparł, opierając ręce na biodrach i rozglądając się po wielkim pomieszczeniu.

W końcu dostrzegł w kącie dużą skrzynię i przeciągnął ją w pobliże drzwi, ale trochę z boku, tak żeby ktoś, kto wejdzie, nie zobaczył ich w pierwszej chwili. Przewrócił ją, tworząc coś jakby grotę. Schylił się, wszedł do środka i, kucając,

zjął surdut i położył na deskach. Potem wycofał się, przycisnął lampę i zostawił ją przy wejściu do skrzyni. Skłonił się.

- Oto twoja komnata, pani - powiedział. - Szkoda, że nie ma kołdry, ale przynajmniej nie będziesz musiała leżeć na podłodze. Poza tym ochroni cię przed przeciągami... i wszystkim innym - dodał wymijająco.

Nie chciał jej mówić, że schronienie mogą znajdować tu inne szkodniki prócz tych, z którymi mieli dzisiaj do czynienia. Ludzie opuścili tę dzielnicę, ale szczury z pewnością pozostały. Nie powiedział też, że on nie zmruży oka. Pozwolił sobie na odpoczynek, ale nie tracąc czujności.

Fitch nie żyje: takiej rany nie przetrwałby żaden śmiertelnik. Ale nie wiadomo, kto jeszcze może odwiedzać to miejsce? Szczury wodne miewają najrozmaitsze rozmiary, postacie i gatunki. Nad brzegami Tamizy chronili się ulicznicy, zbieracze i ścierwojady, którzy żyli z tego, co znaleźli nad rzeką. Grasowali tu także włóczędzy, złodzieje i wszelkiego rodzaju hołota.

- Mam w tym spać? - spytała.

- Tu będzie lepiej niż na zewnątrz - odpowiedział. - Drewno chroni przed chłodem.

- A ty?

- Będę obok. - Zauważył wyraz jej twarzy. - Chcesz, żebym spał na schodach? Alty, tak naprawdę będzie bezpieczniej. A jeśli chodzi ci o to, że znaleźliśmy się w kompromitującej sytuacji, to wątpię, żeby mogło być gorzej.

- Nie to miałam na myśli - odparła z zakłopotaniem.

- Ale ja, tak. Kiedy świat dowie się, że zostaliśmy porwani, uwięzieni i grożono nam pozbawieniem życia, ludzie wezmą pod uwagę kwestie przyzwoitości. Ja nigdy nie posunąłbym się za daleko, o czym sama wiesz. Chcę jednak być w pobliżu, by móc cię pilnować. Kiedy uwolnimy się, możemy udawać, że byliśmy cały czas związani albo nieprzytomni. Nie pozwolę, by dotknęły cię plotki. Ale najpierw musimy się stąd wydostać, a reszta w porównaniu z tym jest fraszką. Więc teraz idź już spać, proszę. Jutro czeka nas pracowity dzień.

Spostrzegł jej niezdecydowanie i dodał:



- Jeżeli musisz iść za potrzebą, to możesz uczynić to w tej chwili.

- O nie! - zawołała. - Wstrzymam... to znaczy, nie muszę... o Boże! - wyjąkała. - Wiesz, o co mi chodzi. Teraz mogę wytrzymać.

Zaśmiała się.

- Nie potrwa to długo i nie chcesz chyba robić tego w ciemnościach? Idź teraz, odprowadzę cię, a potem wrócę tutaj. Zawołasz mnie, jak będzie po wszystkim, i wtedy przyjdę po ciebie. Alty, jesteś przecież rozsądną kobietą. Nie chcesz chyba męczyć się przez całą noc?

Zaśmiała się. Potem zaprotestowała. W końcu jednak pozwoliła mu odprowadzić się pod najdalszą ścianę, odczekała, aż odejdzie, a następnie szybko zrobiła, co należało. Sytuacja była znacznie gorsza, niż pozwoliła mu wierzyć. Minęło już kilka godzin od czasu, gdy odwiedziła ustronne miejsce w ogrodach. Teraz zaś dokuczały jej niewygodna i skrzypienie. Na szczęście miała chusteczkę do nosa i nie zawahała się jej użyć.

Kobietom zawsze jest gorzej, pomyślała ponuro. On też pewnie był rad, że oddaliła się na chwilę, gdyż mógł z tego skorzystać w podobny sposób. Tyle tylko, że miał dla siebie całą Tamizę, a ona musiała kryć się w ciemnym kącie... gdzie coś małego skrobało pazurkami po kamieniach. Odskokczyła, najszybciej jak mogła, i zawołała do Druma, żeby po nią przyszedł.

- Myślisz, że mogłabym umyć ręce i twarz, zanim się położę? - spytała, żeby cośkolwiek powiedzieć, gdy wracali do jej zaimprovizowanego buduaru. Czuła się niezręcznie i chciała przerwać milczenie. Oczywiście, mężczyźni wiedzieli, że kobiety muszą załatwiać swoje naturalne potrzeby, ale nie był to temat, jaki poruszały w ich towarzystwie. Przyszło jej do głowy, że życie jest absurdalne, a przynajmniej jej życie. Ze wszystkich stron ograniczały ją nieistotne drobiazgi. Być może ją i Druma czeka śmierć, a ona martwi się, że on wie, iż się załatwiła!

- Nie radzę pić tej wody - odparł. - Ale jeśli chcesz zmoczyć chusteczkę do nosa i umyć się, to myślę, że możesz.

- Nie mam chusteczki - wyznała.

Damy zawsze je noszą, pomyślał, a potem przypomniał sobie podstawowe zasady biologii.

- Weź moją. Nie krępuj się, wypłuczę ją i wykorzystam, jak skończysz. - Uśmiechnął się, kiedy chwyciła chusteczkę i przyklękała na skraju pomostu, żeby ją zmoczyć.

Przypilnował, żeby nie wpadła do wody, a potem sam się nieco odświeżył. Gdy skończył, przekonał się, że Ally siedzi na krawędzi wejścia do skrzyni.

- Nie chce mi się jeszcze spać - powiedziała półgłosem.

- Boisz się? - spytał, siadając obok niej i wyciągając przed siebie bolącą nogę. - Nie trzeba. Jestem przy tobie i mogę używać obu kończyn dolnych. Więc nie musisz się niczego lękać. Rano zaświeci słońce i na pewno coś wymyślimy.

- Mam nadzieję. Ale teraz naprawdę nie mogłabym zasnąć. - Odczekała chwilę, a potem dodała: - Trudno w to uwierzyć, prawda? Dopiero co bawiliśmy się świetnie w eleganckim ogrodzie publicznym, a zaraz potem okazało się, że ktoś chce nas zabić. Trudno przypuszczać, że tyle brzydota może pojawić się obok takiego piękna.

- Tak to już jest. - Wzruszył ramionami. - Brzydota to odwrotna strona piękna, tak jak śmierć jest przeciwieństwem życia. I jedno, i drugie może pojawić się wtedy, gdy się najmniej spodziewamy.

- A co ty możesz wiedzieć o brzydocie? - mruknęła jakby do siebie.

Spojrzał na nią z takim zdziwieniem i urazą, że przestraszyła się swojej szorstkości.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała. - Miałam na myśli to, że skoro jesteś dżentelmenem, to...

Ujął jej dłoń.

- Nie przepraszaj. Masz rację. Znalazłem brzydotę, ale musiałem sam jej poszukać. A nawet wtedy nie dotknęła mnie ona osobiście... a przynajmniej nie aż tak jak teraz. Widziałem wojnę, biedę i ból. Zdarzało mi się też znaleźć w niebezpieczeństwie. Ale zawsze zachowywałem dystans, nawet kiedy mogło się to dla mnie źle skończyć. Prawdę mówiąc,

do tej pory żyłem... i wiesz co? Właśnie zrozumiałem, że do tej pory brzydota tak naprawdę mnie nie dotoczyła.

- Bo czujesz się za mnie odpowiedzialny.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Chyba tak - powiedział. - Czy nie chciałybyś już iść spać?

Pokręciła głową. Wciąż jeszcze nie puścił jej ręki. Robiło się coraz chłodniej, a ciemności osaczały ją ze wszystkich stron. Jedynym źródłem światła, a także nadziei, była latarnia. Aleksandria nie chciała, by zgasła, ani też nie pragnęła opuścić boku Druma. Czuła jego ciepło, ale mimo to zadrżała.

Ogarnął ją ramieniem.

- Zimno? Mokra tu jak w przydrożnym rowie. Szkoda, że nie mam płaszcza. Przysuń się do mnie.

Siedzieli w milczeniu. Lekki chłupot wody brzmiał kojąco, ale od czasu do czasu dało się słyszeć piski i szurania, które sprawiły, że Aleksandria mocniej przywarła do Druma. Ten zaś w duchu pobłogosławił myszy i nie poluzniał uścisku.

- Drum - powiedziała po chwili. - On mówił nieprawdę.

Odwrócił się ku niej.

- Nie byłem adoptowaną córką pana Gascoyne; nigdy w żaden sposób nie zalegalizował mojej obecności w swoim domu. Nie rozpowiadałam tego, ponieważ było mi wstyd. Ale to jest jedyna rzecz, o której ci nie powiedziałam. Nie byłam jego kochanką ani niczym takim. Jednak mogłam nią zostać. Dlatego właśnie odeszłam. Chcę, żebyś to wiedział. - Głos jej się załamał. - Kto wie, co przyniesie nam jutro? Było mi wstyd, dlatego nic ci nie mówiłam, ale teraz nic nie chcę ukrywać, skoro... skoro to przecież nie ma sensu. No i właśnie dlatego nie miałam szans na zamążpójście. Ale pragnę, byś wiedział, że nigdy z nim nie spałam.

Chciał jej powiedzieć, że przecież to nieważne, ale przecież znaczyło to dla niego wiele, więc milczał.

- Pocałował mnie... no, nawet może nie to - ciągnęła z uporem. - Nie dotknął mnie ani nie powiedział nic, co kazałoby mi sądzić, że jestem dla niego czymś więcej niż nianią dla malców i gospodynią domu. Jednak przez kilka ostatnich lat wi-

działam, że mnie obserwuje. Nigdy nie mówił o przyszłości, ale raz, kiedy jeden z miejscowych chłopców zaczął przesiadywać dłużej w kuchni, kiedy już dostarczył zamawiane produkty, pan Gascoyne powiedział mi, żebym go nie zachęcała. Podał różne powody, wszystkie bez wątpienia bardzo rozsądne. Na koniec dodał, że ma wobec mnie wielkie plany, jeżeli będę się dobrze sprawować. Uwierzyłam mu. A potem, w kilka dni po urodzinach, jakie przydzielił mi sierociniec, kiedy uznałam, że mam lat osiemnaście, myłam w kuchni naczynia po kolacji. Chłopcy poszli już spać. - Przełknęła ślinę i ciągnęła dalej: - To był taki niewielki gest - powiedziała żałośnie. - Ale zmienił wszystko! Poczułam coś na szyi i nie mogłam uwierzyć. Przyłożył mi usta do karku! Zamarłam, to było okropne. Dostałam gęziej skórki. Uważałam go za swego ojca, nie, nawet i nie to. Ale prawie, rozumiesz? Odwróciłam się ze zdziwieniem, a on się zaśmiał. „Czas nadszedł” - powiedział. Starał się być filuterny! Był to niezwykły ale też okropny widok. „Aleksandrio” - rzekł i skłonił się. - „Jesteś dobrą dziewczyną i ciężko pracujesz. Tak. Moim zdaniem czas nadszedł. Czy chcesz zostać moją żoną?” Musiał wreszcie dostrzec wyraz mojej twarzy, bo przestał się uśmiechać i ciągnął zwykłym tonem: „Uznałem, że mogę uczynić cię panią Gascoyne, żebyś mogła tu dalej mieszkać. Bądź co bądź już jesteś dorosła, a ludzie lubią plotkować”. Cóż - mówiła dalej, wbijając wzrok w splecione dłonie. - Możesz to sobie wyobrazić. Odmówiłam. Zgorszył się i oburzył. Powiedział, że nie zechce mnie u siebie trzymać, jeżeli się nie zgodzę. Niech nie będę głupia i nie odrzucam jedynej szansy na zostanie przyzwoitą kobietą. Stwierdził, że wszyscy wiedzą, że mieszkam z nim bez przyzwoitki, i uwierzą w najgorsze, jeżeli im powie, że mnie nigdy nie adoptował, i że to zrobi. Kiedy zapytałam, co pomyśla o nim, oznajmił, że mu pogratulują, iż uczynił ze mnie uczciwą kobietę. Jeśli tego nie zrobi, będą gardzić mną, bo kim się wtedy okażę? Dodał, że bez niego jestem niczym. W końcu nazwał mnie... wieloma określeniami. I stwierdził, że ma nadzieję, iż rano ujrzę sprawy w innym świetle. Zrobiłam

to - rzekła krótko. - Spakowałam się i wyjechałam. Udałam się do Bath, mając nadzieję, że znajdę schronienie u przyjaciółki z domu podrzutków. Utrzymywałam z nią kontakt listowny. Poślubiła właściciela sklepu z galanterią. Powiedziałam Kitowi i Vincentowi, dokąd jadę, a oni obiecali, że mu tego nie zdradzą. Jednak minęło tylko kilka dni, kiedy przyjechał posłaniec z wieścią, że pan Gascoyne poszedł mnie szukać i przeziębził się. Potem choroba zaatakowała płuca. Kiedy wróciłam, już nie żył. Więc, jak sądzę, zabiłam go.

Łzy spływały jej po twarzy strumieniami.

- Ale ja nie mogłam go poślubić. Dał mi tak wiele, a ja nie mogłam!

- Ach, Ally - powiedział Drum, przytulając ją. - Nie płacz. Oczywiście, że nie mogłaś. I nie zabiłaś go.

Odwróciła się i ukryła twarz na jego piersi. Przygarnął ją mocniej. Świat jest okrutny i zimny. Zawsze o tym wiedział, ale jak sam stwierdził, nigdy tego osobiście nie doświadczył. Teraz współczuł jej aż do bólu. Kołysał ją lekko, starając się ją uspokoić.

I to był pierwszy błąd, jaki popełnił.

Była ciepła, pachnąca i pojętna. Odważniej szał, niż sobie wyobrażał, choć znał jej dzielność. Drum czuł, że co chwila wstrzymuje oddech, żeby nad sobą zapanować. Przypomniął sobie, jak kiedyś uspakajał Maksa, syna swego przyjaciela Ewena, ale to było czymś zupełnie innym. Ciało Aleksandrii przywoływało na myśl nieco odmienne sprawy, tak że nie mógł zapomnieć, kogo trzyma w objęciach. Ani też z jakiego powodu.

Zapadła już ciemna, głęboka noc, a on wiedział aż nazbyt dobrze, że może być ich nocą ostatnią. Wydało mu się, że są ostatnimi istotami ludzkimi na nagiej, opustoszałej planecie. Nie mógł uwierzyć, że śmierć może zabrać tę dzielną, bystrą, pełną energii kobietę, mimo jego najszczęśliwszych wysiłków. Jednak brak pożywienia i brudna woda... Zaciśnął dłonie, jakby w ten sposób miał utrzymać Aleksandrię przy życiu. Zaczęła się uspakajać, jakby wiedziała, o czym właśnie on myśli. Potem podniosła głowę i spojrzała na niego.

Powtórzył sobie, że jest dżentelmenem, że powinien nad sobą panować, że następnego dnia być może znajdą się na wolności, chociaż przyznawał, że równie dobrze nie wyjdą stąd żywi.

Potem opuścił głowę i pocałował ją, tak jak pragnął tego już od dawna, gdyż ten pierwszy raz miał stać się zarazem ostatnim.

Było to znacznie więcej, niż sobie wyobrażał.

Wzbudził jej zachwyt. Czuł to w dotyku jej warg. Chętnie podążała za nim, gdziekolwiek ją prowadził, dodając swą słodycz do bogactwa jego doświadczenia. Oczekiwał desperacji. Otrzymał uniesienie. Jej miękkie wargi rozchyliły się

pod dotykiem jego ust, pozwalając mu poznać ich smak. Tyle miała w sobie zachwyty i przyjemności, że kiedy przerwał na chwilę, by złapać oddech, uśmiechnął się do niej... i pocałował ją znowu.

Wiedział, oczywiście, że powinni przestać jak najprędzej, lecz było to niemożliwe. Chociaż zawsze panował nad sobą i swoim ciałem, nigdy nie musiał przerywać aktu miłości. Jednak nigdy też nie było tak jak teraz. Nie zaczynał aktu z kobietą, gdy nie był pewien, czy dane mu go będzie dokończyć.

To jest Aleksandria, powiedział sobie w duchu, czując, jak pod jego ręką przechodzi ją drżenie. Gdyby się odsunęła, mógłby przestać. Gdyby jej drobne, zręczne dłonie nie opierały się na jego szyi, jak gdyby chciała skłonić go do dalszych starań, równie spragniona jak on. Cokolwiek mówiła, nie jest niedoświadczona, pomyślał Drum, walcząc ze sobą, starając się opanować narastające pożądanie. Niewinna panienka nie przytulałaby się tak namiętnie ani też nie odchyłałaby tak głowy, gdy jego wargi spoczęły na jej ustach.

Z trudem odsunął się od Aleksandrii, starając się odzyskać swoje sławetne panowanie nad sobą. Cofnął się lekko, ale nie potrafił oderwać od niej rąk. Patrzyła na niego spod półprzykniętych powiek, oddychając szybko. Opanował się na tyle, żeby sobie przypomnieć, że los tej kobiety znalazł się w jego rękach. Co więcej, pochodziła ze znacznie niższej niż on warstwy społecznej. Honor wymagał, by teraz zostawił ją w spokoju. Ale nie zdołał. Zobaczył bowiem, że uśmiecha się do niego ze smutnym zrozumieniem.

Przywarł do jej warg i przepadł.

Liczyła się terazniejszość, wszak nie wiadomo, czy istnieje dla nich jakakolwiek przyszłość. Może umierają już teraz, choć symulują życie. Odczuwał niewysłowioną przyjemność, a Aleksandria płonęła niczym pochodnia w jego ramionach.

- Ally - mruknął do jej piersi. - Chyba nie mogę przestać. Wydadź mi polecenie. Powiedz mi, żebym cię zostawił w spokoju, jeżeli tego chcesz. Bo teraz jeszcze mogę to zrobić. Za chwilę nie będę w stanie. - Czekał na jej odpowiedź, gdyż

choć czuł pożądanie, wychowanie sprawiło, że potrafił pokonać nawet tak silną namiętność.

Wiedziała o tym. Odsunął się od niej, a ona zdała sobie sprawę, że leżą na zimnej, kamiennej posadzce. Przedtem tego nie zauważyła. Opierał się na łokciach i patrzył na nią. Oczy lśniły mu jasno nawet w świetle przygasającej latarni. Poczuła, że drży lekko, i zrozumiała, że nie dlatego, iż pragnie się opanować. Oddał jej całą swoją duszę i honor. Tak ją to wzruszyło, że zatraciła zdolność myślenia. Kochał ją! I tak oszołomił, że zapomniała o lęku i grozie tej nocy, a także o tym, co mogło nadejść później.

Jednak zachowała jasność umysłu. Namiętność nie mogła sprawić, by zapomniała, co robi. Wszystko to było zbyt nowe, a ona zbyt długo żyła w czystości, gdyż samotne kobiety powinny dbać o swoją cnotę, by mogła zapomnieć o konsekwencjach, nawet gdy w pełni poddała się jego pieczytom.

Jeżeli dojdzie do ostateczności, zostanie zrujnowana. Tylko że nie wiadomo, czy wyjdą cało z tej opresji. Drum zaś będzie o niej myślał źle, gdy skończą się uniesienia; wszyscy mężczyźni reagują podobnie. Ale tu w grę wchodzi Drum.

Jeżeli uda im się stąd wydostać, nigdy go już nie zobaczy i nie zazna tego, co teraz, chyba że zostanie jego kochanką, a przecież broniła się przed takim losem przez całe życie. Jeżeli zaś nie zdołają stąd wyjść, to przynajmniej pozna, co to miłość.

Jakże on na nią patrzy! Pożałowała, że nie ma odwagi wyrazić wzrokiem swych uczuć.

Jej ciało domagało się swego, a umysł bronił się przed tym. Drum najwyraźniej przeżywał to samo. Wiedziała, że jeżeli odmówi, wtedy on wstanie i odejdzie, by wrócić po jakimś czasie jako przyjaciel i wszystko pozostanie jak dawniej. Nie miała jednak pojęcia, czy ona sama zdoła to sobie wybaczyć.

- Ally? - zapytał.

Przecież nie mają żadnego wyboru. Padli ofiarą losu i pożądania. Po raz pierwszy dzieląca ich nierówność nic nie znaczyła. Ani też to, czy ona zachowa cnotę. Ważne jest tylko



życie. Należało dać mu pozytywną odpowiedź. On pragnie jej. Nic więcej się nie liczy.

- Nie przerywaj - powiedziała, przełykając słowa „kocham cię”, bo obawiała się, że to jest właśnie coś, co może go powstrzymać.

Uśmiechnął się. Z tak wielkim czarem, ulgą i podziwem dla jej bystrości, że pomyślała, iż warto było podjąć taką decyzję. Potem zbliżył się do niej, a ona przekonała się, że nie poznała go jeszcze nawet w połowie.

Zjął kamizelkę i koszulę, zwinął i wsunął jej pod głowę. Zadrżała, widząc go obnażonym. Był taki silny, nieznany i tak niewiarygodnie słodki. Badawcze dłonie budziły gorące dreszcze.

Zsunął z niej suknię i pozbył się spodni, zapewniając ją, że noga wcale go nie boli i żeby się nią nie martwiła, gdyż bardziej doskwiera mu niecierpliwość. Potem pokazał jej, jak wiele posiada cierpliwości, gdy zajął się jej ciałem.

Przestała myśleć, żeby móc wszystko odczuć jak najdokładniej.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak bardzo się zatracił. Jednak wciąż jeszcze się ograniczał. Leżeli przecież na kamiennej posadzce, więc skoro nie może ofiarować jej większej wygody, postara się dostarczyć jej jak najwięcej słodyczy.

Gdy pożądanie sięgnęło bólu, nie potrafił powiedzieć, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna jej.

- Ally? - zapytał.

Ona zaś tylko uśmiechnęła się drżąco. Wszedł w nią jednym płynnym ruchem, którego nie mógłby wstrzymać, nawet gdyby świat cały zamarł wokół nich. I wtedy się przekonał, oczywiście. Jednak teraz przestało to być ważne. Już nad sobą nie panował, poruszał się szybko, ostro, dążąc do ostatecznego spełnienia, które czekało gdzieś na krawędzi jego świadomości.

Gdy je wreszcie odnalazł, powitał je okrzykiem. Jednak jej nie dane było za nim podążyć. Mogła tylko zeszytnieć z zaskoczenia. Nagły ból sprawił, że przestała odczuwać jakąkolwiek przyjemność. Ale nie radość. Nigdy dotąd nie znalazła się tak blisko drugiej osoby, a co więcej, był nią Drum.

Poza tym to dzięki niej doznał takiego uniesienia. Czuła dumę pomieszaną z zaniepokojeniem i bólem oraz rozczarowaniem. I fascynacją. Zaczęło się w niej odzywać przeczcucie rozkoszy, które mogłyby ją czekać.

Zadrzał po raz ostatni i opadł obok niej, ciężko oddychając. Był spocony i zachrypnięty. Pogładził ją po policzku.

- Sprawilem ci ból - szepnął. - Przepraszam.

- Ja nie żałuję - odparła dotykając jego czoła, policzka, warg. Przygarnął ją do siebie i wtulił twarz w jej szyję.

Leżała, patrząc w mrok, ukrywający wysoki sufit. Bicie jego serca było najgłośniejszym dźwiękiem, słyszalnym w ich więzieniu. Jego ramiona chroniły ją przed wszystkim, co mogła przynieść ta noc. Czuła spokój, zmieszany z gniewem, gdyż wiedziała, że jeżeli on odsunie się od niej, lęk powróci. Kiedy poczuła pierwszy powiew chłodu, w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, gdyż płomień gasnącej latarni zaczął, prychając, tańczyć swoje ostatnie pas.

- Zabolało cię! - powiedział nagle Drum, unosząc się na łokciu.

- Ależ to nic takiego.

- Płaczesz.

Zdała sobie sprawę, że ma mokre policzki, i otarła je dłonią.

- Nie, to tylko dlatego, że właśnie sobie pomyślałam, że po tym, co zrobiliśmy, będzie jeszcze trudniej umierać.

- Och - zaczął, odprężając się i rozważając jej słowa. Milczał przez dłuższą chwilę, a potem podniósł się nieco. - W takim razie pozwól, że pokażę ci, iż może być znacznie trudniej.

- Co? - Podniosła na niego oczy, a w migoczącym świetle widać było jej wahanie i zaskoczenie.

- Ty nie znalazłaś tego, co ja. Chciałbym pokazać ci, jakie to może być.

- Teraz i tutaj? - spytała niepewnie.

- Tak. Nie będzie bolało, obiecuję. Jeżeli mogliśmy zrobić tamto, to możemy i to - powiedział prosto do jej ucha. - Możemy robić, co nam się żywnie podoba, aż do samego rana. Myślę też, że potrzeba ci czegoś, żebyś dobrze spała. - Poca-

łował ją i zaczął pieścić, tym razem myśląc tylko o jej przyjemności, a cały czas szeptał: - Nie, nie bój się. Nie "wstydz się. Tak, to właśnie robią ze sobą mężczyźni i kobiety.

Była zażenowana i wstrząśnięta. Miała nadzieję, że nigdy nie przestanie, wiedziała, że nie zaśnie, jeżeli on nie ugasi ogni, które rozpałił w jej ciele. Kiedy to zrobił, drżała jak liść, przymykając w upojeniu powieki.

- Tak, to już to. Tak, Ally - szepnęła. - Czy to nie przyjemne?

Mogła tylko pokiwać głową, wyczerpana do cna. Potem, równie zmieszana, jak zaspokojona, zrezygnowała z usiłowań, by zrozumieć to, co się stało, i zapadła w głęboki sen w schronieniu jego ramion.

Kiedy się obudziła, nie było go przy niej.

Wiedziała, że jest rano, gdyż krawędzie drzwi i szpary między deskami obrysowane były blaskiem słońca. Światło wpadało też przez szczeliny w murach, wypełniając wielką salę bladą poświatą. Nie było jasno, lecz raczej mniej ciemno.

Wstała, naciągnęła na siebie suknię, rozglądając się równocześnie za Drummem. Stał na skraju wody i wpatrywał się w nią, marszcząc brwi. Usłyszał, że się ruszyła.

- Chyba wiem, co należałoby zrobić - powiedział, nie odwracając głowy. - Wydaje się, że mamy szansę. Całkiem dużą - dodał, zwracając się wreszcie do niej.

Przegarnęła włosy i popatrzyła na siebie.

- Wyglądam okropnie - stwierdziła żałośnie.

Uśmiechnął się.

- I co ja narobiłem. Pomyśleć tylko, że niezłomna panna Gascoyne martwi się bardziej o swój wygląd niż o życie.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- No, niezupełnie. Jeżeli ty możesz znieść mój widok, to ja też. Ach, właśnie... - Przekrzywiła głowę. - Świat schodzi na psy. Nieskazitelny hrabia Drummond jest nieogolony!

Przeciągnął dłonią po twarzy i skrzywił się, słysząc chrzęst sztywnej szczeciny.

- To nie jest coś, czego nie znasz, moja droga. Leżałem

w twoim łóżku dosyć długo w początkach naszej znajomości, nieprawdaż?

Spojrzeli na siebie z uśmiechem.

Potem Drum spoważniał.

- Poranek to najlepsza pora na wypróbowanie mojego pomysłu. Człowiek ma wtedy najwięcej energii.

Nie wspomniał o tym, że skoro nie mieli ani jedzenia, ani wody, stan owej energii nie potrwa długo. Dlatego właśnie zdecydował się na ten desperacki czyn. Przez godzinę przemierzał całe pomieszczenie, szukając drogi wyjścia. Znalazł tylko dwie. Zostawi Aleksandrii swój złamany sztylet, żeby mogła wykorzystać tę drugą, jeżeli jemu się nie powiedzie.

Jednak to, co zamierza uczynić on, ma znacznie większe szanse na sukces. A jeśli mu się nie uda? Nie chciał zostawić jej samej, nawet jeżeli czekałaby ich śmierć, ale nie widział innego rozwiązania tej sytuacji.

- Chcę znaleźć przejście pod wrotami dla łodzi, przez które tu się dostaliśmy. Posłuchaj - ciągnął szybko, zanim się zdążyła odezwać. - Teraz jest odpływ. Ma dosyć wartki prąd. Pozwolę mu się nieść i poszukam wyjścia pod wodą. Ciała Dubbina tu nie ma. Zostało zniesione do rzeki, tak jak mówił Fitch. Zamierzam znaleźć tę trasę, ale żywy.

- Nie uda ci się! Przecież on powiedział, że nie zdołasz natrafić na to przejście.

- To oczywiste, że musiał tak utrzymywać. Jestem dobrym pływakiem, Ally. Znakomicie potrafię panować nad oddechem. Doprowadzałem kolegów do szału, gdy byłem młodszy. Zdarzało się, że wstrzymywałem oddech przez trzy minuty. Zdązę obejrzeć te drzwi od spodu. Jeżeli nic nie zobaczę, mogę spróbować na dotyk. Ale znajdę je na pewno.

- Inni nas może szukają - spierała się. - Po co podejmować nowe ryzyko? Możesz tam utknąć albo się o coś zaczepić. Nie próbuj jeszcze teraz! Znajdą nas, jestem tego pewna. Eryk jest doświadczony, a Gilly bardzo inteligentna. Damon na pewno coś wymyśli, a Rate jest silny i odważny. Jestem też przekonana, że twój ojciec, kiedy się dowie, wyśle całą ar-

mię poszukiwaczy. Wkrótce połowa Londynu będzie nas szukać. Więc lepiej się nie narażaj.

Z powagą położył jej ręce na ramionach.

- Ally, kiedy już przeszukają połowę Londynu, za późno będzie na takie próby. Nie starczy mi wtedy sił.

- Możemy rozdłubywać drzwi - upierała się.

- I tym właśnie ty się zajmiesz, jeżeli mi się nie powiedzie. Ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze, tylko nie możemy zbyt długo czekać. Londyn to wielkie miasto i można w nim ukryć człowieka w najrozmaitszych miejscach. Wiem, bo sam kiedyś musiałem szukać ludzi w innych miastach. Muszę tego spróbować, to nasza najlepsza szansa.

- A ja nie mam nic do powiedzenia? - spytała z gniewem.

- Przeze mnie się tu znalazłaś - perswadował. - Od pierwszej chwili. Dlatego ja muszę naprawić sytuację. Nawet jeżeli nie ja to wszystko wywołałem, nie mogę siedzieć z założonymi rękoma.

Pokręciła zawzięcie głową, szukając słów, które by go powstrzymały. Myśl, że mógłby zanurkować w tę czarną wodę i może nigdy się już z niej nie wyłonić, zmroziła ją do kości. A przecież nie miała prawa niczego od niego żądać. Kochali się, zmienił jej życie, ale wiedziała, że kiedy się stąd wydostaną, on pójdzie swoją drogą. Ale nie na tym polegał problem. Chodziło jej o to, że jako człowiek jest tak niezwykły, iż nie mogła pozwolić, by świat stracił kogoś tak cennego. Nie może ryzykować życia, ona mu nie pozwoli. Nie wiedziała jak, dopóki nie przypomniała sobie, co jest jego zasadniczą cechą. Choć może nie dba o własne życie, na pewno zatroszczy się o nią

- A co ze mną będzie, jeżeli nie wrócisz? - spytała, biorąc się pod boki.

Pogładził jej zmierzwione włosy. Taki nieład był bardzo niepodobny do schludnej panny Gascoyne, jego pielęgniarce, przyjaciółki, kochanki. Przypomniał sobie, skąd wziął się ten brak porządku, i z całego serca pożałował, że zaraz będzie musiał zanurzyć się w zimne odmęty Tamizy. Jednak wiedział, co powinien uczynić.

- Jeśli nie wrócę, zostanie ci jeszcze jedna szansa - powiedział szczerze. - Wolałbym zostać z tobą, bez względu na to, co może się wydarzyć. Ale nie chcę, by stało się najgorsze, dlatego muszę podjąć tę próbę. Może jestem tchórzem, gdyż wzdragam się przed tą ostatecznością. A może też egoistą, gdyż niewątpliwie umarłbym, patrząc bezradnie na to, jak giniesz. Jednak wierzę w ciebie, a ty musisz mi zaufać. Jeżeli zostaniesz sama, musisz być dzielna. Postaram się, żeby nie okazało się to konieczne. To nasza jedyna nadzieja w tej chwili i dlatego muszę wypróbować to rozwiązanie.

- Zostawisz mnie tu samą na śmierć? - spytała, nienawidząc swego kłamstwa, gdyż to wcale nie myśl o tym, że musiałaby tu umrzeć samotnie, przerażała ją najbardziej.

- Bardzo się starasz, Ally, ale nic z tego. Wiesz, że muszę spróbować, więc proszę cię, nie utrudniaj.

Owszem, wiedziała o tym, ale nie chciała się z tym pogodzić. Łzy gniewu i bezsilności zalśniły w jej oczach.

Wziął ją w ramiona.

- Pomyśl tylko, jak będziesz się czuła, gdy mi się uda - powiedział, unosząc jej twarz. Pocałował ją w czoło i odsunął na bok. - Postaram się wrócić przez drzwi, które Fitch zatrzaskał, kiedy próbował uciec. Nie miał czasu zamknąć ich na klucz, więc powinienem z łatwością odsunąć rygiel. Czekaaj tu na mnie. Przedostanę się do tych drzwi najprędzej, jak zdołam.

Pocałował ją z ogniem, będącym wspomnieniem minionej nocy. Następnie uczynił to raz jeszcze, z przyjacielską czułością. Potem cofnął się. Podeszedł do przewróconej skrzyni, której Aleksandria nie miała okazji użyć jako łóżka, i sięgnął po surdut, który tam zostawił jako poduszkę. Wyjął zegarek z kieszonki. Popatrzył na niego, a potem wy dostał się z drewnianej klatki i położył go na kupce jego ubrań, ria których spali. Ten właśnie gest, to pożegnanie z cennym przedmiotem, najbardziej przestraszyło Aleksandrię.

Źle zrozumiał jej przerażenie.

- Nie chcę, żeby cokolwiek mnie dodatkowo obciążało - powiedział. - Zostaję w spodniach, gdyż nie chciałbym wyłonić

się z wody nagi, jak mnie Pan Bóg stworzył, i pytać kogoś, zażywającego przejażdżki łodzią o poranku, gdzie też to jestem.

Przyklęknął, podniósł złamany sztylet i podał go dziewczynie.

- Na wszelki wypadek - rzekł. - Teraz zanurkuję i zobaczę, co tam jest. Jeżeli nie uda mi się od razu, spróbuję szukać na dotyk. Nie martw się, jeżeli się nie wynurzę, to wcale nie musi znaczyć, że utonąłem. Może uda mi się od razu przedostać do rzeki, a wtedy zaraz do ciebie wrócę.

Była bardzo spokojna.

- A jeśli nie?

- Ach, Ally, lepiej o tym nie myślmy.

- Muszę - odparła, z trudem hamując łzy.

- W takim razie wiedz, że zginałem, próbując cię uwolnić. A to najlepszy rodzaj śmierci: kiedy ktoś stara się uratować przyjaciela.

Stała chwilę bez ruchu, a potem kiwnęła głową. Popatrzył na nią z powagą, pocałował raz jeszcze, a potem podszedł do brzegu i zanurzył do wody. Patrzyła, jak płynie do wielkich wrót. Potem zobaczyła, że pochyła głowę i znika pod powierzchnią. Na chwilę pojawiły się nad wodą jego smukłe stopy o wysokim podbiciu, a potem wszystko znikło. Czekwała bez tchu. Wynurzył się, pomachał jej, a potem zanurkował. Czekwała dalej.

Pojawiał się i znikał co najmniej sześć razy. W końcu nauczyła się rozróżniać jego oddech nawet z tej odległości. Ona zaś chyba ani razu nie zaczerpnęła powietrza, ilekroć czekała, aż on się znowu wynurzy. Stała i czekała.

W końcu zanurkował, a ona czekała. On jednak nie pojawił się.

Czekwała przez długi czas. Wpatrywała się w czarną wodę, pragnąc dostrzec choćby najdrobniejsze falowanie. Policzyła do sześćdziesięciu, potem raz jeszcze i znowu. Za piątym razem opadła na kolana. Za dziesiątym ukryła twarz w dłoniach. Czas mijał. Policzyła znowu do sześćdziesięciu, na wypadek gdyby w panice nie udało się jej tego uczynić za pierwszym razem.

Ale Drum nie wynurzał się. Nie słyszała też żadnych odgłosów od strony drugich drzwi: ani szurania otwieranej zasuw, ani stukania, ani też żaden cień nie przesunął się po rozświetlonych słońcem szczelinach między deskami.

Zbyt była przerażona, by płakać.

Potem przypomniała sobie, jak powiedział, że najlepsza śmierć jest wtedy, gdy próbuje się pomóc przyjacielowi. Te słowa załamały ją. Klęcząc, z twarzą ukrytą w dłoniach, zapłakała gorzko. Bo może on już nie żyje. Na taką myśl ona sama gotowa była rozstać się z tym światem. I dlatego, że kimkolwiek dla niego była, powiedział, że mężczyzna powinien być gotów zginąć za przyjaciela. Ale nawet wtedy, w tamtej ostatniej chwili, nie wypowiedział słowa „kocham”. Ani wtedy, ani nigdy przedtem.



Aleksandria siedziała skulona w ciemnościach przez, jak jej się wydawało, całe godziny. Nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć na zegarek Druma, gdyż wtedy przyznałaby, że on nigdy tego już nie uczyni. Kiedy wreszcie podniosła głowę, stwierdziła upływ czasu dzięki temu, że słońce przeświecało przez szpary między deskami drzwi pod innym kątem. Wiedziała, że powinna podnieść się i szukać drogi wyjścia ze swego więzienia. Gdyby jednak jej się to udało, musiałyby żyć ze świadomością, że Drum zginął daremnie.

Wolała nie myśleć, jak mogło to wyglądać. Ciemności, mętna woda... W Tamizie żyły węgorze. Wolała o nich także sobie nie przypominać. Zamiast tego wyobraziła sobie twarz Druma, tak jak wyglądała, kiedy się śmiał, gdy był poważny, i wtedy, gdy znajdowali się w objęciach namiętności.

W końcu usłyszała nowy, szorstki dźwięk. Zamarła i podniosła oczy. Coś poruszało się po drugiej stronie drzwi! Zerwała się na nogi i podbiegła do nich, zaciskając dłonie na głównej złamanego sztyletu i modląc się. To mógł być Fitch. To może być też Dubbin, albo jego przyjaciel, nieszczęśnik, który został w łodzi. Albo jakikolwiek inny obcy mężczyzna. Czekwała, przyciskając do siebie sztylet jak talizman, lękając się mieć nadzieję, iż osobą tą mógłby się okazać Drum.

Wreszcie odsunięto rygiel i otworzono drzwi.

- Dlaczego tak tu stoisz w ciemnościach? - spytał Drum. Woda spływała po jego nagiej piersi na przemoczone spodnie. Mokre włosy przykleiły mu się do czaszki i był blady, jakby już utonął. Uśmiechnął się. - Wyglądasz okropnie - powiedział.

Rzuciła mu się w otwarte ramiona. Przez dłuższy czas nie

mogła wydobyć z siebie głosu. Kiedy już jej się to udało, była równie mokra jak Drum. Pogładził ją po włosach i przytulił mocniej,

- Cśś, pochorujesz się od tego płaczu. Przecież wróciłem - rzekł w końcu.

- Dlaczego to tak długo trwało? - jęknęła.

- Musiałem znaleźć przejście pod wrotami. Udało mi się, ale kiedy wynurzyłem się na powierzchnię, okazało się, że znalazłem się między dwiema stertami kamienia. Miejsca starczało tylko na wystawienie nosa. - Zaśmiał się. - Po raz pierwszy w życiu wreszcie mi się przydał. Gdyby był krótki, nie mógłbym nabrać powietrza. Ale teraz wróciłem, więc przestań płakać. Już jestem wystarczająco mokry.

Wreszcie się uśmiechnęła. Odetchnęła spokojniej.

- Mam też łódź - ciągnął. - Wyrzuciłem z niej poprzedniego właściciela. I tak by mu się nie przydała, gdyż jedyną rzeką, jaką może przepłynąć, jest Styks. - Poczł, że dziewczyna drży. - Tak, pechowy pan Hake. No, ale mamy łódź, wiosła też, więc powinniśmy chyba wracać do domu.

- Tak - szepnęła.

Gilly nie posiadała się z radości na ich widok. Nie pozwoliła Drumowi wrócić do domu, by tam się przebrał. Poleciła mu, by zajął pokój Damona, i zatrudniła lokaja Damona, by znalazł mu jakieś ubranie. Poślała Aleksandrię razem z pokojówką do swego buduaru, a potem nakazała jednemu ze służących, by udał się na miasto w poszukiwaniu Damona, Eryka, Rafe'a i wszystkich innych, zajętych poszukiwaniami, by powiadomił ich, że zaginiona para odnalazła się.

Zebrałi się wszyscy razem po południu, kiedy Drum i Aleksandria byli już umyći, wysuszeni, ubrani i nakarmieni. Dopiero wtedy Drum opowiedział ich całą historię. Albo raczej, jak Aleksandria stwierdziła z ulgą, *prawie* całą.

- My też się nieźle przerażiliśmy - powiedział Rafe, kiedy Drum skończył. - Rzeka wyrzuciła trzy trupy dziś rano. Starą kobietę i dwóch mężczyzn. Straż rzeczna twierdzi, że to

mało jak na jedną noc, gdyż Tamiza stanowi miejsce ostatniego spoczynku dla wielu nieszczęśników. Kobieta prawdopodobnie sama wybrała sobie taki grób. Obawialiśmy się sprawdzić mężczyzn, ale żaden z nich nie okazał się tobą. Jeden miał... - urwał, rzucając z ukosa spojrzenie na kobiety, a potem mówił dalej - ... twarz nie do rozpoznania. To pewnie był Dubbin, a drugi Fitch. Był to dobrze ubrany mężczyzna, starszy niż ten pierwszy, i miał ranę od sztyletu w sercu.

Drum kiwnął głową.

- Przypuszczam, że to rzeczywiście on, ale sprawdzę, żeby się upewnić. Kiedy go znaleźliście?

- Dziś rano - powiedział Eryk. - Przypływy wyrzucił go na brzeg.

Drum kiwnął głową.

- Następny prawdopodobnie przyniesie Hake'a. Powinienem być mieć się bardziej na baczności. Niech mój przypadek będzie i dla was lekcją. Dzięki Bogu za odwagę Ally. Szkoda tylko, że musiała wziąć udział w tej żalostnej przygodzie, żeby się nią wykazać. Aha... - Urwał, a potem zniżył głos. - Chciałbym, żebyście dali do zrozumienia, że uciekliśmy o świcie. I że nie mogliśmy tego zrobić wcześniej, bo dopiero nad ranem wydostaliśmy się z więzów. Groziła nam śmierć, ale wiecie, że bez względu na to, w jak niebezpiecznej znaleźliśmy się sytuacji, plotkarze obojga płci mają obesję na punkcie spraw ciała. Zaraz zaczęliby gadać, że spędziliśmy razem noc, chyba że się da im do zrozumienia, iż nic między nami nie mogło zajść. W ten sposób ta historia pozostanie wyłącznie opowieścią grozy. Zgoda?

- Oczywiście - powiedział Eryk, a inni przyznali mu rację.

Drum przyjrzał się im z zadowoleniem, ale potem popatrzył na Aleksandrię.

Dziewczyna siedziała bez ruchu, blada jak płótno. Powiedział im, że nic się nie stało. Oczywiście. Rozumie dlaczego. Sama tego pragnęła. Ale czuła się, jakby ją uderzył. Zmusiła się do uśmiechu.

- Zgoda - szepnęła.

Gilly także rzuciła na nią okiem, raz, a potem drugi.

- Moim zdaniem, powinniśmy pozwolić Ally trochę się prze-  
spać! - stwierdziła stanowczo. - Biedna dziewczyna była bardzo  
dzielna, ale teraz prawdopodobnie przeżywa kryzys. Tak za-  
wsze się dzieje po walce. Nawet zwycięzcy czują się słabo.

Pozostali uśmiechnęli się, słysząc to sformułowanie, ale  
przyznali jej rację.

- Znakomity pomysł - powiedział Drum, spoglądając na  
Aleksandrię. - Mnie też by się to przydało, ale ja pójdę do  
domu. "Wrócę jutro rano... jak już się upewnię, że to rzeczy-  
wiście Fitch spoczywa w kostnicy.

Pożegnał się ze wszystkimi, a potem odczekał, aż ruszą do  
drzwi, i wtedy zwrócił się do Aleksandrii.

- Zobaczysz wszystko będzie dobrze - zapewnił, ujmując  
jej dłoń. - Za jakiś czas zapomnisz o tych okropnościach.  
Czas wszystko uleczy. A teraz idź spać. Zobaczymy się ju-  
tro rano.

Kiwnęła głową, mając nadzieję, że uzna, iż jest zbyt wy-  
czerpana, by coś powiedzieć. On zaś przyglądał się jej przez  
chwilę, aż wreszcie powtórzył:

- Wyśpij się. - Zawahał się. Wróciła Gilly, więc tylko uściś-  
nął dłoń Aleksandrii, skłonił się i wyszedł.

- Gilly - zaczęła Aleksandria, kiedy mężczyźni już poszli. -  
Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Gilly zmarszczyła brwi. W głosie dziewczyny zabrzmiało  
coś, co ją zaniepokoiło.

- Oczywiście - odparła. - Chodźmy na górę. Położysz się  
i wtedy porozmawiamy.

- Wracam do domu - oznajmiła Aleksandria, gdy tylko  
znalazła się w sypialni. - Chciałabym się spakować natych-  
miast. Wiem, że ten bal miał odbyć się na moją cześć, ale nie  
mogę zostać. Pora, żebym wróciła do domu.

- Do licha! - zawołała jej gospodyni, tupiąc nóżką. - Nie  
upadaj na duchu! To do ciebie zupełnie niepodobne. Prze-  
straszyłaś się, no i co z tego? To minie, przekonasz się.  
Ucieczka nic nie pomoże.

- Nie - rzekła Aleksandria ze smutkiem. - To nie o to chodzi. Zaufaj mi.

Gilly przyglądała się jej uważnie przez dłuższą chwilę. Aleksandria odwróciła oczy, nie mogąc znieść jej spojrzenia.

- Ach, rozumiem - stwierdziła wreszcie Gilly. - Nie wiem, co się naprawdę stało, prawda? Jeżeli chcesz mi powiedzieć... Nie? Możesz, bo ja zawsze dochowuję sekretu. Jesteś pewna? - Westchnęła. - Ale powinnaś się z nim pożegnać. Zostawienie listu byłoby tchórzstwem. To też do ciebie niepodobne.

Aleksandria była wstrząśnięta przenikliwością Gilly. Jednak przecież jej gospodyni nie mogła znać prawdy. Mogła przypuszczać, że Drum ją odrzucił. Ale też mogła odgadnąć, co się rzeczywiście wydarzyło.

- Oczywiście, że z nim porozmawiam - zgodziła się Aleksandria, chociaż zamierzała zostawić mu list. - Nie jestem aż takim wielkim tchórzem. Pożegnaj się z nim i wszystko mu wyjaśnię. Ale prawdę mówiąc, wcale nie muszę, bo on już wszystko wie.

- A do diabła z tym! - zirytowała się Gilly. - To porządny człowiek, naprawdę. Ale za dużo myśli o nakazach przyzwoitości i za bardzo bierze sobie do serca poglądy swojego ojca, tego drętwego snoba! - dokończyła gniewnie. - Raczej się złamie, niż ugnie, a jeśli tak będzie dalej postępował, to rzeczywiście go to kiedyś spotka. Szkoda, bo mógłby... Ach, nieważne... Ale my zostaniemy przyjaciółkami? - zakończyła z niepokojem.

- Oczywiście. - Aleksandria zaczęła się pakować, bo obawiała się przenikliwości Gilly. Wiedziała, że z ich przyjaźni nic nie będzie. Kiedy opuści Londyn, zerwie wszystkie kontakty. Musi to zrobić, jeżeli chce zachować zdrowe zmysły. Zostawiała tu bowiem mężczyznę, którego pokochała, po to, aby uratować szacunek do samej siebie i swoją dumę.

Ubrał się starannie, nawet jak na siebie. Prawdę mówiąc, Drum wyglądał tak elegancko i fascynująco, kiedy pojawił się następnego ranka, że Aleksandria prawie go za to zniena-

widziała. Jej cały świat przewrócił się do góry nogami. Drum zmienił jej ciało i umysł tak, że stała się obca samej sobie.

Tymczasem on stał na obu nogach i uśmiechał się do niej, jak wcielenie idealnego dżentelmena. Nieskazitelnym i nieprzystępny. Miał na sobie dopasowany, niebieski surdut i beżowe spodnie. Starannie zawiązana chustka okrywała mu szyję, a koszula była nieskazitelnie biała. Kamizelka przedstawiała sobą błękitnozielone dzieło sztuki, dodając blasku jego lazurowym oczom. Jednak tylko szczęście mogło spowodować, że lśniły aż tak. Spoważniał jednak, gdy spojrział na nią.

Aleksandria pomyślała, że martwi się, co ona mu powie. Musi więc szybko wszystko wyjaśnić i skończyć z tym raz na zawsze. Pożałowała, że nie jest taka elegancka jak on, gdyż przecież miał ją ujrzeć po raz ostatni. Uczesała włosy, umyła twarz i założyła na podróż jedną ze swych starych sukni, uszytą przez panią Tooke. Była z niej taka dumna, ale pobyt w Londynie udowodnił jej, iż strój ten nie ma w sobie nic niezwykłego. Wyglądała na wypoczętą, gdyż, spakowawszy się, spała prawie całą noc, chociaż słowo „padła” byłoby najlepszym określeniem na to, co uczyniła, gdy wreszcie złożyła głowę na poduszce.

Czuła jednak zdenerwowanie, niepokój i ból serca i mogła tylko liczyć na to, że okaże się dobrą aktorką i zdoła to ukryć.

- To jedna z sukienek, które nosiłaś, zanim przyjechałaś do Londynu - powiedział Drum, zanim się zdążyła odezwać.

- Owszem. Założyłam ją, bo wracam do domu. Najwyższy czas. To nie przez ciebie - dodała szybko. - Muszę znaleźć się jak najdalej od miejsca zbrodni, którą o mało co popełnił Fitch. Stęskniłam się też za chłopcami. Kiedy sądziłam, że mogę umrzeć, myślałam o wszystkim, co po sobie zostawię - powiedziała i zarumieniła się, gdyż wcale nie było to prawdą. Wcale sobie o nich nie przypomniała, myślała tylko o Drumie. Teraz postanowiła, że poświęci resztę życia chłopcom.

- Z powodu tego, co się stało? - zapytał. - Bo się kochaliśmy?

Rozejrzała się nerwowo po salonie, chociaż wiedziała, że nie ma tu nikogo.

- Tak. Nie... to znaczy... rozumiem. - Uniosła dumnie głowę.

wę. - Nie musisz czuć się winny, nigdy byś tego nie zrobił, gdybym ci nie pozwoliła. Wiem totalnie samo dobrze jak ty. Nasze życie było zagrożone i potrzebowaliśmy pociechy. Ale to było wtedy. Teraz wszystko się, oczywiście, zmieniło. Dlatego muszę wyjechać.

- Nie - stwierdził stanowczo. - Ally, przyszedłem tutaj, żeby poprosić cię o rękę.

Słowa te sprawiły, że straciła panowanie nad sobą.

- Nie! - zawołała. - Nie rób tego!

Zdumiał się.

- To znaczy, nie, dziękuję. - Nie musiała już silić się na opanowanie. Była nieszczęśliwa i zdenerwowana, ale musi go od siebie uwolnić.

- Nie zależy ci na mnie? - zapytał cicho.

- Tak bardzo, że cię nie poślubię - przyznała. - Chcesz zrobić to, co należy. Ja też. Nie, milordzie, nie poślubię pana, ale dziękuję za propozycję. Proszę się o mnie nie martwić. Dam sobie radę.

- Ale ja nie! - odparł z gniewem. - I nie dbam o to, czy robisz to, co należy. Nigdy nie robię tego, co mi się nie podoba. Przyszedłem tu, żeby cię poprosić o rękę, bo cię kocham. To wszystko. Sądziłem, że ty czujesz to samo. - Zmarszczył brwi. - Nie powinienem był krzyżeć na ciebie, przepraszam - mruknął. - Nie jestem przyzwyczajony do takich rzeczy. Wiesz, o kim myślałem, kiedy obawialiśmy się, że zginiemy? - zapytał, patrząc jej w oczy. - O tobie, tylko o tobie. Od chwili, kiedy się poznaliśmy, zaprzątasz moje myśli. Gdybym był wczoraj sam, być może uwolniłbym się szybciej. Jestem w końcu doświadczonym tajnym agentem, dostawałem odznaczenia. Teraz jednak widzę, że mężczyzna może być odważny tylko wtedy, gdy nie ma nic do stracenia. Byłaś ze mną, więc nie mogłem działać. Drżałem na myśl, że mógłbym cię stracić. Szalałem na myśl, że mogłaby ci się przytrafić jakaś krzywda.

Ujął jej dłonie i spojrzął w jej twarz. Spoważniał.

- Zobacz, co zrobiłaś! Przywróciłaś mi do życia, więc teraz nie możesz mnie opuścić. Obudziłem się dziś rano i o ma-

ło co, a przstraszyłbym Grimesa na śmierć. Śpiewałem przy myciu! Prawdę mówiąc, gotów byłem tańczyć. Śniłem o tobie i obudziłem się z myślą o tobie. Ubrałem się i przybiegłem tutaj, a ty mówisz, że chcesz wyjechać? O nie! Zwiążę cię, tak jak opowiadałem, że zrobił to z nami Fitch, i będę cię tu trzymał, dopóki się nie zgodzisz pójść ze mną do ołtarza.

Wargi jej drżały.

- Nie pozwól, by szlachetność zrujnowała ci życie. Nie musisz odwdzięczać się mi tak, jak zrobiłeś to, opuszczając mój dom. Poza tym to o wiele więcej niż garść złota.

Nie wiedział, o co jej chodzi.

- No, te złote monety, które zostawiłeś pod poduszką - powiedziała, spuszczając oczy, gdyż wstyd jej było, że nie zabrała ich do Londynu, by mu je zwrócić.

- Monety? - mruknął. Potem zrozumiał i zacisnął gniewnie usta. - A więc o to mu wtedy chodziło! Ojciec kazał mi czekać w karecie, bo coś zostawił w moim pokoju. To on cię zirytował. Nie miał prawa.

- Ale uczynił to - powiedziała, rada, że ma nowy argument. - I o to chodzi. Wróc do rzeczywistości. Ja właśnie to zrobiłam. Jestem znajdą, nikiem, bez tytułu, pieniędzy; nie mam nawet własnego nazwiska! Nie jestem gęsiareczką, której szlachetne pochodzenie przeświecało przez łachmany, tak że książę mógł rozpoznać swoją księżniczkę. Pomogłam ci, a ty byłeś mi wdzięczny. Lubisz mnie, co bardzo mnie cieszy. Czujesz się za mnie odpowiedzialny. Pożądałeś mnie, ale w żadnych innych okolicznościach byś się ze mną nie kochał. Nie musisz się ze mną żenić. Pewnego dnia byś mnie znienawidził. Będiesz mi kiedyś wdzięczny, jeżeli nie pozwolę popełnić ci życiowego błędu. Pomyśl o swoim ojcu - ciągnęła błagalnie. - Nie możesz mu tego zrobić. Wybrał dla ciebie lady Annabelle albo może którąś inną z tych pięknych londyńskich dam. Twoje oświadczyzny są dla mnie zaszczytem. Z całym szacunkiem pozwolę sobie odmówić. Będę o nich jednak pamiętać i zachowam wdzięczność.

- Kocham mojego ojca, ale to nie jego poślubię - wycodził



Drum przez zęby. - Nie z nim pragnę mieć dzieci i dzielić łożę. Kocham go, ale on będzie musiał nauczyć się kochać mnie, chociaż nie zawsze go słucham. Nie jestem już małym chłopcem. A Annabelle? Może sobie ją mieć na oku albo gdziekolwiek zechce - rzucił i przerwał na moment.

- Wiem dobrze, kim jesteś. Gęsiareczka! Nie żyjemy w bajce. Jesteś kobietą stworzoną dla mnie. Ani przez chwilę w to nie wątp. Dlaczego, jak sądzisz, nie poślubiłem jeszcze „któreś z tych pięknych londyńskich dam”? Albo lizbońskich, rzymskich, jakichkolwiek? Bo nie poznałem ciebie. Gotów byłem przejść przez życie, nie czując miłości, ale tak się nie da. Przyznaję, że nazwisko i wola ojca były dla mnie najważniejsze. To jednak uległo zmianie. Od czasu, kiedy poznałem ciebie. Na Boga, Ally, przecież nawet zbudowałem dla ciebie szopę!

Choć zakłopotana i zmieszana, musiała się uśmiechnąć. Po chwili on uczynił to samo.

- Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, co mną kierowało - ciągnął. - Wiedziałem tylko, że chcę ci ofiarować coś wspaniałego. Tak samo jak teraz. Poprosiłem Gilly, żeby cię tu zaprosiła, bo nie mogłem przestać myśleć o tobie. A gdyby nie stało się to wczoraj, zdarzyłoby się innego dnia. To tylko przyspieszyło bieg wydarzeń. A jeżeli chodzi o tytuł i pozycję społeczną. Cóż, żyjemy w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym, moja droga. Wchodzimy w nową epokę. Świat się zmienia i my też. Czym jest nazwisko, Ally? Tym, co sami z niego zrobimy. Pamiętam, że na chwilę przed tym, jak spadłem z konia, myślałem: „Dlaczego ludzie się zakochują?” Nigdy tego nie mogłem zrozumieć. Aż do wtedy.

Uśmiechnął się.

- To prawda, że byłem trudnym przypadkiem i musiało mnie to osiągnąć silniej niż innych mężczyzn. Spadłem z konia, rozbiłem sobie głowę, wylądowałem w twoim łóżku, zdany na twoją opiekę. Ale gdy się już tam znalazłem, wiedziałem, że to moje miejsce. Nie będę udawał, że coś z tego rozumiem, lecz myślę, że po prostu zawsze za bardzo się starałem. Teraz widzę, że miłość to coś, co się od-

czuwa, a nie rozumie. Ona w cudowny sposób obala nakazy rozumu.

- To tylko dlatego... z powodu tego, co zrobiliśmy - powiedziała. - To się nie liczy.

- Akurat! - krzyknął. - Było niesamowicie, nie zaprzeczaj. Chyba że... - Urwał i twarz mu stężała. - Żałujesz? Nie podobowało ci się?

- Było wspaniale! - zawołała.

- To posłuchaj - rzekł twardo. Chwycił ją za ramiona, zaraz jednak opuścił ręce, jakby jej skóra parzyła go,abrał tchu i ze zdziwieniem spojrzął na swoje dłonie. - Doskonale panuję nad sobą - zdumiał się. - A tymczasem, popatrz... znów sprawiasz, że tracę samokontrolę. To jest to. Zawsze byłem dumny ze swego opanowania, a tymczasem po prostu byłem pozbawiony czucia, jak amputowana noga. Przekonałem się o tym wyłącznie dzięki tobie.

Popatrzył na nią z czułością.

- Ally, nie panuję nad sobą wcale, gdy w grę wchodzisz ty. Chciałem cię pocałować, a potem pozwolić ci zasnąć. Potem zamierzałem cię przytulić na dobranoc. Kochałem się z tobą, bo to było silniejsze ode mnie. Nigdy mi się coś podobnego nie przytrafiło i nigdy nie przytrafi z żadną inną kobietą, oprócz ciebie. Wyjdź za mnie. Chyba że... - dodał, nieomal lekceważąco. - Że myśl o związku ze mną budzi w tobie obrzydzenie?

- Już kiedyś prosiłeś o rękę Gilly - szepnęła. - Kiedy sądziłeś, że jesteś jej potrzebny i że tak należy postąpić.

- Owszem - odparł niecierpliwie. - I właśnie dlatego żeniłem się już wiele razy, co musiałbym zrobić, gdybym rzeczywiście miał takie dobroczynne zapędy. W Anglii jest pełno znajd, sierot i wdów. I chociaż proponowałem Gilly małżeństwo, nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham. Nie powiedziałem tego nikomu, poza tobą. Aż mi się nie chce wierzyć. Nie pamiętasz? Jeżeli tak, to powiem to jeszcze raz. To takie przyjemne - dodał, śmiejąc się jak mały chłopiec. - Kocham cię, Ally.

- Ale powiedziałaś wszystkim, że nie mieliśmy szansy

nic... zrobić razem wczorajszej nocy - powiedziała z urazą w głosie.

- Chciałabyś, żebym się przechwalał? - zapytał z niedowierzaniem. - Nie powinienem być tracić głowy, nie powinienem być cię kompromitować; wcale nie jestem z tego dumny. I tak pojawiają się plotki. Nie boisz się tego?

- A ty? - spytała.

Uśmiechnął się.

- 2 przyjemnością rozprawię się z każdym, kto się ośmieli. Musiała zaprotestować. Nie mogła uwierzyć w tak wiele szczęścia.

On zaś źle ją zrozumiał.

- Ally - powiedział. - Musisz być moja.

- Doprawdy? - spytała gniewnie. - A to czemu? Masz przecież wszystko.

- Wszystko, prócz serca - stwierdził. - Tylko kiedy pracowałem jako szpieg i walczyłem za ojczyznę, czułem, że żyję... aż do tej chwili. Od dnia, w którym cię poznałem, należę do ciebie. Czy jeszcze masz jakieś zastrzeżenia? - zapytał, widząc, że jej opór słabnie. - Bo zapewniam cię, że nie dbam o tytuły. Sądziłem, że są ważne, bo dzięki niemu mogę zdobywać kobiety.

Uśmiechnęła się, słysząc to kłamstwo. On jednak pokręcił głową.

- Prawda jest taka, że nie należę do najprzystojniejszych mężczyzn. Nie, nie staraj się mnie pocieszać. Mój nos stanowi przedmiot dumy rodowej tylko dlatego, że jeżeli nie da się go skrócić, to lepiej go polubić. Nie jestem też najmądrzejszym czy najspokojniejszym z ludzi... no, prawie. - Spostrzegł, że zaczyna się znowu uśmiechać, i dodał, poważniejąc: - Ale wiem jedno. Jestem stworzony dla ciebie. A teraz proszę o odpowiedź.

Znal ją już przecież. Wyczytał ją w jej twarzy, zanim znalazły się słowa. Porwał ją w ramiona i całował, dopóki nie była gotowa zgodzić się ze wszystkim, co powie. Jednak gdy ją wypuścił, przytrzymała się go lekko za ramiona i szepnęła:

- A co z twoim ojcem? Nie może się zgodzić.

- Może - stwierdził. - Jedyne, czego nie można, to dyskutować o tym w nieskończoność. Powiedz „tak”. Uwierz we mnie. Będzie nam razem tak dobrze. Chłopcy zamieszkają z nami. Będziemy mieli dzieci, zaopiekujemy się innymi, wzbogacimy własne życie i innych. Ally, niewiele nam brakowało do śmierci, więc teraz musimy to wszystko nadrobić.

Była tylko jedna rzecz, jaką mogła powiedzieć. Zgodziła się więc. A potem on nie pozwolił jej odezwać się przez długi czas.

W połowie przyjęcia księżę Winterton niedbałym krokiem wszedł do pokoju. Zdjął rękawiczki i wbił wzrok w swego syna. Drum obejmował ramieniem Aleksandrię. Stanowili centrum grupki przyjaciół, składającej się z Ryderów, lorda Rafaela Daltona i jego żony oraz Eryka. Wszyscy trzymali w rękach kieliszki z szampanem. Księżę był tego pewien, gdyż nieomylnie rozpoznawał dobry szampan. Zatrzymał się tuż przy drzwiach i odchrząknął. Potem uczynił to raz jeszcze, nieco głośniej. Wtedy wreszcie zauważyli go i w salonie zapadło nagłe milczenie.

Drum nabrał pewności, że ojciec jest bardzo zadowolony, gdyż kiedy podchodził do nich, miał bardzo niedbałą minę. Poczł też, że Aleksandria zamarła, a jemu-samemu zaschło w gardle.

- Witam, ojczu - powiedział.

- Coś czcicie? - zapytał łagodnie księżę. - Znalazłeś i usunąłeś człowieka, który próbował cię zabić? A przynajmniej tak mówi się w Londynie. Usłyszałem o tym trzykrotnie w drodze. Dano mi do zrozumienia, że uczynił kolejny zamach na ciebie tutaj, a ty go zgładziłeś. Moje gratulacje.

Twarz Druma wróciła do naturalnej barwy. Zdjął rękę z ramienia Aleksandrii i mocno ujął jej dłoń. Wolałby powiadomić ojca o ich zaręczynach bez świadków. Mógłby wtedy przyjąć na siebie każdą burzę. Tymczasem musi uczynić to teraz. W przeciwnym wypadku śmiertelnie urazi Aleksandrię, a przecież nie może na to pozwolić. Zebrał się w sobie. Gotów byłby pokonywać smoki, by zdobyć swą damę, ale ma przed sobą człowieka, którego szanował najbardziej.

A może nie. Kocha go, ale kocha też tę dziewczynę i chociaż wolałby między nimi nie wybierać, zdał sobie sprawę, iż już się to stało.

- Pora na jeszcze dodatkowe gratulacje, ojczy - powiedział. - Aleksandria zgodziła się wyjść za mnie. Życz mi szczęścia.

W pokoju zapadła cisza. Wyraz twarzy księcia nie zmienił się, ale Drum dostrzegł, że jego postawa nie jest taka sztywna i zląkł się. Nie mógł tego uniknąć, ale bolało go, że może zranić ojca. Nie wiedział, że sam wcale nie wygląda w tej chwili jak dawny, zblazowany hrabia Drummond. Ani też nie miał pojęcia, jak bardzo spodobało się to Aleksandrii.

Niektórzy z obecnych ukrywali uśmieški zadowolenia, inni wydali westchnienie. Wszyscy byli zaniepokojeni. Drum zacisnął dłoń na ręce dziewczyny i czekał.

- Życzę ci szczęścia - rzekł łagodnie książę. Ujął drugą dłoń Aleksandrii. - Już od dłuższego czasu pragnąłem mieć córkę, moja droga. Witaj w naszej rodzinie.

Patrzyła na niego, niezdolna wydusić słowo. Tak bardzo lękała się tej chwili. Choć usiłowała ułożyć sobie jakąś odpowiedź, żadna z nich nie wydawała się odpowiednia. Próbowwała przewidzieć wszystkie możliwe reakcje, ale ta nie przyszła jej nawet przez chwilę do głowy. Przygotowała się na pogardę, ironię, a nawet gniew, Ale nie na taki uroczy uśmiech. Nie wiedziała więc, co ma powiedzieć.

Drum znalazł się w podobnej sytuacji. Ich przyjaciele zamarli, zaskoczeni.

Książę wydawał się tego nie dostrzegać. Uśmiechał się do Aleksandrii.

- Pani Tooke bez przerwy cię wychwalała. Zacząłem się obawiać, że ten tępak nie zechce cię. Ale okazał się całkiem bystry. Brawo, Drum.

- Rozmawiałeś z panią Tooke? - zapytał bezsensownie Drum, ale tylko to mu przyszło do głowy.

- Owszem. Dla kontynuowania śledztwa musiałem kilkakrotnie wrócić na miejsce zbrodni. Pani Tooke okazała mi

swoją gościnność, a że uwielbia pannę Gascoyne, więc wiem, że z radością przyjmie tę dobrą nowinę. Nie patrzcie tak na mnie, bo ja też jestem bardzo szczęśliwy - dokończył z uśmiechem, widząc wyraz ich twarzy. - Moja droga - Zwrócił się z uśmiechem do Aleksandrii. - Nie obawiaj się mnie. Pani Tooke opowiedziała mi wszystko o tym okropnym Gascoyne, a ja mogę ci tylko pogratulować odwagi i zaradności. Szlachetność duszy liczy się bardziej niż tytuły. W końcu dlatego w ogóle się one pojawiły. Historia rodu Drummonda, którą nigdy nie zdołałem go należycie zainteresować, kryje w sobie wiele niespodzianek. Jako osoba wychowana na wsi wiesz na pewno, że mieszanie ras daje znacznie lepsze wyniki, zwłaszcza jeśli dobiera się pozytywne cechy. A tych, moja droga, masz wiele. Mam nadzieję doczekać wnuków. Chętnie wezmę udział w ich wychowaniu, jeżeli się zgodzisz. Czas mija, a nikt tego nie wie lepiej niż ja. Może wasza wczorajsza przygoda zmusiła także i was, by to zauważyć. Mój syn powinien był się ożenić już dawno temu. Rad jestem, że wreszcie porzuci stan kawalerski i że dokonał samodzielnego wyboru.

Podniósł wyżej głowę i popatrzył na Druma, okazując tym razem nieco niepokoju.

- Ja także mam dla ciebie pewną nowinę. Sądzę, że teraz jest najlepsza pora, by ci ją obwieścić, gdyż także ma charakter matrymonialny. Nie chciałbym was przyćmić - zwrócił się do Aleksandrii. - Lecz w moim wieku nie należy zwlekać z małżeństwem, nieprawdaż? - Dziewczyna zdolna była tylko kiwnąć głową.

Książę wbił wzrok w oczy Druma.

- Nie wiem, co powiesz na to, że oprócz żony będziesz mieć również nową matkę, ale tak właśnie się stanie. Sam sobie wybrałem żonę. Próbowałem zmusić ciebie do małżeństwa, co było błędem. Ale miałem szczęście, gdyż udało mi się z tego wyciągnąć naukę. Mężczyzna musi podążać za głosem serca. Kiedy szukałem dla ciebie żony, dostrzegłem zalety takiego związku, nawet w przypadku osobnika tak zaawanso-

wanego wiekiem, jak ja. Możesz sądzić, że działałam nazbyt pośpiesznie, a może nawet niemądrze, ale zakochany mężczyzna powinien słuchać swego serca, nie dbając o resztę, prawda?

Drum ukrył niesmak. Jeżeli ojciec pragnie Annabelle i sądzi, że związek z nią uczyni go szczęśliwym, to niech tak będzie.

- W istocie, ojcze. Moje gratulacje. Kiedy pragniesz uczynić ową damę swą małżonką?

- Jak najprędzej. Poprosiłem, by przyjechała ze mną do Londynu. Nie lękaj się, moja droga - zwrócił się do Aleksandrii. - Zabrała chłopców ze sobą.

- Chłopców? - spytała ze zdumieniem dziewczyna.

- Tak, trudno byłoby zostawić ich samych, nieprawdaż? - stwierdził książę. - To właśnie przywiązanie Rozalindy do jej bliskich, jej ciepła, szczodra natura sprawiła, że odkryłem szlachetność jej charakteru. Oboje też mamy podobne wspomnienia. Szczerze kochała swego zmarłego męża, tak samo jak ja twoją matkę - powiedział tym razem do Druma. - Ale dane nam będzie, jak sądzimy, przeżyć też wspólnie chwile szczęścia.

- Żenisz się z panią Tooke? - zapytał Drum.

- Ależ oczywiście. Czy masz coś przeciwko temu?

- Wielki Boże! Absolutnie nie! - zaśmiał się Drum. - Myślałem tylko, że będzie to ktoś inny... nieważne, jestem zachwycony.

- Nie jestem aż tak głupi, by żenić się z kobietą na tyle młodą, by mogła być moją córką - odparł wyniośle książę. - Pragnę żony, a nie drugiego dziecka. Chociaż, jeżeli się to zdarzy, bo przecież wciąż istnieje taka możliwość, byłbym bardzo rad i mam nadzieję, że ty również.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Drum. - Zawsze chciałem mieć brata.

Na policzkach księcia pojawił się na chwilę rumieniec.

- Przyszynaję - powiedział szybko - że w pewnej chwili sądziłem, iż dobrze byłoby, byś sądził, że zalecam się do lady Annabelle. Nie można zaprzeczyć, że jest młoda i piękna - dodał, spoglądając z ukosa na Eryka, który słuchał z uwagą. - Ale moim zdaniem powinna przekonać się o tym, co my już



wiemy, to znaczy, że małżeństwo to nie środek na awans społeczny lub majątkowy. Gdzieś na świecie jest przeznaczony jej mężczyzna. Jeżeli go nigdy nie znajdzie, to bardzo jej współczuję. Jednak byłoby mi jej znacznie bardziej żal, gdyby wyszła za mąż, nie idąc za głosem serca, co mogło przydarzyć się także i tobie, Drum. Jestem wdzięczny twej wybrańnej, że pozwoliła ci się o tym przekonać.

- I ja jestem jej wdzięczny. A lekcja okazała się bardzo łatwa; potrzeba mi było tylko właściwej nauczycielki - mówiąc to, spojrzął na Aleksandrię. - Twierdziła, że brak jej tytułu i nazwiska, lecz dla mnie stoi wyżej niż wszystkie kobiety, a imię jej jest „żona” i tylko tego pragnę. Życz mi szczęścia, ojcze.

- Nie muszę, bo wiem, że go zaznasz. Życzę ci radości i powodzenia.

- On ma je także! - zawołała Gilly. - Tak samo jak pan, wasza miłość! Ale fajnie! Dwa śluby. Czy odbędą się jednocześnie?

- Gilly! - oburzył się Drum.

- Pani Ryder! - odezwał się identycznym tonem książe.

Aleksandria zaśmiała się, uroniła łzę i zaśmiała się znowu.

- Płaczesz? - szepnął jej Drum, gdy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. - Ależ zrobiła się z ciebie beksa.

- To dlatego, że nigdy nie byłam taka szczęśliwa.

Zaśmiała się, lecz zaraz spoważniała.

- Ale wiesz co? Choć trudno mi w to uwierzyć, ale wyda-  
je mi się, że będę już zawsze szczęśliwa. Będziemy.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Możesz na to liczyć.

A że był człowiekiem, na którym można polegać, tak właśnie się stało.